

*Autor z wielkim kunsztem, słowo po słowie,
utkał historię Żałobnicy. Wyczekuję więcej takich
powieści od Roberta Małeckiego!*

Anna Dereszowska

ROBERT MAŁECKI

ŻAŁOBNICA

Zmarli zawsze zabierają
tajemnice do grobu.

Ale teraz zrobili wyjątek.



ZŁOBNICA

ROBERT MAŁECKI

ZAŁOBNICA



Copyright © Robert Małecki, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Marketing i promocja: Greta Kaczmarek

Redakcja: Lena Marciniak-Cąkała / Słowne Babki

Korekta: Gabriela Niemiec, Mirosław Krzyszkowski

Projekt typograficzny, skład i łamanie: MELES-DESIGN

Projekt okładki i stron tytułowych: Tomasz Majewski

Fotografia na okładce: Phan Hieu, EyeEm / Getty Images

Fotografia autora: Zuza Krajewska / Warsaw Creatives

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-66553-24-8

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

PROLOG

Tak to sobie wyobrażam.

Podkradam się i patrzę na dróżniczkę, gdy staje w oknie. Zastygła, pospolita twarz, otulona kręconymi włosami do ramion, zmęczony wzrok wbity w dal i cienka kreska ust, nieskorych do wyrażania emocji.

Ma na sobie kamizelkę odblaskową, a na wysokości piersi trzyma żółtą chorągiewkę.

Znak, że wszystko gra, że przejazd jest bezpieczny.

Ale tu nic nie jest bezpieczne.

Wiem, że kiedy zadam pierwszy cios, tych ust nie wykrzywi ból. A przecież tylko dlatego to zrobię, tylko dlatego tutaj przyszłam. Chcę dostrzec w jej oczach paniczny strach, przypływ przerażenia, kiedy dotrze do niej, że zbliża się nieuchronny koniec.

Zadaję więc pierwszy cios. I jakaś siła, przemożna moc każe mi zadać kolejny i kolejny, więc z narastającym opętaniem, gubiąc oddech i dławiąc się nim, dźgam już nożem jak szalona, przebijam ciuchy i skórę. Początkowo ostrze natrafia na wyraźny opór, ale potem wchodzi gładko. I tak raz za razem, raz za razem. Aż w końcu brak mi sił. Mięśnie zastygają jak beton, nóż upada głucho na wykładzinę, a ja z trudem łapię haust powietrza i jednocześnie próbuję dojrzeć ból w jej matowych oczach.

Nic z tego.

Dyszę wyczerpana, ogarnięta wściekłością, która wyparowuje ze mnie wolno, znacznie wolniej, niżbym się spodziewała.

A wyraz jej twarzy w ogóle się nie zmienia. Jakby nie było tych ciosów, jakbym wcale nie miała dłoni zbuczonych jej ciepłą krwią.

Jakby mnie tu nie było.

Tak o tym myślę, tak to wciąż widzę, wyraźnie, jak budkę strażniczą przed sobą. Ale mimo to nie robię kroku naprzód.

Jest noc i słyszę poszept wiatru.

Stoję w pobliżu szlabanów, a na moją twarz pada krwista poświata sygnalizacji. Dwa reflektory raz rozbłyskują, raz gasną. Przypuszczam, że smolisty cień, który zostawiam na asfalcie w plamie karmazynowego światła, wygląda jak ciało zastygłe w kałuży krwi.

Widzę tę scenę.

Widzę siebie przy szlabanach, widzę ją w strażnicy i znam dystans, który nas dzieli; rdzawe linie starej stali, wyslizgane grzbiety torów, a pomiędzy nimi betonowe płyty, spękane jak sucha ziemia.

Gdzieś z boku, daleko stąd, pojawiają się światła, trzy żółte kropki na wierzchołkach trójkąta, zlewające się powoli w jeden rażący mnie snop. Pociąg się zbliża, refleksy pełzną po oknie stróżówki, przez co kobieta częściowo znika za plamami bieli, jakby była duchem. Światło z coraz większym impetem tnie noc, a miarowy stukot kół narasta, łapie wyraźny rytm i tężeje mi w uszach.

Patrzę na nią wyczekująco.

Nie ma mnie tam.

Nie mam przy sobie noża, a mimo to zaciskam pięść, jakby pod palcami znajdowała się ebonitowa rękojeść, która przywiera do skóry i parzy.

Światła pociągu wyławiają budkę strażniczki z mroku, a szara elewacja, w którą za dnia wżera się brud, rozbłyska czystą, niemal szpitalną bielą. Nagle budynek znika za zasłoną pociągu, pęd powietrza smaga mnie po twarzy, a ogłuszający huk sprawia, że zakrywam uszy.

Budynek miga w oczach, wyłania się i znika, widzę go tylko w przerwach między wagonami, a ona stoi skamieniała, manekin na wystawie, jakby czas się zatrzymał.

W myślach odmierzam sekundy, aż pociąg zniknie mi z oczu i porwie za sobą ten okropny hałas.

Dobiłam do dziewiętnastu, jeśli dobrze policzyłam.

Czy w tym czasie uda mi się ją zabić?

Oddycham. Wdech i wydech.

Więc naprawdę o tym myślę?

Och...

To tylko sen, zwykła ułudą, suma chorych pragnień.

Sen czy nie sen, dążenie, które nie znajduje ujścia, mija szybko, ale zostawia we mnie gorzki smak niedosytu, tli się wewnątrz. Jest jak orgazm, który miał nadejść, ale już odpływa, ucieka i znika zupełnie, pozostawiając niespełnienie, bolesny zawód. Jak woda, która obmywa brzeg, ale nie sięga bosych stóp. Jak tył pociągu, który rozplywa się w nocy i zostawia poblask świateł, charakterystyczny rytm, cichnący stukot.

Tak, tak.

Stuk, stuk.

Cisza na powrót bierze noc we władanie, a pęd powietrza, ten sam, który szarpał mi włosy, wytraca impet i ledwie kołysze żdźbłami dzikich traw w torowisku.

Szlabany się unoszą z krótkotrwałym jękiem, ale nikt nie przejeżdża.

Bo nikogo tu nie ma.

Nie ma jej w oknie.

I mnie też tam nie ma.

Jest noc.

Jest pustka.

Nikogo tu nie ma.

Nikogo.

Ni-ko-go, ni-ko-go, ni-ko-go...

TERAZ

– No, to jak? – Lena Wolska, podkomisarz policji, marszczy czoło i mruży oczy przed wiatrem, który porywa z jej ust dym papierosowy. – Była tam pani?

Stoimy *vis-à-vis* teatru, przy rzędzie taksówek zaparkowanych na błyszczącym bruku. Siwy gość z sumiastym wąsem poprawia się w fotelu mercedesa i wlepia we mnie wzrok. Robi to bez skrępowania, wręcz nachalnie, jakby chciał, żebym wiedziała, jakie myśli chodzą mu po głowie. Jestem przyzwyczajona do oblepiających spojrzeń, czasami je podchwytuję, czasami ignoruję. Tak jak teraz. Po prostu udaję, że go nie widzę. Próbuję skupić wzrok na policjantce, chociaż wiatr szarpie mi grzywkę. Poprawiam ją, lecz na niewiele się to zdaje. Ponownie opada na oczy, ale tym razem już nie zwracam na to uwagi.

Patrzę na kobietę i jej dłoń, obleczoną pomarszczoną skórą, z papierosem ściśniętym między poślizniętymi palcami. Papieros wędruje do ust. Wolska zaciąga się i ponownie wydmuchuje kłęby siwego obłoku, który niemal natychmiast zostaje rozwiany przez lodowaty powiew. Patrzy w bok, na plac Teatralny i dalej, na fale pieszych rozplywających się w różne strony, na pełny tramwaj, który ze zgrzytem przejeżdża przez skrzyżowanie.

Papieros znowu się żarzy.

Przypatrujemy się sobie, tak samo mrużąc oczy i zupełnie nie zważając na upływający czas.

Jesteśmy do siebie podobne. Nie fizycznie, ale jednak. Chociaż jej nie znam, widzę to w jej oczach, w tym przenikliwym spojrzeniu, w pozornie spokojnych gestach. Zmarszczone czoła, pomarszczona, niewyraźna przeszłość, życia wypełnione skazami, które może i nie bolą, ale znaczą gładkie ciało jak zgrubiałe, obłe blizny. Przypominają martwe larwy zastygłe tuż pod skórą.

Wolska wygląda na pięćdziesięcioletnią zaniedbaną rozwódkę, nie nosi obrączki ani pierścionków, z uszu nie zwisają jej kolczyki. Krótkie, ciemne włosy z siwiejącymi odrostami potargał wiatr. Mam wrażenie, że nie dojada i się nie wysypia, dokładnie jak ja. Zapewne w nocy obie przewracałyśmy się z boku na bok, zerkając co jakiś czas na proste cyfry elektronicznego budzika, goniąc myśli, które nigdy nie dają się złapać, i wsłuchując się w rytm przyspieszonego pulsu, owocu stresu.

– Powie mi pani? – Rzuca peta na chodnik i rozdeptuje go obcasem wiązanego trzewika. Skrawki tytoniu się unoszą i mimo że próbuję gonić za nimi wzrokiem, natychmiast tracę je z oczu.

Dygoczę z zimna, chowam głowę w ramiona, garbię się, jakby to mogło mi pomóc.

– Nie – mówię i od razu żałuję, że kłamię, bo moje ciało jest prawdomówne.

Przez chwilę drapię się po szyi, chociaż próbuję zamaskować ten ruch, i sięgam do grzywki, żeby ponownie ją poprawić.

Opanowanie przychodzi z trudem.

– Jest pani pewna? – powątpiewa, wsuwając ręce do kieszeni.

Czegoś w nich szuka, a może to tylko taktyczna zagrywka. Ona już wie i ja wiem, więc obie wchodzimy w role, nie idziemy w otwarty konflikt, tylko gramy na czas tak długo, jak to możliwe. Wyczekuję na jej cios, a ona na mój unik. Ale ani jedno, ani drugie nie następuje.

– Powinam już iść. – Ostentacyjnie spoglądam na zegarek, ale Wolska znowu lustruje tłum ludzi na pobliskim placu.

– Seweryn Jarosiński, jeden z dróżników, twierdzi, że widział tam panią – stwierdza.

Skostniała z zimna wzruszam ramionami.

– Kiedy? – Próbuję ustalić, ile wie.

– W niedzielę. Podobno często tam pani przychodzi.

– A panią to dziwi? – odzywam się nieco agresywniej.

Zaprzecza ruchem głowy.

– Jednak zazwyczaj przychodziła tam pani za dnia – przypomina.

– Dlatego chcę to ustalić.

– To takie ważne? – Znowu podnoszę głos.

Taksówkarz z mercedesa wciąż mi się przygląda. Widzę czubek sinego języka, którym przeciąga po górnej wardze.

– Miejmy to za sobą – zachęca Wolska i znowu skupia na mnie wzrok.

– Nie było mnie tam. – Idę w zaparte, bo chociaż przejazd jest monitorowany, to zawsze staję poza okiem kamery. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Więc ta postać w kapturze, która pojawia się tam raz na jakiś czas, to na pewno nie pani?

Zaprzeczam i znowu zerkam na zegarek. Powinnam już wrócić do pracy.

Trzaskają drzwi taksówki, słyszę szum zapuszczanego silnika i zgrzyt wrzucanego biegu. Samochody przesuwają się w kolejce, wąsaty kierowca z mercedesa ociąga się, ale w końcu przekręca kluczyk w stacyjce. Ostry smród spalin wypełnia nozdrza. Przez chwilę oddycham ustami.

Wóz przetacza się wolno, a kierowca znika mi wreszcie z oczu.

Wolska sięga po kolejnego papierosa, miętosi go między palcami, ugniata delikatnie, a ja czuję się jak ten jej papieros. Chcę stąd iść.

Robię krok w stronę wejścia do kamienicy, wciskam domofon. Ręka dotyka zimnej klamki i tak trwam w oczekiwaniu. Chciałabym mieć to przesłuchanie za sobą, wrócić do strefy komfortu.

Czuję wzrok Wolskiej na plecach, ale się nie odwracam. Boję się, że mnie zawróci, że każe mi tu stać i będzie zasypywała pytaniami.

W końcu słyszę metaliczny brzęk i pcham ciężkie drewniane drzwi.

Smród oleju do frytek, dochodzący z baru, wisi na klatce schodowej, jak co dzień. Gęsty i intensywnie mdły.

Uciekam.

Wolno, ale jednak.

Znikam w ciemnym korytarzu, moje kroki odbijają się w wąskiej przestrzeni krótkim echem, ale nie słyszę za sobą trzaśnięcia, więc przystaję u podnóża schodów. Coś każe mi się odwrócić.

Wolska jest teraz czarną sylwetką na tle jaskrawych szarości. Przytrzymuje butem drzwi.

Widzę błysk zapalniczki i to, jak pochyła się nad balansującym na wietrze ogniem, osłania go dłonią i odpala papierosa. Zaciąga się i wreszcie spogląda w moją stronę.

I już wiem, że nie będę zadowolona z tego, co usłyszę.

– Dróżniczka zaginęła, pani Anno – mówi.

Odchodzi, ale jej słowa zostają ze mną.

Drzwi z głuchym trzaskiem uderzają we framugę.

Pochłania mnie ciemność.

Powidoki miasta, świateł, szum samochodów za szybą mojego mini. Mgiełka wody zrywana z asfaltu i rzucona na szybę. Zgrzyt wycieraczek odgarniających rozsiane kropki.

Znam te obrazy i dźwięki, znam je na pamięć.

Od tygodni, od tamtej chwili, gdy coś we mnie pękło, odkrywam samą siebie na nowo i nie jestem zadowolona z tego, co tkwi głęboko pod sercem.

Dłonie zaciskam mocniej na kierownicy, głowę opieram na zagłówku.

Nigdy nie było idealnie, bo idealnie jest tylko w książkach i filmach.

Idealne małżeństwo, prycham.

Idealny dom.

Bzdury.

Nie miałam idealnego męża, nie byłam idealną żoną. Nie zostałam idealną macochą. Zresztą w samym słowie „macocha” jest więcej goryczy niż we mnie.

Stoję w korku. Zmierzch poczerniał nad miastem, mokry asfalt błyszczy w świetle reflektorów. Czołgamy się po moście jak w zwolnionym tempie. Patrzę na Wisłę, która przepływa pode mną i zlewa się z czernią zalesionego brzegu i jaśniejszym nieboskłonem, dźwigającym łunę miejskiego światła.

Odnoszę wrażenie, że stąd nie ma żadnej ucieczki.

Przymykam oczy, czuję, jak szczypią mnie ze zmęczenia i znowu łzawią. Ostatnio często mi się to zdarza, ale bardzo się z tego cieszę.

Wdowa powinna płakać, słyszałam to wiele razy od kobiet, matek i żon.

Ale ja nie płakałam.

Nie pytajcie dlaczego. Sama się nad tym zastanawiam.

Przesuwam się o żabi skok.

Znowu przymykam powieki, chroniąc oczy przed natarczywym światłem samochodów, tym żółtym i tym czerwonym, które ścieka wąskimi strugami na mokrą jezdnię.

Ponownie widzę ich oboje.

Pamiętam dokładnie ten moment, zanim ostatni raz wyszli z domu.

Drobinki śliny z jego ust, które leciały w moją stronę, wściekłość napinająca mu żyły na szyi i ten cholerny krzyk, który długo rezonował w uszach.

A potem ona wyślizgnęła się ze swojego pokoju i trzasnęła drzwiami. Minęła mnie, gwałtownie zarzucając długie ciemne

włosy, które smagnęły mnie w twarz. Wysyczała krótkie słowo. Z początku, otumaniona, zupełnie go nie zrozumiałam. Doleciało do mnie kilka godzin później, kiedy było już po wszystkim.

Tej nocy, gdy zostałam sama w pustym mieszkaniu, czułam się jak ofiara. A to słowo krążyło nade mną niczym sęp. Czekałam, aż zaatakuje, aż w końcu obniży lot, złoży rozpięte skrzydła i gwałtownie zanurkuje, wbijając się z hukiem w moją głowę. Ale to wciąż nie następowało. Dopiero sen przyniósł rozwiązanie. Miałam wrażenie, że mara była wierną powtórką awantury sprzed kilku godzin. Podobne wybuchały często, ale byłam przekonana, że ta będzie tą ostatnią, że po niej wszystko się zmieni.

Kolejny raz wysłuchiwałam wyzwisk męża, gdy nagle wybrzmiała chwilowa cisza i wówczas, niczym poszum drzew, nadleciało tamto słowo. Wydawało mi się ciche, ale jednak wyraźne, jak sceniczny szept.

Suka.

Zerwałam się ze snu.

I nagle ciszę przeciął głośny dźwięk domofonu.

Sądziłam, że to mąż. Że wrócili oboje, że ona obrażona pójdzie spać, a on weźmie prysznic, wślizgnie się do łóżka, odwróci plecami do mnie, będzie udawał, że zasnął, ale tak naprawdę będzie czekał na moją ciepłą dłoń i wargi, które zrobią wszystko, co do tej pory robiłam, żeby go przeprosić, wkraść się na powrót w jego łaski. Przytrzyma mi głowę aż do chwili, kiedy rozkosz uniesie palce stóp, jego ciało się napnie, a z ust ulecą ciche spazmy. I wtedy, przez kilka kolejnych dni, będzie lepiej, niż bywało codziennie.

Podeszłam do aparatu i podniosłam słuchawkę.

– Halo.

– Podkomisarz Lena Wolska, wydział kryminalny Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. – Dobiegł mnie mocny kobiecy głos. – Pani Anna Kowalska?

– Tak. – Poczułam, że chłód owija się wokół moich kostek.

– Mogę wejść?

– Teraz?

– Tak.

– Co się stało?

– Niech mnie pani wpuści.

Zwolniłam blokadę furtki i przeszłam do kuchni. Wyjrzałam przez okno na plac przed apartamentowcem.

Na dole, przed bramą wjazdową, stał radiowóz.

Wolska szła już w stronę klatki i po chwili dźwięk domofonu rozległ się ponownie.

Uchyliłam drzwi i słuchałam jej coraz wyraźniejszych kroków na schodach.

Potem błysnęła odznaką i poprosiła, bym usiadła.

Na drżących nogach dotarłam do kuchennego hokera.

Chwilę później świat rozpadł się jak przesuwany za rant stołu obrazek z puzzli.

Ona mówiła, a ja czułam się tak, jakbym tam była. Jakbym stała przy przejeździe kolejowym, zanim doszło do tragedii.

Ciemna noc.

Oni w samochodzie.

Milczący, zasepieni, połączeni kipiącą wściekłością, płynnym żelazem, które wypełnia sieć żył i wywołuje czysty, pierwotny ból.

Są coraz bliżej uniesionych szlabanów, skupieni tylko na fragmencie drogi przed nimi. Jakby poza tą asfaltową wstęgą nie było już niczego. Kęś świata, haust prywatnej przestrzeni.

Widzę go, jak przygryza wargę, mruży oczy. Dociska gaz, bo zawsze tak robił. Zawsze gnał jak wariat, szarpał nerwowo kierownicą.

I widzę ją, pochyloną nad smartfonem, zgięty kark, rozsypane włosy, niczym kurtyna wyznaczająca granicę jej intymności, strefę wiecznego komfortu, do której nigdy nie miałam dostępu.

I jest ona, dróżniczka, która nie pojawia się w oknie, nie opuszcza rogatek, więc jest, ale jakby jej nie było. Leży na podłodze strażnicy,

blisko biurka, które oświetla blask bijący z dużego monitora. W szklance po kawie suszy się gruba warstwa fusów.

A to jeszcze nie wszystko, bo z prawej nadjeżdża pociąg.

Widzę więc dwa zbliżające się do siebie punkty i już wiem, że ich tory jazdy przetną się w tej samej chwili. Są coraz bliżej. I jeszcze bliżej.

Ale zanim to nastąpi, zapada cisza.

Wreszcie moim ciałem szarpie huk uderzenia, słyszę dźwięk zgniatanych blach, zgrzyt tarcia i jęk stali, który zagłusza stukot kół pociągu. Pisk hamulców się wzmacnia, brzmi jak krzyk rozpacz, uderza w noc kruchą jak szkło i rozbija ją na drobne kawałki.

I znowu zapada cisza, niczym następny zwiastun zła.

Nie pojechałam tam od razu. Potrzebowałam czasu. Zazwyczaj przyjeżdżam tam za dnia, czasami – nocą.

Często wracam myślami do tamtej chwili, do nocnej wizyty policjantki, jak do czegoś, co definiuje mnie na nowo.

Jestem wdową.

Och, jak to brzmi w przypadku trzydziestotrzyletniej kobiety, której życie mogłoby w zasadzie dopiero się zaczynać.

Czasami mam ochotę śmiać się z tego, co mnie spotkało. Wciąż wydaje mi się to nieprawdopodobne, niegodziwe i krzywdzące. Być może mają rację ci, którzy twierdzą, że sobie na to zasłużyłam.

Nie jestem idealna. Raczej zepsuta i zła.

I nie jestem tylko wdową.

Jestem kobietą, która straciła pasierbicę. Czy jest na to jakieś odpowiednie słowo? Wątpię.

Dlatego wolę o sobie mówić, że jestem żalobnicą.

„Żalobnica” do mnie pasuje, lgnie do skóry i wchłania się niczym najlepszy krem.

Jestem żalobnicą.

Jestem suką.

W spadku dziedziczę duże pieniądze i myślę sobie, że być może to wszystko zmienia.

Bo nigdy nie było idealnie.
Ale może teraz będzie?

Zamykam brudne naczynia w zmywarce. Słyszę, jak sprzęt pomrukuje, wypełniając się wodą. Przecieram wilgotną ścierką blat, z którego zbieram okruchy chleba.

Późny, chłodny wieczór wciska się przez okna. Blask lamp rozświetla pokój i kuchnię z niewielką wyspą. Niebieskawa poświata telewizora drga na zwyrodniałym stole, w którym zastygły emblematy samochodowych marek. Zapadam się w miękkiej sofie i czuję, że ten pobłysk kładzie się na mojej twarzy.

Próbuję odpocząć, gapiąc się na niespiesznie zmieniające się obrazy, na film, którego przecież nie oglądam, chociaż patrzę w ekran. Podciągam nogi i chowam się pod kocem. Boję się, że obudzi mnie tu światło dnia. Nie chcę tego, ale nie chcę też iść do sypialni na poddaszu. Tej naszej sypialni z dużym łóżkiem, w której wciąż w szafach wiszą jego garnitury, marynarki, spodnie i krawaty. Sypialni, w której czuję jego zapach.

Powinnam spakować wszystko w worki i wynieść, oddać potrzebującym, pozbyć się tego raz na zawsze, a potem wyczyścić szafę.

Do pokoju Roksany nie weszłam od tamtej nocy. Od chwili, kiedy zatrzasnęła te drzwi, nigdy ich nie otworzyłam.

Omijam je, jakby w ich miejscu wyrosła ściana, jakby apartament stracił jedno pomieszczenie.

Raz tylko zerknęłam w ich stronę, gdy szwagierka przyjechała do mnie z awanturą. Zamarła tuż za progiem pokoju Roksany, ukochanej bratanicy. Wstrząsnął nią szloch.

Wtedy, w drodze do kuchni, zwolniłam i spojrzałam w bok. Małgorzata, młodsza ode mnie o kilka lat, stała bosą na miękkim, długowłosym dywanie. Ale chyba wyczuła moją obecność, bo szybko zamknęła za sobą drzwi.

Nie wiem, ile czasu tam spędziła, nie patrzyłam na zegarek.

Zaparzyłam herbatę i zaniiosłam ceramiczny czajnik do salonu.

Usiadłam, splatając dłonie, i nasłuchiwałam metalicznego odgłosu naciskanej klamki, zgrzytu zawiasów, krótkiego cmoknięcia towarzyszącego odklejaniu się drzwi od uszczelki w ościeżnicy.

Kiedy szwagierka wyszła, herbata nadawała się do picia. Rozlałam ją do filiżanek, ale ona wciąż nie przychodziła.

Dopiero po chwili usłyszałam, że otwiera drzwi wyjściowe i znika.

Nie zniknęła jednak z mojego życia całkowicie.

Nie umie się pogodzić z tym, co się stało. Z konsekwencjami, które nadeszły po tragicznym wydarzeniu, po śmierci mojego męża i jego córki. Jej brata i bratanicy.

Nienawidziła mnie od samego początku.

Nie akceptowała drugiego związku Piotra, z kobietą bez przeszłości, która nie była idealną żoną.

Być może dlatego, że nigdy tego nie kryłam.

Z letargu budzi mnie brzęczenie telefonu.

Wzdrygam się, jakbym płytko przysnęła. Otwieram powieki i przez wąskie szparki odnajduję aparat na stoliku. Automatycznie wyciągam po niego rękę.

Z telewizora dobiegają krzyki polityków. Głosy nakładają się na siebie, widzę wykrzywione w grymasie złości twarze.

– Halo? – mówię i jednocześnie drugą ręką przyciskam pilotem odbiornik.

– To ja – odpowiada ciepły głos faceta, z którym zdradziłam męża.

Dokądś idzie, a może biegnie, bo słyszę, jak sapie, a w tle jednostajnym rytmem pulsuje miasto.

– Miałeś nie dzwonić – wzdycham.

– Miałem, ale...

Rozłączam się.

Nie liczyłam na to, że mnie posłucha, chociaż ostrzegałam go wcześniej. Powtarzam mu to co jakiś czas, ale z takim samym skutkiem. Zawsze do mnie powraca. Tak jak koszmar złożony z dźwięków, których nigdy nie usłyszałam, ale które wciąż tkwią w mojej głowie. Huk zgniatanych blach, jęk stali i przeciągły pisk hamulców, tarcie kół po wyslizganych torach. Jak nachodząca mnie wizja chwili, w której bmw wjeżdża pod rozpędzony pociąg. Widzę czerń karoserii i tańczące na jej obłych krzywiznach złote nitki refleksów. Światła lokomotywy. Na sekundę przed uderzeniem obraz znika, zostawiając mnie z sercem dudniącym pod żebrami.

Wzdycham i próbuję się uspokoić, opanować drzenie.

Po chwili on dzwoni ponownie, a ja patrzę to na zieloną, to na czerwoną słuchawkę.

Melodia gra długo, na ekranie wciąż wyświetla się napis „dentysta – rejestracja”.

Kolejne kłamstwo.

Minus kilkanaście punktów do ideału.

Wyczekuję, aż ekran telefonu zgaśnie.

Dostatecznie obudzona, zaglądam na swój profil na Instagramie. Nie robiłam tego od dawna.

Pomijam ponad dwieście powiadomień i wiadomości, których nie mam zamiaru odczytywać. Wiele z nich śmierdzi szambem na odległość, w innych trafię na wulgarne propozycje i zdjęcia penisów sterczących z rozpiętych spodni. W zaledwie kilku otrzymam słowa pocieszenia. Być może po ostatnio zamieszczonym poście jest ich więcej.

Klikam w zdjęcie, na którym czarna woalka przysłania mi twarz i puszyste blond włosy. W oczach mam łzy. Ale nie były to łzy smutku, po prostu zrobiłam zdjęcie po wpuszczeniu pod powieki kilku kropel soli fizjologicznej.

wyrazy współczucia [*]

<3

samaś sobie winna szmaciaro!

trzymaj się, jesteśmy z Tobą [*]

i trafiło też na ciebie życie bywa sprawiedliwe. Teraz poczujesz się jak każdy Panno Nikt
Panno Pindo!

czy może pani udostępnić moją zrzutkę? Sprawa poważna, bardzo proszę

[*] proszę przyjąć moje kondolencje [*]

lepiej byś cycki pokazała buhahaha.

Piszę do pani jak do matki. To akt desperacji. Pomoże pani przeżyć mojemu Dawidkowi?

Dawidek cierpi...

no sam sex! Brawo Ty.

Telefon wibruje, otrzymuję esemesa.

Oczywiście od niego, mojego wyrzutu sumienia i kochanka.
Chociaż to słowo brzmi żałośnie.

„Przeczytaj Nowości”.

Nawet nie zamierzam.

Nie odpisuję, ale wstaję z sofy. Poprawiam koc, wyłączam
telewizor.

Biorę prysznic, z ręcznika formuję na głowie turban, w którym
znikają mokre włosy, i zabieram się do wcierania kremu, delikatnie
oklepuję opuszkami skórę twarzy.

Patrzę na mnie duże niebieskie oczy, chociaż lewa powieka opada
niżej. Mam wrażenie, że dodaje mi to seksapilu. Patrzę na pełne
i szerokie usta, uchylam je, odsłaniając białe zęby. Wpatruję się
w prosty, wąski nos i wystające, może nieco bardziej, niżbym
chciała, kości policzkowe. Śledzę łagodną linię brody.

Potem suszę włosy.

Idę jednak do sypialni i wsuwam się pod kołdrę przy zgaszonym
świecie. Jak co wieczór modłę się o sen, spokojny sen, który mnie
ukołysze.

Zamiast niego słyszę dźwięk nadchodzącej wiadomości.

„A co, jeśli... no, sama wiesz...”

Odkładam telefon. Powidoki błędzą pod powiekami.

Im bardziej staram się o tym nie myśleć, tym mocniej słowa utrwalają się w głowie. Wygląda to tak, jak wywoływane w domowych warunkach zdjęcie. Litery ujawniają się z wolna, stają się wyraźniejsze, czernieją z każdą chwilą, w mocnym kontraście do śnieżnobiałego tła.

Chcę o nich zapomnieć i spać.

Nasuwam kołdrę na głowę i liczę do stu, wolno, najwolniej, jak potrafię.

W końcu mam wrażenie, że zaczynam zapadać się w miękkim materacu, że moje ciało przyjemnie ciąży.

I wtedy nawiedza mnie obraz czarnego bmw stojącego na torach. Blask reflektorów i narastający stukot stalowych kół. Wszystko dzieje się szybko, nie mam chwili na reakcję. Czuję, że to zaraz nastąpi, że moją głowę wypełnią huk uderzenia i brzęk tłuczonego szkła, rozsypującego się po asfalcie, ale zanim do tego dojdzie, obraz znika zupełnie, tak nagle, jak nagle nadpłynął.

Odrzucam kołdrę.

Rytm kół pociągu zostaje w mojej klatce piersiowej i brzmi dokładnie tak, jak bicie mojego serca.

Uspokój się, uspokój, nakazuję sobie.

Odmierzam noc, wpatrując się w cyfry budzika, w czas pozostały do świtu.

A ten uparcie nie chce nadejść.

Poranek pachnie kawą.

Otulona ciepłym szlafrokiem siedzę na sofie z podciągniętymi pod brodę kolanami. Trzymam zimne palce stóp i przyglądam się z uwagą, jak lakier schodzi z paznokci. Czas go zmyć.

Z pokoju Roksany dochodzi odgłos szurania, ale staram się nie zwracać na to uwagi.

Małgorzata Miller, siostra mojego tragicznie zmarłego męża, zabiera ciuchy pasierbicy i jej rzeczy. Nie pyta mnie, co może wziąć,

a czego nie, zachowuje się tak, jakby to wszystko, całe nasze mieszkanie, było jej własnością.

Przy drzwiach wejściowych stoi Krzysztof, jej mąż.

Prosiłam, żeby usiadł, ale tylko się uśmiechnął i pokręcił głową.

Nic do niego nie mam, on do mnie chyba też nie. Do tej pory traktowaliśmy się dość neutralnie jak na osoby, które połączyła rodzina Kowalskich, jak na dwoje najbliższych – przynajmniej w teorii – rodzeństwa Małgorzaty i Piotra.

Krzysztof jest niski i krępy, ma na sobie dwurzędową marynarkę w granatową kratę ze złotą poszetką, wbija wzrok w podłogę albo w czubki swoich brązowych, nienagannie utrzymanych zamszowych oxfordów. Kolejny już raz przenosi ciężar ciała z nogi na nogę i sporadycznie spogląda to na mnie, to na błyszczący na owłosionym przegubie zegarek na skórzanym pasku.

Oboje są równolatkami, tyle wiem. Mają po dwadzieścia dziewięć lat, dobrze płatne prace i plany na przyszłość. Okazały podtoruński dom czeka na dziecko, ale Gocha od co najmniej trzech lat nie może zajść w ciążę.

Doceniam to, że on nie pomaga żonie, że zachowuje w tym wszystkim neutralność, która pewnie doprowadza ją do szału.

Moja szwagierka wystawia właśnie na korytarz kolejny pękaty, udekorowany na szczycie grubym supłem niebieski worek.

Sapie przy tym i dmucha w grzywkę, która zaczyna się przylepiać do wilgotnego czoła.

– Kawa stygnie – mówię i zaraz tego żałuję, bo wcale nie mam ochoty siedzieć z nią przy jednym stoliku. Wolałabym już wylać napar do zlewu.

Ale Gocha nawet nie odpowiada.

Dochodzi do mnie trzask drzwiczek, łoskot wysuwanych szuflad, szelest worka, do którego wkłada kolejne rzeczy.

Skoro nie odpowiada, sięgam po filiżankę i wypijam kilka łyków.

– Mogę? – Krzysztof wskazuje na drzwi do łazienki, a ja w odpowiedzi kiwam głową.

Znika tam na jakiś czas, aż w końcu słyszę szum spuszczonej wody. Potem myje ręce, a kiedy wychodzi, siada naprzeciwko mnie z cichym westchnieniem i sięga po kawę. Na chwilę rozciąga usta w sztucznym uśmiechu.

– Szkoda, żeby się zmarnowała – mówi półszepem, po czym przysuwa sobie cukiernicę.

Koszula na jego brzuchu się napina i marszczy przy guzikach.

– Racja – zgadzam się.

Cisza przeszkadza nam obojgu.

Spuszczam bose stopy na miękki i ciepły dywan.

– Jak sobie radzisz? – Krzysztof skupia wzrok na filiżance. Zaczyna mieszać napój srebrną łyżeczką. W jego geście nie ma spokoju, celebracji, odrobiny relaksu, jest mechaniczna, zaprogramowana czynność.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Minęło dopiero kilka tygodni.

Po co to mówię? Przecież on doskonale wie, kiedy doszło do tragedii, ale kiwa głową, jakby rozumiał, co mam na myśli.

Jestem przekonana, że czuje się niezręcznie, robiąc to, co każe mu żona, ale przecież nie mam do niego pretensji.

Sięgam po komórkę i próbuję odszukać wiadomość, która przyszła do mnie od nieznanego nadawcy kilkanaście dni przed wypadkiem.

Odnajduję ją, ale jednocześnie nie wiem, czy powinnam zrobić to, co zamierzam. Tyle tylko, że być może lepszej sytuacji już nie będzie. Kiedy Gocha zabierze stąd ostatnie rzeczy, właściwie już nigdy nie będzie powodu, żeby się spotkać.

Kątem oka zerkam na niego. Krzysztof wsuwa palec pod kołnierz koszuli i drapie się po szyi.

„Obserwują każdy twój krok”.

Czy on mi to wysłał?

Wiem, że ma dwie komórki, ale znam numer tylko jednej z nich.

– Wysyłałeś do mnie esemesa? – pytam.

– Esemesa? Kiedy?

– Dawno temu.

– Jak dawno?

– A jakie to ma znaczenie? – przerywam, bo widzę, że próbuje grać na zwłokę.

Wzrusza ramionami i wyciąga rękę po filiżankę. Skórę na paliczkach, grubych jak kiełbaski, porastają szczeciniaste czarne włoski.

Patrzę w jego okrągłą twarz, wystylizowane, lekko falujące ciemnoblond włosy, które sięgają za uszy. Widzę krótko przyszczyżony zarost wokół ust i gładko ogolone, pulchne policzki.

– Nieważne – mówię może zbyt agresywnie i odkładam aparat.

Filiżanka brzęczy o spodek, kiedy Krzysztof odstawia ją na miejsce.

– Gosia chce przyjechać wkrótce po rzeczy Piotra. – Ociera dłonią usta.

Mówi cicho, na tyle cicho, że muszę wyteńczyć słuch, żeby go zrozumieć.

– No i?

– Pomyślałem, że może chcesz sobie coś zatrzymać, że może są rzeczy, na których ci zależy... – Zawiesza głos i chce, żebyśmy się domyśliła.

Nie jestem idiotką.

– Przygotuję je i spakuję w worki. Nie zamierzam wpuścić jej do sypialni. Lepiej od razu jej to powiedz.

Krzysztof przesuwając dłońmi po twarzy i nadyma policzki. Wypuszcza powietrze z głośnym świstem.

Kolejny worek ląduje w korytarzu.

Gocha ociera spocone czoło.

Stoi w niebieskich joggerach, bosy, podciąga rękawy bluzki.

– Na dziś wystarczy. Chodź, pomożesz mi – mówi do Krzysztofa, jakby mnie tu w ogóle nie było. – Zostało jeszcze trochę książek, ale to przy okazji.

Wsuwa stopy w czarne najki i zaczyna wystawiać worki na klatkę schodową.

Krzysztof się nie podnosi, znowu popija kawę, ale tym razem większymi łykami. Brązowa pianka osiada na wnętrzu filiżanki, rysując dziwne wzory.

Właściwie powinnam być wdzięczna szwagierce, że robi porządek.

Pierwszy raz przyjechała tutaj dwa dni po tragedii, ze sportową torbą, do której wsunęła laptopa i tablet Roksany, kilka jej rzeczy osobistych, notatniki i pozostałe drobiazgi. Wyszła zapłakana, bez słowa pożegnania. Jakbym nie zasługiwała na nic, na żadne współczucie czy żal.

Dzień później zjawili się moi teściowie, milczący jak zawsze, dystyngowani państwo Kowalscy o smutnych twarzach, prostych nosach, podobni do siebie, zasuszeni i elegancko ubrani na czarno.

Chcieli zabrać pamiątkę po synu i ukochanej, jedynej wnuczce. Kiedy matka Piotra wymieniła imię nastolatki, łzy wypełniły jej oczy, a głos uwiązał w gardle.

– Czy to prawda, że Piotr chciał rozwodu? – spytał wtedy teść i teraz to samo pytanie zadaje Krzysztof.

Przez chwilę mam *déjà vu*. Patrzę na twarz starego mężczyzny, ojca mojego męża, i widzę w niej ewidentne podobieństwo do Piotra: ten sam nos, wydatne czoło i głęboko osadzone, ukryte w cieniu, lodowatoniebieskie oczy.

Obraz znika szybko i ponownie mam przed sobą okrągłą twarz Krzysztofa.

– Nie – kłamię, a on przygląda mi się badawczo.

Próbuję wytrwać w kłamstwie, ale mam wrażenie, że moje ciało znowu protestuje. Przyciągam poły szlafroka pod szyję, jakby nagle powiało chłodem.

Krzysztof dopija kawę.

– Dziękuję. – Podnosi się z sofy i kieruje do przedpokoju. Po drodze chwyta za grube węzły worków i wynosi je na klatkę schodową. Odstawia z szelestem i wraca po płaszcz.

Staje w drzwiach i pyta Gochę, która już nie wraca do mieszkania, czy to wszystko.

– Wszystko – odpowiada jego żona, a głos niesie się cichym echem.

Krzysztof kładzie rękę na klamce i ostatni raz spogląda w moją stronę.

Mam wrażenie, że chce coś powiedzieć, może chciałby się pożegnać, ale tylko odwraca się i znika.

Drzwi przylegają cicho do framugi.

Patrzę w tamtym kierunku, a zimna kawa spływa mi do żołądka.

WCZEŚNIEJ

„Obserwują każdy twój krok”.

Domyśliłam się, że w końcu to nastąpi, i sądziłam, że to Piotr będzie za tym stał. Przyśniło mi się, że widziałam go, jak wchodzi do biura detektywistycznego i pokazuje szpakowatemu chudzielcowi o szczerzym pysku moje zdjęcie, zapisane w pamięci telefonu. Potem wyciąga pękaty portfel i odlicza kilka setek zaliczki. Detektyw przygryza wykałaczkę, a kiedy Piotr kładzie na stół kolejne setki, unosi brew. Końcówka zaostzonego patyczka kreśli bohomy w powietrzu.

Po tym śnie przejrzałam ogłoszenia i oferty toruńskich detektywów. Poszukałam tego z najlepszymi opiniami. Piotr w takich sytuacjach nie dbałby o koszty. Na każdym kroku podkreślał, że za jakość usług trzeba płacić, i kiedy już decydował się na daną firmę, nigdy się nie targował. A im było drożej, tym chętniej korzystał z oferty i tym większego zaufania nabierał do osoby, która podawała cenę.

Biuro detektywistyczne mieści się w pobliżu hotelu Refleks, o którym niewielu torunian w ogóle słyszało, na rogu Bażyńskich i Wojska Polskiego.

Ale nie interesował mnie hotel, tylko niski, szary budynek znajdujący się obok. Od Refleksu oddzielał go wybrukowany wjazd do ukrytych nieco głębiej garaży i parkingu przylegającego do ściany szczytowej hotelu.

Zdecydowałam się zaparkować tuż przy głównej drodze, tak żebym mogła obserwować dwa wejścia do obiektu.

Na parterze znajdował się lumpeks. Szyld biura detektywistycznego i narysowana na nim strzałka wskazywały na boczne wejście. Spojrzałam w tamtą stronę, a potem przeniosłam wzrok wyżej, na okna nad sklepem z używaną odzieżą. W pomieszczeniu rozlewało się białe światło. Za szybami wisiały zsunięte na boki verticale.

Wyłączyłam silnik. Opuściłam osłonę przeciwsłoneczną i cofnęłam do samego końca fotel kierowcy.

Zapadał zmierzch, ale światła uliczne jeszcze się nie włączyły.

Wysiadłam z auta i podeszłam do bocznych drzwi budynku. Były zamknięte, domofon rozwiązał jednak moje wątpliwości. Biuro detektywistyczne mieściło się na pierwszym piętrze.

Zadzwoiłam.

– Biuro, słucham – odezwał się niski męski głos.

Nie odpowiedziałam. Wycofałam się szybko do samochodu, a potem dyskretnie spoglądałam w okna, nikt się w nich jednak nie pojawił.

Odczekałam tak niespełna dwie godziny, po których nagle w biurze zapadła ciemność.

Uruchomiłam samochód i włączyłam światła, żeby nikt, kto ukaże się w drzwiach prowadzących do klatki schodowej, nie mógł mnie dostrzec.

Detektyw, jasnowłosy i ostrzyżony na zapałkę, wyglądał młodo. Szedł sprężystym krokiem, ubrany w skórzaną kurtkę i jasną koszulę, wsuniętą w czarne dżinsowe spodnie. Wyglądał na wysportowanego. Na ramieniu niósł pękatą skórzaną torbę i czarny futerał na aparat fotograficzny. Przynajmniej tak to wyglądało. W świetle reflektorów jaśniały białe podeszwy jego granatowych new balance'ów. Sprawiał wrażenie faceta, który łatwo wtapia się w tłum.

Nie zwrócił uwagi ani na mnie, ani na samochód.

Przeszedł na parking przy hotelu i po chwili wyjechał z niego srebrnym fordem. Przyjrzałam się autu i zanotowałam numer rejestracyjny.

Kiedy przejeżdżał obok mnie, odwróciłam głowę.

Pojechałam tam później jeszcze dwa razy. Raz przed godziną otwarcia biura. Spodziewałam się, że detektyw przyjdzie punktualnie o dziewiątej, ale zjawił się dopiero po pięćdziesięciu minutach.

Tym razem zaparkowałam przy hotelu i chodziłam wzdłuż budynku z telefonem przy uchu, udając, że z kimś rozmawiam.

Zaparkował niemal w tym samym miejscu co poprzednio. Z kilkudziesięciu metrów dostrzegłam jego skórzaną kurtkę. Przystanął przed drzwiami klatki schodowej, by po chwili za nimi zniknąć.

Przeszłam na parking i spojrzałam na srebrnego forda focusa.

Sprawdziłam, czy poprzednio dobrze zanotowałam numer rejestracyjny. Wszystko się zgadzało. To ten sam wóz.

Dla pewności pojechałam tam jeszcze raz, tydzień później.

I wtedy na parkingu przed biurem detektywistycznym zobaczyłam volvo mojej szwagierki.

TERAZ

Uruchamiam tablet, żeby zajrzeć na stronę „Nowości”.

Miałam tego nie robić, ale wczorajszy esemes nie daje mi spokoju.

Odnajduję artykuł ze zdjęciem znaku krzyża świętego Andrzeja na tle sinoszarych chmur. Zdjęcie ze stocka, które pewnie często wykorzystują do ilustracji wiadomości o wypadkach z udziałem pociągów. To nic, że znaku nie stawia się przy przejeździe strzeżonym, bo przecież chodzi o skojarzenia. Jestem najlepszym przykładem, że to działa.

Klikam w tytuł.

„Sprawczyni tragedii na przejeździe kolejowym rozplynęła się we mgle”.

Wyświetla mi się kilka okienek reklamowych, więc zamykam je, tracąc cierpliwość.

W końcu mogę czytać dalej.

Irena S., 55-letnia dróżniczka, oskarżona o spowodowanie katastrofy w ruchu lądowym, w niewyjaśnionych okolicznościach zniknęła z radarów policji. Od kilku dni nie stawia się na komisariacie, a rodzina zgłosiła zaginięcie.

Przypomnijmy, do tragedii na strzeżonym przejeździe doszło w nocy z 11 na 12 września tego roku. Krótko przed północą terenowe bmw wjechało pod koła pociągu cargo. Na miejscu zginęli kierowca samochodu i jego nastoletnia córka.

Siła uderzenia była ogromna. Kiedy policjanci drogówki dojechali do przejazdu, wrak samochodu spoczywał na dachu, w rowie, kilkadziesiąt metrów dalej. Z ustaleń biegłych wynika, że wóz kilkakrotnie koziółkował. Żeby wydobyć ciała, strażacy musieli użyć specjalistycznego sprzętu.

Jak udało nam się ustalić, Irena S., dróżniczka wykonująca ten zawód od blisko 24 lat, tuż przed wypadkiem straciła przytomność. Ocknęła się dopiero po tragedii i natychmiast wezwała służby ratunkowe.

Zgodnie z policyjnymi procedurami kobieta została zatrzymana na 48 godzin. Badania krwi pod kątem zawartości alkoholu i substancji odurzających niczego nie wykazały i ostatecznie dróżniczka wróciła do domu.

– Sąd nie przychylił się do wniosku prokuratury o areszt tymczasowy dla Ireny S. i wydał postanowienie o nałożeniu dozoru policyjnego – mówił krótko po wypadku prokurator Artur Legner, rzecznik prasowy Prokuratury Rejonowej Toruń – Wschód.

To dlatego Irena S., odsunięta czasowo od pracy, miała stawiać się trzy razy w tygodniu na komisariacie policji Toruń Śródmieście przy ul. PCK. Sąd zdecydował też o zabraniu paszportu, ponieważ jeden z synów kobiety mieszka za granicą i istniało podejrzenie, że może ona uciec z kraju.

Tymczasem kilka dni temu na portalu Zaginieni.pl pojawiła się informacja o rozpoczętych poszukiwaniach Ireny S. Kobieta przestała zgłaszać się na komisariat, co potwierdził „Nowościom” oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Toruniu. Trwają czynności zmierzające do ustalenia jej miejsca pobytu.

Gdzie przebywa Irena S.? Czy coś ukrywa? Czy sprawa tragedii na przejeździe kolejowym może mieć drugie dno? Czy dróżniczka o nieposzlakowanej opinii uciekła przed wymiarem sprawiedliwości? A może, jak wynika z naszych informacji, kobieta padła ofiarą zemsty ze strony bliskich osób, które zginęły w niedawnym wypadku?

Do sprawy wrócimy niebawem.

Wiktor Rutecki

Wygaszam ekran, ale zostawiam tablet na kolanach.

Odnajduję drugi telefon i wybieram właściwy numer.

Marcin Król, mój kochanek, odbiera po kilku sygnałach.

– Tak? – Słyszę jego spokojny głos.

Milczę przez chwilę, ale on i tak wie, kto dzwoni.

– I co o tym sądzisz? – pyta wreszcie.

– Nie wiem – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Czytałaś komentarze pod tekstem?

Kręcę tylko głową, a chociaż on tego nie widzi, to zna już odpowiedź.

– Wczoraj odwiedziła mnie policjantka – mówię.

– Wczoraj?

Nie lubię się powtarzać, doskonale o tym wie.

– No i? – ponagła mnie, ale wciąż jest w nim dużo spokoju. –
Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

– Nadal nie wiem, jakie to ma znaczenie.

– Żartujesz? Przecież brałaś mój samochód, jeździłaś tam. Kilka
razy sam cię zawiozłem.

– I co z tego?

– Co z tego? – W zdziwieniu wyczuwam złe wibracje. – Jeszcze się
pytasz, co z tego? A jeśli ktoś cię tam widział?

– Widział – odpowiadam spokojnie.

– Kurwa... – szepcze i milknie.

Wyobrażam sobie, że jedną ręką dotyka łysiejącej głowy, że ma
szeroko otwarte oczy, być może przygryza górną wargę. Często tak
robi, kiedy wpada w sidła złości.

– Kto cię widział? – pyta, balansując na skraju cierpliwości.

– Jej zmiennik.

– Ten dróżnik?

– Tak.

– Chryste... – wzdycha.

Znowu zapada cisza, przerywana jego płytkim oddechem.

Nie odrywam oczu od mojego odbicia w wygaszonym tablecie, ale
jednocześnie staram się przekręcić twarz w prawo, by popatrzeć na
sвій profil, a potem odwracam się w drugą stronę, żeby porównać
oba widoki.

Profil prawy odzwierciedla dynamiczne piękno, przekonuję się
o tym setny raz. Ale lewy, z opadającą lekko powieką, wydaje się
bardziej atrakcyjny. Wiem to już od dawna i wykorzystuję tę wiedzę
do ilustracji postów.

Zastanawiam się, czy moja szczupła twarz nie zrobiła się ostatnio
bardziej okrągła. Boję się tego, że moje rysy się zmieniają, że nic już
nie będzie takie jak dawniej.

– No powiedz coś, do cholery. – Złość wygrywa to starcie.

Nie wiem, co miałabym mówić, więc siedzę cicho, wpatrzona w siebie.

– Skąd mu to przyszło do głowy? – draży. – Dlaczego napisał o zemście?

– Nie wiem, ale pamiętaj, że w tej potyczce to ja jestem ofiarą – mówię z pełnym przekonaniem.

– Obyś miała rację.

– Mam rację, więc się nie denerwuj – próbuję go uspokoić.

– Łatwo powiedzieć – wzdycha ponownie.

– To moja sprawa – zauważam. – Nic ci nie grozi.

– Bzdura – żacha się. – Od kiedy jesteśmy razem, to jest już nasza sprawa!

Pewnie ma rację.

Mój szef zawsze ma rację, lubi w ten sposób o sobie myśleć. Ale od kiedy jesteśmy razem, to ja przejęłam pałeczkę. Jestem przekonana, że tego właśnie ode mnie oczekuje. W moich ramionach może czuć się małym chłopcem. Może w gruncie rzeczy nim jest?

– Dlaczego napisał o zemście? – wraca do tematu.

– Nie wiem – powtarzam zgodnie z prawdą.

– To może z nim pogadaj?

– Z dziennikarzem?

– No a z kim?

– Nie – ucinam stanowczo.

Wypuszcza powietrze wprost do słuchawki, w której rozlega się głośny szum.

– Jak Rutecki będzie chciał pogadać, to sam zadzwoni – dodaję i rozłączam się bez pożegnania.

WCZEŚNIEJ

Znowu wracam myślami do przeszłości. Do chwili, w której dostrzegłam pod biurem detektywistycznym volvo Małgorzaty Miller, siostry mojego męża.

Wpadłam na nią niby przypadkiem kilkanaście minut później. Udałam zaskoczoną, ale to nic dziwnego. Jestem dobrą aktorką.

– Gosia! – Uśmiechnęłam się szeroko.

Słońce połyskiwało w moich pszenicznych włosach, opadających na okulary przeciwsłoneczne.

Sierpień żegnał lato upałami.

Gocha nigdy nie umiała ukrywać uczuć. Tym razem również nieporadnie maskowała zakłopotanie, tak jakbym przyłapała ją na progu sex-shopu.

– Hej! Co tu robisz? – spytałam, wychodząc z lumpeksu, w którym co i rusz zerkałam w witrynę i na parking przed sklepem. Przeczekałam tam do chwili, kiedy zobaczyłam, jak Gocha kierowała się do volvo.

Zbliżyła się do samochodu, sięgnęła do klamki i szarpnęła drzwi.

– A nic, miałam sprawę do załatwienia.

– Tutaj? – Udamę zaskoczenie, ale mój głos brzmi naturalnie. Jestem naturalna, kiedy tylko zechcę.

– Nie, w medycznym, kawałek dalej – wyjaśnia, machając ręką. – Ale tam nie ma jak zaparkować.

– W sklepie medycznym? – dopytuję z błyskiem troski w oczach, w które zerka niepewnie po tym, jak unoszę na czoło ciemne

okulary. – Stało się coś?

Napięcie znika z jej twarzy.

Nie darzymy się sympatią. Tkwi to w nas głęboko, ale po mnie tego nie widać. Dla niej jestem pustą blondynką, drętwą suką, która usidliła jej bogatego starszego brata. Już samo to mnie dyskwalifikuje. Ale nie tylko to. Wie o mnie znacznie więcej, niż mogłabym się spodziewać. Wszak spędza dużo czasu z Roksaną, są jak siostry, które, owszem, dzieli piętnaście lat różnicy, ale w niczym im to nie przeszkadza. Drwią ze mnie, śmieją się. Czasami mam wrażenie, że używają fejkowych kont na Instagramie tylko po to, by ze mnie szydzić, ośmieszać mnie i dawać upust hejtowi.

– A nie, no skąd! Coś ty! – Śmieje się i raz jeszcze macha ręką. Gest jest bardziej wyrazisty niż poprzednio, wystudiowany, ale odegrany pod presją. – Nic z tych rzeczy. Sąsiadka mnie poprosiła. Ma chorą babcię. Miałam kupić pieluchomajtki.

Wzdrygam się.

– I co? Nie kupiłaś? – Ostentacyjnie spoglądam na jej puste ręce i błyszczące niebieskie tipsy.

– Nie było odpowiednich. Dlatego jadę dalej. Mam jeszcze drugi sklep na oku.

– Ale tam są dwa. Byłaś w tym drugim? – Wskazuję palcem na hotel, bo rzeczywiście tuż za nim, w bocznej ulicy prowadzącej do szpitala, znajdują się dwa sklepy z takim samym asortymentem.

– Tak, byłam, ale te pieluchomajtki, których szukam, są specyficzne. – Przesłupuje z nogi na nogę, jakby parzył ją rozgrzany asfalt. – Mogli je dla mnie zamówić, ale ostatecznie ustalili, że w drugiej lokalizacji, na Rubinkowie, mają je na stanie.

– Ach tak, to znakomicie. – Rozpromieniłam się na powrót, jakby kamień spadł mi z serca. – Ale słuchaj, skoro już się spotkałyśmy, to może pójdziemy na kawę, co?

Rozglądam się ochoczo w poszukiwaniu dobrego miejsca, a Gocha zerka na zegarek i robi skwaszoną minę.

– No wiesz, kochana, chętnie, ale kurczę, spieszę się. Może kiedy indziej? Bo i tak jestem spóźniona.

Chowam się za ciemnymi szklami okularów i rozkładam ręce.

– No pewnie, daj tylko znać. – Nie tracę uśmiechu. – Pozdrów Krzyśka.

– Pozdrowię – odpowiada z wyraźną ulgą i wsuwa się za kierownicę.

Odstawia niewielką torebkę na siedzenie pasażera, po czym uruchamia wóz i macha mi krótko na pożegnanie.

Pozdrawiam ją tym samym gestem i odchodzę.

Trzy dni później w lusterku wstecznym zobaczyłam forda focusa i siedzącego w nim szczupłego detektywa.

A po tygodniu od tamtego spotkania Gocha zaprosiła mnie na kawę.

TERAZ

Wiktor Rutecki, dziennikarz „Nowości”, próbuje dodzwonić się do mnie trzeci raz.

Odrzuciłam pierwsze połączenie, a dwóch kolejnych nie odebrałam. Melodia z komórki urywała się po kilkunastu sekundach. W końcu dziennikarz przysłał esemesa.

„Odezwij się, mam sprawę. Pozdro. Wiktor”.

Znamy się od lat, ale nie jest to żadna zażyła znajomość. Odzywał się tylko wtedy, kiedy czegoś potrzebował.

„Za późno”, odpisuję i ignoruję kolejne dwa połączenia, które następują po sobie w krótkim czasie.

Wiem jednak, że Rutecki nie odpuści.

Na razie jednak nie planuję zaprzętać sobie nim głowy.

Idę do kuchni i włączam ekspres do kawy.

Syczy i pomrukuje.

Odrobina wody skapuje z dyszy do brązowej szklanki z duralexu. Podstawiam ulubioną filiżankę z nadrukiem *Mleczarki* Vermeera, którą Piotr kupił mi rok temu w Rijksmuseum w Amsterdamie. Spędziliśmy tam kilka wspaniałych godzin, chociaż Piotr nudził się i ziewał, przechodząc z komnaty do komnaty, a Roksana zajęła się smartfonem i narzekała na słaby sygnał sieci internetowej.

Młynek terkocze, rozłupując twarde kawowe ziarna, a ja kucam i patrzę na miniaturę obrazu, w którym perfekcyjne światło, wpadające do izby przez okno i oświetlające kobietę, tworzy realistyczną głębię. Jest w tym obrazie kwintesencja sztuki.

Wpatruję się w filiżankę, ale tak naprawdę widzę oryginał Vermeera i pamiętam tłoczących się przed obrazem turystów z całego świata.

Zapach odciąga mnie od wspomnień.

Ciemna ciecz kołysze się lekko w filiżance, kiedy podnoszę ją i podchodzę do okna.

Wypatruję srebrnego forda i dopiero po chwili odnajduję go po drugiej stronie jezdni. Ledwie go widać w rzęsiстых strugach deszczu. Stoi tyłem.

Popijam łyk gorącego napoju i zastanawiam się, co dalej, gdy telefon dzwoni kolejny raz. Rutecki. Tak przynajmniej sędzę.

Odwracam się tylko i z daleka wbijam wzrok w aparat. Czekam, aż melodia urwie się niespodziewanie i zapadnie cisza. Dopiero potem przechodzę do salonu i wyciągam nogi na sofie. Sięgam po telefon i sprawdzam.

Nie myliłam się.

Chcę mu wysłać drugiego esemesa, ale zanim zdążę napisać pierwsze słowo, telefon wibruje mi w rękach.

„Są nowe fakty. Nie ucieszysz się”.

Blefuje.

Wiem, że blefuje, a jednak uginam się pod presją. Nagle czuję, jak dreszcz rozchodzi się falą po moim ciele. Uderza w ściany żołądka, który natychmiast kurczy się boleśnie i spina, cięży, więc zamykam oczy, chcąc przetrwać ten stan.

Wypuszczam powietrze i robię kilka głębszych wdechów.

Nowe fakty?

Sięgam po drugi telefon i drżącą ręką wybieram numer ze spisu kontaktów. Dentysta – rejestracja. Mogłabym to zmienić, już czas na takie decyzje.

– Tak? – Marcin zgłasza się szybko.

– Przyjedziesz? – pytam.

– Teraz?

– Rutecki twierdzi, że coś ma.

- Co konkretnie?
- Nie wiem, nie napisał.
- Nie dzwoniłaś do niego? – pyta zaskoczony.
- Wysłał mi informację – bronię się.

Wyraźny szum oddechu uderza mnie w ucho.

- No i? – Czekaj na dalszy ciąg, ale ten nie następuje.

Żołądek zaciska się mocniej.

– Przyjeżdż. – Staram się brzmieć stanowczo, ale nie wiem, czy nie wpadam w błagalne tony.

- Teraz nie mogę, ale zamówię ci taksówkę, okej?

– Nie. – Mój głos odzyskuje pewność. – Wóz detektywa stoi pod blokiem.

- Tak... – mówi, ale nie wiem, co ma na myśli.

Czekamy oboje, zawieszeni w cichym szumie oddechów, nieznośnie bezradni, niezdolni do szybkiego myślenia, jakbyśmy zostali złapani w pułapkę.

– Zadzwoń, jak coś wymyślisz. – Rozłączam się i pozbywam w ten sposób widma nadchodzącej klęski.

Czasami pesymizm bierze we mnie górę, ale to tylko chwilowa niedyspozycja, nieznaczny spadek formy.

Kawa stygnie, ale już wiem, że jej nie tknę. Wolałabym się napić teraz gorącej herbaty, może owocowej, a najchętniej rumianku z cytryną. Nie zamierzam jednak wstawać z sofy, bo ból wciąż jeszcze ciąży kamieniem.

Marcin Król, wieloletni przyjaciel męża, mój szef i kochanek, umie podejmować szybkie decyzje tylko wówczas, gdy pomnaża pieniądze. Na wielu innych polach pozbywa się skóry wilka i przeistacza w owcę. W pracy jestem posłuszna, poza nią przejmuję kontrolę, bo sądzę, że tego ode mnie oczekuje.

Romansu nikt nie planował, ale nieplanowane zdarzenia wybuchają z większą siłą i intensywnością. I to nie jest tak, że ten ogień zawsze szybciej się wypala.

Przyjaciel mojego męża, wraz z żoną Elą, grubokościstą brunetką, był zawsze tam, gdzie my. Wspólne wypady, podróże po Europie i nie tylko, letnie wojaże, czasami koncerty zagranicznych gwiazd i godziny spędzone w muzeach, w których czas zdawał się wstrzymywać bieg.

Kiedy Piotr i Ela zdradzali oznaki znudzenia i szli zająć stolik w restauracji, Marcin towarzyszył mi podczas wpatrywania się w najcenniejsze obrazy, tłumnie oblegane przez turystów. Szliśmy od jednego do drugiego, ramię w ramię, milczący, ale zgodni. Pokrewieństwo dusz, synteza myśli, jedność poglądów. Najczęściej dyskutowaliśmy wieczorami, wszyscy razem, popijając wino. Wszędzie razem, zawsze razem. Marcin i Elżbieta, Piotr i ja, stały kwartet, niezniszczalna przyjaźń i lojalność. Niestety nieco ponad rok temu Ela odeszła. Rak jajnika.

Schudła, zmizerniała, po prostu zgasła w oczach. Aż pewnego dnia nie miała już siły się z nami zobaczyć. Tydzień później zadzwonił Marcin.

W sercu wykiełkowała mi bolesna pustka.

Przyjechaliśmy na pogrzeb, gdy kwitły kasztanowce. Białe stożki kwiatów wyrastały z pięciolistnych zielonych dłoni, które, huśtane ciepłymi powiewami wiatru, z wysoka machały Eli na pożegnanie. Słońce próbowało się przebić przez gęste korony drzew, a ścieżki cmentarza pokryły się jasnymi, ruchomymi cętkami.

Uroczystość była skromna, w gronie najbliższych.

Kiedy trumna zniknęła w grobie, z oddali dotarły do nas dźwięki trąbki. Odwróciłam głowę i odnalazłam muzyka kilkadziesiąt metrów dalej, między pomnikami. Stał w pełnym słońcu, ubrany na czarno. Skierowany lekko ku niebu instrument błyszczał złotym blaskiem.

Otarłam łzy, które wypłynęły spod ciemnych okularów. Piotr tulił Roksanę, dla mnie zabrakło jego rąk.

Wychyliłam się dyskretnie, żeby dostrzec Marcina. Złączył dłonie i zwiesił głowę, ale i tak zaskakująco dobrze się trzymał.

Przynajmniej tak wtedy myślałam. Być może pomogło mu to, że nie mieli dzieci. Łatwiej pogodzić się ze śmiercią małżonka, kiedy nie widzisz płaczących po nim synów i córek, kiedy nie musisz się mierzyć z ich bólem i cierpieniem.

Na stypie, nowoczesnym przyjęciu na stojąco, przy wysokich okrągłych stolikach i ciepłych daniach podgrzewanych w chromowanych bemaarach, w których zniekształcały się nasze odbicia, powiedziałam Marcinowi, że przy mnie może zdjąć maskę. Nie zrozumiał, więc zapytałam wprost, co sprawia, że tak dobrze sobie radzi, skoro we mnie śmierć Eli zostawiła wyrwę.

– To skomplikowane – powiedział, po czym przeprosił mnie i odszedł do teściowej, kruchej staruszki z trzęsącymi się dłońmi i wykręconymi od artretyzmu palcami.

Długo nie było go w pracy. A kiedy w końcu wrócił, oddał się jej całkowicie i spędzał w biurze każdą wolną chwilę.

Pod koniec zeszłego lata popłynęliśmy w rejs do Danii. We czwórkę, bo Elę na wyjazdach zastąpiła córka Piotra, Roksana. Wcześniej nie chciała opuszczać swojej matki na krok, ale kiedy zaczęła budzić się w niej nastolatka, zapragnęła bliskości i czułości ojca. Lepiła się do niego, kupowała jego zainteresowanie, a on, jakby ze sporym opóźnieniem poczuł zew ojcowskiej troski, spełniał wszystkie jej zachcianki. Odciągała go ode mnie. Mówiłam mu o tym, ale uważał, że przesadzam, i bagatelizował kolejne sygnały. Być może taką rolę przydzieliła jej matka. I o tym też mu powiedziałam. Złościł się, a jeszcze później tę złość wyładowywał w atakach na mnie. Wmawiał mi uprzedzenie, nieczułość, w końcu zrobił ze mnie zazdrośnicę. A ona tymczasem triumfowała. Siadała mu na kolanach, a gdy szliśmy na spacer, trzymała go za rękę. Czułam się ignorowana. Wbijała się między nas klinem i nasłuchiwała trzasku, który musiał w końcu nastąpić.

To wszystko zaczęło się w drodze na prom do Danii, a skończyło nocą na opustoszałym przejeździe kolejowym z uniesionymi rogatkami.

Tyle że wtedy w Danii zaczęło się coś jeszcze. Coś, czego wówczas nie zauważyłam, skupiona na zachowaniu Roksany.

Dotarło to do mnie dopiero dzień po powrocie do pracy, kiedy zostałam dwie godziny dłużej, by podgonić pourlopowe zaległości.

Byliśmy sami z Marcinem i wszystko, co się wydarzyło, przypominało pospolitą zdradę. Była jak źródło, które wybiło niespodziewanie wraz z nagłym przyływem pożądania, wzbudzonym ledwie jednym gestem lub spojrzeniem. Nieokiełznany żywioł, którego fatalne skutki rozpoznaliśmy, dopiero tłumiąc gwałtowne, szarpane oddechy i wsłuchując się w ogłuszające dudnienie naszych serc. Ale było już za późno. Spełnieni, odpłynęliśmy każde na swoją wyspę, samotnie, ze wstydem ciężkim jak ołów, z pośpiesznym kompletowaniem bielizny, zażenowaniem nagością i nerwowym zapinaniem guzików.

A potem, z każdą kolejną zdradą, pozbywaliśmy się tej nieśmiałości.

TERAZ

Taksówka zjeżdża do podziemnej hali garażowej, w której czekam od kilku minut. Silnik pracuje miarowo, ale głośno, bo w niskiej przestrzeni dźwięk nie ma dokąd uciec. Światła reflektorów prześlizgują się po ścianie, po czym nieruchomieją. Stojące w rzędzie samochody rzucają wielkie cienie, które łamią się na ścianie i suficie.

Moje szpilki wystukują rytm, a trzask drzwi brzmi, jakby dobiegał z głośników o dużej mocy.

– Dokąd? – pyta przez ramię łysy, krępy mężczyzna z długą siwą brodą i okularami rogowymi na nosie.

Podaję adres i zapinam pas.

Kierowca nie nawraca, wycofuje się, spoglądając w boczne lusterka, i tak wyjeżdżamy z podziemi.

Być może ostrożność jest posunięta za daleko, bo z okna nie zauważyłam auta detektywa. Ale zapadł zmierzch. Niewykluczone, że zniknął, przestawił wóz i jednak pojedzie za nami.

Lękam się takich myśli.

Na desce rozdzielczej zauważam kilka urządzeń i zwieszające się z nich kable. W zagłębieniu, w pobliżu dźwigni zmiany biegów, tkwi fajka z pękatą drewnianą główką i czarnym ustnikiem wygiętym jak łuk. Obok stoi puszka tytoniu.

Taksówkarz ma w sobie niezwykły spokój. Czasami napotykam jego wzrok we wstecznym lusterku. Nie odzywa się pierwszy, nie próbuje na siłę zagadać, celebrytuje milczenie. W tle szmerze radio.

Umówiłam się z Marcinem w Grande Cafe w Rynku Staromiejskim. Są tam dwa lokale tej samej marki, ale wybieram ten w pobliżu ulicy Świętego Ducha, z piwniczną salą, w której możemy się zaszyć.

Zerkam na zegarek i wiem, że powinien już tam być. Celowo się spóźniam, bo chcę, żeby detektyw, jeśli wciąż jest o krok za mną, nie zauważył Marcina. Niekiedy sprawy wymagają ostrożności. Dlatego od pewnego czasu nie spotykamy się u niego. Wolimy neutralny grunt: pokój hotelowy, przebieralnię w sklepie w galerii handlowej.

Odwracam głowę i zerkam przez tylną szybę. Powtarzam to bezwiednie co jakiś czas.

Taksówka sunie wolno po moście w stronę starówki, która wyłania się zza drzew Kępy Bazarowej. Ten widok oczarowuje mnie od lat: pomarańczowy blask, iluminacja zabytkowej linii murów miejskich, a w głębi – gotyckie wieże kościołów, dziś skąpane w deszczu. Patrząc przez okno i dopiero po chwili zauważam krople, które przysiadły na szybie i drżą w podmuchach wiatru, spływają, łapiąc się jedna drugiej i uciekając szybkimi zygzakami.

Opieram głowę na zagłówku i zastanawiam się, co dalej będzie z moim życiem, z Marcinem, ze śmiercią Piotra i Roksany – śmiercią, która mnie naznacza, jak tatuaż, na zawsze. Myślę też o tym, kiedy Gocha odpuści, kiedy uzna, że detektyw nie jest do niczego potrzebny. W zasadzie nie wiem, komu i co próbuje udowodnić.

Opony terkoczą na bruku, jedziemy wzdłuż Fosi Staromiejskiej, w pobliżu biura, w którym pracuję i w którym zdradzałam męża, po czym przejeżdżamy tuż obok „okrągłaka”, aresztu z żółtej cegły, i skręcamy w Piekary. Przepuszczamy kilkoro pieszych, którzy wolno przechodzą przez jezdnię, po czym ruszamy dalej i skręcamy dwukrotnie w lewo. Na końcu tej drogi wyrasta boczna ściana kościoła Świętego Ducha. Kierowca zatrzymuje się i włącza światło wewnątrz pojazdu.

– Osiemnaście pięćdziesiąt – mówi, a potem spogląda przez ramię w moją stronę. – Kartą czy gotówką?

Sięgam po portmonetkę i podaję banknot.

Widzę jego spojrzenie znad okularów.

– Mogę na panią poczekać.

– Nie, dziękuję. – Staram się uśmiechnąć uprzejmie, po czym nagle zastanawiam się, czy nie jest to wyraz troski, czy mężczyzna czegoś nie zauważył. – Ktoś za nami jechał? – Próbuję ukryć niepokój.

– Nie sędzę. Często zerkałem w lusterko wsteczne.

Nic nie mówię.

– Rzadko zdarza mi się zjeżdżać do garażu po klientów. – Tym razem to on się uśmiecha. W jego oczach dostrzegam spokój.

Maszynka wypluwa wąski paragon.

Brodacz odrywa go i podaje mi wraz z wizytówką.

Jan Ogiński.

Chowam ją do torebki i otwieram drzwi. Szum deszczu staje się wyraźny.

– Proszę dzwonić, jakby co – dodaje, gdy stoję już na zewnątrz. – Do zobaczenia, pani Aniu.

Krople spadają mi na kaptur.

Pochylam się, zginam kark i skręcam przy narożnej kamienicy w prawo.

Deszcz siecze płyty chodnikowe, pokryte cienkim filmem wody, w którym co rusz powstają i znikają okręgi.

Wchodzę do wąskiej, gwarnej kawiarni, zrzucam kaptur z głowy i czekam w kolejce, po czym nagle dociera do mnie, że taksówkarz znał moje imię.

– Halo, co dla pani? – Uśmiechnięta dziewczyna za barem powtarza pytanie.

– Herbatę rozgrzewającą poproszę.

– Coś słodkiego?

Kręcę głową. Płacę i kieruję się w głąb lokalu, w stronę schodów prowadzących do piwnicy.

W sali po lewej, w której znajduje się regał z książkami, nie ma Marcina, więc zerkam do drugiej.

I niemal natychmiast chcę stamtąd uciec.

W głębokim fotelu przy jedynym zajęтым stoliku siedzi ktoś, kogo nie miałam zamiaru dziś spotkać.

Wiktor Rutecki uśmiecha się do mnie triumfująco i zaprasza gestem do siebie.

WCZEŚNIEJ

Zachodzące słońce kładło długie cienie, a upalne temperatury ustępowały powoli wieczornemu chładowi, gnanemu przez narastający wiatr.

Tego dnia, pod koniec wakacji, Piotr wybrał się z Roksaną do kina na *Ant-Mana i Osę*, chociaż namawiałam go, żebyśmy poszli we dwoje na drugą część *Mamma Mia*.

Już wiedziałam, że jestem na przegranej pozycji, ale na podstawie takich drobnych przesłanek racjonalizowałam swoją zdradę.

Zamiast jednak zostać w domu, pojechałam z nimi do Plazy, bo Gocha zaprosiła mnie na kawę.

Usiadłyśmy w wygrodzonej przestrzeni Costa Coffee. Zastanawiałam się tylko nad tym, czy Piotr zna powód naszego spotkania. Kiedy się żegnaliśmy i kiedy odprowadzałam wzrokiem i jego, i Roksanę, wjeżdżających schodami ruchomymi na piętro do Cinema City, nie wydawał mi się w żadnej mierze spięty.

Tym chętniej zajęłam miejsce naprzeciwko Gochy i upiłam łyk kawy.

Siostra męża rozejrzała się dyskretnie wokół.

– Ależ oni się na ciebie gapią – powiedziała z tajemniczym uśmiechem.

Fakt, podchwyciłam kilka spojrzeń przechodzących nieopodal mężczyzn.

Włosy spięłam w kitkę, a odsłonięta długa szyja i bluzka z głębokim dekoltem, na którym połyskiwał złoty łańcuszek

z krzyżykiem, robiły swoje.

– Nie przesadzaj. – Machnęłam ręką.

Gocha nadal się uśmiechała, ale chowała dłonie pod stołem. Wyczekiwała. I dało się to zauważyć.

Spojrzałam w jej końską twarz, oczy osadzone blisko siebie.

Zmieszana, zerknęła na telefon, po czym wygasila ekran i odłożyła aparat na blat stołu.

– I co słyszeć? – spytała w końcu.

– Nic – odpowiedziałam. – A u ciebie i Krzysztofa?

Przewróciła oczami.

– Krzysiu chce sobie kupić motocykl. – Zaśmiała się sztucznie. – No wiesz, nie wyobrażam go sobie, tego mojego kochanego konusa z lekką nadwagą, na harleyu. No powiedz sama, widzisz to? – Zaśmiała się głośniej, zasłaniając usta dłonią.

– Ale teraz chce kupić? Na jesień? – dociekałam.

– Twierdzi, że po sezonie można złapać najlepsze okazje.

– Używany czy nowy? – kontynuowałam konwersację bez przesadnego podniecenia, ale jednocześnie w taki sposób, by wykazywać zainteresowanie.

Miałam oczy wokół głowy.

W pewnej chwili przeprosiłam ją i podeszłam do stanowiska w pobliżu po dodatkową torebkę cukru.

Bingo.

Był tam.

Trzymał za rękę niską, drobną, rudowłosą dziewczynę, która kiwała lekko różą. Przesunęli się w kolejce i złożyli zamówienie, wskazując palcem na witrynę z ciastami.

Detektyw nie znalazł się tu przypadkowo.

Gdy wróciłam do stolika, Gocha ponownie odłożyła telefon.

– Czekasz na kogoś? – spytałam bez cienia podejrzeń.

– Nie – zaprzeczyła zdziwiona.

A ja czekałam, ale dawałam z siebie wszystko, żeby podtrzymać mało interesującą rozmowę o jej pracy w roli radczyni prawnej

w dużej kancelarii z Warszawy, a także o planowanych wakacjach we wrześniu i remoncie poddasza domu na Kaszczorku.

Detektyw z rudowłosą usiedli kilka stolików dalej. Ona tyłem do mnie, on – przodem. Jakiś czas później zauważyłam, że herbaciana róża, którą dziewczyna trzymała przedtem w ręce, leży teraz na blacie.

Wkrótce mężczyzna wyjął komórkę i chciał zrobić kobiecie zdjęcie. Pozowała mu z kwiatem.

Dostrzegłam to i z zakłopotaniem sięgnęłam po kubek, żeby upić kawę. Odstawiłam go i poczułam się swobodniej. Kątem oka widziałam, że detektyw wciąż próbuje złapać odpowiedni kadr.

Mój lewy profil, ten atrakcyjniejszy.

Niezauważalnie ściągnęłam łopatki i oparłam łokcie na podłokietnikach. Wypięłam biust, a potem uśmiechnęłam się szeroko, korzystając z okazji, że Gocha opowiedziała właśnie jedną z anegdot z wokandy.

Kiedy fotografowanie dobiegło końca, wstałam i przeprosiłam szwagierkę.

– Czas skropić uczucia. – Mrugnęłam do niej, po czym odwróciłam się do detektywa i nachyliłam nad torebką, tak by zdążył odnotować w pamięci linię bioder i krągłych pośladków w wąskich, idealnie dopasowanych spodniach.

– Jasne, idź, ja poczekam – powiedziała Gocha, sprawdzając godzinę na komórce. – Ale zaraz będę musiała spadać, bo Krzysiu miał po mnie podjechać.

– No to powiedz, żeby usiadł z nami na chwilę. – Wyprostowałam się.

– Nie da rady, spieszy się na jakieś spotkanie. Wiesz, jak jest – dodała.

– Jasne, rozumiem – odparłam i poszłam w stronę wyjścia, gdzie znajdowały się toalety.

Kiedy wróciłam, Gocha znowu sprawdzała coś w telefonie, ale po detektywie nie było już śladu.

– No i masz, już podjechał – stwierdziła, udając zakłopotanie. – Muszę już lecieć, ale może dasz się jeszcze kiedyś zaprosić? Powinniśmy robić to częściej. Te babskie pogaduchy są super.

– Och, koniecznie – zapewniłam. – Ale skoro masz lecieć, to leć. – Mrugnęłam do niej i usiadłam, by dopić kawę. Do końca filmu miałam jeszcze co najmniej godzinę, a to, że Gocha chciała już iść, było mi bardzo na rękę.

Pożegnałyśmy się i wkrótce zniknęła mi z oczu.

Dyskretnie rozejrzałam się w poszukiwaniu detektywa. Zerknęłam w stronę wejścia do Zary, schodów wiodących na piętro, a potem spojrzałam w prawo, na wyspę firmy kosmetycznej oferującej manicure. Wreszcie wstałam, sięgnęłam po torebkę i odstawiłam tacę z filiżankami na miejsce zwrotu brudnych naczyń.

Otarłam usta chusteczką, a następnie podeszłam do stolika znajdującego się po prawej. Siedziała przy nim młoda kobieta, szatynka z falującymi, gęstymi włosami, ubrana w sportowe ciuchy, z czytnikiem e-booków opartym o krawędź blatu. Dziewczyna w typie fit.

– I jak? – spytałam licencjonowaną prywatną detektywkę, którą ściągnęłam tu z Bydgoszczy.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Zna go pani? – zaniepokoiłam się. – Albo on panią?

– Nie – odparła.

– To dobrze. – Odetchnęłam.

– Tak, to bardzo dobrze. Będę miała na niego oko – dodała i spakowała czytnik do plecaka. – Na mnie już czas.

– Jasne – odparłam i obserwowałam, jak odchodzi.

Nagle zatrzymała się i odwróciła.

Kiedy z powrotem do mnie podeszła, zmrużyła oczy.

– Trzeba pomyśleć o sprawdzeniu mieszkania i wozu – stwierdziła, przekrzywiając głowę.

Detektywka była ode mnie nieco niższa i chyba młodsza, tak mi się przynajmniej wydawało, bo właściwie wyglądała jak małolata

i zupełnie nie zwracała na siebie uwagi. Przekonała mnie do siebie już podczas pierwszego spotkania. Rzeczowa, konkretna, a do tego wysportowana, uczestniczyła w wielu maratonach. A kto bierze w nich udział, ten musi być wytrwały i zawsze walczyć do samego końca. Ceniłam jej spokój i opanowanie, a także wiedzę techniczną. Po kilku wizytach w bydgoskich biurach detektywistycznych nie miałam wątpliwości, że dobrze postąpiłam, wybierając właśnie Milę.

– W jakim sensie?

Złapała płatek ucha i potrząsnęła nim.

– Podśłuch? – wyszeptałam z zainteresowaniem.

Potwierdziła skinieniem głowy.

– Też bym tak zrobiła – rzuciła, po czym odeszła.

Widziałam jej plecy, aż w końcu zniknęła za grupką młodzieży, idącą w moim kierunku.

„Podśłuch”, powtórzyłam w myślach i natychmiast coś ścisnęło mi żołądek.

TERAZ

W piwnicy Grande Coffee panuje półmrok, na dwóch stolikach palą się świece. Jedna z nich rzuca blask na Ruteckiego. Część jego twarzy jest żółta, reszta tonie w mroku, ale widzę, że się uśmiecha, że triumfuje.

– A jednak się zobaczyliśmy – mówi z przekąsem, kiedy podchodzę bliżej.

Nie wstaje, nie zamierza się ze mną przywitać, tylko wskazuje ręką na drugi fotel.

Pije kawę z mlekiem, obok dużej filiżanki leży otwarty notes, na nim krzywo rzucony długopis. Część kartek jest zapisana drobnym maczkiem.

Siadam naprzeciwko niego i milczę. Przypatruję mu się uważnie.

– No co? – Odsłania w uśmiechu zajęcze zęby.

Jest ogolony na jeża, nosi duże okrągłe okulary z grubymi szklami, przez co jego oczy wydają się małe. Kozią bródkę z wyraźnymi paskami siwizny zaplótł w warkoczek, który drży, gdy Rutecki się odzywa.

– Skąd wiedziałeś? – pytam.

– Niby o czym? – dziwi się i widzę, że jego reakcja jest szczerą. – Umówiłem się tu na spotkanie. Ale cieszę się, że będziemy mieli okazję pogadać. Mam jeszcze kwadrans.

Korzystam z okazji, że kelnerka przynosi herbatę i stawia ją przede mną.

Sięgam w tym czasie do torebki po smartfon i po mrugającej diodzie rozpoznaję, że mam nieodebranego esemesa.

„Nie dojadę. Wolska mnie zatrzymała. Nie dzwoń”.

Kostka lodu wspina się po moim kręgosłupie, gdy zastanawiam się, czego policjantka może chcieć od Marcina. Ale jak zawsze gram twardzielkę, udaję, że świat mam pod kontrolą.

– Skąd wiesz o nowych faktach?

Śmieje się sztucznie i odrzuca głowę do tyłu.

– No chyba nie sądzisz, że zdradzę swoje źródło.

– W takim razie powiedz, co masz, a ja ci powiem, co to za źródło.

– Zakładam nogę na nogę, przez co spódnica podjeżdża wyżej i odsłania najpierw kolano, a potem niewielką część smukłego uda. Nie poprawiam jej, tylko wypatruję reakcji małych oczu. Nie muszę na nią długo czekać.

Po chwili Rutecki pociera dłonie.

– Numer jest zamknięty. Niczego już nie zmienię. Miałaś szansę, żeby się odezwać i wypowiedzieć – ostrzega i stuka palcem w ekran telefonu. – Mam to na piśmie.

Odczekuję kilka sekund.

– No więc? – Udaję, że nic mnie to nie obchodzi, i zachęcam go, by wreszcie dobił do brzegu.

– Są dwie sprawy – mówi, sięgając po notatnik.

Opada na oparcie fotela, a następnie wertuje kartki. Nonszalancki luz. Słyszę, jak szeleszczą złowieszczco, i czuję, że zasycha mi w gardle. Napiłabym się herbaty, ale moje zimne dłonie drżą. Ściskam je i przykładam do brzucha.

– Od czego tu zacząć... – Przygląda się notatkom, a ja wiem, że robi to na pokaz, próbuje zbudować napięcie.

Chciałby, żebym coś powiedziała, zdradziła się nadmierną nerwowością, pozwoliła kiełkować złości, abym w końcu wybuchła, ale im dłużej gra, tym bardziej go ignoruję. Lęk owija się wokół moich żył i tętnic i zaciska na nich jak wąż, ale dam sobie radę. Zawsze dawałam.

Jego wzrok nieruchomieje nad jedną z kartek, po czym Rutecki spogląda na mnie.

– Twoi teściowie... – zaczyna i czeka na moją reakcję, a kiedy tej nie ma, kontynuuje wypowiedź: – twoi teściowie obwiniają cię o śmierć syna.

Nie zaskoczył mnie.

– Od początku byli mi przeciwni. Ale nawet nie o to chodzi. – Macham ręką, jakbym bagatelizowała tę sprawę. – Strata ukochanego syna i wspaniałej wnuczki to cios, po którym trudno się podnieść. Niełatwo zaakceptować wypadek. Prościej szukać winnego. I to nie w dróżniczce, przez którą to wszystko, tylko we mnie. Jakbym to ja nie opuściła tych cholernych szlabanów.

– A ty? Już się podniosłaś? – przerywa mi i sięga po długopis, a potem odnajduje niezapisaną kartkę w notesie. – Minęło zaledwie kilka tygodni...

– Nie. – Kręcę głową. – Ale to był wypadek. Mogłabym zniechęcić dróżniczkę, gdyby była pijana, naćpana albo gdyby najzwyczajniej w świecie wyszła na papierosa. Ale dobrze wiesz, że ona też stała się ofiarą tej tragedii. Niezawiniona śmierć. Być może mi nie uwierzysz, ale jej współczuję. *Nota bene*, nie wiem, czy wiesz, ale podobno zagięła. – Zachowuję się tak, jakbym nie czytała jego artykułu.

Drobne ukłucie, mała szpilka gratis ode mnie.

Kończy notować moją wypowiedź i po chwili przygryza końcówkę długopisu.

– Więc twoim zdaniem teściowie wciąż nie wyszli z szoku? – zastanawia się.

– Nie sądzę, żeby dało się to inaczej wytłumaczyć – mówię. – No a to, że nigdy mnie nie zaakceptowali, także ma znaczenie. Ale to są prywatne sprawy i nie radzę ci o nich pisać, jeśli nie chcesz skończyć w sądzie.

Rutecki ponownie wertuje notes, moja groźba nie trafia do celu.

– „Syn zadzwonił do nas nocą, kilka minut przed tragedią, i poprosił o nocleg dla siebie i córki, na kilka dni, bo pokłócił się z Anią”. – Wiktor Rutecki podnosi na mnie wzrok. – To słowa twojej teściowej.

Suchość w ustach narasta.

– „Chciał rozwodu” – cytuje dalej i zamyka notatnik.

Prycham, starając się zamaskować zaskoczenie.

– Bzdury! – bronię się. – Nie było mowy o żadnym rozwodzie. Kochaliśmy się i sprzeczaliśmy. To zupełnie normalne, jak w każdym związku. A ty, masz żonę? – Przystrajam to pytanie niewinnym uśmiechem.

– Można wiedzieć, o co się kłóciliście? – Ignoruje je.

– Nie można. – Stać mnie na asertywność. – Sądziłam, że naprawdę mnie czymś zaskoczysz. Mogłeś się bardziej postarać.

Nachylam się po szklankę i przykładam ją do ust. Herbata jest ciepła i spływa przelykiem, ogrzewając mnie od wewnątrz. Czuję przyjemny aromat malin i goździków, na języku pozostaje słodycz miodu.

Kąciki ust Ruteckiego unoszą się, a ja już wiem, że to nie koniec. Że ma w rękawie asa i nadszedł moment, w którym będzie chciał przechylić szalę zwycięstwa na swoją stronę.

Odstawiam szklankę.

– Coś jeszcze? – pytam i sięgam po torebkę. – Bo też jestem umówiona.

– Ale chyba tutaj, prawda? Inaczej byś tu nie przyszła. – Gasi mnie, a potem unosi palec wskazujący. – Ostatnia sprawa – dodaje.

– Strzelaj. – Uśmiecham się tak, jak kiedyś się do niego uśmiechałam, a jednak mam wrażenie, że zaszczepił się przeciw temu i tym razem mój urok nie zadziała. Że jednak Rutecki naciśnie cyngiel.

– W dniu, w którym zaginęła dróżniczka Irena Sowińska, twój samochód stał pod jej blokiem.

Czuję się tak, jakby pocisk przebił się przez kości czaszki.

– Byłaś tam. – Nachyla się i opiera łokcie na kolanach, a brodę na zaciśniętych pięściach.

Strach wypełza mi na twarz, wąż syczy mi do ucha.

– To nie może być przypadkowa zbieżność – mówi, chociaż jego słowa dobiegają jak z oddali.

Warkoczyk drży na brodzie.

– I kilka dni wcześniej też się tam pojawiłaś.

– Skąd to wiesz? – Słyszę swój matowy głos i zaczynam się bać jeszcze bardziej.

– Ty za tym stoisz? – pyta z sardonicznym uśmiechem, gdy tuż obok nas pojawia się mężczyzna. – Odpowiadasz za to, co się z nią stało? Odpowiadasz za jej zaginięcie?

Spuszczam wzrok, wpatruję się w znoszone buty z wilgotnymi zaciekami i brudne końcówki nogawek. Obcy mężczyzna wnosi ze sobą smród przesiąkniętego wilgocią mieszkania. Intensywny i ostry.

– Nie przeszkadzam? – pyta przybyły dziennikarza.

– A skąd, właśnie skończyliśmy. – W głosie Ruteckiego znowu brzmi wesołość.

Wstaję i patrzę na nich obu, potem przyglądam się już tylko dziennikarzowi.

– Nic nie rozumiesz – mówię.

– W takim razie mi wyjaśnij. – Zajęcie zęby lśnią od śliny. – A najlepiej zadzwoń jutro, bo teraz jestem zajęty.

Odchodzę.

Wspinam się po schodach, widzę ludzi, którzy śmieją się i rozmawiają, ale między nami wyrasta dźwiękoszczelna ściana, idealnie przezroczysta szyba.

Idę.

Idę przed siebie.

Przepycham się wąskim korytarzem obok kolejki wzdłuż lady i czuję, że brakuje mi tlenu. Dotykam szyi, chcę rozpiąć bluzkę, ale przecież jest rozpięta, a mimo to czuję, jak kołnierzyk wrzyna mi

się w skórę niczym pętla wisielca. Serce bije mocniej, rozglądam się i wreszcie w panice szarpię drzwi.

I już po chwili wiatr z deszczem chłodzi mi rozpaloną twarz. Zimne powietrze wnika do płuc i rozpełza się w nich kojąco.

„Byłaś tam”.

Słowa wracają do mnie jakby z oddali, jak fala, która jest daleko od lądu, ale której grzbiet w końcu pokrywa się intensywną białą pianą i z hukiem uderza o brzeg.

„Byłaś tam”.

Teraz słyszę je wyraźnie, a pamięć, moja cholerna, niezawodna pamięć podrzuca mi obrazy, jak slajdy z tamtego dnia.

Byłam tam.

Dobrze wiem, że tam byłam.

W oknach apartamentu Marcina jest ciemno.

Młody taksówkarz z długimi włosami bębni palcami o kierownicę i porusza rytmicznie głową. Włosy falują, muzyka gra, chociaż jej nie słyszę, nie skupiam się na niej. Na niczym nie mogę się skupić. Kolejny raz zerkam na ekran telefonu.

– Jechał ktoś za nami? – pytam, ale kierowca mnie nie słyszy.

Powtarzam pytanie, tylko głośniej.

– Nie wiem. – Przestaje machać głową i zerka w lusterko.

Nasze spojrzenia się krzyżują.

– A stało się coś? – Troszczy się albo udaje.

Prędzej to drugie.

– Ford focus. Srebrny. Widział go pan?

– Jest ciemno... – duka.

– A teraz? Widzi go pan gdzieś w pobliżu?

Rozgląda się ostentacyjnie, pochyla, żeby zerknąć przez boczne drzwi, i odwraca do tyłu. W jego ruchu nie ma grama dyskrecji, więc żałuję, że go o to zapytałam.

– Nic nie widzę. Żadnego forda. – Stara się uśmiechnąć, a po chwili odwraca się i znowu zerka w lusterko. – Może pani wysiąść.

Nie mogę wysiąść. Nie mam po co wysiadać, bo Marcina nie ma w domu. Nie wiem, gdzie jest i co robi ani czego chce od niego podkomisarz Wolska. Czuję się bezradna i osaczona, zapędzona w kozi róg.

– Niech pan jedzie – rzucam.

– Dokąd? – Znowu gapi się w lusterko.

– Przed siebie.

Kręci głową, bo sądzi, że trafiła mu się wariatka.

– Ma pani pieniądze? – odzywa się, gdy włączamy się do ruchu.

Wyciągam sto złotych i podaję mu bez słowa.

Bierze je i znowu kręci głową.

Nocą nie rozpoznaję Torunia. Przynajmniej tej części miasta nad Wisłą, z apartamentowcami po jednej stronie i drogą, która przecina wzdłuż zalesioną skarpę wiślaną i biegnie dalej, pod nowym mostem.

Wóz wspina się na górkę, aż w końcu słyszę rytm kierunkowskazu. Taksówkarz skręca w prawo w rozświetloną Lubicką i wtedy czuję się pewniej.

– Trzeba pani jakoś pomóc? – pyta, odwracając się przez ramię. – Coś pani grozi?

Milczę.

– Może podjedziemy na policję? Mam tam kumpla, który...

– Niech pan jedzie przed siebie – przerywam mu.

Kiwa głową, ale po chwili znowu zakłóca ciszę.

– Dokąd?

– Nie wiem. Niech pan jedzie! – złoszczę się.

– Dobra, już dobra, pytałem tylko! – Unosi ręce w poddańczym geście. – Wolę wiedzieć, dokąd jechać, bo ja mogę i do Warszawy, jakby co. Tylko zapłacić trzeba, co nie? – Śmieje się sztucznie.

Gada dalej, ale już go nie słucham. Zamykam oczy i osuwam się niżej na oparciu kanapy. Odchylam głowę. Nie wiem, jak długo to

trwa ani o czym myślę, nie wiem, gdzie jesteśmy ani dokąd jedziemy. Nie chcę wiedzieć, chcę zapomnieć.

W końcu telefon wibruje mi w rękach.

„Gdzie jesteś?”

„Byłam u ciebie”, odpisuję.

„Już wróciłem. Przyjedziesz?”

Wygaszam ekran.

– Niech pan wraca na Winnicę – mówię do taksówkarza.

Chyba się obraził, bo nie odpowiada, czuję tylko, jak zwalnia, a po chwili wrzuca kierunkowskaz i nawraca, przecinając tory.

– Trzeba będzie dopłacić – zastrzega i zawiesza na krótko głos. – Jakies piętnaście złotych.

– Byle szybko – dodaję i wóz przyspiesza.

WCZEŚNIEJ

Mila Sikora położyła na mojej wyciągniętej dłoni klucze. Te od mieszkania. I od samochodu, który zostawiłam w garażu.

– Wysprzątane – rzuciła Mila i mrugnęła.

Zrozumiałam, co ma na myśli.

Spotkałyśmy się u mnie w pracy, na czwartym piętrze kamienicy przy Fosie Staromiejskiej, której okna wychodzą wprost na białą elewację teatru. Biurko i fotel mam jednak ustawione tak, żeby widzieć plac Teatralny i aleję Solidarności, zazwyczaj pełną ludzi czekających na węźle przesiadkowym na tramwaj lub autobus. Miejsce rozjazdów i pożegnań. Chociaż wtedy widziałam tylko parasole i szare kreski deszczu padające pod skosem.

Nie byłyśmy same, bo w biurze kilka metrów dalej, ale jednak *vis-à-vis* mnie, siedziała Agnieszka Suszyńska, ruda stażystka po pedagogice, dalsza krewna zmarłej Elżbiety.

– Kawy? – Wstałam, żeby Mila nie zdążyła odmówić.

Przeszłyśmy do pokoju socjalnego, przepuściłam ją w progu, a potem zamknęłam za sobą drzwi.

– Znalazła pani coś? – wyszeptałam.

Detektywka pokiwała głową.

– Nie można wykluczyć, że podsłuchuje rozmowy zdalnie, że monitoruje pani telefon i esemesy.

– W jaki sposób? – spytałam.

Mila się uśmiechnęła.

– W taki, że nawet jak to wyjaśnię, to i tak nic pani z tego nie zrozumie. To kwestia zaawansowanej techniki.

Miałam wrażenie, że uśmiechała się zbyt często i niewiele mi mówiła, a jednak dzięki niej odczuwałam spokój.

– A samochód? – Spojrzałam jej w oczy.

– Ma tylko nadajnik sygnału GPS.

– Czyli zawsze wie, gdzie jestem?

– Tak. – Kiwa głową.

– Ale usunęła pani to urządzenie, prawda?

Zaprzeczyła, ale tym razem spoważniała.

– Domyśliłyby się i stałyby się ostrożniejszy. A tego nam nie potrzeba. Przynajmniej na razie.

– Ale kiedy zdążył to założyć?

– Proszę o tym nie myśleć, bo to niczego nie zmieni. Przecież nie śpi pani w samochodzie. A nawet gdyby, to i tak wykorzystałby odpowiedni moment.

– No to co mam zrobić? – znowu szepczę.

– Powstrzymać się.

– Słucham?

– Opuścić sobie wizyty u kochanka i uważać na esemesy.

Słowa uderzyły mnie w twarz.

Nie zdążyłam zareagować, gdy Mila sięgnęła do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyjęła z niej dwie komórki.

– Te będą bezpieczne, z nich można korzystać do woli. – Podała mi aparaty i wyszła.

Usłyszałam głuchy trzask zamykających się drzwi biurowych.

Telefony schowałam do szafki, do której i tak nikt w firmie nie zagląda. Potem wróciłam do biurka.

– Ktoś dzwonił – oznajmiła Agnieszka, nie podnosząc wzroku znad otwartego segregatora pełnego papierów.

– Na stacjonarny? – spytałam, siadając w obrotowym fotelu, ale nie czekałam na jej odpowiedź, bo zerknęłam na migającą w komórce diodę.

Wybrałam numer do Piotra i przyłożyłam zimny aparat do ucha.

– No hej, mała, co tam? – spytał basowy głos.

– Nic, dzień jak co dzień.

– A dlaczego nie odbierasz?

– Mam dużo pracy.

– Dużo pracy. – Zaśmiał się, a ja nie zareagowałam, chociaż w myślach widziałam jego twarz, ten pełen ironii uśmiech. – Może poproszę Marcina, żeby cię nie przemęczał, co?

Spięłam się.

– Po co dzwonicz? – Głos mi zadrżał.

Pogłos kazał mi przypuszczać, że włączył tryb głośnomówiący.

– Jestem w domu.

– No i?

– Twój samochód stoi w garażu. Co jest?

– A co ma być? – Odbiłam piłeczkę.

– Pytam tylko – zajęczał.

– Nie mogłam znaleźć kluczyków – skłamałam.

Dobiegł mnie śmiech Roksany i jego tubalny rechot. Rżą oboje, krótko, bo krótko, ale już widzę ten obraz. To, jak córka Piotra kręci znacząco palcem przy skroni i jak on zgina się ze śmiechu.

– Mała, z tobą chyba naprawdę coś jest nie tak – odparł, tłumiąc rozbawienie. – I co, znalazłaś je?

– Tak, były w torebce – odpowiedziałam, nie zdając sobie sprawy, że jeszcze bardziej się podkładałam.

Już nie tłumili rechotu, rżeli oboje na głos bez zahamowania.

Rozłączyłam się.

Agnieszka spojrzała na mnie.

– Albo zasięg, albo ta cholerna pogoda – rzuciłam, wzruszając ramionami.

Wyciszyłam komórkę.

Wyciszyłam też siebie, chociaż to zajęło znacznie więcej czasu.

TERAZ

„Gdzie byłeś i czego chciała?”

Te dwa pytania cisną mi się na usta, gdy przekraczam próg mieszkania Marcina. Wchodzę w jego świat, chociaż przecież zrobiłam to już dawno.

Sine panele, białe ściany, biały aneks kuchenny z drewnianymi wstawkami, biały stół w jadalni i takiego samego koloru krzesła. Białe światło jest zimne, bije od niego chłód.

Sterylnie tu.

Zupełnie inaczej niż wtedy, gdy żyła Ela, gdy siadaliśmy u nich z Piotrem na wygodnej kanapie. Kiedy jeszcze byliśmy w sobie zakochani i zanim pojawiła się w naszym życiu Roksana. Jej zaborcza miłość do ojca zniszczyła nasz związek. Córka zgrabnie zawładnęła myślami Piotra, zmieniła jego zachowanie w stosunku do mnie, przez co teraz wypieram wszystkie piękne chwile spędzone z mężem. A przecież było ich wiele. Kiedyś mieliśmy siebie na wyłączność. I pamiętam, że było nam z tym cudownie.

Nie wiem, dlaczego myślę o tym wszystkim w mieszkaniu Marcina. Elżbieta, jego żona, wносиła do tych wnętrz ciepło. Bukiety kwiatów je rozświetlały, nadając im łagodność i rozsiewając dobrą energię, dodawały barw. A teraz to wnętrze wymarło. Jest zimne, obce, nieludzkie.

Ze smutkiem myślę o tym, że Marcin nigdy nie kupił mi kwiatów.

Nie wiem, jakie to ma znaczenie i dlaczego teraz dręczy mnie ta myśl, ale czuję ją pod skórą, drażni mnie i sprawia ból. Rośnie we

mnie wrzód. Ropieję.

Nagle cały salon staje się niewyraźny, jakby był za zasłoną z mrożonego szkła, i słyszę swój głos:

– Dlaczego nigdy nie kupiłeś mi kwiatów?

Coś we mnie pęka, żal i niemoc wypływają spod powiek, drobne strumyki lawy parzą policzki. Przypominam sobie, jak Piotr kupował mi kwiaty, jak obsypywał mnie nimi z byle okazji, i gorycz wypełnia moje serce.

Szlocham. Drzwi są zamknięte, a jednocześnie chcę stąd uciec.

On nie podchodzi, nie rusza się z miejsca. Nie słyszy mnie, nie reaguje, gdy próbuję powstrzymać płacz i gdy wdycham powietrze na raty.

Siedzi w fotelu pochylony, chowa głowę w ramionach.

Ocieram łzy wierzchem dłoni.

Chcę zapomnieć o kwiatach, ale wciąż je tu widzę, widzę Elę, jak z czułością tnie sekatorem końcówki łądyg, wsadza bukiet do wazonu wypełnionego świeżą wodą, potem przygląda się każdej róży z osobna, obrywa skrzycone i brzydkie liście.

Oddycham głęboko, topnieje we mnie złość i tylko dlatego robię kilka kroków przed siebie.

Zapominam, że to ja mam być tą silną, chociaż właśnie potrzebuję wsparcia. Podchodzę do niego i kładę dłoń na jego głowie z głębokimi zakolami.

Jest szczupły i wysoki, ale wydaje mi się małym chłopcem.

W końcu kucam przy nim i ujmuję jego twarz w dłonie.

Spokój bywa ulotny, ulatuje więc ze mnie, gdy widzę, że zastyga w nim smutek. Kąciki ust ciążą ku dołowi, nieznacznie, ale jednak. Przeciągam wzrokiem po kościstym nosie, błędzę po wyraźnych zmarszczkach na wysokim czole, odnajduję siwe włosy na skroniach i blask lamp w łysinie. W końcu patrzę mu w oczy.

– Gdzie byłeś? – pytam, próbując rozciągnąć usta w uśmiechu.

Traktuję go czule, jak dziecko, którego nie mam.

Kręci głową.

– Gdzie? – ponawiam ciszej pytanie.

– Ta policjantka wszystko wie – mówi i chwyta mnie za rękę. Odciąga je od swojej twarzy, wstaje i odchodzi. – Wie, że tam byłaś – rzuca oskarżycielsko.

Głos dobiega mnie z za pleców, kiedy patrzę na fotel, w którym przed chwilą siedział, na wgnięcione siedzisko. Zostawia mi swój zapach, głęboki i gęsty sandałowy powiew.

– Że niby gdzie byłam? – próbuję odwlec to, co najgorsze.

– Nocą na przejeździe. Wie o tym. I że byłaś pod jej domem, też wie.

– Skąd? – pytam ciszej, jakby strunom głosowym brakło sił.

Milczy.

– O nas także? – dopytuję.

– Przecież inaczej by do mnie nie trafiła.

Wstaję i się odwracam. Nie patrzy na mnie, zwiesza głowę, a rękę opiera na biodrach. Boję się jego postawy, wydaje się przegrany. Ale wyczuwam w tym obrazie kontrast. Koszulę w kratę, którą kupiłam mu niedawno, ma wsuniętą w eleganckie spodnie, kłamra paska połyskuje w świetle kinkietów. Buty błyszczą wypastowaną skórą.

– I co teraz? – pytam.

Stoi blisko drzwi wejściowych.

Podnosi głowę i tym razem w tej szczupłej twarzy z zapadniętymi policzkami nie widzę smutku. Widzę w jego oczach lęk, chociaż usta wykrzywia złość.

– Coś ty jej zrobiła? – syczy.

Wzdrygam się, jak ugodzona nożem.

– Chryste! Coś ty zrobiła tej przeklętej dróżniczce? – krzyczy.

Noc jest gęsta i duszna, wiatr jęczy złowrogo za oknem.

Świst goni świst.

Ilekcóż zamykam oczy, widzę tory, na torach bmw, blask świateł pociągu, rozbiegane refleksy na czarnej karoserii samochodu.

I nagle obraz gaśnie, a po sekundzie następują huk uderzenia, jęk blach, zgrzyt rozsypywanego szkła.

Spodziewam się tego wszystkiego, a jednak za każdym razem zasłaniam uszy i drzę z przerażenia.

Serce wali równomiernie i jego dudnienie zbiega się ze stukotem pociągu.

Świat kurczy się do przejazdu kolejowego, do uniesionych szlabanów, wraku odrzuconego na kilkadziesiąt metrów. Niebieska poświata policyjnych kogutów prześlizguje się po asfalcie, a ja wsłuchuję się w zawrodozenie syreny karetki.

Nie było mnie tam, a jednak wszystko to widzę. Obraz jest czysty, realny, jak w najlepszym telewizorze. Barwy wysycone, szczegóły wyraźne, dźwięk jak ze studia.

Nie śpię.

Serce drży, umysł pochłaniają autostrady pędzących myśli.

Wciąż przeżywam przykrą rozmowę z Marcinem oraz tę chwilę, w której zadał mi proste pytanie, a ja, zamiast szczerze odpowiedzieć, wybiegłam z jego mieszkania. Uciekłam od problemów i od kochanka.

Trzaśnięcie drzwi, stukot moich butów na schodach, taksówka, droga przez miasto.

I wreszcie dom, niby jak azyl, ale znikąd ulgi.

Druga trzydzieści przechodzi w trzecią piętnaście, a ta, kiedy setny raz wygniatam materac, przekręcając się na bok, mozolnie przeobraża się w czwartą czterdzieści osiem.

Szarość wkrapla się w noc i intensywnieje za oknem.

Nie chcę tego dnia.

Chcę spać, chcę odejść i zniknąć.

Ale boję się wysunąć spod kołdry.

TERAZ

Matka Piotra nosi czerni godnie, jak modelka w podeszłym wieku, której tragedia nie pozbawiła prostej postawy.

Ściąga łopatki, a starcze dłonie gładzą długą spódnice, okrywającą jej tęgawe nogi.

Wysuwa brodę, a przy tym wolno zamyka i otwiera powieki.

Całe jej ciało i wyraz twarzy mówią mi, że jestem nikim, ale słowa próbują zaprzeczyć tej oczywistej prawdzie.

– Moja kochana Aniu. – Z zastygłej na skraju pufy kobiety wydobywa się skrzekliwy głos, złączone dłonie o długich palcach spoczywają na kolanach.

Nigdy nie nazywałam jej mamą. Poprosiła, żebym się zwracała do niej i jej męża po imieniu.

On czeka w samochodzie. Wiem o tym, bo teściowa nie ma prawa jazdy, a kiedy zadzwonił domofon, zobaczyłam ich wóz przed bramą osiedla.

– Nie zrozum mnie źle – kontynuuje i się zawiesza.

Nabiera powietrza.

Nieprzespana noc zostawia we mnie ślad, nie dbam o własny wygląd, rozczochrane włosy, sine półksiężyce pod oczami. Siedzę w fotelu na zimnych i bosych stopach, otulona szlafrokiem frotté. Dłonie bezwiednie zaciskają się na mankietach.

W cichym salonie dzieli nas niski stolik z kubkami, z których paruje herbata.

Matka Piotra usiadła tak, że zasłania mi przyciszony telewizor, w którym trwa program śniadaniowy i akurat rozpoczyna się prognoza pogody. Pada w Warszawie, pada w Toruniu, chmury rozpinają się nad całym krajem. Niż w Europie Środkowej odpowiada za niskie ciśnienie.

Czuję się słaba.

– Nie zrozum mnie źle – powtarza i tym razem nieznacznie unosi dłoń w uspokajającym geście – ale powiedziałam dziennikarzowi prawdę.

Przełyka ślinę. Pajęczyna zmarszczek oplata jej blade usta. Skóra zwiesza się na szyi.

– Jakiemu dziennikarzowi? – pytam, udając zainteresowanie, ale chcę tylko zyskać na czasie.

Przyjechała tu ze względu na to, co napisał Rutecki w dzisiejszym wydaniu „Nowości”. Powinnam zmusić się rano do wyjścia do kiosku.

Sięga do torebki i dopiero teraz widzę, że jej kościste dłonie lekko drżą.

Wyciąga z nich złożoną gazetę i kładzie na stoliku. Bliżej siebie niż mnie, więc chcę się nachylić, żeby sięgnąć po dziennik, ale daje mi znać ręką, że nie teraz, że potem.

Opadam na oparcie i patrzę w jej zimne niebieskie oczy.

– Powiedziałam mu o tym, że Piotr chciał rozwodu – kontynuuje matka mojego zmarłego męża.

Kręcę głową z niedowierzaniem, opieram dłonie na podłokietnikach.

– Powiedziałam, że tej nocy, kiedy... – Drży jej broda, więc cichnie, żeby dać odpór napływającym łzom, jakby to słowa zmuszały ją do płaczu.

– Nie chciał rozwodu – kłamię i czekam na bunt mojego prawdomównego ciała, na gesty, nad którymi nie panuję.

I chociaż nie następują, czuję, że wbijam paznokcie w podłokietniki, a żyły wybrzuszą się na gładkiej, jedwabistej

skórce moich dłoni. Nie patrzy na moje ręce, patrzy wprost na mnie, w oczy, i widzę, jak unosi się kącik jej ust. Niedowierzenie triumfuje nad wzruszeniem i kobieta odzyskuje rezon.

– Nie zaprzeczaj, Roksanka już dawno nam o tym mówiła.

– Roksana? – Spinam się za każdym razem, gdy wypowiadam to imię, gdy umysł podrzuca mi obraz tej krągłej nastolatki, zepsutej i złej dziewczyny, wiecznie na mnie obrażonej za każdy przejaw miłości do jej ojca.

Kiwa głową.

– Roksanka mówiła, że Piotr długo o tym myślał, że napisał już pozew. Mówiła, że nawet pokazywał jej pismo.

Patrzę na nią, ale mój wzrok zsuwa się niżej, na obwisłą skórę szyi, na zarysowane pod czarną bluzką obojczyki.

– Pismo?

– Pozew rozwodowy – wyjaśnia, a jej głos rozchodzi się echem w mojej głowie jak w studni, jakby ktoś szarpał najgrubszą strunę kontrabas.

Słyszę te dźwięki i jednocześnie widzę Gochę, która tuż po tragedii zamknęła się w pokoju pasierbicy, a następnie wywiozła z niego jej tablet i laptopa. Zaczynam rozumieć ten pośpiech szwagierki.

Paznokcie jeszcze mocniej wbijają się w podłokietniki, ściskam je mocno.

Staram się złapać dystans, więc uśmiecham się lekko, tak lekko, by brzmieć wiarygodnie.

– Roksana to nastolatka, zazdrosna o swojego ojca – mówię spokojnie i widzę, jak kobieta się krzywi, jak kłują ją słowa o wnuczce.

Napina się i przygotowuje do ataku, ale nie daję jej dojść do słowa i gdy tylko próbuje otworzyć usta, podnoszę głos i mówię dalej:

– Doskonale wiesz, że od początku była przeciwna naszemu związkowi. Z każdym dniem odbierała mi Piotra.

– Bzdura! – Krzyk wyrywa się jej z gardła, wisi między nami i spokojnie przeobraża się w ciszę.

Opuszczam stopy na ciepły dywan i wstaję. Góruję nad nią, nad spiętymi czarną kłamrą siwymi włosami.

– Dziękuję za wizytę – mówię ciszej, niż zamierzam, i kieruję się do drzwi.

Dopiero tam rozumiem, o co w tym wszystkim chodzi. Zatrzymuję się i nie dowierzam własnej myśli. Jak odległe wspomnienie wraca do mnie rozmowa z prawnikiem z firmy Piotra, odbyta tuż po wypadku.

Siedzę w firmie męża, przy jego biurku, zobojętniała, nafaszerowana proszkami uspokajającymi. Mam przed sobą twarz gładko ogolonego młodego mężczyzny, który porusza ustami, mówi do mnie, ale nie rejestruję żadnych dźwięków. Jego dłonie gestykują w zwolnionym tempie, zostawiając powidoki ociężałych ruchów. Patrzę to na niego, to na drewniane meble, detale na biurku. Na zdjęcie w ramce. Na uśmiechniętą Roksanę, słodką nastolatkę, która odbiera mi miłość.

Dobieram się do ramki, mężczyzna zamiera, ale nie przerywam tego, co zaczęłam. Szkło spada mi na kolana, a potem osuwa się na podłogę i pęka na dwoje. Nie przejmuję się tym, wyciągam zdjęcie i unoszę fotografię pasierbicy. Z drugiej strony widnieje skreślony czerwonym flamastrem napis.

„Kocham Cię najbardziej na świecie, Tatku”.

Napis otaczają mniejsze i większe serca, puste i niedbale zakolorowane. Odkładam fotografię i przypatruję się drugiemu zdjęciu, które znalazło się pod spodem.

Widzę siebie.

Widzę uśmiechniętą Annę Kowalską, kobietę pełną energii zakłętej w młodości. Kobietę szczęśliwą, która wówczas jeszcze nie zdawała sobie sprawy, że jej miłość nie wygra z miłością ojca do córki, nie wygra z miłością nastoletniej pasierbicy do swojego ojca, podszytą nienawiścią do macochy.

Patrzę na siebie i czuję ogromny żal. Łzy spadają na fotografię i na niej zostają. Wypukłe, napięte krople.

– Pani Anno? – Mężczyzna przerywa mój szloch.

Odzyskuję słuch i spoglądam na niego.

Jest zakłopotany moim zachowaniem, spuszcza wzrok i składa dłonie.

– Co pani o tym sądzi? – pyta.

Ocieram rękawem fotografię, żeby ją wysuszyć. Odkładam ramkę na biurko, zdjęcie Roksany leży tam napisem do góry i dobrze, nie chcę patrzeć na tę dziewczynę. Swój portret chowam do torebki, jakbym chciała wrócić do siebie sprzed kilku lat, do życia, którego już nie ma.

– Chodzi mi o to, że to jest możliwe. Że w tej sytuacji mogą wystąpić o spadek i lepiej, żeby pani o tym wiedziała – podpowiada, a ja znowu zerkam na niego.

– Tak – odpowiadam, ale wciąż nie wiem, o co właściwie mu chodzi. – Dziękuję, zastanowię się – dodaję dla wzmocnienia efektu, ale nie wiem, czy dobrze trafiłam, bo w jego spojrzeniu dostrzegam troskę.

Sięga do wewnętrznej kieszeni granatowej marynarki i wyjmuje z niej niewielkie etui. Otwiera je i wyciąga

kartonik. Kładzie go na biurku i przytrzymując palcem, podsuwa w moją stronę.

– Gdyby chciała pani o tym porozmawiać... – zaczyna, ale nie kończy. – Gdyby chciała się pani w tej sprawie skonsultować, to proszę śmiało dzwonić.

I teraz już rozumiem, co mówił, już wiem, po co przyszła matka Piotra. Dociera też do mnie to, w jakim celu kilka dni przed wypadkiem mąż wypłacił z naszego wspólnego konta dziesięć tysięcy złotych. Sądziłam, że to kolejna zachcianka Roksany, markowy komputer albo wpłata na letnią szkołę hiszpańskiego na Malcie. Ale akurat tym pasierbica nie omieszkałaby się przede mną

pochwalić. Chodziło więc o teściów. Dobrze sytuowanych teściów, którzy widocznie wpadli w tarapaty finansowe.

Odwracam się i widzę, że matka Piotra podnosi się, podpierając się ręką. Wkłada w to mnóstwo energii, nogi jej drżą. Zabiera gazetę ze stołu i nerwowo upycha ją w torebce.

Wracam do niej i podchodzę blisko, zbyt blisko, ale nie dbam o jej komfort. Wbijam wzrok w poszerzone źrenice, otoczone pożyłkami ze starości białkami.

– Od jak dawna macie kłopoty, co? – pytam.

– Jakie kłopoty?

– Na co potrzebowaliście dziesięciu tysięcy złotych?

Kręci głową, ale poznaję, że kłamie. Spuszcza wzrok i gdy chce mnie wyminąć, zagradzam jej drogę.

Cofa się i nagle udaje zagubioną staruszkę, która zaraz zasłabnie. Przykłada drżącą dłoń do twarzy i oddycha przez usta. Opiera się o ścianę.

– Potrzebujecie naszych pieniędzy, tak? – domyślam się.

– To są jego pieniądze – rzuca ostro i natychmiast zdaje sobie sprawę, że popełniła błąd.

Chciałaby cofnąć czas, ale już jest za późno.

– Potrzebujecie spadku po synu – mówię. Trudno mi w to uwierzyć, ale nie mogę się mylić. – Interesują was wyłącznie pieniądze. – Prycham.

– Jak śmiesz! – Teściowa podnosi wzrok.

Nasze spojrzenia przecinają się na krótko.

– Gdyby Piotr chciał rozwodu, gdyby rzeczywiście napisał jakikolwiek pozew...

– Roksanka go widziała – przerywa mi znowu.

– Gdyby tylko istniał – podejmuję na nowo i staram się odnaleźć w sobie spokój – to Piotr zrobiłby coś więcej. Zabezpieczyłby majątek, przelałby pieniądze na inne konto i zostawił mnie z niczym. Wycofałby upoważnienia do prowadzenia spółki, do kont bankowych. Doskonale wiedziałby, co musi zrobić.

Kiwa głową i ociera usta.

– Chciał to zrobić, ale... Ale ten wypadek... – Głos jej się łamie.

Patrzemy na siebie, a we mnie gwałtownie wzbiera złość. Krew burzy się w żyłach.

– Wyjdź już. – Tę prośbę wypowiadam szeptem, tłumiąc gniew.

Kobieta zamiera i trwamy tak obie jakiś czas w bezruchu.

W końcu matka Piotra wymija mnie i kieruje się do drzwi.

Zamyka je cicho.

Z nerwów skubię skórki przy paznokciu, tak że aż zbiera się przy nim kropla krwi. Zlizuję ją, ale pojawia się kolejna.

Krew smakuje jak zawsze, jest ciepła i zostawia na języku metaliczny posmak.

Wchodzę kręconymi schodami na poddasze, gdzie znajdują się sypialnia, gabinet Piotra i duża łazienka.

Powinnam zacząć od gabinetu.

Naciskam klamkę i wsuwam się do chłodnego pomieszczenia z zaciągniętymi roletami. Przez chwilę panuje w nim mrok, ale w końcu podchodzę do okien i po kolei wpuszczam do wnętrza skąpe światło.

Na oknie połaciowym zbierają się krople, przez które w zniekształceniu widzę pozostałe budynki osiedla, jak na obrazie impresjonisty. Wiatr ze świstem ślizga się po zimnej szybie.

Pokój jest wielkości salonu.

Uwagę przykuwa obszerne biurko z trzema panoramicznymi monitorami pośrodku, z których dwa skrajne są ustawione po skosie. Cały blat zbiera kurz, bo nie ma na nim żadnych papierzyk, figurek ani pamiątek. Za obrotowym fotelem błyszczą kremowe fronty regału zajmującego całą ścianę.

Po prawej zielone sukno wyścieła stół bilardowy, na którym zostało kilka lakierowanych kolorowych bil, inne wiszą w siatkach przy łuzach. W rogu, obok dwóch niskich foteli i stolika,

dostrzegam stojak na kije wraz z półką na kostki kredy. Kredowy pył przykrywa delikatną warstwą i półkę, i fragment podłogi.

Najpierw siadam za biurkiem, w aurze ulubionego zapachu męża – Eternity od Calvina Kleina. Fotel poddaje się miękko mojemu ciężarowi. Przetrzęsłam cztery szuflady i dwie szafki. Zaglądam pod blat. Znajduję papiery firmowe, teczki z kserokopiami rachunków i umów, ale żadnych dokumentów prywatnych.

Uruchamiam komputer, który budzi się ze szmerem. Jaśnieją monitory.

Okręcam się na fotelu i spoglądam pod kątem na regał. Nie widzę tego, co chcę zobaczyć, więc wstaję i włączam górne światło. Wracam i raz jeszcze przyglądam się z ukosa. Fronty bez uchwytów otwierają się po naciśnięciu narożnika. Szukam tego, na którym widnieje najwięcej tłustych śladów palców. Jeden z nich znajduje się blisko mnie, co oznacza, że Piotr korzystał z niego bez ruszania się z fotela.

Wiem, co tam znajdę, ale jednak chcę to zobaczyć.

Z niewielkiego wnętrza wylewa się światło.

Zerkam do środka.

Dno barku wyłożone jest lustrem, które odbija różnokolorowe butelki i LED-owe światła. Nad butelkami, z dwóch chromowanych szyn, zwieszają się do góry nóżkami pękate kieliszki.

Szukam dalej, otwieram kolejne szafki, ale trafiam wyłącznie na książki, stare czasopisma, katalogi samochodowe i prasę motoryzacyjną. W innych odnajduję filmy DVD, gry komputerowe, sprzęt do grania, kierownicę multimedialną z pedałami i kablami spiętymi plastikowymi opaskami. W przedostatniej szafce znajduję drukarkę i ryzy papieru, a pod nią, w osobnej szafce – niszczarkę. Obok maszyny leżą luźne kartki, zadrukowane jednostronnie, do ponownego wykorzystania na notatki.

Przeszukuję te papiery, ale nie ma ich dużo i nigdzie nie znajduję żadnego, chociażby najmniejszego wydruku wniosku rozwodowego.

Odwracam się do komputera i w polu wyszukiwania wpisuję po kolei kilka różnych wyrazów, tak by od-

naleźć po nazwie odpowiedni dokument. Zaczynam od słowa „rozwód”, potem próbuję: „wzór wniosku”, wpisuję też swoje imię i nazwisko, szukam po nazwisku panieńskim, ale nie trafiam na nic. Przeglądam dokumenty i odczytuję nazwy folderów, ale nic nie budzi mojego niepokoju. Najwięcej jest materiałów firmowych, skopiowanych i zarchiwizowanych.

W sypialni i w przyległej do niej garderobie też nie znajduję żadnej teczki ani dokumentów, które mogłyby mieć związek z planowanym przez Piotra rozwodem.

Uspokajam się.

Mam nadzieję, że także na twardych dyskach sprzętu Roksany niczego takiego nie ma. I nie było. Bo niby dlaczego miałyby być u niej? To niedorzeczne.

„Absurdalny wymysł rodziców Piotra”, powtarzam sobie kilkakrotnie.

A potem nachodzi mnie inna myśl. Odnalezienie papierów rozwodowych nie ma żadnego znaczenia. Nie można się rozwieść po śmierci. Musiało chodzić o coś ważniejszego.

O testament Piotra.

Schodzę więc na dół i przetrząsam torebki w poszukiwaniu wizytówki prawnika zatrudnionego w przedsiębiorstwie męża. Odnajduję ją w czwartej z kolei. Kartonik jest wygnieciony, leży na dnie, w jednym z rogów znaczą go drobne, brunatne plamki.

Rozprostowuję wizytówkę, wygładzam i przepisuję numer do telefonu.

Zapisuję w kontaktach, a potem zastanawiam się, czy zadzwonić. Zerkam na zegarek. Jest już weekend, czas wolny.

Mój palec wciąż wisi nad imieniem i nazwiskiem radcy prawnego, ale nie mogę się zdecydować.

Wizyta teściowej była krzykiem rozpaczki. Gdyby mieli testament w rękach, nie przyszłaby tu, tylko spotkalibyśmy się w sądzie.

A ona chciała to załatwić polubownie. Chciała mnie wyczuć, czy będę gotowa podzielić się spadkiem.

Odpuszczam i odkładam telefon.

Nastawiam czajnik na płycie indukcyjnej i opieram się o parapet.

Rozglądam się dyskretnie za fordem focusem.

Nie ma go w zasięgu wzroku.

Patrzę gdzieś w dal. Przez jakiś czas moje oczy odpoczywają i świat traci ostrość.

Odklejam się od okna dopiero na dźwięk gwizdka.

Zalewam wrzątkiem herbatę imbirową z cytryną, dodaję miodu dla smaku i zabieram kubek do salonu.

Kładę się na sofie, wsuwam pod ciepły koc i zamykam oczy. Chcę tak wytrwać do wieczora, ale najpierw muszę odszukać w sieci artykuł Ruteckiego, skoro teściowa zabrała gazetę.

Sięgam po laptopa, a skoro wybrałam go zamiast tabletu, to coś kusi mnie, żeby sprawdzić pocztę, bo dawno tego nie robiłam. Wiadomości sypią się do skrzynki odbiorczej bez ustanku. Usuwam reklamy i spam, ale między nimi trafiam na kilka próśb o rozmowę w sprawie zaginionej dróżniczki, dostaję pytania i wystarczy, że odpowiem na nie mailem zwrotnym.

„Czy to prawda, że bywała Pani pod jej domem?”

„Skąd Pani zna jej adres domowy?”

„Czy wie Pani, co się stało z Ireną Sowińską, gdzie jest lub gdzie może przebywać i czy żyje?”

Otwieram inne maile i z przerażeniem czytam kolejne prośby, kolejne pytania, w których wyrok już zapadł.

Jestem winna zaginięcia Ireny Sowińskiej.

Gwałtownie zamykam laptopa.

Trzask plastikowej obudowy zlewa się z dźwiękiem domofonu.

WCZEŚNIEJ

Marcin Król dobrze się trzymał na pogrzebie Eli, bo od dawna jej nie kochał.

Wszystkie uczucia przelał na mnie. To dlatego wciąż spotykał się z Piotrem, Roksana i ze mną, jeździł z nami na wakacje. Myślałam, że to z powodu przyjaźni z Piotrem.

Przyznał się któreś nocy, kiedy mąż, po partii bilardu, został na dłużej w gabinecie na piętrze, a Roksana zamknęła się w swoim pokoju, skąd dochodziła głośna, rytmiczna muzyka.

Siedziałam oniemiała przy kuchennej wyspie i chciało mi się wyć.

Przecież widziałam Elę i Marcina na wakacjach, ich splecione dłonie, jej uśmiech, radość w jego oczach, wszystko to, co pozwala wierzyć, że tych dwoje łączą prawdziwe, szczerze uczucie, czułość i oddanie, wzajemne zrozumienie. Takie, które wiązało Piotra i mnie chwilę przed tym, gdy próg naszego domu przekroczyła Roksana.

Tymczasem naszych przyjaciół połączyły jedynie niewypowiedziane kłamstwo i lojalność.

Powiedział mi o tym, ale dałabym wszystko, żeby nigdy tego nie usłyszeć, nie burzyć pięknego obrazu, nie niszczyć wspomnień o Eli, która odchodziła, wierząc w miłość.

Nie chciałam tego słyszeć także z innego powodu.

Mimo że miałam Marcina, że rodziło się we mnie nowe uczucie, odczuwałam w sobie pustkę. Nie byłam od niego lepsza. Udawałam swoją miłość do Piotra i jednocześnie sama przed sobą usprawiedliwiałam te zdrady. A każda z nich miała na imię

Roksana, była głupią nastolatką z przetłuszczającymi się włosami, brzydką i grubokościstą po swojej matce.

Ta zniknęła nam z radarów tak szybko, jak tylko jej córka wyprowadziła się z domu. Podobno skorzystała z okazji i wyjechała do Norwegii, do swojego konkubenta.

Nie mam do niej żalu. Mam tylko żal do jej córki.

Właśnie tak. Oskarżam tę dziewczuchę o to, że odebrała mi męża i poniekąd pchnęła mnie w ramiona innego.

Czasami jeździłyśmy z córką Piotra gdzieś razem, odwoziłam ją do szkoły albo odbierałam z basenu, i wtedy zdarzało nam się wpaść do McDonalda lub KFC, niekiedy na zakupy.

Nasze początki były takie, że się tolerowałyśmy, ale ja wciąż walczyłam o coś więcej. Dopiero później okazało się, że bez skutku. Te wszystkie wspólne wyjścia jedynie pograżały mnie w jej oczach.

Dowiedziałam się o tym przypadkiem, bo przypadki, częściej niż zwykła szczerłość, stoją na straży prawdy.

Roksana siedziała w moim mini na fotelu pasażera, z karkiem zgiętym nad komórką i włosami jak kurtyna, zza której przebijał blask wyświetlacza. Kątem oka dostrzegłam jej roześmiane usta. Korzystała z komunikatora. Pisała szybko i nie czekała długo na odpowiedzi, które oznajmiał dźwięk podobny do krótkiego dzwonka.

Chwilę później, gdy zatrzymałam się na czerwonym, gdzieś za nami rozległ się nagły pisk hamulców, a po nim huk. Samochodem gwałtownie szarpnęło.

– O Boże – jęknęła Roksana spanikowana, odwracając się przez ramię. – Co to było?

– Uderzył w nas. – Zerknęłam w lusterko wsteczne.

Zjechałam na bok, kołami na chodnik, i zgasiałam silnik. Włączyłam światła awaryjne i wysiadłam z wozu. Roksana zrobiła to samo. Obie przeszłyśmy na tył. Wieczór był ciepły, ale drżałam ze zdenerwowania.

Opel, który w nas uderzył, miał pęknięty zderzak, a wgięta tablica rejestracyjna zwisała ze złamanych plastikowych ramek. Mój mini

uniknąć większych szkód. Zauważyłam jedynie drobne zarysowania.

Z opła wygramolił się starszy mężczyzna, który złapał się za głowę. Długo biadolił i przeproszał.

Odpuściłam wzywanie policji. Po prostu odjechałyśmy w kierunku basenu, od którego dzieliło nas nie więcej jak kilkaset metrów.

– Mogłaś go skroić przynajmniej na kilka stów. Ludzie tak robią – rzuciła Roksana, odgarniając włosy z czoła. – Jesteś pewna, że nie uszkodził samochodu?

Jej okrągłą twarz wykrzywił grymas zaniepokojenia.

– Tak – odparłam spokojnie, chociaż stres wciąż mnie nie opuszczał.

– No to co? Ja bym kasy nie odpuściła – dodała, kiedy zaparkowałam na terenie szkoły z basenem. – Bo jak ci wyjdzie coś z wozem, to tata będzie musiał zapłacić za naprawę.

– Idź już, bo się spóźnisz – odpowiedziałam, chociaż miałam ochotę powiedzieć jej, że ja też zarabiam, ale przecież ona to wie, bo odebrałam ją ze szkoły po pracy.

Marudziła, ale w końcu wysiadła.

Na chwilę zamknęłam oczy i głośno wypuściłam powietrze.

Emocje powoli opadały.

Już miałam ruszyć, gdy na gumowym dywaniku dostrzegłam jej telefon. Próbowałam się po niego schylić ale zapięty pas trzymał mocno. Rozpięłam się szybko i pochyliłam, ale tym razem po to, żeby otworzyć drzwi pasażera i krzyknąć na Roksanę. Dostrzegłam jednak, że już zniknęła w wejściu do budynku.

Odłożyłam komórkę na fotel i odjechałam po zakupy.

Na parkingu przy sklepie ciekawość wzięła górę.

Odblokowałam telefon tym samym ruchem palca po ekranie, który podpatrzyłam u Roksany.

A potem długo tego żałowałam.

TERAZ

– Mogę zapalić? – pyta podkomisarz Lena Wolska i podaje mi dzisiejsze „Nowości”.

Są złożone na zajmującym całą stronę artykule o Irenie Sowińskiej. Rozpoznaję zdjęcia strażnicy i przejazdu, a także archiwalne fotografie zgniecionego wraku, który nie przypomina samochodu, raczej bezkształtną bryłę złożoną z pogiętych blach i spękanych szyb.

Nie zabraniam jej, ale też nie pozwalam.

Ugniata papierosa szczupłymi palcami.

Nie zdejmuje płaszcza, przechodzi prosto do salonu, chociaż jej nie zapraszałam ani gestem, ani słowem. Zatrzymuje się przy sofie, obrzuca spojrzeniem komplet wypoczynkowy i stół z kubkiem herbaty. Nie siada tam, ze względu na rozłożony koc i wygniecioną, miodową poduszkę.

Odwraca się do mnie, nasze spojrzenia się krzyżują.

Wybiera pufę, tę samą, na której siedziała moja teściowa. Ale policjantka nie jest dystyngowaną starszą damą, a przynajmniej takiej nie udaje. Przyszła w dżinsach i swetrze, na który narzuciła granatowy płaszcz. Siada w delikatnym rozkroku, pochylona, opierając oba łokcie na kolanach, i dalej ugniata papierosa.

– Obawiam się, że nie jest pani ze mną szczerą – mówi i wsuwa go do ust.

Przeczesuje dłonią włosy. Ich końcówki są ciemne, ale trudno nie zauważyć dłuższych siwych odrostów.

Myślę o niej i coraz mocniej przekonuję się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób jesteście sobie bliskie. Jest coś, co nas łączy, chociaż nie wiem jeszcze co.

Wolska dba o siebie w typowo męski, szorstki sposób. Nie nakłada makijażu, nie stosuje kremów, jej skóra straciła elastyczność. Ze wszystkich kobiecych rzeczy policjantka jedynie farbuję włosy. A raczej farbowała. Tylko czy to coś znaczy?

Dociera do mnie, że ta siwizna pasuje jej bardziej niż sztuczny kolor, i nagle nachodzi mnie ochota, żeby ją poprosić, by ścięła zabarwione końcówki. Tyle że wtedy miałyby też iście męską, wojskową fryzurę.

Zastanawiam się, czy policjantka ma w sobie więcej z mężczyzny niż z kobiety, ale muszę uspokoić myśli.

Poprawiam koc, składam go w kostkę i w końcu siadam na sofie. Zakładam nogę na nogę.

– No więc? – mówi niewyraźnie, przytrzymując papierosa ustami.

Odkrywam w jej twarzy piękno, które wymagałoby odrobiny pracy, umiejętnej ekspozycji. Jednocześnie nagle rozumiem, że ona ma tego świadomość, a jednak z jakichś względów to piękno jej przeszkadza, dlatego stara się je ukryć, schować głęboko pod pozorem surowości. Być może dlatego, że w wydziale kryminalnym częściej pracuje z mężczyznami niż kobietami.

Myślę o niej jak o tajemnicy, którą chciałabym poznać. Nie wiem jednak, którą z dróg wybrać do jej odkrycia: prawdę czy kłamstwo?

Wzdycha i patrzy w bok, przez okno, na ciemniejące obłoki.

Wyciąga paczkę papierosów, wsuwa do niej tego, którego trzymała w palcach, po czym chowa ją w kieszeni płaszcza.

Przeciera dłońmi twarz.

– Dobra – mówi. – Zaczniemy od początku.

Wyjmuje z torebki kołonośnik. Jest gruby, ma pozaginane rogi i poszarzałe kartki. Wertuje go.

W końcu nieruchomieje i podnosi na mnie wzrok.

– Irena Sowińska zaginęła we wtorek. Mąż zgłosił zaginięcie wieczorem, kiedy wrócił z pracy. Najpierw razem z synem szukał jej na osiedlu, u znajomych, na działce, a potem przypomniał sobie, że tego dnia miała się odhaczyć na policji, więc pojechał na komisariat. – Wolska mówi i kiwa długopisem raz w lewo, raz w prawo. – Miała tam być przed południem, ale nie przyszła.

Kiwam ze zrozumieniem głową, co wyraźnie wprawia ją w zakłopotanie. Wybijam policjantkę z rytmu, ale tylko na chwilę.

– To pozwala przypuszczać, że do jej rzeczywistego zaginięcia doszło właśnie przed południem. – Palcem wskazującym dotyka leżącej na stoliku gazety.

Chce coś powiedzieć, ale zbiera myśli.

– Była tam pani – mówi ciszej. – Pani samochód pojawia się w pobliżu skrzyżowania Reja i Broniewskiego. To blisko jej miejsca zamieszkania.

– Jestem o coś podejrzana?

Wolska nieudolnie maskuje gniew. Czuję, że krew gotuje się jej pod skórą.

Zbiera się w sobie i kręci głową.

– Nie jest pani podejrzana, ale... – Nie kończy i znowu kręci głową, tym razem jakby się ze sobą nie zgadzała. – Nie. Nie jest pani o nic podejrzana.

Sięgam po wystudzoną herbatę, popijam, a potem kładę dłonie na brzuchu.

– Była tam pani? – pyta Wolska. – Chciałabym to wiedzieć.

Patrzę na nią.

– Wcześniej, o czym już pani mówiłam, widział panią... – zawiesza głos i zaraz się poprawia – prawdopodobnie panią, zmiennik Ireny Sowińskiej. Twierdzi, że postać pojawiała się nocą w okolicy przejazdu kolejowego, kilkukrotnie w ciągu ostatnich tygodni.

– Bywałam tam za dnia – odpowiadam zgodnie z prawdą. – Przychodziłam ze zniczem i ustawiałam go przy sygnalizacji.

Zbyt długo wpatruję się w nieokreślony punkt na ścianie.

– Pani partner, pan Marcin Król – robi pauzę, czekając na moją reakcję – twierdzi, że zdarzało mu się zawozić tam panią wieczorem. Późnym wieczorem, już po zapadnięciu zmroku.

– Czy coś mi za to grozi? – Odwracam się do niej.

Wolska przeczesuje włosy.

– Chcę tylko ustalić powody pani nocnych wizyt na przejeździe kolejowym, a potem potwierdzić wizyty pod blokiem Ireny Sowińskiej. To wszystko. Proszę, żeby nie utrudniała pani działań policji.

Ponownie wpatruję się w ścianę.

– Bałam się. Po prostu panicznie się bałam – mówię ze smutkiem, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Czego?

– Zawsze tego samego. Chciałam się tylko upewnić, że dróżnik zamknął szlabany.

Wolska porusza się na pufie, ale unoszę rękę, dając jej znać, żeby mi nie przerywała. Kiedy nieruchomieje, mogę kontynuować.

– Każdej nocy od wypadku słyszę huk zgniatanych blach, zgrzyt szkła i pisk hamulców pociągu. Słyszę syrenę karetki. – Wypowiadam te słowa i czuję, jak mimowolne i krótkotrwałe skurcze porażają moją twarz, jak drży powieka, a kącik ust opada w dół, jakby ktoś nagle pociągnął za sznurek zakotwiczony w dolnej wardze.

– I to panią uspokaja? – pyta z zainteresowaniem. – Te wizyty na przejeździe?

– Nie. – Uśmiecham się blado, tak samo jak uśmiecha się chory, wyczerpany człowiek. – A mimo to czasami po prostu coś mnie tam gna, wiem, że muszę tam pojechać. Usłyszeć jęk opuszczanych szlabanów.

– Okej, rozumiem – mówi Wolska tylko po to, żeby coś powiedzieć. A może to taka gra: udaje zrozumienie i czeka, kiedy popełnię błąd.

– A co pani robiła w pobliżu domu Ireny Sowińskiej w dniu jej zaginięcia?

Patrzę na nią.

Patrzę i się zastanawiam.

Kłamstwo jest lepkie i słodkie.

I kusi.

WCZEŚNIEJ

Mała kropka przy ikonie komunikatora świadczyła o tym, że Roksana otrzymała nową wiadomość.

Wyłączyłam internet i uruchomiłam aplikację.

„Ale ej? Rozwód? Serio?” – przeczytałam najnowszą wiadomość i poczułam skurcz w okolicach nerek. Serce przyspieszyło swój rytm.

Przewinęłam rozmowę w górę, a potem przejrzałam wypowiedzi, próbując się zorientować, o czym nastolatki rozmawiały do chwili, gdy przeczytałam wiadomość Roksany:

ładna to może i jest ale pusta jak wiadro

znowu zachowywała się jak blachara?

hahaha zawsze tak się zachowuje jak idziemy na lody do maka! Kręci dupą stawia cyca

a faceci ślinią się na jej widok

kurwieszon

hahaha no kurwieszon żebyś wiedziała, ale to się skończy

a co planujesz?

nie ja tylko tata

wsadzi jej kosę w zebra? XD

powinien ja bym jej wsadziła

ty, kurwieszonie zboczony!

fuj! nóż idiotko! nóż bym jej wsadziła!

dobra dobra, ty pewnie też na nią lecisz i liznęłabyś jej rowa

chyba ty cipo złota hahaha

XD

ojciec ją zostawi
w sensie?
a czego lachociągu nie rozumiesz?
dlaczego ją zostawi?
piękna macocha ma gościnną pizdę
wtf?

Skurcz żołądka przyszedł nagle. Skrzywiłam się i przeniosłam wzrok na wejście do sklepu. Próbowałam przeczekać falę bólu i dopiero wówczas wróciłam do czytania.

ciotka mi mówiła
what? ktoś ją rypie na boku?
podobno tak
a skąd ona to wie?
nie wiem ale ona już ma swoje sposoby
ty lepiej na nią uważaj bo jak ciotka dowie się co ty wyprawiasz...
chuj tam! XD ciotunia jest w pytkę!
i co teraz?
a co ma być? rozwód będzie już ja się o to postaram ojculek je mi z ręki
o! je! jebać lachociąga!
jebać, jebać, hahaha
ale ej? Rozwód? Serio?

Zgasiłam ekran i rzuciłam telefon tam, gdzie go znalazłam.
Ból pulsował pod czaszką i migrował do skroni, a w uszach gościł nieznośny szum tłoczony krwi.

Wyszłam z samochodu, a ciepły wieczorny wiatr muskał mi twarz. Czułam, jak pot perlił się na plecach i pod piersiami.

Brakowało mi tchu.

„Jebać lachociąga”.

Nie pamiętałam, jak weszłam do sklepu, nie przypominam sobie chodzenia między regałami ani tego, co wrzuciłam do koszyka. Zupełnie jakby ktoś wymazał mi te chwile z pamięci.

„Rozwód będzie”.

Wróciłam pod basen i musiałam przymknąć na dłużej powieki, kiedy nagle drzwi się otworzyły.

– Jest tu moja komórka? – Roksana wyglądała na przerażoną.

Sapała, zaglądając pod fotel. Przesunęła go do tyłu i nagle usłyszałam westchnienie ulgi.

– O, jest!

– Wsiadaj już – odparłam, udając znużenie i z trudem panując nad ogarniającą mnie wściekłością.

Gdyby tylko nasze spojrzenia się spotkały, mogłoby się to źle skończyć. Patrzyłam więc przez przednią szybę.

Wgramoliła się i zapięła pas.

Uruchomiłam silnik i kątem oka obserwowałam, co robi.

Połączyła kropki na ekranie, żeby odblokować smartfon. Weszła w Messengera, a ja zdążyłam wycofać samochód z parkingu.

– No co jest? – zezłościła się. – Internet nie działa!

Spięłam się, bo dotarło do mnie, że wcześniej wyłączyłam w jej telefonie połączenia sieciowe. Ale było już za późno.

Wrzuciłam jedynkę i podjechałam do skraju jezdni, po czym gładko włączyłam się do ruchu.

– Może to chwilowe problemy – powiedziałam, siląc się na spokój, ale jednocześnie zbyt szybko zdjęłam nogę ze sprzęgła i wozem szarpnęło.

– A nie, nie. – Odetchnęła.

Uśmiechnęłam się, choć chciałam ją zabić.

– No widzisz... – Poczułam, że schodzi ze mnie napięcie.

Chwilę później aparat głośno oznajmił nadejście nowych wiadomości, a dźwięk ten zlał się z szumem opon i silnika.

TERAZ

Wolska odsuwa mankiet płaszcza i spogląda na zegarek.

Zaczyna się robić niespokojna, jej dłonie błędzą po kieszeniach. Wiem, że chce zapalić.

Wstaję i podchodzę do wieszaka, z którego ściągam swój płaszcz. Narzucam go sobie na ramiona. Wsuwam stopy w ocieplane buty.

Patrzy na mnie z konsternacją, widzę to po jej matowych oczach, uniesionych brwiach i poziomych zmarszczkach na czole.

Nie zatrzymuję się przed nią, tylko idę dalej, w stronę drzwi tarasowych. Uchylam je i wpuszczam do domu szum wiatru, a potem się odwracam.

– Chce pani zapalić? – pytam, kiedy zimny powiew tarnosi moimi włosami.

Odwzajemnia uśmiech, w którym odnajduję nie tylko wdzięczność, lecz także nadzieję na to, że wreszcie powiem jej coś istotnego, że wyjdzie stąd usatysfakcjonowana, że skończy się cały ten męczący teatr.

Patrzemy na siebie, a ja zastanawiam się, czy się jej podobam.

W końcu wstaje i idzie do mnie.

Przystaje obok, dosłownie na ułamek sekundy mam ją na wyciągnięcie ręki, po czym mija mnie i robi krok nad progiem. Przechodzi na taras, z którego rozciąga się widok na pobliskie osiedle domów i chroniący je od wschodu las, nad którym kłębią się i czernieją grube warstwy chmur.

Wychodzę za nią i zamykam drzwi. Nim to zrobię, Wolska ma już w ustach papierosa i dłonią ochrania zapalniczkę przed wiatrem. Nie dostrzegam ognia, ale zgrzyta nią kilkakrotnie i nagle widzę, jak zapadają się jej policzki, jak zamyka oczy, gdy upragniony dym wślacza się do płuc. Prostuje się, a na jej twarzy maluje się spokój. Jedną rękę zgina i kładzie na brzuchu, a drugą, tę z papierosem, opiera łokciem na zaciśniętej pięści. I ponownie się zaciąga.

Zastanawiam się, w jakiej pozie uchwyciłby ją Vermeer, malarz prostych kobiet.

– Chce pani usiąść? – pytam, przekrzykując szum wiatru.

Zaprzecza. Widocznie woli opierać się o ścianę, oddzielającą nas od sąsiedniego tarasu i stanowiącą wspornik dla zadaszenia, pod którym się znajdujemy. Dalej, tam gdzie nie sięga dach, taras jest wyłożony równo przyciętą i pożółkłą w rogach trawą.

Dajemy sobie czas, a właściwie to ja daję jej nasycić się nikotyną.

Kiedy kończy palić, rozgląda się za popielniczką. Patrzy na mnie pytająco, a ja wskazuję brodą na grill, w którym tkwią pozostałości węgla drzewnego. Mogłyby udawać makietę zbombardowanego, spalonego miasta.

Wolska gasi papierosa i dopiero wtedy siada naprzeciwko. Przez krótką chwilę świstowi wiatru towarzyszy trzeszczenie rattanu. Wolałabym już wejść do mieszkania, ale nie ruszam się z miejsca, ograniczam ruchy, żeby nie wychładzać organizmu.

Nie czekam, aż kolejny raz poprosi mnie o wyjaśnienia.

Mogę kłamać od razu, to nic nie kosztuje.

– O tym, że mieszka tam Irena Sowińska, dowiedziałam się przypadkiem. – Patrzę na nią spod potarganej grzywki. – Na tamtym osiedlu jest salon SPA. Jeżdżę tam od dawna na masaże.

Wolska wyciąga z kieszeni notatnik i go otwiera.

– Jak się nazywa? – Włącza długopis.

Patrzę na kiwające się korony drzew.

– Miejska Oaza.

– Była tam pani wtedy?

Kiwam głową.

– O której godzinie?

– Nie pamiętam. – Wzruszam ramionami i odwracam się do niej. – Ale tam mają wszystko dokładnie zapisane. Wystarczy sprawdzić.

– I chce mi pani powiedzieć, że to zbieg okoliczności? – Przekrzywia głowę i mruży oczy.

– Tak – kłamię.

Notuje, a kiedy kończy, podnosi na mnie wzrok.

– Widziała ją pani?

– W ogóle tak, ale wtedy nie.

– Kiedy w takim razie zobaczyła ją pani po raz pierwszy?

– Trzy tygodnie po wypadku – odpowiadam spokojnie.

Wolska zamyka notatnik i podchodzi do drzwi tarasowych. Mocuje się z nimi przez chwilę, ale w końcu ustępują i odsuwają się ze szmerem.

Wchodzę za nią do ciepłego wnętrza.

Obcasy policjantki uderzają o drewnianą podłogę. Kobieta przystaje przy drzwiach wejściowych i łapie za klamkę, ale nagle nieruchomieje.

– Coś nie tak? – pytam.

Wolska odwraca się i dostrzegam w niej zmianę. Jakby czuła się zawiedziona.

– Nigdy nie opublikowaliśmy jej wizerunku. – Podkomisarz Wolska mruży oczy. – Więc niby jak ją pani rozpoznała?

Przez sekundę uciekam wzrokiem na ścianę, ganię się za to, czasu jednak nie cofnę.

Ale właśnie wtedy, w chwilach, kiedy ciało opowiada się za prawdą, wspiera mnie mroczna strona duszy.

– To prawda. Nie poznałam jej – odpowiadam śmiertelnie poważnie, co Wolską napawa triumfem, który jednak szybko poskramia.

Poprawia skórzaną, męską torbę na ramieniu.

Nieznacznie, ale jednak kąciaki jej ust się unoszą. Jest przekonana, że zapędziła mnie w kozi róg, że z tego miejsca nie ma drogi ucieczki.

– Mogłabym przejść obok niej ze sto razy i nigdy bym nie wiedziała, że to ona – mówię i czuję, jak moje usta rozciągają się mimowolnie w uśmiechu.

I teraz Wolska już wie, że spróbuję jej uciec między nogami, że zrobię coś, czego się nie spodziewa. Rysy jej twarzy poważnieją, lekko unosi brodę i zaczyna mówić:

– Więc jak pani to wytłumaczy, że...

– Och... – Mój uśmiech musi teraz błyszczeć. – To proste.

Patrzymy na siebie.

– To Sowińska rozpoznała mnie – dodaję. – Pewnie z tych kilku zdjęć z Instagrama, które pojawiły się w prasie po wypadku.

Policjantka przeciąga palcami po ustach w zamyśleniu.

– Jeśli się odnajdzie, spytam ją o to – mówi w końcu.

– Na pewno to potwierdzi – odpowiadam.

Ale kiedy zamykam za nią drzwi i opieram o nie czoło, wypowiadam najciszej, jak potrafię, jedną myśl:

„O ile się odnajdzie”.

W artykule nie trafiam na nic, czego nie wiedziałabym już wcześniej, po rozmowach z Wiktorem Ruteckim i teściową. Dziwię się tylko, bo na drugiej stronie widnieje moje zdjęcie z czasów, gdy byłam nastolatką i dałam się sfotografować jako *Dziewczyna Lata*, która później sięgnęła po laur zwyciężczyni tego plebiscytu.

Patrzę na zdjęcie, na młodszą o kilkanaście lat mnie i widzę w tamtej dziewczynie zwykłe marzenia o szczęściu i miłości, wygodnym i pięknym życiu, a potem patrzę w lustro i wiem już, co z tych marzeń zostało. W oczach dostrzegam pustkę, bo nie mam w zasadzie nic oprócz wygodnego życia i pieniędzy, które zostawił mi Piotr. Mój żal jest jeszcze większy, przecież wcześniej było nam

ze sobą dobrze. Więc jestem na niego zła. Jestem na niego wściekła, że pozwolił własnej córce rozbić udane małżeństwo. Obarczam ich oboje winą i czuję się bezsilna.

I wtedy nagle zaczynam się zastanawiać, dlaczego podkomisarz Lena Wolska z wydziału kryminalnego przyjechała do mnie tej nocy, kiedy doszło do wypadku na przejeździe kolejowym. Nie znam się na kompetencjach policji i nie rozumiem, dlaczego osoba zajmująca się zabójstwami pojawiła się u mnie w domu. I nawet nie wiem, jak miałabym to sprawdzić, nie wzbudzając niczyich podejrzeń.

Jest tylko jeden człowiek, który może mi pomóc.

Mila Sikora odbiera po kilku sygnałach.

– Tak? – pyta dźwięcznie, a ja od razu widzę w myślach jej radosną, młodzieńczą twarz.

Wyjaśniam jej, po co dzwonię.

Mila odchrząkuje i szybko zbiera myśli.

– Czy Wolska była w tamtym czasie zatrudniona w wydziale kryminalnym? – pyta.

– Tak, pamiętam, że w ten sposób się przedstawiła – odpowiadam i wciąż wpatruję się w swoje zdjęcie w gazecie i informacje o braniu udziału w konkursach urody, ukończeniu studiów z administracji, reklamowaniu na billboardach nowych osiedli dewelopera, który ostatecznie został moim mężem. Zdaniem Ruteckiego jestem więc żoną swojego męża i to jest moje największe osiągnięcie.

– W takim razie na miejscu zdarzenia musiało być coś, co naprowadziło prokuratora albo szefa grupy operacyjno-dochodzeniowej na taki trop.

– Jak to? – dziwię się i niepokoję zarazem. – Przecież to był wypadek.

– Wypadek mógł być skutkiem.

– Skutkiem?

– Chodzi o to, że w śmierci pani męża i pasierbicy mogli się dopatrzeć czegoś nietypowego.

Marszczę brwi i pocieram zmarszczki na czole.

– Czego na przykład?

Mila daje sobie chwilę na zastanowienie się a potem nabiera powietrza.

– Gdyby się okazało, że pasierbica nie żyła w chwili zderzenia. – W słuchawce zapada krótka cisza. – Oczywiście to tylko przykład, a do tego głupi, bo nie dałoby się tego faktu stwierdzić na miejscu tragedii. To oczywiście wymaga badania, sekcji zwłok i tak dalej, ale mam nadzieję, że rozumie pani, co mam na myśli, prawda?

– Tak – mówię i dodaję wbrew sobie: – Policjantów mogłyby zaniepokoić wiadomości w telefonie męża i pasierbicy?

– Nie sądzę, żeby to się stało od razu. Aparaty telefoniczne, bez względu na stan, zostały zabezpieczone i przekazane specjalistom do odtworzenia historii połączeń, wiadomości esemesowych i tych z komunikatorów, do weryfikacji trasy dojazdu do miejsca zdarzenia.

– Dlaczego w takim razie kryminalni znaleźli się na przejeździe?

– Wystarczyłoby, gdyby uznali, że pani mąż celowo wjechał pod pociąg.

– Jak to celowo? Przecież szlabany nie zostały opuszczone, sygnalizacja nie zadziałała – wyliczam, chociaż nie wiem, po co to robię.

– Rozumiem, ale szukam tylko pretekstu. Nie znam odpowiedzi na pani pytanie.

Próbuję się uspokoić, wziąć głębszy oddech.

– Tak, wiem, dziękuję – mówię.

– To wszystko? – pyta Mila.

– Nie. Jest jeszcze jedna sprawa.

– Co mogę dla pani zrobić?

– Moi teściowie chcą spadku po synu.

– O, a to w ogóle możliwe? Nie znam się na prawie spadkowym – zaznacza detektywka.

– Tak – potwierdzam. – Chodzi o to, by sprawdziła pani ich majątek. Musiało się stać coś, o czym nie wiem. Nigdy nie brakowało im pieniędzy. Jestem ciekawa, czy rzeczywiście je stracili.

– To chwilę potrwa – ostrzega mnie Mila poważnym tonem.

– Rozumiem. – Podaję ich namiary, adres i wszystko, co o nich wiem.

– Dobrze. Sprawdzę to – obiecuje. – Coś jeszcze?

– Nie, to wszystko. Dziękuję.

Rozłączam się i nie wiem, jak długo leżę potem na kanapie.

Noc panuje za oknem, ale rozgościła się też w mieszkaniu.

Włączam stojącą przy sofie lampę i muszę zasłonić sobie oczy. Przez jakiś czas przyzwyczajam się do jasności.

Musiałam się przespać, bo czuję ogarniające mnie zmęczenie i podskórne podenerwowanie, które towarzyszy mi zawsze po przebudzeniu z niechcianej drzemki. Coraz częściej opadam z sił.

Kiedy ruszam głową, czuję, jakby ktoś wsunął mi między kręgi rozżarzony szpikulec. Ból uderza do czubka głowy. Marszczę czoło i próbuję rozmasować kark delikatnymi ruchami.

Podnoszę się do siadu i okrywam kocem zziębnięte ciało. Opieram głowę na wysokich zagłówkach i próbuję dojść do siebie.

Tkwię tak jakiś czas, wsłuchując się w ciszę w mieszkaniu i pojękującą za oknem wichurę.

Z wysiłkiem unoszę powieki, zerkam na oba telefony.

Trzymam ręce pod kocem, na brzuchu, i nie chce mi się ich wyciągnąć, by sięgnąć po aparaty. Ale wreszcie się do tego zmuszam.

Żadnych nowych połączeń, żadnych esemesów.

Marcin też milczy, więc myślę sobie, że to piękny koniec wszystkiego, co wyrosło na jałowej ziemi.

Gdyby odszedł ode mnie przed wypadkiem, pewnie bym się popłakała. Odczuwałabym stratę. Ale teraz nie czuję nic prócz pustki. Byliśmy przecież skazani na niepowodzenie.

Coś ciągnie mnie do Instagrama, chociaż nie wiem dlaczego. Uruchamiam aplikację i zalewa mnie fala niemal stu nowych wiadomości. Omijam przesłane od kobiet serduszka i słowa wsparcia, omijam wiadomości od napalonych facetów. Skrolluję i skrolluję, na tyle wolno, by notować w pamięci początki komentarzy. Zdarza się, że obrywam chamskimi tekstami i propozycjami, nurzam się w tym szambie ludzkiej zawiści, aż wreszcie trafiam na wiadomość od catwomanthorn02.

Na zdjęciu profilowym widnieje łebek czarnego kota.

Otwieram wiadomość.

„Obserwują każdy twój krok”.

Spinam mięśnie, aż odczuję ból.

Przy zdjęciu profilowym brakuje zielonej kropki, świadczącej o tym, że użytkownik jest aktywny w sieci. Rozłączył się kilkanaście minut temu.

Chcę napisać do niej od razu, ale może będzie lepiej, kiedy to przemyślę. Powstrzymuję się nie bez trudu.

Ona, bo zakładam, że to ona, i tak zobaczy, że odczytałam jej wiadomość. A skoro nic jej nie odpowiem, może kolejny raz zarzuci wędkę.

Po chwili żałuję, że działałam na gorąco, że nie myślę o konsekwencjach.

Wchodzę w jej profil, ale catwomenthorn02 nie podała żadnych informacji o sobie. Przyglądam się miniaturom zdjęć, ułożonych w rzędach po trzy, bez nadziei, że na którymś z nich odnajdę jej twarz.

Widzę za to sporo fotografii postaci ubranej na czarno, z kapturem na głowie. Klikam wybiórczo na kilka z nich. Brakuje podpisów i listy popularnych hashtagów.

Catwomanthorn02 nie ma zbyt dużo obserwujących. Przy moich blisko sześćdziesięciu tysiącach jej czterdziestu obserwatorów to zaledwie garstka. Ale może w ogóle jej na tym nie zależy. Może woli obserwować.

Raz jeszcze przyglądam się jej zdjęciom i dopiero teraz widzę to, co wcześniej umknęło mojej uwadze.

Stoi na torach, fotografuje się przy krzyżu świętego Andrzeja, widzę ją przy szlabanach.

Strach wzbiera we mnie powoli, wypełnia mnie i boję się, że w nim zatnę.

Patrzę na ostatnie zdjęcie.

Przez ogniwa siatki ogrodzeniowej widzę parking pełen samochodów pozbawionych szyb, silników, części karoserii. Ale mój wzrok przyciąga czarny wrak, pozgniatany jak puszka po napoju.

Kiedy dociera do mnie, na co patrzę, natychmiast gaszę ekran i odkładam telefon.

Ściany falują. Mam wrażenie, że każda z nich przesuwana się w moją stronę, że pokój się kurczy, i zaczyna mi brakować tlenu. Podłoga drży i dudni.

Osuwam się po oparciu sofy i w pozycji embrionalnej chcę przetrwać napad lęku.

Otwieram na chwilę oko, żeby sprawdzić, czy nic mi nie grozi, czy ściany są tam, gdzie zawsze były, i czy mogę oddychać pełną piersią, głęboko, aż do samego dna płuc, mimo że serce wciąż tłucze się jak oszalałe pod żebrami.

I właśnie wtedy, gdy otwieram oczy, widzę, że leżę na spękany beton między wyslizganymi grzbietami kolejowych torów. Słyszę gwizd lokomotywy, ale wiem, że już nie zdążę uciec.

Pociąg gna, zbliża się w zastraszającym tempie, zanim jednak mnie uderzy, zatrzymuje się blisko, jakby ktoś wcisnął przycisk pauzy.

Świat gaśnie.

Chcę się rozejrzeć, ale czerń osacza mnie i pochłania.

Nie widać niczego i niczego nie słyszeć.

Przynajmniej do chwili, kiedy uszy nie eksplodują od huku uderzenia, trzasku zgniatanych blach i grzechotu okruchów szkła spadających na asfalt.

Potem nagle wszystko ustaje.

Otwieram szeroko oczy i słyszę swój krzyk, który nagle zamiera.

Boję się, że dzieje się ze mną coś złego.

„Oddychaj”, nakazuję sobie.

I do trzęsącego się ciała wtłaczam haust powietrza.

Pierwszy, drugi i trzeci.

Jest lepiej.

Jest odrobinę lepiej.

WCZEŚNIEJ

- Przesadzasz – bąknął Piotr, przeglądając biznesowe czasopismo.
- Dlaczego Roksi miałyby się do ciebie uprzedzić?

Prychnęłam.

Jego córka wyszła do koleżanki, więc mogliśmy wykorzystać ten czas na rozmowę.

- Nienawidzi mnie, jak cała twoja rodzina. Jak twoja siostra i matka – stwierdziłam ze złością.

Przewrócił oczami.

- Ciągle to samo. – Ziewnął. – Po prostu przesadzasz – powtórzył i przełożył kartkę.

Nie mógł skupić się na treści, więc skakał jedynie po kolejnych akapitach, łapał po kilka zdań, po czym przenosił wzrok na następną stronę i ślinił palce, gdy chwycił za róg kartki. Wiedział, że nie skończyłam.

- Przeczytałam jej wiadomości do koleżanki – rzuciłam i wyczekiwałam jego reakcji. – W telefonie.

Spojrzał na mnie i przekrzywił łysą głowę.

- Coś ty, kurwa, zrobiła? – Zmrużył oczy i nagle cisnął czasopismem o blat stołu, aż się wzdrygnęłam. Trzask rozszedł się po domu.

Nachylił się, rozkładając umięśnione uda. Miał na sobie jedynie szorty. Widziałam, jak się napinały szerokie i umięśnione barki.

- To był przypadek, ale to, co przeczytałam na swój...

- Odwaliło ci? – krzyknął. – Co to są za metody? Szpiegujesz ją?

– Nie, po prostu zostawiła telefon w samochodzie.

– I to upoważnia do naruszania czyjejś prywatności? Do grzebania w telefonie? Czyli że gdy ja zostawiam aparat na blacie, to możesz w nim buszować? Czy ja tak robię?

– Nie, ale...

– Czy grzebię ci w esemesach i sprawdzam, do kogo dzwonisz i co robisz? Czy ja cię szpieguję? – Kropelki śliny tryskały z jego ust.

– Dasz mi powiedziec?!

Pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Zamknij się i posłuchaj, może wtedy coś do ciebie dotrze. – Pogroził mi palcem. – Nie waż się nigdy więcej naruszać jej prywatności. Nigdy! – Zrobił krok w stronę schodów, po czym się zatrzymał i odwrócił się do mnie. – Zostaw ją w spokoju i nie zachowuj się jak głupia, zazdrosna baba. To jest moja córka – rzekł ciszej.

– Nie szpiegować jej? Ale mnie to już można, tak? – Głos mi drżał, a oczy się zaszklily.

– Co? – Wyglądał na zdziwionego.

– Twoja kochana siostrzyczka wynajęła detektywa, żeby mnie śledził.

– Słucham? Tobie naprawdę zaczyna odbijać – odparł zde gustowany.

– Słyszałeś!

Oparł dłonie na biodrach i spuścił głowę, kręcąc nią tak, jakbym opowiedziała mu o lądowaniu UFO.

– Srebrny ford focus, stoi teraz w pobliżu bramy – mówię i czuję, jak łyzy toczą mi się po policzkach.

Piotr machnął rękami i zaczął się wspinać po schodach. Jego bosc stopy zostawiały odbitki na panelach.

– Lecz się, kurwa – rzucił na odchodne. – Lecz się na łeb, o ile nie jest już za późno.

Wszedł na górę i wzburzony szeptał do siebie, a mimo to usłyszałam słowa, po których zrobiło mi się słabo.

„Czas z tym skończyć”.

TERAZ

Dźwięk domofonu jest natarczywy, wzbudza niepokój i zmusza do reakcji.

Odzywa się już trzeci raz, więc ten, kto dzwoni, nie zamierza odpuścić.

Spodziewam się najgorszego.

Spodziewam się Gochy, nieszczęsnego widoku rolki niebieskich worków w jej dłoni i tego, że będzie chciała na siłę porządkować moje życie, sprzątać ciuchy mojego męża, a w rzeczywistości szukać dowodów na to, że jej brat napisał testament i chciał się ze mną rozwieść, chociaż to drugie jest już bez znaczenia.

Moje „halo” brzmi w słuchawce agresywnie, bo rzeczywiście jestem gotowa do konfrontacji.

– Ślusarz, byliśmy umówieni – słyszę męski głos.

Przypominam sobie, że jeszcze niedawno szukałam ślusarza do wymiany zamków. Wiedziałam, że siostra męża ma klucze do naszego domu, i trzeba było coś z tym zrobić. Dobrowolnie teraz by mi ich nie oddała.

Zwalniam blokadę, ale to nie wystarczy, mężczyzna prosi mnie, żebym otworzyła bramę, bo wjedzie samochodem ze sprzętem.

Podchodzę więc do okna z pilotem i wciskam odpowiedni przycisk. Miga żółty kogut i brama odjeżdża w bok. Ślusarz wskakuje do niewielkiego dostawczaka i wjeżdża na teren osiedla.

Kilka minut później puka do drzwi.

Jest szybki, a do tego gadatliwy. Wiem, co robi jego żona, jakie pasje mają dzieci, chociaż nie mam pojęcia, czy to ich pasje, czy niespełnione marzenia dorosłych, ale nie chcę z nim o tym rozmawiać, nie chcę w to wchodzić. Podtrzymuję tę rozmowę, żeby czas szybko minął. W sumie wymiana dwóch wkładek zajmuje mu dwadzieścia minut z przerwą na kawę, którą go częstuję, a potem na drugą, do kubka termicznego, o którą prosi na drogę.

Podaje mi nowe klucze i znika z mojego życia, możliwe, że już nigdy nie rozpoznam go na ulicy, że nie będę pamiętała jego rysów twarzy. Jest podobny do tysięcy ślusarzy, tysięcy mężczyzn z lekką nadwagą, łysą głową i kilkudniowym zarostem.

Ponownie staję w oknie, żeby otworzyć bramę.

Zdaję sobie sprawę, że znowu nie widzę focusa. Zastanawiam się, czy nie pojechać do tego detektywa, nie wejść do jego biura i nie zapytać go, czy już skończył swoją robotę i zabrał zabawki.

Wciąż myślę o nadajniku GPS w moim samochodzie i dlatego na razie zostawiam mini w garażu. Na wszelki wypadek przepisałam do komórki numer telefonu siwobrodego Jana Ogińskiego, taksówkarza, który wiozł mnie ostatnio do centrum. Może się jeszcze przydać.

Kiedy dostawczak ślusarza przejeżdża przez bramę, na jezdni dostrzegam volvo Gochy, które mruga kierunkowskazem. Widzę ją za kierownicą. Jest sama, zostawiła Krzysztofa w domu, a może wkrótce jej mąż dojedzie tu swoim samochodem. Gocha próbuje ruszyć, ale dobrze wie, że brama już

zaczęła się zamykać. Wskakuje więc z samochodu i podbiega do furtki. Podchodzę do domofonu.

Moje „halo” brzmi jeszcze agresywniej niż ostatnio.

– To ja – mówi i uważa, że to wystarczy. – Otwórz mi bramę.

– Po co?

Szum, który słyszę, to wiatr.

– Przyjechałam po rzeczy Piotra i resztę rzeczy Roksany – wyjaśnia.

– Wiem, po co przyjechałaś, ale nie zgadzam się na to, żebyś grzebała w mojej sypialni.

– Słucham? – Jest oburzona. – Chcę zabrać...

– Wiem, czego chcesz, ale się nie zgadzam. Czy to jasne? – pytam. Słyszę, że chce coś powiedzieć, jąka się w zdenerwowaniu, ale zanim się odezwie, uprzedzam ją. – Nie przyjeżdżaj tu nigdy więcej. – Odwieszam słuchawkę.

Dźwięk domofonu rozbrzmiewa ponownie.

Podchodzę do okna i widzę jej skonsternowanie, dreptanie w miejscu, sięganie po telefon. Widzę migający kierunkowskaz jej samochodu i otwarte drzwi kierowcy. Końska twarz zamienia się w obraz wściekłości, wiem to, chociaż nie sposób zobaczyć to z tej odległości.

Przykłada aparat do ucha i znowu drecze w miejscu.

Mój telefon się nie odzywa, sądzę więc, że próbuje się połączyć z Krzysztofem. Nieruchomieje na chwilę i przykłada rękę do czoła. Nawiązała połączenie, a ja przecież jej nie słyszę, ale łatwo mi wyobrazić sobie tę rozmowę.

– Krzysztof? Jesteś tam? – rzuca. – Słuchaj, nie wpuściła mnie po rzeczy Piotra – jęczy. – Nie wpuściła mnie do mieszkania. Kazała mi się wynosić. Stoję pod bramą. – Dyszy. – Kurwa jedna.

– Mówiłem ci – odpowiada jej mąż.

– Co mówiłeś? Co mówiłeś, do cholery? Zrób coś! Przecież trzeba przeszukać jego rzeczy, musimy to zrobić, rozumiesz?

– Masz jej klucze?

– Mam, ale ona jest w domu, durniu!

– W takim razie czekaj na okazję.

Ich rozmowa mogła tak wyglądać, ale wcale nie musiała. Jakie to zresztą ma znaczenie?

Krzysztof się rozłącza, a Gocha stoi z otwartymi ustami i wpatruje się w ekran. A potem przenosi wzrok na okna kuchni.

Uśmiecham się i macham jej na pożegnanie.

Jej ruchy są gwałtowne i ostre. W końcu wsiada i odjeżdża.

I już jej nie ma.

Ale nie sędzę, bym pożegnała się z nią na wieki.

W przyływie smutku wydzwaniam do Marcina, ale nie raczy odebrać.

Robi to dopiero po którymś razie z kolei.

– No, słucham. – Jest rozdrażniony i zniechęcony, zupełnie jak nie on, nie ten Marcin, który jeszcze niedawno chciał być ze mną na zawsze.

Pogasiłam światła. Mieszkanie wypełnia mrok. Spoglądam przez okno w sypialni na piętrze. Twarz mam blisko szyby, tak blisko, że szkło zachodzi obłokiem pary, gdy tylko otwieram usta.

Osiedle mruga drobnymi, rozproszonymi w ciemności światłami. Dostrzegam ciemną linię wierzchołków drzew ciągnących się za domkami jednorodziinnymi

i niebo, które gdzieś daleko stąd rozświetla łuna miejskiego światła.

Słyszę, jak oddycha, miarowo i spokojnie. Może leży albo siedzi w fotelu z ulubioną butelką piwa i ogląda mecz. W tle słyhać nieokreślony szum.

– Odrzucasz mnie nie dlatego, że przestałeś mnie kochać – mówię i patrzę w swoje ledwie widoczne odbicie w szybie, oświetlone bladym światłem z ekranu telefonu. Obserwuję usta składające się do kolejnej wypowiedzi. – I nie dlatego, że byłam pod domem dróżniczki – dodaję. – Nie boisz się tego, co zrobiłam.

Nic nie mówi, więc dalej dźwigam ciężar tej rozmowy.

W tej sypialni z widokiem na osiedle kochałam się z Piotrem, a potem, tydzień po pogrzebie, próbowałam kochać się z Marcinem.

Nie wyszło. Bardzo chciał. Może za bardzo. Leżeliśmy więc obok siebie nadzy i niespełnieni. Bez żalu, bez złości, z wiarą, że mamy czas, że nie mamy dokąd się spieszyć. Że mamy siebie już na zawsze, że spróbujemy rano, odprężeni i wyspani.

Ale nie dotrwaliśmy do rana.

Marcin wyszedł, gdy zasnąłam.

– On wiedział, prawda? – pytam.

– Co? – Wraca do mnie po długim milczeniu. – O czym wiedział? – Jego głos zmienia barwę i czerwienieje jak rozgrzana stal.

Słowa oplatają macki złości.

– O nas – podpowiadam, chociaż wiem, że zna odpowiedź i gra na zwłokę.

Słyszę jego oddech. Jest ciężki, jak ciężki bywa grzech.

– Od kiedy? – ponaglam.

Dobiega mnie nerwowe pociągnięcie nosem, ale po nim wraca jedynie szum tła. Marcin milczy. Zastanawia się, czy pozbyć się balastu, odzyskać spokój, poczuć się oczyszczonym.

Nie chcę przeciągać struny, chcę dać mu czas, żeby znowu był przy mnie, bezpieczny jak zawsze.

– Powiedziałam mu o Roksanie – zaczynam, celowo odchodząc od tematu. – O tym, że przeczytałam jej rozmowę z koleżanką.

Do uszu dociera cmoknięcie.

– Mówił ci o tym? – pytam. – Rozmawialiście o tamtej sprawie?

– Tak.

– Powiedziałam mu też o detektywie.

– Nie miał z tym nic wspólnego – zastrzega Marcin. – Przy mnie rozmawiał z siostrą, ale Gocha zaprzeczyła i on jej uwierzył.

– Możliwe – dodaję i smutek wypełnia mnie po brzegi, czuję się jak samotna łódź na morzu, skazana na dryfowanie, które nigdy się nie skończy. – Od kiedy zamieszkała z nami Rokszana, wszystko się zmieniło. – Wracam myślami do bolesnych wspomnień, mówię mu to, co dobrze wie, więc boję się, że będzie znudzony ciągłym wałkowaniem tego samego tematu. Muszę się odbić od tamtych zdarzeń. – Straciłam go, ale zyskałam ciebie.

Odgłosy w tle cichną.

– Może tak to musiało wyglądać – zastanawiam się na głos, a chmura pary z ust ponownie osiada na szybie, moje odbicie

znika za nią na krótką chwilę i ponownie mogę patrzeć w swoje oczy. – To wszystko wydaje się mieć sens.

– Co? – nie ukrywa zdziwienia.

– To, że Piotr się ode mnie odsunął, że wybrał córkę zamiast mnie. Ale najważniejsze, że ty byłeś obok. Że tak długo czekałeś – mówię tak, by moje słowa go głaskały, dawały mu ukojenie. I dopiero kiedy czuję, że zdołał się odprężyć, ponawiam to pytanie: – Od kiedy o nas wiedział?

Cisza.

Nabiera powietrza raz i drugi, słyszę mlaśnięcie towarzyszące otwarciu ust. Zawiesza się, ale tylko na moment. Bo w głębi duszy chce to już mieć za sobą, chce poczuć ulgę, wyzwolenie.

– Powiedziałem mu po południu. – W jego głosie wybrzmiewa spokój. – Tego samego dnia, kiedy zginęli.

Kiwam głową.

– Tak. Tak właśnie było – mówię z pełnym przekonaniem. – To wszystko wyjaśnia – dopowiadam i nagle słyszę głos Roksany.

Syk pełen jadu.

„Suka”.

Czuję na twarzy smagnięcie jej włosów, przymykam powieki.

Gdzieś w tle rozbrzmiewa stukot pociągu. Rozbrzmiewa i narasta. Czerwona poświata sygnalizacji kładzie się na asfalcie, ale szlabany sterczą pionowo. Widzę światła bmw, samochód wyłania się zza zakrętu i przyspiesza. Reflektory mnie oślepiają.

– A ty mu powiedziałaś? – szepcze Marcin.

Obrazy znikają nagle.

Znowu jestem tylko ja i moje odbicie w szybie, i noc za oknem mieszkania. Ciemność, jak głęboki tunel, za którym majaczą pojedyncze światła.

Opuszczam wzrok niżej.

– Powiedziałaś mu? – niecierpliwi się.

Patrzę na piersi i niżej, na dłoń, która okrywa brzuch.

– O czym? – udaję, że nie wiem.

– Przecież wiesz. – Szept brzmi jak krzyk.

Odsuwam słuchawkę od ucha i marszczę brwi, a mimo to jego słowa doganiają mnie i chwytają za gardło:

– O tym, że jesteś w ciąży.

WCZEŚNIEJ

Piotr był przekonany, że wina leży po mojej stronie.

Zbadałam się, pokazałam mu wyniki, ale nawet wtedy kręcił nosem, a raz, pamiętam, dotknął palcem wskazującym mojego czoła.

– Tu – powiedział. – Twój problem chowa się właśnie tu.

Nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo kontynuował:

– Skoro medycznie wszystko jest okej, to znaczy, że psychika ci siadła.

Usiadłam na łóżku i zaczęłam zapinać stanik.

– Psychika? – Odwróciłam się przez ramię.

Wyciągnął się nagi i założył ręce za głowę.

– A co, jeśli to kwestia plemników? – spytałam.

– Chyba kpisz! – zachnął się. – Jak, kurwa, plemników? Nie zauważyłaś, że mam córkę?

Kiwnęłam głową z niechęcią.

– Ale spłodziłeś ją kilkanaście lat temu. – Siliłam się na spokój.

– No i?

Włożyłam majtki, a następnie przeszłam do szafy. Uchyliłam drzwi z lustrem po to, bym nie musiała na niego patrzeć, i sięgnęłam w głąb po sukienkę.

– No i od tamtego czasu wszystko mogło się zmienić – dokończyłam. – Po prostu się zbadaj. Tylko o to cię proszę.

– Daj mi spokój, kobieto, nie będę w gabinecie walił konia do plastikowego słoika. Chyba ci odbiło.

Powietrze uszło ze świstem z moich płuc.

– Chcieliśmy mieć dziecko – przypomniałam.

W tych słowach kryły się nuty żalu, a ja spuściłam głowę.

Coś pękło między nami. Rozległo się głośne „trach”, jakby utrzymująca nas na powierzchni kora się przepołowiła, a nurt rzeki niósł oboje w jednym kierunku, ale z dala od siebie. I już odwracamy głowy, i każde wbija wzrok w inny brzeg.

Wziął kilka głębszych wdechów, a potem usłyszałam skrzypienie łóżka i plask bosych stóp na parkiecie.

Stanął za mną, poczułam jego penisa na pośladkach i dłonie na biodrach, ale zaraz potem wtulił się we mnie, odsunął włosy z szyi i pocałował mnie w kark.

– Chcieliśmy, chcieliśmy – stwierdził, po czym posadził płatek mojego ucha. – Ale czasami warto zdać się na los.

– Czyli?

– Bo wiesz, jeśli się okaże, że będziemy się tak starać, zrobimy wszystko, żebyś zaszła w ciążę, a potem urodzisz... No wiesz... No na przykład chore dziecko?

– Chore dziecko? – Oderwałam się od niego z obrzydzeniem.

– No nie wiem, po prostu taki przykład daję. Nie jesteśmy już tacy młodzi. A tyle się słyszy o podobnych przypadkach. – Rozłożył ręce, a uśmiech gasł na jego ustach. Podrapał się po brzuchu. – Mamy już Roksanę – dodał. – Więc może nie warto ryzykować. Może po prostu mogłabyś być dla niej... no wiesz...

Miałam ochotę urwać mu jaja.

– Pójdź do lekarza. Zrób to dla nas. – Popatrzyłam mu w oczy i wyszłam z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Kiedy schodziłam na dół, rozległ się brzęk tłuczonego szkła, po którym nastąpił krótki, gardłowy krzyk.

Nie odzywaliśmy się do siebie przez cały dzień. A wieczorem, kiedy wślizgnęłam się do sypialni, Piotr głośno chrapał. Przeszłam boso przez ciemny pokój i nadepnęłam na rozsypane szkło, które boleśnie się wbiło w podeszwę stopy.

Zasyczałam cicho z bólu.

Lustro w drzwiach szafy było rozbite i pokryte ciemnymi rozmazami krwi.

Wróciłam do łazienki i wyjęłam kryształek, który tkwił w rozciętej stopie. Krew spływała do wanny, różowiała i znikwała w odpływie.

Rano przyjrzałam się tym rozmazom uważniej. I wtedy spostrzegłam spore krwawe kleksy na podłodze.

TERAZ

Słońce wpada przez żaluzje i tnie przestrzeń biura jasnymi płaszczyznami. Przyglądam się, jak kurz wiruje w plastrach światła.

Siedzę w fotelu przy ścianie, mam widok na lakierowane biurko Piotra. Czeka tam na mnie sporo dokumentów, niepodpisanych umów, bieżących spraw i faktur do zatwierdzenia. Nie mam siły się do tego zabrać. Ostatnio byłam tu tydzień temu. Spędziłam cały dzień na spotkaniach, z których niewiele zrozumiałam. Pozwalałam płynąć myślom, uciekać od bieżących problemów, dawać się porwać wiatrom, muskać grzbiety fal. Morze mnie uspokaja. Powinnam stać teraz na pustej plaży, słuchać huku bałwanów rozbijających się o falochron, czuć na twarzy chłodny wiatr od szarego morza i patrzeć w takiego samego koloru niebo. Gonić wzrokiem mewę, która rozpościera długie skrzydła, szybuje swobodnie pod dachem gęstych chmur, zatacza nade mną idealne okręgi. Powinnam widzieć zarysy statków na redzie i smakować osiadłą na ustach sól.

Ale jestem daleko od morza.

Przejrzałam dokładnie biurko męża, zajrzałam do komód i szaf.

– Pani Aniu?

Drzwi się uchylają i widzę w nich Dominikę Biskup, piękną i młodą asystentkę męża. Kasztanowe włosy spadają na jej prawe ramię. Ma szczupłą, trójkątną twarz i duże ciemne oczy. Ołówkowa

mini podkreśla jej krągłe biodra i odsłania smukłe uda. Imponuje mi jej talia.

– Tak? – odpowiadam, nie zmieniając pozycji.

– Pan Borys zadzwonił, żeby panią przeprosić, spóźni się dwadzieścia minut. Dopiero wychodzi z sądu.

Bezwiednie kiwam głową.

– Zrobić pani kawy albo herbaty?

– A mogę prosić wodę?

– Oczywiście.

Słyszę, jak drzwi domykają się z cichym stukiem.

I znowu tkwię w zawieszeniu, osamotniona, obserwując kurz, jedyne świadectwo ruchu w gabinecie.

Myślę o życiu, które rozwija się pod moimi dłońmi, pod skórą opinającą wciąż jeszcze mały brzuch. Nie czuję go pod palcami, ale wiem, że tam jest, odczuwa to całe moje ciało. Uśmiech wykwita na moich ustach.

Dominika niepostrzeżenie stawia szklankę na stoliku i odchodzi. Odgłos szpilek tłumi gruba wykładzina, ale i tak odnoszę wrażenie, że asystentka robi wszystko, by iść na palcach.

– Dominiko?

Zatrzymuje się i odwraca. Składa miękko dłonie na wysokości brzucha.

– Tak? – Uśmiecha się uprzejmie, jest gotowa spełnić każdą moją prośbę.

– Czy mój mąż... – Zawieszam głos i patrzę wyczekująco w jej duże ciemne oczy.

Przekrzywia głowę. Nie dostrzegam w jej obliczu żadnego cienia fałszu.

– Czy nie zostawił tu niczego poufnego? Chodzi mi o dokumenty. Mogło to być zamknięte w kopercie, zaadresowane na kancelarię notarialną...

– Co konkretnie ma pani na myśli?

– Szczerze mówiąc, sama nie wiem. – Wzruszam ramionami. – W każdym razie chodzi mi o dokumenty osobiste, nic, co mogłoby mieć związek z firmą.

– Pan prezes nie przekazywał mi żadnych dokumentów. – Jej uśmiech jest kojący. – Pytała mnie pani o to już wcześniej.

– Przepraszam.

– Nic nie szkodzi – odpowiada. – Czy to wszystko?

– Tak.

Robi kilka kroków, ale kiedy jest przy drzwiach, zatrzymuję ją raz jeszcze.

– Czy mąż miał tu sejf? Albo jakiś schowek?

– Tak, pokazywałam go pani.

– Nie pamiętam – usprawiedliwiam się.

Dominika zwinnie i cicho idzie do biurka. Mija je i kuca przy komodzie. Otwiera szafkę, a potem naciska na tylną ściankę, która uchyla się z cichym kliknięciem.

Prostuje się.

Jest wyższa ode mnie o pół głowy.

– Zna pani kod? – pytam z nadzieją.

– Nie. – Kręci głową, a duże oczy mówią: „Przykro mi”.

Poprawia włosy, a potem zostawia mnie ze swoim kwiatowym zapachem i znika bezszelestnie za drzwiami.

Kucam przy szafce i spoglądam na drzwiczki sejfu z klawiaturą numeryczną. Dwanaście czarnych przycisków w czterech rzędach, w trzech kolumnach. I wyświetlacz na cztery cyfry. Wiele możliwości. Próbuję kilku pierwszych z brzegu PIN-ów, dat urodzin w różnych konfiguracjach, ale za każdym razem sesam jest głuchy na moje prośby.

Wbijam kolejne zestawy liczb, ale męczę się, męczą się moje nogi, czuję ból w udach i stopach, drętwieją mi łydki.

Zamykam drzwi szafki, nie przestając myśleć o kombinacjach cyfr.

Wstaję i odczuwam ulgę, która spływa do nóg, dotlenia mięśnie i przegania bolesne klucie i odrętwienie.

Siadam w obrotowym fotelu i przysuwam sobie dokumenty, które czekają na mój podpis.

Stawiam parafę za parafą, kiedy słyszę pukanie.

Spoglądam na drzwi.

– Proszę – mówię na tyle głośno, że te od razu się otwierają.

Prawnik, młody mężczyzna, przystojny, w okularach, ten sam, z którym rozmawiałam tuż po wypadku, kłania się i wchodzi pewnym krokiem.

– Przepraszam, rozprawa się przeciągnęła – mówi.

Zbliża się do mnie, podaje mu rękę, którą ściska zimną dłonią, niby lekko, z wyczuciem, ale chłód nie wróży niczego dobrego.

Zdaję sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziałam na tej twarzy uśmiechu. Maską powagi, maską skupienia. Nie ma w niej nic więcej, co mogłoby zaprzeczyć wystudiowanemu profesjonalizmowi.

Odsuwa znajdujące się przed biurkiem krzesło i siada na nim z prostymi plecami, zakłada nogę na nogę. Skórzaną teczkę ustawił obok krzesła. Lśni czernią, błyszczy tak jak jego buty. Chwyta się za kolano, a spod białego mankietu koszuli wystaje drogi zegarek na czarnym pasku.

Kończę podpisywać dokumenty i faktury.

Zamykam teczkę i odsuwam ją na skraj biurka.

– Zna pan kod do sejfu mojego męża? – pytam zniecierpliwiona.

– Sejfu?

– Tego w komodzie. – Wskazuję skinieniem głowy.

– Nie, nawet nie wiedziałem, że szef miał sejf.

– Jak można go otworzyć? – dociekam.

– Nie mam pojęcia. – Wygląda na zakłopotanego.

Zdejmuje okulary i przeciera je szmatką wyciągniętą z wewnętrznej kieszeni marynarki. Potem składa materiał na dwoje i wsuwa z powrotem.

– Niech się pan tym zajmie i gdy już będzie pan gotowy, proszę mnie zawiadomić.

– Nie sądzę, żebym...

– Proszę się tym zająć – przerywam mu.

Zaskoczony, kiwa tylko głową.

– A teraz niech mi pan przypomni to, co niedawno mówił pan o spadku.

– Co konkretnie?

– Interesuje mnie wątek dziedziczenia majątku przez rodziców zmarłego dziecka.

– Tak – mówi, po czym zaciska dłoń w pięść i pokasłuje w nią.

Czekam.

– To wygląda tak, że... – zaczyna.

Mówi, słowa płyną, a ja notuję interesujące mnie informacje na kartce w firmowym notatniku z logo firmy męża. Czasami mu przerywam, dopytuję o coś, a on za każdym razem odpowiada płynnie i rzeczowo. W końcu pytam o to, co najważniejsze.

– A kiedy można byłoby powstrzymać teściów od sięgnięcia po spadek?

– Obawiam się, że to niemożliwe.

Marszczę brwi. Nie ze złości, ze zdziwienia.

– Naprawdę?

– Tak. Sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej, gdyby Roksana, pani pasierbica, przeżyła.

– Nie rozumiem.

– Wtedy dziedziczenie obejmowałoby panią i dziecko. – Gestykułuje.

Na dłoni połyskuje złota obrączka.

– Ale Roksana nie żyje – mówię głośno.

– Właśnie. I to, co do zasady, komplikuje sprawę. Oczywiście o ile pani mąż nie spisał testamentu, w którym wprost określił spadkobierców.

– Nie spisał. – Kręcę głową. – Dziękuję.

Poprawia okulary, a potem podnosi się i sięga po aktówkę. Jest gotowy do odejścia.

– Jestem w ciąży. – Obserwuję, jak młody prawnik nieruchomieje. Przez ulotną chwilę jest modelem z żurnala.

– Który miesiąc? – pyta, a ja rozumiem sens jego pytania.

– Dziewiąty tydzień. Piotr jest ojcem.

– Nie chciałem... – Orientuje się, że jest niedyskretny, ale macham ręką.

– Czy to coś zmienia? – pytam z nadzieją.

– Oczywiście. W takiej sytuacji jesteśmy w domu. – Uśmiech rozjaśnia mu twarz.

„No nie wiem”, myślę i w tych myślach dziękuję opatrności, że Piotr nie badał swojej spermy, że nikt nie wie o jego obumarłych plemnikach, zastygłych w obrazie mikroskopowym z czerwonymi główkami i prostymi ogonkami, którym brak siły, by nadać im ruch.

Widzę je dokładnie, jak pod mikroskopem.

Uśmiecham się do tego obrazu, a gdy ten wreszcie znika, powracam do rzeczywistości i okazuje się, że wciąż patrzę w oczy młodego prawnika.

– Gratuluję. – Mężczyzna poważnieje i odchodzi w stronę drzwi.

I nagle moja ciąża już nie jest tylko moja.

Mam wyjść z biura, ale nie zrobiłam jeszcze jednej rzeczy.

Nigdy wcześniej nie włączyłam jego komputera.

Uruchamia się z jednostajnym szumem wentylatora i pomrukiwaniem.

Nie znam hasła, ale tym razem się nie martwię. Wzywam Dominikę, a ta sprowadza do biura informatyka. Jest cichy i skupiony na pracy, zajmuje na chwilę moje miejsce, żeby polikwidować hasła dostępu.

– Proszę – oznajmia, kiedy jest już po wszystkim.

Z powrotem zajmuję miejsce w wygodnym fotelu.

Czarny golf i za krótkie džinsy sięgające kostek znikają mi z oczu. Twarzy nie zapamiętam, bo mężczyzn takich jak on widuję setki i wszyscy są tacy sami.

Włączam program do obsługi poczty mailowej i przeszukuję wiadomości.

Czas ucieka, znika bezpowrotnie, a ja nie robię postępów. Nie odnajduję maila, do którego dołączony jest wzór pozwu rozwodowego.

Przeszukuję zawartość komputera, ale nie odnajduję niczego, czemu warto się przyjrzeć.

Napawa mnie to radością.

Nie było żadnego pozwu rozwodowego ani testamentu. Nie było go i nie ma, a jeśli jest, to tylko w jednym miejscu.

W zamkniętym sejfie.

Olśnienie przychodzi nagle. Piotr nie miał pamięci do kodów i PIN-ów i zazwyczaj korzystał z jednej kombinacji. Tej najprostszej, ale w odwróconej kolejności. Widzę dokładnie, jak wystukuje PIN w bankomacie i jak palcem wskazującym robi to na telefonie.

Znów kucam i patrzę na sejf. Wbijam po kolei, od cztery do jeden, cyfry, które pojawiają się na czerwonym wyświetlaczu. Po wybraniu ostatniej z nich dociera do mnie szmer zwalnianej blokady, a drzwiczki same się uchylają.

Otwieram je szerzej i patrzę do zaciemnionego niewielkiego wnętrza.

Na górnej półce leży płyta CD. Jest wsunięta w przezroczystą koszulkę. Nie znaczą jej żadne napisy. Obok broszka wykonana z chromowanego, umiejętnie wygiętego drutu, który układa się w wizerunek śpiącego kota.

Działa na mnie jak porażenie prądem, szarpie moim ciałem.

A na dole znajduje się biała kartka.

Płytę i broszkę chowam do torebki, a potem sięgam po papier, który okazuje się otwartą kopertą.

Przyglądam się jej i nagle czuję, jak mięśnie szyi oplatają się wokół dróg oddechowych i zaciskają na nich z siłą węża.

Patrzę na moje drżące dłonie i palce, które sięgają do koperty.

Zerkam do niej i sztywnieję, bo wypuszczam z niej demony przeszłości.

WCZEŚNIEJ

Z pogrzebu męża i pasierbicy nie zostało mi wiele w pamięci, ledwie kilka slajdów, mocno rozświetlonych przezroczy. Reszta przepadła, zagubiła się bezpowrotnie.

Tłum ludzi ubranych na czarno, wiązanki kwiatów z wstęgami połyskującymi w ciepłych promieniach słońca, pomruk szeptów, nieznajome twarze ściągnięte smutkiem. Koleżanki i koledzy z klasy Roksany, uczniowie i nauczyciele, jej zapłakana matka i pocieszający ją siwy konkubent.

Patrzyłam na żałobników spod opuchniętych powiek i przez duże przyciemniane okulary. Przede mną znajdowały się dwie wyrwy w ziemi, obłożone sztuczną trawą. Wpatrywałam się w czarną glebę, ale kiedy dostrzegłam w niej trzy żółte punkty, reflektory pociągu, i kiedy usłyszałam pisk hamulców, musiałam potrząsnąć głową.

Nad dziurami w ziemi, na poprzecznie ułożonych belkach, spoczywały dwie trumny, jedna czarna, druga biała, obie z grubą warstwą błyszczącego lakieru, od którego odbijało się słońce.

Nieco dalej między granitowymi nagrobkami, na których miękko układał się cień starych drzew, kręcili się ludzie. Nie rozpoznawałam nikogo.

Nie słuchałam księdza, nie słuchałam też dwóch przyjaciół Piotra, którzy zdecydowali się zabrać głos i go pożegnać.

Dźwięk z głośników był wyraźny i dość głośny, ale słowa przelatowały przede mną jak przez sito.

Na krzesłach tuż obok mnie siedzieli teściowie. Matka Piotra łkała, a jej mąż ze skamieniałą z bólu twarzą głaskał ją po kościstych dłoniach. Drżała, wpatrując się w trumny, raz wyciągnęła do nich wyprostowaną rękę i jęknęła przeciągle. Mąż przytulił ją mocno i szeptał coś do ucha. Próbowwała z nim walczyć, ale tylko przez chwilę, bo szloch złamał w niej wszelką wolę konfrontacji.

Potem trumny zjechały na szerokich pasach do ciemnych grobów, córka z ojcem, ziemia w ziemię, ciemność w ciemność. A na drewnianej kracie, która przysłoniła kraterę, urosły hałdy kwiatów, otulonych żałobnymi wstążkami, falującymi od powiewu wiatru.

Z głośników popłynęła muzyka, nostalgiczne dźwięki gitar, chropowaty głos wokalistki. Nie znałam tego utworu, ale jego smutek ciążył mi na barkach. Obok mnie płakała Gocha, która wybrała tę piosenkę, a Krzysztof, skupiony, wpatrywał się w dal.

Ktoś kichnął, ktoś zakaszłał, z oddali zaszczekał pies, samochody przejeżdżały ze świstem. Kilkanaście metrów dalej za bramą cmentarza przy Żwirki i Wigury, toczyło się zwykłe życie, dzień jak co dzień, życie obok śmierci.

Bladym uśmiechem dziękowałam obcym ludziom za kondolencje, podawałam dłoń i trzymałam ich na dystans. Przy Marcinie Królu zrobiłam wyjątek. Potrzebowałam jego zapachu i ramion, które objęły mnie czule.

I tylko tyle zapamiętałam z tego dnia, bo pamięć, krucha jak kryształ, pękła i nie umiem jej skleić.

Ale pozostały jeszcze zdjęcia.

Nie chciałam ich, nie chciałam fotografa, który będzie próbował odnaleźć w tej całej tragedii piękno, chwytać artystyczne kadry, robić portrety żałobnikom. A jednak machnęłam ręką i uległam namowom Gochy. Potem teściowa chciała mi dać odbitki, ale odmówiłam.

Fotografia jest od tego, by łapać szczęście, bo ono znika jak cień, gdy zachodzi słońce. Za to smutek jest pasożytem, podpełza

i bezboleśnie przebija się przez skórę, a potem wije się tuż pod nią, panoszy i rozmnaża, zostawiając w mózgu larwy.

Pamiętałam, kto robił te zdjęcia. I pewnego dnia, dwa tygodnie po pogrzebie, zwróciłam się do zakładu fotograficznego z prośbą o odbitki. Sądziłam, że kiedyś je przejrzę.

„Kiedyś” nadeszło znacznie szybciej, niż się spodziewałam.

Pierwsze zdjęcie przedstawiało mnie, stojącą między trumnami, które znajdowały się na pierwszym planie i pozostawały celowo lekko rozmazane. Patrzyłam w bok, moja broda unosiła się nad trumną Piotra.

Piękna żałobnica.

Na kolejnych rozpoznawałam twarze znajomych, inne wydawały mi się zupełnie obce.

Przekładałam kolejne fotosy, które rozsypały się po żywicznym blacie.

Sięgnęłam po następne zdjęcie szeregu osób, zrobione z ukosa, z żabiej perspektywy. Twarze na tle zielonych liści klonów. Ale pod tą fotografią przykleiła się inna. Rozwarłam obie i spojrzałam na inny obraz z pogrzebu.

W drugim rzędzie żałobników stał detektyw, a obok niego kobieta. Częściowo zasłaniały ją inne twarze. Jedyne, co rzuciło mi się w oczy, to jej duże okulary przeciwsłoneczne. Miałam wrażenie, że ramki tych okularów przypominały kocie oczy.

A może to tylko złudzenie?

WCZEŚNIEJ

Tylko źli ludzie myślą źle o innych.

Ale ja przebiłam skalę. Jestem przeklęta, bo myślałam o dziecku, o nastolatce, jak o złu wcielonym.

Początkowe zainteresowanie, potem niechęć przerodziły się w nienawiść. Tak, nienawidziłam pasierbicy.

Mogłam się bać tego, że Piotr zdradzi mnie z inną. Nie zdziwiłabym się. Typ zdobywcy tak ma. Racjonalizuje wszystko, by sięgać po nowe. Zdobywał niezdołyte w biznesie, ale był samcem alfa – nie wierzyłam w to, że nie próbuje zdobyć też innych kobiet. Że nie próbował przelecieć Dominiki, swojej asystentki, chociaż nie miałam na to żadnych dowodów.

W tym wszystkim jednak nie doceniłam jednego.

Nastolatki.

Grubawej dziewczyny z przetłuszczającymi się włosami, ale z zawsze naładowanym smartfonem. Istoty z piekła rodem, która umiejętnie owinęła sobie stroskanego ojca wokół palca, zagarniając dla siebie całą przestrzeń. Nawet gdy byłam z Piotrem, czułam, że nie ma nas, że choć jesteśmy razem, to tak naprawdę jesteśmy osobni.

Był on, wtulona w niego Roksana, trzymająca go za szeroką dłoń, jeżdżąca palcem po wystających żyłach, błękitnych jak rzeka i jej dopływy na mapie.

– Chciałabym z tobą wyjechać na weekend – rzuciłam wieczorem, gdy kładliśmy się spać. – Tylko z tobą – zastrzegłam, żeby nie

zaczął mówić o „naszej trójce”.

Ten zwrot doprowadzał mnie do szału i ranił. Nie było żadnej „naszej trójki”.

Roksana wciąż szalała na dole, puszczała głośno muzykę.

Piotr się przebrał, zapalił lampkę na stoliku nocnym i sięgnął po teczkę z dokumentami.

– Nie wiem, cholera. Mam teraz tyle spraw na głowie – odparł, odszukując stronę, na której skończył czytać.

Zaczęłam się przebierać, gdy usłyszałam kroki na schodach.

– Przebieram się – krzyknęłam do Roksany i zdjęłam stanik.

Zdażyłam go odrzucić i włożyć górę od piżamy, gdy kroki zrobiły się głośniejsze.

– Nie wchodź! – poprosiłam.

– Przestań, co tak krzyczysz? – wyszeptał Piotr, marszcząc brwi.

– Tato! – Roksana wpadła do sypialni i rzuciła się na łóżko. – Chciałabym...

– Roksana! – Podniosłam głos, a kątem oka zerknęłam na rozanielonego Piotra. Obecność córki skutecznie zmywała złość z jego twarzy. – Przecież o coś cię prosiłam, prawda?

Spojrzała na mnie tym samym wzrokiem co Piotr. Byli identyczni. Oboje patrzyli na mnie w ten sam sposób. Ale po chwili Roksana odwróciła się do ojca i skierowała w jego stronę telefon.

– Może zabrałbyś mnie kiedyś od Energylandii? Zosia i Tośka tam były w zeszłym tygodniu i mówiły, że jest spoczko.

Marzyłam o tym, by wskoczyć na łóżko, wyszarpnąć jej telefon i wyrzucić go przez drzwi, żeby wylądował z hukiem na panelach.

Zamiast tego tylko ponowiłam prośbę.

– Roksana!

Nic, żadnej reakcji.

– Prosiłam, żebyś tu nie wchodziła, prawda? – Podeszłam bliżej i tłumiąc gniew, dotknęłam jej ramienia. Desperacko próbowałam zwrócić jej uwagę na siebie, na to, że tu jestem. – Słyszałaś? Przebieram się.

– Do taty przyszłam, nie do ciebie – odpyskowała niewyraźnie i strząsnęła moją dłoń.

– Wyjdź stąd! – krzyknęłam.

Roksana spojrzała na mnie oburzona.

– Tato – jęknęła.

Pogładził ją po plecach i szepnął coś do ucha, a potem odsunął jej włosy z czoła i ją pocałował.

Zebrała się z ociąganiem i przystanęła w korytarzu. Odwróciła się do mnie i poza zasięgiem wzroku ojca postukała się w czoło, po czym pokazała środkowy palec. Dopiero potem zniknęła mi z oczu.

Złość roztopiała się we mnie powoli.

Kiedy kroki na schodach ustały, Piotr dźwignął się i oparł na łokciu, a drugą rękę wyprostował i wycelował we mnie palec.

– Nigdzie! – wysyczał. – Nigdzie już z tobą nie pojedę! – Wstał i zawałał się w drodze do drzwi. – Ty masz jakiś problem, wiesz?

Nie spuszczałam go z oka.

– Mam wrażenie, jakbyś nigdy nie była nastolatką. Jakbyś nigdy nie zachowywała się podobnie i wyparła ten okres ze swojego życia. To tylko dziecko, Anka. Tylko dziecko.

Drgnęłam i spuściłam wzrok.

W duchu przeklinałam własne reakcje.

– Widzisz? – Uśmiechnął się przebiegle. – Trafiłem!

Usłyszałam jego kroki i trzaśnięcie drzwi.

TERAZ

Wsuwam kopertę do kieszeni płaszcza i walczę z płytkim oddechem. Chcę go przełamać głębokim haustem, ale nie umiem.

Serce dudni, skóra na karku cierpnie.

Chciałabym wyjść z biura, ale nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Strach wprawia je w drżenie tak, że nie czuję stóp.

Siadam więc czym prędzej w fotelu i zamykam oczy.

Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Mój oddech porusza kartkami notatnika, który leży w pobliżu.

Odsuwam się od blatu na długość wyprostowanych rąk.

Cały mój świat kurczy się do tej przestrzeni zamkniętej w czterech ścianach, do blatu biurka i fotela, i nie ma już nic poza tą niewielką wyspą. Wszędzie dalej rozciąga się ciemność, w której wszystko ginie, zatraca się, rozpada w proch.

– Pani Aniu? – Kobięcy głos dobiega echem z otchłani.

Podnoszę głowę z oparcia fotela i patrzę w czerni, której pasma się rozplywają, jakby przegonił je podmuch świeżego powietrza.

– Wszystko okej? Pytam, bo usłyszałam stłumiony odgłos, jakby coś spadło.

To brzmi jak usprawiedliwienie, ale dobrze, że ją widzę. W drzwiach pojawia się Dominika. Idzie w moją stronę. Tuż obok moich butów leży torebka. Część zawartości rozsypała się po podłodze.

Asystentka kuca, podnosi ją i odwraca się, by odstawić na biurko. Resztę rzeczy zbiera. Maskara, lakier, lusterko, chusteczki. Ma

drobne dłonie z pięknymi, długimi palcami, paznokcie lśnią odcieniem rózu. Kolor pasuje do połyskującej na odsłoniętym dekolcie zawieszki i kolczyków, które zauważam dopiero teraz, z bliska. Jędrna skóra na piersiach i szyi, oświetlona słońcem wpadającym do gabinetu, ma ciepły, delikatnie brązowy odcień.

– Wszystko dobrze? – ponawia pytanie, a ja wyciągam dłonie niczym miskę i podstawiam po zebrane rzeczy.

Przesypuje je delikatnie, jakby sypała piasek ze złotej plaży.

– Tak, dobrze – mówię i czuję się silniejsza, jakby jej obecność uchroniła mnie przed upadkiem w czeluść.

– Widzę, że udało się pani otworzyć sejf? – pyta, ale przecież zna odpowiedź.

Zerka w tamtą stronę i musi zauważyć, że niewielkie i nieoświetlone wnętrze jest puste.

– Mam już to pozamykać? – Wskazuje palcem na komodę.

Kiwam głową i pakuję drobiazgi do torebki.

Wstaję, wsuwam dłoń do kieszeni płaszcza i upewniam się, że pod palcami szeleści papier, dziękuję Dominice za pomoc i zmierzam do drzwi.

– Do zobaczenia wkrótce – rzuca, ale jestem już na korytarzu.

Jadę windą w dół i szybkimi krokami przemierzam hol, by znaleźć się na zewnątrz.

Siwobrody taksówkarz, Jan Ogiński, czeka na mnie na tyłach budynku.

Gdy tylko mnie dostrzeża, uruchamia silnik.

Wsiadam i chcę stąd zniknąć.

Nie pyta o nic, tylko rusza, bo zna drogę i cel.

A ja zapinam pas i już wiem, że źle robię, bo po chwili mocuję się z kieszenią. Do tego samochód się kołysze na nierównej, gruntowej drodze, trzeszczą spracowane plastiki.

W kałużach przed nami odbija się słońce i razi tak, że muszę zamknąć oczy.

W końcu wygrywam z kieszenią i wyciągam z niej pomiętą kartkę.

Spoglądam w oczy mojej zmory sprzed lat, odczytuję kilka zapisanych słów.

Potem zamykam oczy.

I nagle zapada noc.

Jest ciemny las i gdzieś w oddali duchy, które błyskają bielą z wielu stron.

Osaczają mnie.

Odwracam się w napięciu, co rusz nerwowo zerkam w inną stronę, ale one są wszędzie. Chciałabym uciec, nie mogę jednak ruszyć nogą, obie są jak z ołowiu i wrzynają się w miękkie runo, znikają w nim jak w bagnie.

I już wiem, że jest po mnie.

Duchy zbliżają się, oderwane od ziemi płyną w moją stronę, lekko i zwinnie mijają pnie drzew. Panika rozsadza mi serce, zaczynam się dusić. Czuję na szyi lodowaty powiew.

– Pani Aniu? – Słyszę głos taksówkarza i nagle, w ostatniej chwili, zanim dopadną mnie zmory, zapadam się pod ziemię, ale w niezrozumiały sposób razi mnie słońce.

Zniknęłam z ciemnego lasu, zostawiam go za sobą.

To promienie wpadają przez przednią szybę. Słysząc jedynie szum silnika, bo radio gra tak cicho, że dociera do mnie ledwie szmer.

– Słucham? – zwracam się do kierowcy.

– Nic nie mówiłem. – Zdziwienie maluje się na jego twarzy, gdy odwraca się przez ramię.

Po chwili patrzy już przed siebie, jest skupiony na drodze.

Trzęsą mi się dłonie, a w jednej z nich wciąż tkwi kartka.

Zerkam na nią niechętnie, tak jakby ktoś trzymał moją głowę w stalowym uścisku i siłą odwracał w tę stronę. Jakby zmuszał mnie do spojrzenia w przeszłość, na świat, który dawno przestał dla mnie istnieć, zamknięty w innej czasoprzestrzeni. Nie chciałam do niego wracać. To świat, którego się boję. Świat, który wmawia mi, że kiedyś byłam kimś innym.

Wpatruję się w tę pomiętą kartkę, w kserokopię dawnego plakatu z hasłem „Zaginiona Wioleta Raszyńska” i zdjęciem uroczej nastoletniej blondynki z włosami ściętymi na bombkę i przesuniętym przedziałkiem. Jej grzywka sięga brody. Uśmiecha się lekko i niewinnie. Uroku dodają jej dołeczki w policzkach i błyskotka w odsłoniętym uchu.

Moje usta też się uśmiechają, ale wkrótce toną w nich łzy.

Są ciepłe i słone.

Wioleta Raszyńska była moją przyjaciółką, chociaż wszyscy we wsi nazywali nas siostrami blondyneczkami.

„Siostry”, prycham.

Siostry powinny się kochać.

DAWNO TEMU

Jasność.

Jasność i ciepło, które czuć na skórze.

Blask słońca, padający na zaciśnięte powieki i rozświetlający je na pomarańczowo.

Zapach trawy i jej łaskotanie w szyję.

Leżymy na zboczu góry, obok siebie, jak dwie siostry, najlepsze przyjaciółki. Ściskam jej ciepłą, wilgotną od potu dłoń i kładę sobie na brzuchu.

Chichoczemy.

Chichoczemy bez powodu, spontanicznie, jakby nasze myśli wypływały z jednej głowy.

Dzielimy między siebie tę beztroskę. Ten radosny rytm serca. Uderzenia, które pulsują nawet pod czaszką, ale nie masz im tego za złe, bo przecież czujesz, że to dzięki nim chce się żyć. I wiesz, że takie chwile nie trwają wiecznie, że to zaledwie ułamek twojego życia, więc celebrujesz je, przeciągasz w nieskończoność, chcesz, by trwały jak najdłużej, bo po nich wraca wszystko to, co zwykle i szare. Więc skoro już uciekłaś, to chcesz uciec jak najdalej, i rozciągasz ten moment, kropkę na linii życia, w podłużną plamkę.

Leżymy na łące na wzgórzu.

Za nami, na szczycie wzniesienia, w powiewach letniego wiatru szumi las. Czubki sosen się kiwają.

Chichoczemy z wciąż zamkniętymi oczami.

Przede mną łąka zbiega po stromym stoku i wpada w rozpięte na pagórkach i ciągnące się niżej, do wsi łąny zbóż. Żłote, żółte i zielone kwartały pól układają się w szachownicę i otaczają nasz Pasowiec, w którym żyjemy. A to życie przedzielone jest asfaltową jezdnią.

Chociaż mam zamknięte oczy, widzę też drewnianą świątynię z ciemnej palisandrowej deski, a wokół niej liczne i gęste domy, które się rozrzedzają z dala od kościoła i rozsypują samotnie gdzieś pośrodku pól, tam gdzie można dostrzec kępy lub kolumny drzew wyznaczających sąsiedzką miedzę.

Oczyrna wyobraźni widzę wieżę kościoła i krzyż skierowany frontem w naszą stronę. Krzyż, który ma nieść odkupienie, a wbija we mnie gwóźdź, poczucie winy. Sprawia fizyczny ból. Jest jak ksiądz, który ciągnie kilkulatkę za ucho na lekcji religii, a potem, w konfesjonale, mówi szeptem o potrzebie poprawy, o tym, że grzech karmi się złymi uczynkami. Boję się go. Boję się ciszy w kościele i tego echa kroków, odbijającego się od ścian. Drzę przed spowiedzią, drzę, gdy kucam na obitym spękany skajem klęczniku i zbliżam usta do drewnianej kraty, za którą widzę profil duchownego. Orli nos, wysoką linię czoła, posiwiałe włosy.

Gdyby nie Wiola, gdyby nie to, że przychodzę tu za nią, nie byłoby mnie w tej wspólnotce. Ale idę za przyjaciółką, która wierzy w coś, do czego w żaden sposób nie mogę się przekonać. Więc robię to dla niej, bo być może podświadomie chciałabym, żeby i ona zrobiła dla mnie cokolwiek, jeśli tylko poprosiła.

Ale im częściej myślę o niej, tym bardziej się przekonuję, że jej bogobojność i wiara są na pokaz.

Podczas spowiedzi nie wyznaję wszystkich grzechów. Noszę w sobie tajemnicę, o której nie mówię nikomu. Nie mogę też o niej opowiedzieć Wioli, bo to mogłoby zniszczyć naszą przyjaźń.

Tajemnica to tajemnica.

Nawet nie wiem, kiedy przestajemy chichotać, kiedy jej dłoń wyslizguje się z mojej, kiedy przyjaciółka wstaje i przysłania mi

słońce. Pod powiekami mam mrok, chłodny cień przylega do skóry. Unoszę się na łokciach, dopiero potem lekko podnoszę powieki.

Mam ją nad sobą, stoi nade mną w rozkroku. Czarna postać zasłania słońce. Wyciąga do mnie rękę, którą chwytam, a ona ciągnie mnie, więc wstaję i otrzepuję bezwiednie spodnie. Widzę, jak kładzie palec na ustach, a po chwili wskazuje na ścianę lasu za nami.

– On tam jest – szeptem z przestrawieniem w oczach, po czym odwraca się i zbiega ze stromego stoku w stronę pól Pasowca.

Powinnaś biec za nią, ale zamiast tego stoję w miejscu i odwracam głowę w kierunku drzew. Szukam jakiegokolwiek ruchu między wysokimi pniami, wpatruję się w gęste krzewy i nasłuchuję trzasku gałęzi. Ale niczego nie dostrzegam ani nie słyszę.

Wycofuję się powoli i dopiero kiedy już mam się odwrócić i biec za Wiolą, zauważam go.

Nie. Zauważa go tylko moja wyobraźnia.

Wylania się z za drzewa, ale wtedy już się odwracam i biegnę.

I wiejską, popołudniową ciszę na stoku nasłonecznionego Pasowca przerywa diaboliczny śmiech chodzącego trupa z gnijącym ciałem, owiniętego brudnymi bandażami, którym stale się straszymy.

Krzyczę więc, bo chcę sprawić jej radość.

Bo kocham ją jak siostrę.

TERAZ

Taksówkarz zjeżdża do garażu i zatrzymuje samochód. Silnik terkocze na jałowym biegu.

– Wszystko w porządku? – pyta kierowca.

Kiwam głową, a potem ocieram łzy.

Składam plakat na pół i chowam go do kieszeni, po czym podaję kierowcy pieniądze.

– Reszty nie trzeba – stwierdzam i sięgam do klamki.

– Jakby co, jestem do dyspozycji. Proszę o mnie pamiętać.

Podchodzę do windy i włączam przycisk. Dopiero kiedy dźwig zjeżdża na dół, taksówkarz wrzuca wsteczny.

Doceniam to.

Kręci kierownicą, a opony piszczą na wyślizganej betonowej nawierzchni.

Unosi dłoń na pożegnanie i wóz wycofuje się z garażu.

Po chwili odgłosy cichną. Zamykam bramę i wdychając słodkawy smród spalin, wsiadam do windy.

Drzwi zasuwają się bezszelestnie, a ja opieram się o ścianę, unoszę głowę i zamykam oczy.

Pod powiekami trwa nieprzerwana noc.

– Piętro trzecie – informuje ciepły kobiecy głos.

Wysiadam, szukam kluczy i wsuwam je po kolei do zamków.

Cisza w mieszkaniu ciąży i przytłacza.

Zrzucam buty, odkładam torebkę, odwieszam płaszcz.

Słumione odgłosy moich stóp, szmer włączanego ekspresu do kawy, grzechot mielonych ziaren, brzęk naczyń wystawianych ze zmywarki i wreszcie syk wypuszczanego naparu.

Czekam, aż filiżanka wypełni się czarnym płynem niemal po brzeg, i zabieram ją do salonu.

Włączam telewizor i ustawiam kanał informacyjny, po czym przyciszam nieznacznie głos. Chcę tylko pozbyć się dręczącej mnie ciszy.

Siadam na sofie po turecku i biorę włączonego wcześniej laptopa na kolana. Podłączam do niego napęd dla płyt CD, który odnalazłam w gabinecie męża na poddaszu, i wsuwam zabraną z jego sejfu płytę.

Składam dłonie i bezwiednie przyciągam je do ust.

Zupełnie nie wiem, czego się spodziewać. Nie mam pojęcia, co się na niej znajduje, więc odczuwam jedynie strach.

Uruchamia się okno z opcjami do wyboru, więc klikam nerwowo w pierwsze od góry. Chcę jak najszybciej przejrzeć zawartość dysku.

Trafiam na jeden jedyny folder pod nazwą „Pasowiec 2001 rok” i coś ściska mi gardło, aż brakuje tchu.

Omiatam wzrokiem niewielkie ikony zdjęć. Jest ich tam kilkadziesiąt. Wybieram pierwsze i już zaczynam rozumieć.

I boję się jeszcze bardziej.

Widzę zdjęcia starych kartek, wypełnionych formularzy, zapisków, zdjęcia robione wywołanym na błyszczącym papierze fotografiom, w których białe plamy świadczą o używaniu lampy błyskowej przez fotografującego.

Akta zaginionej Wioli Raszyńskiej.

Przeoglądam fotografie raz jeszcze i czytam, wnikam w sprawę sprzed lat. Odczytuję zeznania świadków, efekty poszukiwań Wioli w Pasowcu, w lesie i na okolicznych terenach, policyjne zdjęcia pontonu z nurkami z przeczesywania dna Wisły nieco dalej od wsi, w dół rzeki.

Byłam tam, szukałam jej i wszystko to wraca do mnie jak najgorszy koszmar.

Znów stoję przed ścianą lasu, naszego lasu, w którym spędzałyśmy tyle czasu, i boję się do niego wejść. Boję się zrobić pierwszy krok, ale kiedy ruszają inni, ja nie zostaję w tyle.

Przystaję, bo drżą mi nogi, opieram się o pierwsze drzewo, czuję szorstką korę na skórze dłoni. Oddycham płytko i się rozglądam. Nasłuchuję trzasku gałęzi łamanych pod butami grupy osób, które, ustawione w rzędzie i prowadzone przez dwóch policjantów, są już w lesie. Koś mnie pogania, miękną mi nogi, ciemnieje mi przed oczami. Czuję, że się osuwam i okręcam tak, że widzę już tylko czubki sosen kołyszące się na tle bladoniebieskiego nieba. Potem kilka twarzy nachyla się nade mną i nagle wszystko zasnuwa ciemność.

Tyle pamiętam z tamtej chwili.

Każde zdjęcie, każda informacja, do których teraz sięgam, przypomina mi inne sekwencje tamtych bolesnych zdarzeń.

Widzę nasz prowizoryczny szałas ukryty w lesie, Budę Reksia, bo tak go nazywałyśmy. I cień na runie leśnym, który zbliża się w moją stronę.

Przeglądam pozostałe zdjęcia i wśród odnalezionych przedmiotów znajduję fotografię broszki z wizerunkiem śpiącego kota z chromowanego drutu, z nosem i uszami wysadzonymi gładkim miodowym bursztynem. Prezent od mamy na trzynaste urodziny. Przypominam sobie o niej i wyciągam ją z torebki, kładę na stole.

I pamiętam już, że tamtego czerwcowego ranka, na zakończeniu roku szkolnego, miałam ją wpiętą w sweter.

Czy to na pewno ta sama broszka?

Wątpię. Ta wygląda na zupełnie nową, jest nieco inna, zrobiona na wzór mojej starej biżuterii.

Wracam pamięcią do odległej historii.

Nerwowo rozglądam się na boisku szkolnym za Wiolą, dzieciaki hałasują, przekrzykują się, ale jej nigdzie nie ma. Uroczystość

zaczyna się od hymnu, więc ja też śpiewam, ale cały czas odwracam niespokojnie głowę, sprzęgają mikrofony, dyrektor dziękuje za rok szkolny, za trud uczniów i pracę nauczycieli. Wychowawczyni chwytą mnie za ramię i prosi, żebym się skupiła, ale nie jestem w stanie uspokoić myśli.

Kiedy tylko zakończenie roku dobiega końca, biegnę ze świadectwem w stronę lasu.

Coś mnie tam gna, przyciąga jak magnes.

Delikatne białe rajstopy rozdzierają się na ostrych kolcach krzaków, z naciętej skóry sączy się krew.

A ja biegnę i biegnę, gubię lakierki, ale już wiem, że muszę po niego wrócić, bo boleśnie nadeptuję na zgrubiałą gałąź i nie mogę zrobić kroku.

Moje świadectwo z paskiem jest pogniecione jak gazeta, ale nie dbam o nie.

Idę, kuśtykam w stronę naszego szałas w lesie, schronienia, w którym zawsze znajdowałyśmy pocieszenie.

I kiedy tylko dochodzę na miejsce, już wiem, że mój świat wywróci się do góry nogami.

Odnajduję zagłębienie terenu otoczone krzewami, przeciskam się między nimi, a gałęzie drapią po całym ciele.

I w końcu staję przed szałasem.

Zamieram przed niewielkim wejściem obłożonym gałęziami i wszystko widzę już przez łyzy, i tylko kręcę bezradnie głową. Nie chcę wierzyć w to, co mam przed oczami.

I nagle las eksploduje echem mojego krzyku.

TERAZ

Zawieszam wzrok na ekranie telewizora, w którym dostrzegam znajomą, ale pospolitą twarz, otuloną kasztanowymi włosami, z cienką kreską ust. Zdjęcie zajmuje pół ekranu, więc natychmiast pogłaśniam program.

– ...zaginęła niecałe dwa miesiące po tragicznym zdarzeniu na przejeździe kolejowym w Toruniu – informuje wystudiowany męski głos z dobrą dykcją.

Fotografia znika i już widzę gładko ogolonego, szczupłego prowadzącego, który siedzi w nowocześnie urządzonej studiu z wielkim ekranem za plecami i szklanym blatem oddzielającym go od gościa.

Drugiego z mężczyzn rozpoznaję natychmiast po zaplecionej w warkoczyk brodzie.

– A z nami w studiu Wiktor Rutecki, dziennikarz z Torunia, który od samego początku śledzi sprawę zaginięcia Ireny S. – informuje prowadzący.

– Dzień dobry. – Rutecki się uśmiecha i kłania do kamery.

– W felietonie, który przed chwilą obejrzelismy, nasz reporter przypomniał wszystko to, co poprzedzało tajemnicze zaginięcie dróżniczki z Torunia, ale zdaje się, że dotarł pan do nowych wątków w tej sprawie. – Mężczyzna w marynarce i pod krawatem zwraca się do Ruteckiego.

Toruńskiego dziennikarza przejmuje druga kamera i jego postać wypełnia ekran.

– Sytuacja wygląda tak, że obecnie policja, chociaż wciąż nie potwierdza tego oficjalnie, weryfikuje, czy ktoś bliski ofiar tragedii, która wydarzyła się wcześniej na strzeżonym przez dróżniczkę przejeździe w Toruniu, nie ma związku z zaginięciem Ireny S. – zaczyna Rutecki.

– Zaraz, zaraz – przerywa mu prowadzący i realizator natychmiast przełącza kamerę na niego. – Mówi pan o tej nocnej wrześnieowej tragedii na strzeżonym przejeździe kolejowym, kiedy to zginęły dwie osoby, czterdziestokilkuletni mężczyzna i jego nastoletnia córka. Nikt więcej nie jechał tym samochodem, co oznacza, że mówiąc o kimś bliskim ofiar, ma pan na myśli żonę Piotra K. i jednocześnie macochę nastolatki?

– Tak, myślę o żonie tragicznie zmarłego znanego toruńskiego dewelopera.

– To poważne oskarżenie. Proszę zatem o przekazanie opinii publicznej faktów, które, jak rozumiem, są panu znane. Co udało się panu ustalić w tej sprawie?

– Dotarłem do osób, które potwierdziły, że Anna Kowalska, bo o niej mowa, była widziana kilkakrotnie pod domem Ireny S., w tym ostatnio w dniu jej zaginięcia. Stał tam jej samochód, a świadkowie potwierdzają, że Kowalska była na miejscu.

– Ktoś widział, jak dróżniczka wsiadała do jej samochodu? – Mężczyzna poprawia kartki na blacie. W jego dłoni tkwi długopis.

– Nie, ale....

– Może w takim razie tego feralnego dnia widziano je razem?

– No nie, tylko że...

– Odpowiedzi na te pytania wydają się kluczowe, nie sądzi pan? – przerywa mu prowadzący. – Jeśli ich nie poznamy, będziemy obracać się jedynie w sferze domysłów, a one nie powinny być przedmiotem dziennikarskiego zainteresowania.

Rutecki tężeje na chwilę.

– Jestem przekonany, że wkrótce ustalenia policji zbiegną się z ustaleniami mojego dziennikarskiego śledztwa.

– Co konkretnie ma pan na myśli? – wybija go z rytmu prowadzący.

Rutecki drapie się po brodzie, jakby rozważał, do czego może się posunąć.

– Jutro opublikujemy reportaż o Annie Kowalskiej i jej tajemniczej przeszłości. Udało mi się potwierdzić kilka mrożących krew w żyłach faktów...

– Jakich na przykład?

– Chociażby to, że kobieta, o której mówimy, dawno temu była zamieszana w sprawę niewyjaśnionego zaginięcia swojej szkolnej przyjaciółki, Wioli Raszyńskiej, ze wsi Pasowiec w Małopolskiem.

– O, teraz rzeczywiście robi się ciekawie – stwierdza gospodarz programu. – I sądzi pan, że...

Ze strachu wyłączam telewizor.

Wzbierająca fala mdłości gna mnie do łazienki.

WCZEŚNIEJ

Kolejny raz zaparkowałam pod blokiem Sowińskiej i sterczałam tam niemal godzinę.

Parking ciągnął się wzdłuż drogi prowadzącej do dwóch szkół, samochody stały prostopadle do jezdni w długim szeregu. Przed sobą miałam niewielkie stare bloki, odnowione i pomalowane w żywe kolory. Na jednej ze ścian widniał mural z Kopernikiem. Osiedle mieściło się tuż przy Uniwersytecie Mikołaja Kopernika i zapewne nie było na nim żadnego wolnego mieszkania. Studenci i ich rodziny nie przepuszczały takiej okazji, a jeśli ktoś chciał sprzedać lokal, szybko znajdował kupca.

Zięb przeciskał się do wnętrza wozu. Sprawiał, że traciłam czucie w stopach, próbowałam nimi tupać o gumowy dywanik, poruszać palcami, ale niewiele to dawało. Trzęsłam się z zimna. Uruchamiałam co jakiś czas silnik i ogrzewanie, ale wolałam nie zwracać na siebie uwagi, więc dmuchawa pracowała krótko i kabina nigdy nie zdążyła się nagrzać.

Tego dnia Sowińska musiała wyjść z domu i zgłosić się na komisariat, odhaczyć się.

Nie sądziłam, by zrywała się tak wcześnie, ale nie chciałam tego przegapić, dlatego byłam tu od samego rana.

Zrobi to pewnie tak jak poprzednio, godzinę po tym, jak mąż pojedzie do pracy, a młodszy syn wyjdzie do szkoły. Starszy siedzi w Anglii.

Nigdzie wokół nie dostrzegłam forda, ale wiedziałam, że nie musi go tu być, bo byłam kolorowym punktem na mapie, na ekranie telefonu lub laptopa detektywa, mógł wpatrywać się w niego podczas śniadania, daleko stąd.

Celowo wzięłam samochód, bo chciałam go wprowadzić w błąd. Zmylić tym miejscem oraz faktem, że niczego tu nie znajdzie. Bo nie szukał Sowińskiej, nie szukał nici, która mnie z nią łączyła.

Myślałam o tym, gdy w końcu zauważyłam kobietę z małym psem na trawniku przed klatką.

Czarny kundel z siwiejącym pyskiem miał ogon zwinięty jak u świni, owłosiona pętla spoczywała na zadzie. Obwąchiwał trawę i przystawał, a ona kuliła się w płaszczu i odwracała od wiatru. Pies napiął smycz i wciągnął ją na trawnik. Kobieta zrobiła dwa kroki przed siebie i schowała na chwilę dłonie do kieszeni kurtki. Kiedy je wyciągnęła, wicher gwizdał przeraźliwie, a z jej kieszeni wypadło coś w trawę, ale ona już tego nie słyszała, bo szła za psem, trzymając w rękach paczkę chusteczek higienicznych, z którą walczyła w porywach wiatru. Udało jej się wydmuchać nos i wrzucić zmiętą chusteczkę do kosza. Pies znowu przystanął i obsikał murek. Stali tak jakiś czas, w końcu Sowińska pociągnęła za smycz i razem z psem zeszła z trawnika.

Ominęła kałużę, która wrzynała się w koślawy chodnik ze splekanych płyt. Patrzyłam na nią, gdy przechodziła kilka metrów od maski samochodu, po drugiej stronie jezdni. Nie odwróciła głowy w moją stronę, znikła mi z oczu.

Nie zauważyła mnie ani razu, zawsze mijala mnie jak powietrze. Była jak zaprogramowany robot.

Odczekałam, licząc do trzydziestu, a potem wysiadłam z samochodu i zapomniałam o zimnie.

Odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy kobieta nie zorientowała się, że coś zgubiła. Widziałam ją kawałek stąd, oddalała się z pochyloną głową i psem przy boku.

Weszłam na trawnik i starałam się odnaleźć to miejsce, w którym stała. Rozejrzałam się, by sprawdzić, czy ktoś mnie nie obserwuje, spojrzałam w okna bloku, ale nikogo w nich nie dostrzegłam.

Wokół żywej duszy.

Spuściłam głowę, przyjrzałam się trawie i w końcu natrafiłam na zgubę.

Klucze.

Trzy zwykłe klucze na metalowym kółku pozbawionym breloka, po którym został krótki łańcuszek.

Były zimne.

Impuls kazał mi się stąd zabierać.

Wsiadłam do samochodu i już wiedziałam, że zrobiłam błąd, ale nie umiałam się wycofać. Nie chciałam tego robić.

Wyjechałam z parkingu i skierowałam się na Reja, potem skręciłam w Broniewskiego i przyspieszyłam na prostej. Nie hamowałam, gdy przy przejściu dla pieszych zniknęło „zielone” i rozświetliło się „żółte”. Pojechałam dalej i dopiero po chwili skręciłam na parking przed galerią. Było dużo samochodów, ale postanowiłam wjechać na parking wielopiętrowy. Wolne miejsca w pobliżu wejścia do Plazy były na trzecim, czerwonym, poziomie.

Dygotałam i ze stresu, i z zimna.

Podbiegłam do wejścia i dopiero kiedy zostawiłam za sobą lodowaty wiatr, zwolniłam, starałam się uspokoić. Docierały do mnie muzyka z głośników i gwar galerii.

Ruchomymi schodami zjechałam na parter i odnalazłam w rogu niewielki zakład usługowy, w którym mężczyzna w okularach naprawiał but. Zauważył mnie, gdy stanęłam przy ladzie, i go odłożył. Otarł dłonie o granatowy fartuch. Podszedł, niosąc ze sobą smród butaprenu.

Posłałam mu uśmiech, a on, onieśmielony, próbował go odwzajemnić. Był nieco wyższy ode mnie.

Poprawił okulary, a potem wytarł dłonie w brudny ręcznik.

– W czym mogę pomóc? – spytał w chwili, kiedy położyłam na ladzie pęk kluczy.

– Chciałabym je dorobić.

– Wszystkie? – Wziął kółko do ręki i przyglądał się im, a potem wskazał na stojak z kolorowymi kluczami. – Proszę sobie wybrać.

Wybrałam dwa niebieskie i jeden czerwony.

Emeryt w spodniach w kant i brudnych butach sportowych zatrzymał się przy mnie i spytał sprzedawcę o brązowy pasek do zegarka, ale nie było już brązowych, zostały same czarne. Starszy człowiek odszedł niepokieszony, ale tylko na dwa kroki, bo chwilę później wrócił, żeby zapytać, kiedy będą brązowe, a że będą za dwa tygodnie, to obiecał, że wróci. Ale nie odszedł, tylko się rozglądał, patrzył na wyłożone w oświetlonej witrynie bransolety, jednak bransolety to nie dla niego, powiedział głośno, bo kiedyś mu się rozpięła i zgubił zegarek w pociągu, a od czasu, jak nosi paski, ma święty spokój. Wolał pasek.

Kiedy w końcu poszedł, odezwałam się do sprzedawcy.

– Ten – podałam mu czerwony klucz – niech będzie do domofonu, a niebieskie do drzwi wejściowych.

Kiwnął głową i ponownie przyjrzał się kluczom. Po chwili pokazał mi jeden z nich, miedziany, zabrudzony w zagłębieniach.

– To chyba ten, prawda?

– Wiedziałam, do kogo przyjść. Prawdziwy z pana fachowiec – pochwaliłam go.

– Ależ skąd. – Zawstydził się i poczerwieniały mu policzki. – Po prostu tamte dwa są jednej firmy, więc raczej od drzwi do mieszkania.

Kiedy mówił, spuścił wzrok i nie patrzył w moją stronę.

Zdjął klucze Sowińskiej z kółka i po kolei zamontował je wraz z kolorowymi kluczami w dwóch jakby połączonych ze sobą obrabiarkach. Włączył maszynę, a potem przejechał czujnikiem po kształcie nacięć w oryginalnym kluczu, i wtedy w tym kolorowym

pilnik z głośnym zgrzytem odwzorował mniejsze i większe wcięcia, wnikając z chrobotem w kolorowy metal.

I tak trzy razy.

Mężczyzna przetarł klucze szmatką, po czym dobrał brelok z drewnianą ozdobą.

Zapłaciłam kartą i zniknęłam z jego życia.

Wróciłam na miejsce, na parking przed blokiem. I na trawę, gdzie zostawiłam klucze.

Nie miałam pojęcia, ile mnie tu nie było. Nie spojrzałam na zegarek.

Zdecydowałam się czekać w samochodzie, chociaż tym razem nie trwało to długo. Widziałam, jak szła od strony Reja. Chodnik był prosty i długi, a ona szła szybko, rozglądając się dokoła i co rusz wbijając wzrok w ziemię, jakby czegoś szukała.

Zbliżała się. Jej twarz była pełna napięcia. Weszła na trawnik razem z psem, stawiała małe kroki, odwracała się i znowu szła do przodu. Wreszcie z ulgą odnalazła zgubę.

Kucnęła, po czym szybko rozprostowała nogi i energicznie otrzepała klucze z resztek ziemi, bo nieco je przydeptałam. Zacisnęła je w dłoni jak skarb.

Sowińska i pies zniknęli w klatce schodowej, a ja nie mogłam się doczekać kolejnego razu, kiedy kobieta pojedzie na policję.

Dorobione klucze do jej mieszkania grzały moją dłoń.

Spojrzałam na nie i wiedziałam, że naprawdę chciałabym zrobić to, co zesłał mi los.

TERAZ

Leżę w łóżku, otulona ciemnością i ciszą. Położyłam się wcześniej, ale nie mogę zasnąć. Słyszę tylko swój oddech, wdech i wydech, i szelest kołdry, kiedy kolejny raz przewracam się z boku na wznak. Kładę dłonie na gładkiej skórze brzucha i myślę o sobie jak o matce. Myślę o mojej matce, o matce Wioli, o wszystkich matkach, które spotykam codziennie, mijam na ulicy, nie zdając sobie z tego sprawy. Słowo „matka” zdefiniuje mnie tak samo jak „wdowa”, „żałobnica”, jak „suka”.

Chcę mieć to dziecko, a jednocześnie nie chcę, żeby miało taką matkę. Ale już za późno, już się stało. Ono rozwija się we mnie, a ja rozwijam się dla niego. Zmienię się, przeobrażę, jak każda matka dla swojego dziecka.

Nie umiem wyobrazić sobie siebie w nowej roli, ale tak samo nie umiałam przecież wyobrazić sobie siebie jako nastolatki, a później kobiety, żony czy macochy.

Jestem sobą tylko dziś. Nie ma mnie we „wczoraj”, nie widzę siebie tam, gdzie „jutro”.

Odgarniam kołdrę i podciągam górę od pizamy, tak żeby odsłonić brzuch, unoszę biodra i zsuwam spodnie, nie dalej niż do linii włosów łonowych. Włączam lampkę i z zamkniętymi oczami sięgam po telefon.

Robię kilka zdjęć, na których widać jedynie mój brzuch i palec wskazujący, skierowany do pępka. Czytelny sygnał.

Żadne zdjęcie mi się nie podoba, więc poprawiam ułożenie piżamy, kołdry, układam się inaczej do światła. W końcu łapię ten jeden jedyny kadr, przycinam go do kwadratu i puszczam w świat z odpowiednio dobranymi hashtagami i ułożonym w głowie tekstem.

Nie robię tego w przypiływie macierzyńskiej euforii, puszczam wiadomość w świat do rodziny męża, a głównie do jego siostry, żeby przestali myśleć o spadku.

Gaszę światło, poprawiam piżamę i otulam się kołdrą. Chcę zasnąć w pozycji embrionalnej.

Oczyrna wyobraźni widzę płynące z serca gratulacje. Wyciszony telefon pomrukuje długo, a ja wypływam ze swoimi myślami w daleki rejs. Kreślę koła nad wzburzonym morzem, jakbym była mewą. I krzyczę tak samo jak ona.

Do rzeczywistości przywołują mnie dłuższe brzęczenie aparatu i jasność bijąca z ekranu.

Wiem, kto dzwoni, bo znam ten numer na pamięć, ale nigdy go nie zapisuję. Chociaż teraz już mogę.

Ocieram mokre policzki.

– Halo – mówię, ale dochodzą mnie tylko jakieś trzaski, dopiero po chwili słyszę jej płytki oddech.

– To ja – mówi kobieta.

– Wiem, mamó – odpowiadam i łzy same zaczynają spływać do ust.

– Nie przyjeżdżaj tutaj – nie rozkazuje, tylko prosi.

Znam jej tembr głosu i wiem, że chociaż ten brzmi mocno jak stal, matka ukrywa w nim prośbę i ostrzeżenie.

– Tu już wszyscy wszystko wiedzą – dodaje spokojnie. – Po tym programie w telewizji.

Kiwam głową i tłumię szloch. Zbieram się w sobie dłużej, niżbym chciała.

– Kto to zrobił? – pytam z nadzieją, że się dowiem, że to mi tak wiele ułatwi.

– Nie wiem – odpowiada.

Zalewa mnie zimny strach.

Opowiadam jej o tym, co znalazłam u Piotra. Mówię o aktach zaginięcia Wioli, o mojej broszce i o plakacie.

Słucha, a ja w wyobraźni widzę, jak siedzi ze spuszczoną głową w kuchni, przy stole przykrytym jasną ceratą, jak bawi się jej różkiem, wsuwa go pod poźółkły paznokieć. Kuchnia jest niewielka, kwadratowy stół stoi w rogu przy narożnej ławce i właśnie stamtąd dzwoni moja matka.

W mojej głowie zostaje jednak jej obraz sprzed nastu lat, wizerunek silnej fizycznie kobiety o krzepkich ramionach i rękach, które umieją naprawić płot, mają dość siły, by przerzucić górkę węgla do komórki.

Nigdy nie poznała mojego męża. Nie była na moim ślubie. Nie widziałam jej na żywo od wielu lat. Nie licząc jednego przypadku sprzed roku, kiedy wzięłam kilka dni urlopu i pojechałam z Elą, żoną Marcina, na długi weekend do Krakowa. Któregoś dnia zamiast pójść na masaż, powiedziałam, że boli mnie głowa i że chciałabym odpocząć. Wsiadłam w samochód i po godzinie drogi zjeżdżałam z zalesionego wzniesienia w stronę nasłonecznionej doliny, nad którą królowała drewniana wieża kościoła, a z obu stron drogi rozpościerały się domy, a nieco dalej pola zbóż.

Skręciłam w lewo, dwie przecznice przed świątynią, tuż za warsztatem samochodowym, i przejechałam kilkaset metrów do sklepu, który kiedyś dźwigał w oknach tęgą rdzewiejącą kratę, a dziś był odnowionym budynkiem z nowoczesnym neonem i rozsuwanymi na fotokomórkę drzwiami.

Zaparkowałam wóz nieco dalej i obserwowałam dom rodzinny, na lewo od wejścia do sklepu.

Jednopiętrowy szary budynek z płaskim dachem, z niewielkim ogrodem, w którym jako dziecko spędzałam niemal każdą chwilę wiosny i lata. W piaskownicy i na bujaczce z opony, którą zrobił mi ojciec. A potem na tej samej solidnej konstrukcji z grubych bali

zawiesił drugą oponę dla Wioli. Krótco potem zmarł na zawał, a ja zapamiętałam go uśmiechniętego, ze śrubokrętem w dłoni, kiedy wpatrywał się we mnie na bujaczce, roześmianą, gdy pęd powietrza targał moje długie do pasa włosy.

Wpatrywałam się w ten dom i okna kuchni, ale nie widziałam żadnego ruchu.

Kilkadziesiąt minut później na progu domu pojawiła się moja matka. Tęga kobieta stawiała drobne kroki na spękany betonowym chodniku. Jedną rękę trzymała na biodrze, które dawno temu jej dokuczało, w drugiej zaciskała siatkę na zakupy. Szła w klapkach. Czas jej nie oszczędził. Zdrowia też.

Zacisnęłam dłonie na kierownicy i poczułam szybsze uderzenia serca.

Chciałam rzucić się i biec do niej, wpaść jej w objęcia, ale nie mogłam tak postąpić, nie po tym, co dla mnie zrobiła.

Odprowadziłam ją wzrokiem do sklepu i gdy drzwi się za nią zamknęły, czas jakby stanął w miejscu. Nie mogłam się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę.

W końcu wyszła z wypełnioną w połowie siatką. Miałam wrażenie, że spojrzała w moją stronę. Ale zaraz odwróciła głowę i skierowała się do domu, wlekąc za sobą po dziurawym asfalcie krótki czerwcowy cień.

Odjechałam spod sklepu i przecięłam główną drogę, ustępując pierwszeństwa najpierw tirowi, a potem motocykliście.

Ruszyłam dalej w stronę kępy wysokich brzoź, które rosły wokół parafialnego cmentarza i wzdłuż jego głównej alei.

Zaparkowałam w pobliżu bramy, przy dwóch innych samochodach, i czułam, jak drżały mi nogi w drodze do grobu ojca. W bocznych alejkach dostrzegłam kilka osób, ale wszyscy byli zajęci swoją pracą.

Trochę błędziłam, zanim dotarłam do właściwego nagrobka.

Kucnęłam, żeby nie rzucać się w oczy.

Granitowa płyta była wmyta i czysta, pozbawiona warstwy żółtego sosnowego pyłku, który oblegał inne pomniki. Stał na niej jeden niewielki szklany znicz z resztką stearyny. Mały ogień pełgał pod przykrywką.

Wiem, że matka często tu przychodziła.

Spojrzałam na wyryte złotymi literami imię i nazwisko ojca oraz owalną fotografię w sepii, przedstawiającą młodego i przystojnego mężczyznę o szczupłej, gładko ogolonej twarzy, z wyraźnie zarysowaną linią gęstych brwi i wysokim czołem zdobionym nieznacznymi zakolami. Włosy miał zaczesane do góry.

Wyjęłam z torebki plastikowy znicz i go zapaliłam. Kiedy ogień zsunął się po knocie do stearyny, zatknęłam wieczko i odstawiłam lampion na środek płyty, wspominając ojca. Spędzone z nim chwile przelatowały mi pod powiekami, czułam jego szorstkie, spracowane dłonie, kiedy przykładał je do moich policzków, żeby niedługo potem pocałować mnie w czoło.

Dobiegł mnie rytm kroków gdzieś za plecami, ale nie odwróciłam się od razu. Odczekałam jakiś czas i dopiero wtedy dyskretnie się rozejrzałam.

Mężczyzna, widziałam jego plecy między granitami. Poszedł dalej, nie odwracał się, a ja w swojej ostrożności wolałam poczekać, aż zupełnie zniknie mi z oczu.

Dopiero wtedy pożegnałam się z ojcem.

Zniknęłam z Pasowca tak szybko, jak się tu pojawiłam.

Wieczorem, z telefonu hotelowego, zadzwoniłam do matki i powiedziałam jej, że widziałam ją pod sklepem.

– Ja ciebie też, córcia – odparła i obie zaczęłyśmy płakać.

A teraz ponownie słyszę jej głos.

– Musisz uważać – ostrzega mnie. – Proszę, przysięgnij, że będziesz uważała.

Przysięgam, ale nie mogę tak zakończyć tej rozmowy.

– Czy w sprawie Wioli ostatnio się coś wydarzyło? – pytam, kiedy odzyskuję grunt pod nogami i mogę skupić się na działaniu.

Wiem, że ojciec Wioli nie żyje od kilku lat, zmarł w szpitalu powiatowym po zbyt późno przeprowadzonej operacji wyrostka i po tym, jak rozwinęła się u niego sepsa. Nigdy się nie dowiedział, co stało się z jego córką.

Cisza, która brzmi w słuchawce, jest złowroga.

– Od czasu do czasu jakiś pijak mówi, że ją tu widział – odzywa się matka.

– Przecież to niemożliwe – stwierdzam.

– Miesiąc temu. Tak ludzie we wsi gadali – kontynuuje ze spokojem, którego mi brakuje.

– Kto ją widział?

Nie odpowiada.

– Mamo?

Cisza.

– Mamo, kto ją widział? – powtarzam.

– Nie przejmuj się, córuś. Ludzie tak mówią, ale ludziom lepiej nie ufać. Pamiętaj o tym.

Kiwam głową.

– Nie ufaj nikomu i uważaj na siebie – dodaje moja matka, ale nie odkłada słuchawki.

– A ty mi wierzysz? – Zawieszam głos i nie liczę na odpowiedź. – Ufasz mi?

Nie odzywa się, a ja już nie chcę znać odpowiedzi na te pytania. I nagle nawiedza mnie inna myśl. Korzystam z okazji, że mama wciąż się nie rozłączyła, nie wiem, czy to dobry moment i czy w ogóle powinnam coś mówić, ale jednak to robię, wbrew sobie, bo słowa wypalają mnie od wewnątrz.

– Mamo? – Chcę, żeby jeszcze tam była, i potulnie czekam na jej sygnał.

Trwa to jakiś czas.

– Tak? – odzywa się.

I wtedy zamieram. Gardło mam ściśnięte i nie sędzę, żeby wydoślały się z niego słowa, a jednak słyszę swój głos. Inny, odmieniony.

– Jestem w ciąży.

Jej oddech jest miarowy i trwa krótko, bo nagle zagłuszają go trzaski.

I w słuchawce zapada martwa cisza.

TERAZ

Nad ranem budzi mnie huk zgniatanych blach, brzęk rozsypywanych drobin szkła na asfalcie. Nieznośny grzechot.

Zrywam marę z powiek, otwierając je szeroko i wpatrując się w nieznaczną linię pęknięcia na suficie. Dudni mi serce, ale stukot pociągu oddala się i cichnie.

Dzień bez słońca, szary, jakby ta szarość zwieszała się z gęstniejących chmur, zwartych i zbitych w ciasną, jednolitą masę.

Sięgam po telefon.

Żadnych połączeń, za to kropka przy ikonie Instagrama.

Klikam więc i nie wiem, czy nie powinnam żałować nocnego posta o ciąży, o mężu, którego nazywam ojcem dziecka, o tragedii, o śmierci, która jak na ironię zostawia we mnie nowe życie.

„Gratulacje”.

Serduszka. Emotikony z serduszkami. Emotikony miłości, radości i szczęścia, serca w pocałunkach, serca w oczach, gwiazdki w oczach, duże serca.

„Gratulacje, gratulacje, gratulacje”.

Lista jest długa, ale w tym polu radości mocno korzenia się chwasty i kłują jak oset.

kto cię zapylił, Piękna?

czyżby nawiedził cię nieboszczyk? XD

prawdziwe niepokalane poczęcie buhahaha

Jad.

Jad, węże. Wężowisko. Wężowe słowa, które wślizgują się do uszu, gdy przeglądam nowe zdjęcia kutasów, obwisłych jąder, gdy widzę krople gęstej spermy na owłosionych udach i gdy czytam obleśne propozycje. Nie jestem dla nich kobietą. Jestem suką, waginą. Nie ma we mnie nic prócz cipy.

Sprawdzam wiadomość od catwomenthorn02.

„Uważaj”.

Groźba. A może ostrzeżenie.

W odpowiedzi zostawiam znak zapytania i gaszę ekran.

Narasta we mnie paniczny strach przed wyjściem z domu. Przestaję się czuć bezpiecznie, dlatego piszę esemesa do taksówkarza i proszę go o pomoc. Wysyłam listę zakupów.

Przywozi je po godzinie w reklamówce, ale nie wchodzi do domu, rozliczamy się na korytarzu.

Nie jestem sobą, a on to widzi, ale nie pyta o nic, oferuje tylko pomoc, mówi, że jeśli trzeba, to przyjedzie, zawiezie mnie lub zrobi zakupy. Dziękuję i chowam się w mieszkaniu, a potem obserwuję go przez wizjer, jak pociera siwą brodę, oczekując na windę. Nie patrzy na drzwi, sięga do kieszeni po fajkę i przypatruje się drewnianemu cybuchowi.

Przestępuje z nogi na nogę i wsuwa mały palec do fajki, dłubie w niej, a potem ściąga ustnik i dmucha w cybuch. Nabiera powietrza do ust, aż policzki puchną mu jak u trębacza.

Winda nie przyjeżdża, więc wybiera schody i znika na chwilę z mojego życia.

Rygluję drzwi i zanoszę zakupy do kuchni. Nie rozpakowuję ich, tylko zostawiam pękatą reklamówkę na stole i sięgam po złożoną, zatkniętą w nią gazetę.

Idę do salonu.

Papier szeleści, gdy szukam zapowiadanego w telewizji przez Ruteckiego artykułu. Zajmuje prawie całą stronę. Zamiast na

własne zdjęcie patrzę na fotografię Wioli, tę samą, którą znam z plakatu.

„Prawie jak siostry, czyli śmierć u progu wakacji” – tak brzmi tytuł.

Czytam.

Pochłaniam litery na szarym papierze, który brudzi mi palce, ale nie zważam na to, bo jak za sprawą wehikułu czasu wracam do Pasowca, jednej z wielu podkrakowskich wsi.

Stoję przed ścianą lasu i wiem, że jeśli ją przekroczę, na nowo odkryję w sobie to, o co nigdy bym siebie nie podejrzewała.

To się tam czai i pulsuje.

DAWNO TEMU

Wydaje mi się, że płacze.

Jęki są głośne, przejmujące, uderzają jak fala podszyta bólem. Słyszę je, gdy najciszej, jak umiem, skradam się do zapadnięcia terenu otoczonego krzewami, w których kryje się szałas.

Nasze schronienie i przystań.

Zachodzące słońce tnie las na wzgórzu Pasowca długimi, niemal poziomymi pomarańczowymi promieniami, które wciskają się między wysokie, strzeliste pnie sosen.

Miała na mnie czekać – i czeka, ale nie wiem, co się wydarzyło ani dlaczego płacze.

Nie widziałyśmy się przez weekend, bo wyjechałam do babci, a dziś Wioli nie było w szkole. Informację przekazała mi jej starsza kuzynka Ada.

– Będzie tam, gdzie zawsze, przed dwudziestą – rzuciła z niechęcią koścista i wysoka dziewczyna, jakby na wpół obrażona, gdy minęłyśmy się w szatni przy sali gimnastycznej.

Wybiegam ze szkoły, pedałużę do domu, porzucam rower za furtką, odgrzewam sobie obiad. Czas biegnie wolno, w rytm tykania zegara. Nie idę do niej, bo z jej domem związana jest część mojej tajemnicy, tylko czekam na tę chwilę.

Chciałabym już się wymknąć na zalesione wzgórze, kiedy mama wyjdzie do sąsiadki. Na razie jednak wróciła z pracy i każe mi siedzieć w domu, nigdzie nie wychodzić i odrabiać lekcje. Obiecuję jej to, kłamię, jak tylko potrafię. Potem rozkładałam u siebie na stole

książki i zeszyty. Z pokoju mamy dobiega odgłos telewizora. Próbuje odrobić matematykę, ale myśli mam niespokojne, a algebra nie lubi chaosu.

Odrabiam też zadania z innych przedmiotów, próbuję czytać *Misery* Kinga, ale co chwila wracam do tego samego akapitu, wciąż czytam go na nowo i horror, pętla czasu z demoniczną pielęgniarką Annie Wilkies, staje się moją rzeczywistością.

Kiedy dochodzi ósma, orientuję się, że w domu jest cicho, telewizor zgasł, a matka wyszła. Patrząc na zegarek i sama nie wiem, jak to się stało, ale już rozumiem, że się spóźnię. Przebieram się w legginsy i zwykły T-shirt. Chowam rower do zamykanej na skobel komórki, jak prosiła matka, i biegnę w stronę leśnego wzgórza, które przecina asfaltowa droga. Mijam domy, biegnę gruntową trasą przez pole, ale kiedy zaczyna się stromizna, gubię oddech i odczekuję kilka minut, wsparta na kolanach, aż minie mi bolesna kolka. Dyszę głośno, odwracam się, rzucam okiem na pogrążony w upale Pasowiec, na drgające powietrze, na jadący w oddali ciągnik i trwającą budowę domu po prawej, gdzie w betoniarce chlupocze gęsta masa, a silnik rzezi i zawodzi na zmianę.

Ruszam dalej, przez zapuszczoną łąkę, wąską, wydeptaną ścieżką pod górę. Najpierw truchtem, kawałek dalej już tylko szybko maszeruję i zmęczona, z mięśniami ud zbitymi w bryłę, stoję przed lasem. Ciepły powiew wiatru nie przynosi mi ulgi. Mam sucho w ustach, dałabym wszystko za łyk zimnej wody.

Wsuwam się między drzewa, tnę las na skos, ku szczytowi wzniesienia. Znam to miejsce doskonale, idę na pamięć i wreszcie słyszę ten urywany szloch.

Ale coś nie pozwala mi biec. Skradam się po cichu, jak pies przechodzę pod naturalną barierą, granicą dla niepowołanych, i prostuję się w chwili, gdy dociera do mnie, że to wcale nie jest płacz. To suma niepokojących dźwięków.

Dopiero teraz je słyszę.

Coś jak sapanie. Krótkie i zwarte. Wzmaga się, intensywnieje. A wtedy z gardła Wioli uwalnia się pisk, który brzmi zwierzęco.

Na palcach podchodzę do wejścia do szałasu i widzę jej dłoń zaciśniętą w pięść na kępie suchej trawy, a dalej nogę. Gołe chude udo, naprężoną łydkę, bosą stopę i piętę wbitą w wydeptane runo. Podwija palce stopy. Przesuwam się dalej. Między jej udami dostrzegam owłosione nogi, zsunięte do kostek spodnie, które przysłaniają buty. Mężczyzna porusza biodrami, unosi je i uderza w szaleńczym rytmie.

Nie widzę ich twarzy, ale słyszę rwane oddechy.

Świat czernieje mi pod powiekami.

Chcę krzyknąć, ale zakrywam rozwarte usta dłonią, kiedy zdaję sobie wreszcie sprawę, na co patrzę.

Bezwiednie cofam się i następuję na gałąź.

Jej trzask brzmi jak wystrzał, jak sygnał do ucieczki, więc rzucam się w krzaki, panicznie chcę stąd zniknąć, przedzieram się przez gąszcz cierni, ranię skórę na rękach i twarzy. Gałęzie chwytają mnie i trzymają mocno, oplatają mnie, więc napieram z większą siłą. Walczę długo, ale w końcu zyskuję wolność.

Wybiegam z lasu i brakuje mi tchu.

W połowie drogi do pola, w połowie łąki, zatrzymuję się i odwracam, ale nikt mnie nie goni.

Powinnam biec dalej. Zamiast tego idę tyłem, wpatrzona w skraj lasu, gotowa w każdej chwili do dalszej ucieczki. I chociaż niczego tam nie dostrzegam, na samą myśl o tym, co widziałam, wolę znowu biec.

Nogi niosą mnie lekko. Pędzę z góry tak szybko, jak jeszcze nigdy. I tylko boję się, że mogłabym zgubić krok, upaść i się poturbować.

Dopadam do drzwi domu. Są zamknięte, czyli matka jeszcze nie wróciła. Sięgam po klucze i nerwowo przekręcam zamki.

W domu rządzi cisza.

Opieram się plecami o drzwi i wciągam w nozdrza znajome zapachy.

Myślę o tym, co się tam stało, kiedy napływa kolejna fala strachu. Spada na mnie z hukiem i ściąga na dno. Mój puls zagłusza wszystko.

Osuwam się na podłogę i płaczę z bezsilności, ale też dlatego, że czuję się winna.

Bo Wiola została zgwałcona.

Potrzebowała mojej pomocy.

Przez kilka dni Wioli nie ma w szkole, a moja skóra na przedramionach i twarzy pozbywa się drobnych zadrapań i stwardniałych bordowych strupów.

Codziennie nadrabiam drogi ze szkoły, żeby spojrzeć na jej dom i pusty ogród. Wciskam przycisk dzwonka przy furtce i słyszę, jak natarczywy, przytłumiony dźwięk dobiega z domu. Potem obchodzę narożną działkę i wpatruję się w jej okno na piętrze. Zbieram drobne kamyczki i rzucam nimi. Stukają o szybę, o ramę, czasem o parapet, a potem giną w trawie, a ja odchodzę, odwracając się z nienacka i licząc na to, że dojrzę jej twarz za szybą. Firanka wisi jednak nieruchomo.

I nagle dzień przed końcem roku szkolnego po trzech trafieniach w szybę Wiola pojawia się w oknie. Otwiera usta, mówi bezgłośnie, ale nie rozumiem, więc daję jej znak, by powtórzyła, a jednocześnie rozglądam się, czy na parterze nie obserwują mnie jej rodzice.

„O jedenastej pod lasem”, odczytuję słowa z ust Wioli i natychmiast odchodzę.

Lęk mości się w brzuchu i kostka lodu osuwa się wzdłuż kręgosłupa, stukając o wystające kręgi.

Wzdrygam się.

Matka martwi się, że chyba mam gorączkę, dotyka szorstką dłońią mojego czoła, a potem każe mi usiąść na taborecie w kuchni. Wkłada tabletkę polopiryny między dwie łyżki, ścisza je, rozgniatając ją na proszek. Dolewa odrobinę wody i roztwór

zaczyna delikatnie musować. Każe mi go połknąć, więc gorycz spływa na język, grudki leku popijam szybko ciepłą herbatą. Potem idę do siebie. Zamykam drzwi i kiedy przykrywam się kocem na łóżku, cisza wypełnia nasz dom.

Zapadam w sen i mam przedziwne koszmary. Drzewa i krzewy pętają mnie z zamiarem gwałtu. Unieruchamiają nogi i ręce.

Zrywam się ze snu w ostatniej chwili.

Wydawało mi się, że krzyczałam, ale otacza mnie ta sama cisza, która kołysała mnie do snu. Wsłuchuję się w nią, nadstawiam uszu. Nie słyszę kroków matki. Za

uchylonym oknem cykają świerszcze, a niebo rozświetlają gwiazdy.

Odrzucam koc i stąkam po skrzypiącej podłodze.

Naciskam klamkę.

Matka pochrapuje w swoim pokoju. Radio mruczy cicho na nocnym stoliku.

Wracam do pokoju i układam koc pod kołdrą w taki sposób, żeby wyglądało, że pod nią śpię.

Najciszej, jak potrafię, wymykam się przez okno. Okrażam dom i wychodzę przez furtkę, która skrzypi niemiłosiernie.

Cykanie narasta i faluje, gdy mijam pola i przechodzę przez łąkę na stromym zboczu, w kierunku lasu i czarnych koron sosen, które przysłaniają gwiazdy.

Odwracam się i patrzę na pogrążony we śnie Pasowiec.

Nikt za mną nie idzie, wokół nie widzę żywej duszy, więc liczę na to, że Wiola jest już na miejscu.

Kocham ten las za dnia i boję się go w nocy, ale drugi raz nie stchórzę. Poczucie winy każe mi iść naprzód, także wtedy, gdy zewsząd dopadają mnie dziwne odgłosy, jakby nocą las żył intensywniej. Kroczę jak po miękkim dywanie i w pewnej chwili dostrzegam światło latarki. Wiola mruga trzy razy krótko i raz długo. Rozpoznaję nasz umówiony znak.

Kieruję się w tamtą stronę i kiedy zbliżam się do otaczających szałas krzaków, widzę czarną postać.

– Wiola! – krzyczę z radości i wpadamy sobie w objęcia, z których ona szybko się wyzwala.

Kładzie palec na ustach i pokazuje na przejście.

Przepycham się przez krzaki, a ona za mną. Szeleszczą gałęzie, kolce wczepiają się w bluzkę i szarpią, jakby chciały mnie powstrzymać. W końcu wyprostowuję się przed wejściem do schronienia i czekam na Wiolę.

Mija mnie i wchodzi do szałasu, siada tam gdzie zawsze, na kocu, który zabrała psu z budy. Dlatego nazywamy ten szałas Budą Reksia, bo śmierdzi w nim psem.

Nie wiem, jak się zachować. Nie wiem, czy wolno mi pytać o to, co widziałam. Trzęsę się ze strachu i dzwonią mi zęby. Wiola włącza latarkę, a jej snop oświetla nasze buty, jej sznurowane adidas i moje spękane, porysowane długopisem trampki. W drugiej ręce trzyma zapalniczkę z wizerunkiem laski w bikini. Nie wiem, po co jej zapalniczka, skoro nie pali papierosów, ale lubi się nią bawić. Zgrzytają kamienie.

Światło sprawia, że mogę się uspokoić, ale jednocześnie zbyt boleśnie ściskam swoje chłodne dłonie.

– Muszę stąd zniknąć – mówi cicho.

Otwieram szeroko oczy, pytania cisną mi się na usta, ale nie zadaję żadnego z nich.

– Wtedy... – zaczyna Wiola i zawiesza głos.

Dobiegają mnie odgłosy lasu i nasze ciche oddechy, poszum wiatru gdzieś daleko nad naszymi głowami.

– Byłaś tu, prawda? – pyta, przekrzywiając głowę, a jej długa grzywka sprawia, że twarz znika w cieniu.

Kiwam głową i odpowiadam szeptem. I ta prawda przynosi mi nieprawdopodobną ulgę, zrzuca grzech zaniechania z barków.

– Przepraszam – dodaję, a łyzy turlają się do ust. – Gdybym się nie spóźniła, byłybyśmy razem, we dwie, i nic by ci się nie stało.

– Ciiii, siostrzyczko – uspokaja mnie i przytula.

Obejmuję kolana, a ona kładzie głowę na moim ramieniu. Mam wrażenie, że kołyszemy się lekko, jakby unosiło nas morze.

Dryfujemy tak jakiś czas.

Znowu chciałabym zadać jej kilka pytań.

– Kto ci zrobił krzywdę? – pytam.

– Ciiii. – Gładzi mnie po plecach.

To ja powinnam gładzić ją.

– Muszę uciec –szepcze Wiola.

– Uciec? – dziwię się. – Dlaczego?

– On mnie zgwałcił...

– Kto? – pytam, ale Wiola chyba mnie nie słyszy.

– Powiedziałam rodzicom, ale ojciec wyzywał mnie od dziwek.

Czekam na dalszy ciąg.

– Złał mnie i zamknął w domu, bo nie chciał, żebym wygadywała bzdury po wsi.

– Kto? – powtarzam, ale dociera do mnie, że raczej nie chcę tego wiedzieć. Że nie miałabym pojęcia, co z tą wiedzą zrobić, i modłę się w duchu, by nie powierzyła mi tej tajemnicy.

Wiola milczy, wbija wzrok w oświetloną, suchą trawę. Przystawia do niej zapalniczkę i ogień zaczyna drgać od naszych oddechów. Płomień szybko obejmuje suche źdźbło i we wnętrzu szałasów robi się jaśniej. Ogień przechodzi na sąsiednią kępę i Wiola natychmiast zdeptuje go butem, wzbijając chmurkę pyłu.

– Pomożesz mi? – odzywa się po dłuższej chwili.

Boję się tej prośby, ale tym razem jej nie zawiodę, więc zgadzam się na wszystko, o co prosi.

– Musimy iść – mówi i gasi latarkę.

Ciemność otacza mnie niespodziewanie i wzrok musi się przyzwyczaić, żeby dostrzec jakiejkolwiek kształty.

Wychodzimy z lasu w milczeniu i schodzimy dalej. Nie wiem, co miałabym powiedzieć, nie chcę jej pocieszać, ale

kiedy skręca w boczną ścieżkę, żeby pójść do domu, jednak zadaje pytanie.

– Dokąd chcesz uciec?

Wiola przystaje i się odwraca.

– Powiem ci – mówi. – Jutro wszystko ci powiem. Będę potrzebowała pieniędzy.

Oddała się, a ja patrzę za nią tak długo, aż znika w przecince między polami.

Ze wzniesienia zjeżdża samochód, snop światła tnie noc w Pasowcu i omiata wieżę kościoła. Wkrótce szum silnika cichnie, słyszę go tylko z oddali.

Wracam do siebie, podciągam się na parapecie i przechodzę przez uchylone okno. Wsuwam się pod kołdrę, ale powietrze gęstnieje jak smoła.

Z wrażenia długo nie mogę zasnąć.

Znowu nasłuchuję chrapania matki, ale śpi dziś wyjątkowo cicho. Ma zamknięte drzwi.

Układam koc pod kołdrę i wymykam się oknem.

Tym razem z komórki, gdzie trzymam rower, wydaję przygotowany stary plecak harcerski, który przez lata leżał nieużywany w mojej szafie. Sprawdzam baterie w latarce, a kiedy owal żółtego światła wyławia z mroku zardzewiałe grabie i łopatę, wyłączam ją i wrzucam do plecaka.

Chcę mieć to już za sobą.

Kieruję się w stronę lasu, wspinam się po łące, która szepcze cykaniem świerszczy. Lekki wiatr niesie smród spalenizny, bo niedawno spłonęło pobliskie pole zboża. Wieś tylko tym żyje. Policja spisuje zeznania, ale nikt nic

nie widział i nikt nic nie wie. A ja pamiętam zapalniczkę z wizerunkiem półnagiej dziewczyny.

Las przyjmuje mnie szumem sosen, który brzmi jak letni deszcz. Niebo znowu jest bezchmurne, a blask księżyca do tej pory rozświetlał mi drogę.

Krok za krokiem zbliżam się do Budy i kiedy jestem już blisko, włączam latarkę. Owal błądzi po korze sosen, po trawie i po krzakach. Przedostaję się do szałasu i rozsiadam się w nim.

Otwieram plecak i przekładam do zostawionej granatowej torby sportowej Wioli to, o co prosiła przez telefon. Trochę ciuchów, dwie bułki z serem, kilka konserw zabranych ze spiżarni i część pieniędzy w foliowym worku spiętym gumką, które odkładałam na prawdziwe adidasy. Forsa będzie teraz bardziej potrzebna jej niż mnie.

Czekam na nią. Czas się dłuży, robi się chłodno.

A Wioli wciąż nie ma.

Mogłabym pomyśleć, że to jej zemsta. Ale nie, nie chcę w to wierzyć. Wiola nie jest taka. Oskarżam ją bezpodstawnie i wpędzam się w jeszcze większe poczucie winy. Być może powód jest prozaiczny. Może tuż przed wyjściem nakryli ją rodzice.

Nie wiem, ile czasu już minęło, ale w końcu wychodzę z szałasem.

Las żegna się ze mną znajomymi dźwiękami, szelestem wiatru, pohukiwaniem sowy, trzaskiem gałęzi. Kiedy jednak wydostaję się z krzaków, wydaje mi się, że jestem obserwowana. Przystaję i się rozglądam, wpatruję się w nieprzenikniętą ciemność. Mój oddech przyspiesza, stawiam dłuższe kroki, znowu zerkam przez ramię, potykam się, ale nie upadam. W końcu biegnę ile tchu przed siebie i czuję się bezpiecznie dopiero na wydeptanej ścieżce na łące. Oddycham głęboko i uspokajam puls. Jest ze mną mój cień. Księżyc wisi za moimi plecami.

Wracam do Pasowca, mijam szumiące zboże po prawej, zatykam nos, żeby nie wdychać smrodu spalonego pola, zwęglonego rzyska, które znika na raty. Część spalonej niedawno ziemi jest już zaorana.

W niektórych oknach najbliższych zabudowań palą się światła, migają cienie.

Nie spodziewam się, że spotkam kogokolwiek pod zamkniętym sklepem z witryną ziejącą czernią. A jednak tuż przed wejściem, pod zadaszeniem, stoi dwóch mężczyzn.

Rozmawiają na tyle cicho, że nie dociera do mnie żadne słowo.

Zanim mnie zauważą i ich głosy ustaną, zdążę nałożyć kaptur i odbić w lewo. Nie odwracam się. Przyspieszam kroku, a pod moimi butami grzechocze żużel, głośno, jakby ktoś miał kamienie.

Kiedy po kilku minutach wrócę ostrożnie pod sklep, po mężczyznach nie będzie już śladu.

Podbiegam do ogrodzenia. Znowu jęczą zawiasy furtki, a gdy przedostaję się przez okno do pokoju, orientuję się, że mój plecak jest pusty, że musiałam gdzieś zgubić latarkę albo zostawić ją w szafasie.

Na szczęście nie jest mi potrzebna, bo w moim pokoju robi się jasno jak w dzień, a matka stoi na progu.

Drzwi, które otworzyła z impetem, uderzają w odbojnik i wpadają w drżenie.

– Gdzieś była? – Usta matki wykrzywia złość.

Drze się na mnie, nie chce słuchać wyjaśnień.

Wilgotna szmata smaga mnie po rękach i po plecach, gdy tylko się odwrócę.

Obrażamy się na siebie, a potem matka gasi światło w moim pokoju i długo kręci się po domu.

Słyszę szuranie jej kapci, ale w końcu zasypiam.

Rano budzi mnie słońce.

Na krześle wisi biała bluzka i rozpinany sweter, na drzwiach od szafy – granatowa spódnica. Na biurku w plamie wpadającego przez okno światła znajduję kocią broszkę. Bursztynowy nos i uszy świecą jak lawa.

Zapinam ozdobę na sweterku, a potem zaczynam się ubierać. Czuję zimne palce na swoim ciele, jakby nie były moje, jakby to nie był mój dotyk.

Stres nie pozwala mi przełknąć śniadania.

Matka pracuje w urzędzie gminy jako referentka do spraw podatków. Zanim zdążę wyjść z domu, rozdzwoni się stacjonarny.

– Wstałaś? – pyta, ale skoro odebrałam, to przecież zna odpowiedź, a mimo tego jęczę obrażona do słuchawki.

– No, dobrze, dobrze – mówi. – Tylko pamiętaj, po szkole prosto do domu – upomina ostro. – Żadnego włączania się.

Przypomina, że nie chce, żebym sprowadziła jej bachora, że mam się szanować. Nie bronię się i nie mówię, że poszłam się spotkać z Wiolą.

Nic nie rozumie, a ja ukrywam w sobie tajemnicę mojej przyjaciółki. Przecież obiecałam, że nikomu nic nie powiem, a zresztą gdybym chciała, to i tak nie wiem, kto zrobił jej krzywdę.

Obiecuję matce, że odbiorę świadectwo i będę czekała w domu.

– Obierz ziemniaki – dodaje na koniec.

Nie odkładam słuchawki, tylko kręcę do Wioli, ale kiedy odbiera jej matka, zrywam połączenie.

Całą drogę do szkoły myślę o mojej przyjaciółce, o jej ucieczce i o tym, że dziś wszystko mi opowie. Przyjdzie na rozdanie świadectw, więc potem, mimo obietnicy złożonej matce, pójdziemy gdzieś razem. Może na oranżadę, może do Budy Reksia.

Ale Wiola nie przychodzi do szkoły.

Nie ma jej matki ani ojca.

Uroczystość rozpoczyna się hymnem, słońce grzeje mi w plecy, wokół same białe koszule. Śpiewamy razem, setki gardeł niosą prostą melodię, a ja ledwie otwieram usta. Rozglądam się, chcę ją wypatrzeć gdzieś za rogiem budynku, jak wchodzi na plac i dołącza do naszej klasy.

Któryś z kolegów ciągnie mnie za rozpuszczone włosy, potem przejeżdża palcem po plecach, od łopatki w dół, że niby sprawdza,

czy mam łaskotki, ale tak naprawdę chce wiedzieć, czy włożyłam stanik. Chichoczą za mną, ale nie zwracam na to uwagi. Staję na palcach, żeby dostrzec przyjaciółkę. Później, kiedy przy mikrofonie staje dyrektor i głośniki wpadają w chwilowy nieprzyjemny pisk, podchodzę do wychowawczynie, siwiejącej, zasuszonej polonistki, ubranej w kwiecistą sukienkę.

– Gdzie jest Wiola? – pytam, ale wzrusza tylko ramionami i kładzie palec na ustach.

Uroczystość ciągnie się strasznie. Wywołują mnie na środek, a ja, idąc przez plac, spoglądam w stronę rogu budynku i zaklinam rzeczywistość.

Odbieram list gratulacyjny dla matki, odbieram książkę i świadectwo z paskiem. Odwzajemniam uśmiech polonistki, która dziarsko trzęsie moją ręką, a potem chwyta ją dyrektor.

Wracam na miejsca, gdy z głośników płyną kolejne nazwiska uczniów, mijam się z nimi na placu, oni w połowie drogi do długiego stołu z nagrodami, ja – do ustawionych jak na apelu klas.

Wnikam w tłum i oddycham swobodniej.

Dyrektor nachyla się do ucha wychowawczynie, ona potakuje i posepnieje, a przynajmniej tak mi się wydaje.

A Wioli wciąż nie ma.

Chodnik na rogu szkoły pozostaje pusty.

Przygryzam wargę, gdy wreszcie sztandar szkolny zostaje wprowadzony i możemy się rozejść. Wychowawczynie zatrzymuje nas i podaje numer klasy, daje klucz koleżance i informuje, że zaraz przyjdzie.

Kiedy idziemy wygrzanym od słońca korytarzem, widzę radiowóz przed szkołą i policjantów, którzy rozmawiają z dyrektorem. Skręcamy w prawo i wchodzimy po schodach.

Jestem na półpiętrze, kiedy zawracam. Coś mnie gna w dół. Któraś z koleżanek mnie woła, a ja proszę, by wzięła ode mnie list w sztywnych okładkach i książkę. Nie wiem, dlaczego nie oddaję jej również świadectwa. Obiecuję tylko, że potem zajrzę do niej do

domu. Świadecko zwijam w rulon, trzymam go w dłoni jak pałkę od sztafety.

Zbiegam po schodach i wychylam się zza filara, by dostrzec to, co dzieje się przed szkołą. Obok dyrektora gestykuje moja wychowawczyni. Rozmawiają z dwoma policjantami.

Wypadam bocznym wyjściem na oświetlony słońcem plac, z którego właśnie wróciliśmy, i przecinam go po przekątnej. Biegnę do rogu, tego samego rogu, na który wciąż się gapiłam, chcąc dojrzeć nadchodzącą Wiolę.

Potem czmycham przez dziurę w płocie i idę szybkim krokiem po gruntowej drodze, wzbijam kurz i widzę, jak w białe rajstopy wnika brud.

Ściskam świadecko i obiegam stary cmentarz od strony lasu, gdzie cień daje mi wytchnienie. Przeczekuję na poboczu, aż miną mnie samochody. Bluzka klei się do pleców, gorące podmuchy uderzają w twarz. Dmucha w grzywkę, która przywiera do zroszonego potem czoła.

Przechodzę po skosie przez jezdnię, czuję pod sobą ciepły i miękki asfalt i poboczem wbiegam na szczyt wzniesienia. Wpadam do lasu.

Chciałabym wykrzyczeć jej imię, ale obawiam się, że już jej tu nie ma.

Prawda dociera do mnie powoli i odbiera mi siły.

Czuję się oszukana.

Zaczynam płakać i rozumieć, że ten dzień miał nie nastąpić. Że Wiola już zniknęła. Stąd policja i stąd jej prośba, bym wszystko przyniosła wcześniej. Nie dziś, nie teraz, tylko wcześniej.

Rozumiem już, skąd te wczorajsze nocne odgłosy w lesie. Wiem, że czekała na mnie, dlatego czułam na sobie czyjeś spojrzenie.

Ale dlaczego nie chciała się ze mną zobaczyć?

Jestem przekonana, że zabrała wszystko, co dla niej miałam, i zniknęła.

Podchodzę do obniżenia terenu, którego strzegą kolczaste krzewy. Przeciskam się pod nimi, nie dbam o dziury w rajstopach ani

o sweter. Wyprostowuję się i spoglądam na szafas. A raczej na to, co z niego zostało, na zapadnięty dach i rozrzucone gałęzie, które kiedyś okrywały ściany. Pod jedną z nich znajduję coś, co sprawia, że włos jeży mi się na głowie.

Świat zwalnia bieg.

Odnajduję moją latarkę z pękniętą szybą. Jest umazana czerwienią.

Żołądek podchodzi mi do gardła i zaczynam się dusić. Kaszlę, ale to nie pomaga, wręcz jest gorzej. Kolana uginają się pode mną i już podpieram się dłońmi. Wstrząsają mną torsje.

Żółtawa breja chlusta mi z ust.

Dławię się, gdy następuje upragniony koniec.

Wypluwam gęstą ślinę, a po chwili żołądek znowu się we mnie okręca. Nie mam już czym wymiotować. Boli mnie gardło, ocieram usta wierzchem dłoni.

W panice wydostaję się z zagłębienia, walczę z krzakami, które rozdierają moje ubranie, drapią skórę do krwi.

Dopiero kiedy wbiegam na ścieżkę między polami, rzucam okiem w prawo, na dom Wioli.

Dom, przed którym dostrzegam radiowóz.

Wiola, moja przyjaciółka, zaginęła.

TERAZ

– Jeśli będzie się pani zbyt długo zastanawiać, wyślę radiowóz.

W słowach podkomisarz Leny Wolskiej nie ma żadnych uprzejmości. Jest zdeterminowana, znudzona moją grą. Chciałabym ją zapytać, czy policja zawsze działa pod naciskiem mediów, ale wolę w tej sprawie milczeć.

– Dobrze, przyjadę – poddaję się szybko i odkładam telefon.

Otwarta gazeta leży na skraju sofy. Z artykułu wprost wynika, że jestem zamieszana w dawne morderstwo, bo w zaginięciu Wioli po tylu latach po prostu nikt nie wierzy.

Dlatego jestem wszystkiemu winna. Przynajmniej zdaniem Ruteckiego, co między wierszami przeczytałam już kilka razy. A od godziny zapoznaję się z aktami sprawy Wioli, sfotografowanymi w prokuraturze i zapisanymi na płycie, którą znalazłam w sejfie męża.

Zamykam laptopa i dzwonię po taksówkarza, bo mimo że nigdzie nie dostrzegam samochodu detektywa, wciąż wolę poruszać się po mieście bez świadków.

Ogiński, jak zawsze, zjeżdża do garażu, zabiera mnie i wyjeżdża tyłem. Silnik wspina się na wysokie obroty i gwizdże.

– Dokąd? – Wpatruje się w lusterko.

– Na Grudziądzką – odpowiadam.

– Gdzie konkretnie?

– Na policję.

Odwraca wzrok i patrzy przed siebie.

Wozem kołysze na nierównościach Łódzkiej. Skręcamy pod wiaduktem kolejowym, potem jedziemy wzdłuż odnowionego dworca z żółtej cegły i szerokiego torowiska za płotem, aż wreszcie skręcamy na stary most.

Stoimy na kilku światłach, mijamy inne samochody, aż w końcu Ogiński zatrzymuje się pod komendą.

– Zaczekam – informuje, zanim go o to poproszę.

Zgłaszam się na dyżurce i po chwili czekania oraz studiowania prewencyjnych plakatów policji i ulotek widzę, jak podkomisarz Lena Wolska, w dzinsach i czarnym policyjnym polarze zapiętym pod szyję, wychodzi z windy. Wita się ze mną i obie kierujemy się do dyżurki. Podaję dowód, załatwiamy formalności, a potem podchodzimy do wind.

Gdy jedziemy na górę, Wolska milczy, wbija wzrok w podłogę.

Wychodzi pierwsza, wsuwa ręce w kieszenie polara, a ja idę za nią.

Na szerokim korytarzu mijamy dwóch policjantów, którzy witają się z nią, a jeden długo mi się przygląda. Znam ten wzrok, czuję go na sobie.

Wolska skręca w lewo, sięga po klucz i przekręca go w drzwiach. Przepuszcza mnie przodem.

– Niech pani usiądzie – mówi, wskazując na jedyne wolne krzesło.

Dwa pozostałe zajmują stopy segregatorów. Odmalowane regały uginają się od papierzysk. Po podłodze wiją się czarne i białe kable, tuż przy biurku Wolskiej stoją brudny czajnik elektryczny i słoiki z kawą i herbatą.

– Napije się pani czegoś?

Dziękuję. Nie zdejmując płaszcza, bo wyczuwam tu bijący od uchylonego okna chłód, siadam na krześle.

Z leżącej na grubym i starym granitowym parapecie nakrętki od słoika wysypują się pety. Wolska sięga po znajdujące się opodal paczkę i plastikową przezroczystą zapalniczkę. Nie częstuje mnie,

odpala papierosa i dmucha dymem w stronę szczeliny w oknie. Biodrami opiera się o parapet.

Smród papierosowy zaczyna wypełniać gabinet.

– Są dwie możliwości – zaczyna i ponownie się zaciąga. – Jest pani zbyt wylewna w rozmowie z redaktorem Ruteckim, a powściągliwa w rozmowach ze mną albo mamy w policji, co niespecjalnie by mnie zaskoczyło, kogoś, kto chętnie rozpuszcza informacje o pani. – Policjantka przeczesuje dłonią włosy. Nie sądzę, by oczekiwała na mój komentarz. – Coś niedobrego dzieje się wokół pani – kontynuuje, ale tym razem patrzy mi w oczy. Trzy biurka zestawione ze sobą pełne są dokumentów i kuwet na formularze. – Wracają duchy przeszłości, o których pewnie wolałaby pani zapomnieć.

Słupek popiołu wygina się i ciąży.

Wolska strząsa go, ale ten zsuwa się na parapet, bo nie mieści się na usypanym wcześniej stosie.

– Zanim więc przejdziemy do kilku spraw, chciałabym omówić tę najważniejszą.

Nie spuszczam z niej oka.

Kieruje papierosem w moją stronę.

– Kto? – pyta.

Nie bardzo wiem, o co jej chodzi.

Potem zaciąga się, mruży oczy i marszczy czoło, a kiedy zaczyna mówić, dym ucieka z jej ust.

– Kto pani robi pod górkę? – dodaje.

Wzruszam ramionami.

– W takim razie inaczej. Komu zalazła pani za skórę?

DAWNO TEMU

Nie pamiętam drogi do domu.

Po prostu nagle w nim jestem i patrzę na swoje ubrudzone krwią dłonie i stertę ciuchów, też brudnych i rozdartych, które z siebie zdjęłam. Upycham je w reklamówce na dnie szafy, ale zapominam o broszce, więc wyciągam sweterek z wystającymi z niego grubymi nitkami, zahaczonymi przez kolce, i rozkładam go. Po broszce nie ma śladu.

Musiałam ją tam zgubić.

Chowam go z powrotem i nie wiem, co ze sobą zrobić.

Myję się, ubieram i nerwowo chodzę po domu, z dala od okien. Potem siadam na sofie, a obrazy napływają same.

Las, zniszczony szałas, krew na latarce.

Kalejdoskop okręca się, ale ciągle widzę to samo, niewiele się w nim zmienia, mimo że słyszę chrzęst przesuwanych kolorowych szkieł.

Kiedy dzwoni telefon, zbyt długo zastanawiam się, co robić. Nie odbieram, ale idę do korytarza i staję przy komodzie. Wtedy rozdzwania się ponownie. Nie mogę znieść natarczywego dźwięku, więc szybko podrywam słuchawkę.

– Gdzie byłaś? – pyta matka gniewnie, jakby wiedziała, że ją oszukałam.

Potrzebuję czasu, by powiedzieć jej prawdę, nie chcę tego robić przez telefon. Kiedy tu przyjdzie, będzie mi łatwiej. Na razie jednak kłamię.

– W ogrodzie – mówię.

– W ogrodzie? Sama?

– A teraz obieram ziemniaki. Musiałam umyć ręce, dlatego nie odbierałam. – Patrząc w stronę kuchni i stołu z ceratą, na którym leży talerz z zeschniętą kanapką z żółtym serem. Spaceruje po niej mucha.

– Widziałaś się z Wiolą?

Pytanie sprawia, że z trudem mogę przełknąć ślinę.

– Nie było jej na rozdaniu świadectw – odpowiadam.

– A wczoraj?

– Też nie.

– Nie byłaś u niej w domu?

– Kiedy?

– No dziś lub wczoraj – denerwuje się. – Nie widziałyście się po szkole?

– Nie.

Szmer.

Przypuszczam, że matka odzywa się do koleżanki, z którą siedzi w jednym pokoju w urzędzie, a słuchawkę przysłania dłonią. Nie rozumiem, co mówi, ale powraca do mnie po chwili.

– Podobno nie ma jej w domu od wczorajszego wieczoru – wyjaśnia, a ja nic nie mówię.

Powinam się odezwać, ale milczę.

Matka wzdycha.

– Słyszysz? – pyta zniecierpliwiona.

– Tak.

– Psiakrew! – Wypuszcza wstrzymywane powietrze. – Siedź w domu i nigdzie się nie ruszaj. I nikogo nie wpuszczaj, jasne?

– Dobrze, mamo.

Odkłada słuchawkę bez pożegnania.

Czas sączy się wolno, a w mojej pamięci więcej jest wyrw niż obrazów z lasu.

Obrane ziemniaki moczą się w garnku na kuchence, a ja siedzę przy stole i rozdłubuję do krwi skórę przy paznokciu. Przez okno w kuchni obserwuję radiowóz, który parkuje przy sklepie. Dwóch policjantów dźwiga się z foteli, jeden z nich, ten grubszy, ociera spocone czoło. Ma spore ciemne plamy pod pachami.

Stoją w pełnym słońcu, na załamaniach karoserii błyskają refleksy.

Zostawiają uchylone szyby i znikają w sklepie.

Moja matka kroczy wolno wzdłuż ogrodzenia, a we mnie natychmiast wzbiera lęk. Boję się jej reakcji, a jednocześnie wiem, że będę musiała wszystko jej powiedzieć. Wszystko bez wyjątku.

Ona dostrzega jednak radiowóz i zamiast skierować się do furtki, odbija do sklepu.

Nie ma jej długo, a kiedy wychodzi, towarzyszą jej policjanci. Dźwiga zakupy. Widzę, że boli ją biodro, bo zaczyna kuleć, jak zawsze wtedy, gdy się przedźwiga, ale z zawziętą miną idzie w stronę bramki.

Grubszy policjant ponownie ociera wilgotne czoło i rozgląda się wokół.

Słyszę zgrzyt furtki, a potem chrobot klucza w zamku. Kiedy drzwi się uchylają, dociera do mnie strzęp rozmowy.

– Nie wiem, czy jest jej najlepszą przyjaciółką. – Matka nie kryje wątpliwości, ale mam wrażenie, że sama nie wierzy w to, co mówi. – Po prostu znają się ze szkoły.

Kroki w korytarzu gęstnieją, a moje ciało zaczyna drżeć.

Spoglądam w tamtą stronę.

I po chwili w drzwiach widzę i matkę, i policjantów.

Trochę trwa, nim usadowimy się wszyscy w pokoju.

Prawda z trudem przechodzi mi przez gardło i miesza się z płaczem. Im więcej jednak mówię, tym większy odczuwam spokój.

Mam za to wrażenie, że mój pierwotny strach przechodzi na matkę.

Jej zmarszczki się pogłębiają, a złożone na podołku dłonie drżą.

Wszystko, co opowiedziałam tym dwóm policjantom, powtarzam raz jeszcze na komendzie. I jeszcze pod wieczór, młodemu policjantowi z Krakowa z różową, szeroką blizną, która tnie górną wargę w pobliżu kącika ust. Mężczyzna z dłuższymi bokobrodami i okularami przeciwsłonecznymi na nosie przedstawia się jako prowadzący tę sprawę.

Stoimy pod lasem, matka, wyraźnie pozbawiona sił, chociaż jest silną kobietą, siada na wysokim kamieniu w cieniu i wachluje się dłonią. Wciąż kuleje i widzę, jak cierpi, jak jej dłoń opada na biodro.

Technicy kryminalistyki wnoszą pod górę aluminiowe walizki, a potem znikają w lesie, gdzie czeka na nich policjant w cywilu. Dobiegają mnie trzaski krótkofalówek.

Patrzę w dół na Pasowiec, na zaorane po pożarze pole i dostrzegam grupki mieszkańców w różnych częściach wsi, wszędzie tam, gdzie wciąż trwają poszukiwania. Niewielkie grupy osób gromadzą się przy kościele, za cmentarzem i dalej, w kierunku wałów przeciwpowodziowych.

Zawieszam wzrok na domu Wioli i myślę zarówno o niej, jak i o pogrążonych w smutku jej rodzicach. I o tym wszystkim, co się wydarzyło w szałasie. Także o tym, co przydarzało mi się w domu przyjaciółki.

O tym wciąż muszę milczeć. Przynajmniej na razie.

Ilekcóż ktokolwiek pyta mnie o wieczór poprzedzający zaginięcie Wioli i poranek tego dnia, w którym zaginęła, zawsze mówię prawdę. Z dzieciństwa wynoszę poczucie, że mówienie prawdy wymaga nagrody. Niestety nagród nie ma, a konsekwencje mojej prawdomówności są takie, że nikt nie wierzy w moją historię.

Kiedy zapada noc, wracamy z matką do domu, grupa znajomych stoi pod zamkniętym sklepem. Widzę plakaty rozwieszane na drzwiach i na słupie telegraficznym.

Wiola uśmiecha się do mnie, a ja boję się, że ją znienawidzę. Głównie za to, że mnie oszukała.

Rzucam okiem na grupę znajomych, oni patrzą na nas.

Mijamy się w milczeniu. Cykanie świerszczy staje się wyraźniejsze.

– Coś ty jej zrobiła, co? – rzuca ktoś z moich znajomych.

Nie rozpoznaję tego głosu.

Zatrzymuję się i odwracam w ich stronę, ale matka kładzie mi dłoń na ramieniu i popycha do furtki.

Poddaję się jej.

Tego wieczoru już ze sobą nie rozmawiamy, po prostu kręcimy się w milczeniu po domu, aż położymy się spać.

Nocą nawiedzają mnie koszmary.

Wiola stoi tuż przed zwartą grupą mieszkańców, kilka metrów przed nimi, i oskarżycielsko celuje we mnie palcem. Przebudzam się, ale sen powraca, a ja mam wrażenie, że słyszę przyciszony głos matki, jakby rozmawiała z kimś przez telefon.

Otwieram oczy razem z brzaskiem, bo klucz zgrzyta w drzwiach.

Matka wchodzi do domu z pustym wiadrem na śmieci, a jednocześnie wygląda tak, jakby dźwigała na barkach ciężar win swojego dziecka.

Odstawia wiadro i myje ręce nad zlewem.

Podchodzę do niej i wtulam się w nią, kładę głowę na jej plecach i zaplatam ręce na jej brzuchu.

A ona klepie mnie przyjaźnie po dłoniach i wzrusza się. Wyczuwam to.

– Nie wychodź dziś z domu – prosi, pociągając nosem, gdy udaje jej się zapanować nad szlochem.

Potem sama znika na kilka godzin, które spędza w pracy.

Znowu obieram ziemniaki, zbyt mocno tłukę mięso na kotlety. Obierki wynoszę do kubła na śmieci w ogrodzie.

Podnoszę nagrzaną od słońca pokrywę i uwalniam mdły smród zgniłego mięsa. Odwracam głowę z odrazą, ale zanim wrzucę tam odpadki, dostrzegam kilka zgniecionych kartek. Rozprostowuję

jedną z nich i odczytuję niedbałe pismo, krzywo, jakby w pośpiechu pisane wielkie litery.

„COŚ TY ZROBIŁA Z JEJ CIAŁEM, GÓWNIARO?!”

TERAZ

– Siostra mojego męża.

Tak brzmi moja odpowiedź na pytanie Wolskiej, o to, kto robi mi pod górkę.

Nie czekam na jej reakcję, mówię o wszystkim, co zdarzyło się do tej pory, a co jest dziełem Małgorzaty Miller. Wspominam o wynajętym detektywie, nadajniku GPS w moim samochodzie, fordzie focusie przyczepionym jak na holu do mojego zderzaka, mówię też o walce o spadek. Wspominam o pozwie rozwodowym i o testamencie, chociaż zgodnie z prawdą zastrzegam, że ani w domu, ani w biurze męża nie odnalazłam tych dokumentów.

Otwarcie przyznaję się do konfliktów z Piotrem i do tego, że nienawidziłam pasierbicy.

Emocje, które wyrzucam z siebie, ranią jak ciernie. Niczego już nie ukrywam, bo brakuje mi na to siły.

– Jestem w ciąży – dodaję na koniec i każę jej zgasić papierosa.

Jest zaskoczona.

Spełnia prośbę i rozwiewa ręką dym, szerzej otwiera okno.

Przyznaję się do zakończonego już romansu z Marcinem Królem, przyjacielem męża, o czym ona wie.

– To przez tę ciążę się rozstaliśmy. Ojcem dziecka jest Piotr – kłamię.

Wolska rozsiada się w fotelu i nie zauważa, że z powodu otwartego okna robi się przeraźliwie zimno. Wiatr podrywa kartki

na jej biurku. Przytrzymuje je ręką, a następnie stawia na nich pusty kubek z zaciekami po kawie.

– Zna pani Ruteckiego? – pyta o dziennikarza.

– Znam.

– Od jak dawna.

– Od co najmniej kilkunastu lat. – Wspominam pierwsze z nim spotkanie, kiedy pisał o mnie tekst do konkursu *Dziewczyzny Lata*. Był młodym dziennikarzem, ja miałam osiemnaście lat.

Kiwa głową.

– Wydaje się, jakby miał zlecenie na panią. Wybrał się do Krakowa, dostał pozwolenie na wgląd w akta zaginięcia Wiolety Raszyńskiej. Przeglądał je dwukrotnie w ciągu ostatniego miesiąca.

Ktoś zagląda do gabinetu, ale Wolska mówi, że jest zajęta. Umawiają się za kilka minut.

Cieszę się, bo chciałabym już odpocząć.

– Długo ukrywała pani prawdziwą tożsamość. Rodzina, to znaczy pani mąż i pasierbica, nic nie wiedzieli o pani przeszłości? Nie poznali pani matki?

– Nie – przyznaję. – Od tamtych zdarzeń w Pasowcu moja matka zrobiła wszystko, żeby mnie ochronić.

– Nie znali nawet pani prawdziwego imienia i nazwiska?

Zapadam w stupor.

– Maria Kesser, prawda? – Wolska uśmiecha się lekko. – Bo właśnie tak się pani nazywała.

Siedzimy w ciszy.

Policjantka sięga po papierosa, ale nie wsuwa go do ust.

Zatrzymuje go w dłoniach i ugniata opuszkami.

Wpatruje się w swoje dłonie, poźółkłe palce i pomarszczoną skórę.

Potem podnosi na mnie przymrużone oczy.

– Jest pani jedną wielką tajemnicą – dodaje.

Szaruga przechodzi w ciemność, gdy Jan Ogiński odwozi mnie do domu. Z latarni zwieszają się wysokie pomarańczowe ostrosłupy, w które wjeżdżamy co chwilę.

Muszę przymknąć oczy, żeby nie poddać się fali uderzeniowej migreny. Wiem już, że nieuchronnie nadejdzie. Chcę tylko być wtedy w domu, pod kołdrą, w ciemnej sypialni.

Błyska pomarańczowy kogut, kiedy brama ogrodzeniowa odjeżdża w bok. Pierwsze krople deszczu uderzają o szybę.

– Nikt za nami nie jechał – odzywa się Ogiński, kiedy wóz pokonuje wolno poprzeczną wypukłość.

Klikam na mniejszy przycisk w szarym pilocie, żeby otworzyć bramę garażową.

Zjeżdżamy po pochylni wyłożonej kostką i narastające bębnienie kropel deszczu o dach natychmiast ustaje.

Płacę i chcę szarpnąć za klamkę, kiedy taksówkarz się do mnie odwraca.

– Chciałbym coś pani powiedzieć – mówi przez ramię, ale nie patrzy na mnie.

Przypomina mi tych wszystkich mężczyzn, którzy nagle, wiedzeni niespotykanym impulsem, chcą mi oświadczyć, że się we mnie zakochali.

– Czy to może poczekać? – pytam, masując skronie.

Nabiera powietrza i unosi brwi.

– Tak. W zasadzie tak – kapituluje.

Cieszę się i żegnam go. Idę do windy i odwracam się, bo wiem, że będzie czekał. Przywołuję dźwig i zapamiętuję nazwę korporacji oraz numer kontaktowy, bo będę musiała zmienić taksówkarza.

Ogiński unosi dłoń i wycofuje wóz.

W domu nie włączam światła. Zamykam drzwi, zrzucaam ciuchy i wspinam się po schodach. Telefon biorę ze sobą, ale wyciszam go po drodze.

Łóżko i kołdra są zimne.

Leżę nieruchomo na boku, z podciągniętymi kolanami, moje zęby szcękają. W głowie rozlega się huk kafarów i natychmiast robi mi się niedobrze. Oddycham przez otwarte usta, najpierw płytko, a potem coraz głębiej.

Próbuję to przetrwać.

Z wielu nierytmicznych uderzeń, które rozbrzmiewają pod czaszką, wyłania się znany stukot, przypominający łomot serca. Dziwnie narasta i wiem już, co się zaraz wydarzy. A mimo to nie otwieram oczu, tylko jeszcze mocniej zaciskam powieki. I już jest. Obraz, który wraca jak koszmar. Już stoi na torach czarne bmw, a reflektory lokomotywy oświetlają go, aż wóz w tym oślepiającym blasku niemal bieleje.

I nagle nastaje chwilowa ciemność.

Huk podrywa mnie do siadu.

Musi minąć kwadrans, zanim się uspokoję.

Uciskająca głowę obręcz wciąż się nie poluzowała.

Wracam myślami do gabinetu Leny Wolskiej, do smrodu papierosów, który pozostał w moich włosach i przy migrenie drażni bardziej niż jakikolwiek innych zapach, ale nie mam już siły go z siebie zmyć.

– Więc jak to było z tą zmianą tożsamości? – pyta.

DAWNO TEMU

Matka budzi mnie w nocy i szepcze:

– Już czas, córuś. Już czas. – Jej ciepły oddech muska skórę na szyi.

Odgarnia grzywkę i całuje mnie w czoło. Celowo nie zapala światła.

Siadam na łóżku, przecieram zaspane oczy. Wydaje mi się, że mój sen, jeśli nadszedł, nie trwał dłużej niż kilka sekund.

Spałam w legginsach i koszulce, więc jestem gotowa. Spuszczam nogi na podłogę. Sięgam po skarpetki, sznuruję porysowane długopisem trampki.

Minęły dwa tygodnie od zaginięcia Wioli, ale prawda, w którą wierzyłam, prawda o tamtych zdarzeniach staje się moim przekleństwem. Nikt w nią nie wierzy. Cały Pasowiec jest przeciwko mnie i mojej matce. To dowodzi, że prawda nie wyzwala, tylko niszczy. Brzydzę się prawdą, która sprawia, że trzeba zniknąć, uciec i schować się przed tymi, którzy wszystko wiedzą lepiej; którzy siedzą w domach i hodują zło.

Matka kręci się chaotycznie po pokoju. Kuca przy moim plecaku, wkłada coś do niego.

Pamiętam jej krzyk i płacz, gdy kilka nocy wcześniej przepędziła dwóch chłopaków w kominiarkach, którzy czerwonym sprejem wymalowali szubienicę na drzwiach i cztery słowa „Maria, dostaniesz za swoje!”. Z liter, jak krew, spływały zacieki.

Matka zdarła paznokcie, żeby do świtu usunąć napisy rozpuszczalnikiem. Kolejny raz, po tym, jak wybito nam szybę w kuchni, wezwała policję, ale równie dobrze mogła sobie oszczędzić zszarganych nerwów. Na nikogo nie mogłyśmy liczyć. Każdy sąsiad był przeciwko nam.

Przeciwko mnie.

Bałam się o siebie, ale jeszcze bardziej lękałam się o matkę. Zmizerniała, zapadała się w sobie, a nocą szeptała do telefonu. Próbowalam ją podsłuchać, ale musiałabym wyjść z pokoju. Raz, kiedy to zrobiłam, usłyszałam, jak odkłada słuchawkę. Pilnowała się. Ale dziś już wiem, że szeptała o mojej przyszłości, że chciała dla mnie jak najlepiej.

Przez cały ten czas od zaginięcia Wioli praktycznie nie wychodziłam z domu. Upalne lato przetaczało się przez Polskę, a ja spędzałam je w swoim pokoju lub wieczorami na tyłach ogrodu. Kolejne incydenty spadały na nas jak grom z jasnego nieba. Wygrazano nam, a ja modliłam się codziennie o to, by odnaleziono Wiołę całą i zdrową, nie dlatego, że mi na niej zależało. Bo przecież znienawidziłam ją całym sercem. Ale tylko to mogłoby sprawić, że nasze życie wróciłoby do normy. Że prawda znalazłaby potwierdzenie w rzeczywistości i przestała być kulą u nogi.

– Już trzeba iść, Marysiu, już czas – ponagla matka, a ja wiem, co mam robić.

Z przyzwyczajenia chcę przeczesać dłonią moje długie włosy, ale zapominam, że po zmroku matka zaplotła mi warkocz i ścięła go na wysokości ramion, po czym spaliła w piecu. Dziwnie się czuję z tak krótkimi włosami.

Przynosi pękaty plecak i stawia go na łóżku. Przytula mnie, krótko, po męsku, czuję jej wilgotne policzki na swojej skórze. Pociąga nosem i wsuwa mi coś w dłoń, a następnie szybko ją zaciska.

– Idź już – prosi.

Otwiera szeroko wychodzące na ogród okno. Siadam na parapecie i przekładam nogi, zeskakuję, matka podaje mi bagaż. Jest ciężki, a mimo to zarzucam go na jedno ramię i podchodzę do płotu. Przerzucam plecak i przeskakuję przez ogrodzenie.

Matka macha mi ręką ostatni raz, ale nie znika z okna. Czuję jej wzrok na sobie, gdy oddalam się wąską ścieżką między działkami w stronę mostu nad Wisłą.

Z oddali widzę schowany w krzakach samochód i ciemną postać, która krąży przy masce.

Z powodu suszy rzeka jest płytsza. Nie szumi jak dawniej, szemrze nieznacznie, kiedy nurt opływa wystające kamienie.

Myślę o tym, kiedy przekraczam mostek. Pocieszam się, że w wodach Wisły nie odnaleziono ciała Wioli, więc może żyje i nie wszystko stracone. Że nawet gdy teraz wyjadę, zniknę, to kiedyś będę mogła tu wrócić. Jestem brzemienna w zemstę.

Kiedy zbliżam się do samochodu, mężczyzna bez słowa odbiera ode mnie plecak, zatrzaskuje go w bagażniku i każe mi się położyć na tylnym siedzeniu. Koc pachnie stęchlizną, ale chowam się pod nim. Silnik zaskakuje od razu i odczuwam szarpnięcie, po którym koła wgrzają się z chrzęstem w żwir.

Czuję, że wspinamy się pod górę.

Zdejmuję koc z głowy i ostrożnie podpieram się łokciami, żeby ostatni raz zerknąć na pogrążony w nocy Pasowiec i krzyż na kościelnej wieży, ten, który zamiast prawdy na długie lata wtłacza mnie w kłamstwo.

– Schowaj się – gromi mnie mężczyzna, mój wujek, mąż mojej nieżyjącej chrestnej z Torunia, którego ostatni raz widziałam na komunii. – Od teraz nazywasz się Anna Pasau. Zapomnij o Marii Kesser.

Nie zaskakuje mnie tym. Wszystko wiem, bo zapoznałam się z dokumentami przekazanymi przez matkę razem z grubym zwitkiem banknotów. Musiała je wcześniej wypłacić, bo w domu nigdy nie trzymała takiej gotówki.

Anna Pasau to moja mieszkająca w Niemczech kuzynka. Jest młodsza ode mnie o rok. Nową tożsamość mam dzięki matce, która jeszcze z czasów szkolnych dobrze zna szefową Urzędu Stanu Cywilnego. Dwie stare przyjaciółki. Matka złożyła u niej wniosek o zmianę nazwiska dziecka. Policji przekazała natomiast, że w związku z obawą o moje życie wysyła mnie do Niemiec, do swojego brata Heinricha Pasau, czyli wujka Heńka Pasowskiego, który dawno temu uciekł z Polski.

Tyle że wcale nie jedziemy do Niemiec, nie przekraczamy granicy kraju.

Nad ranem docieramy do miasta, którego rozpięte nad szeroką Wisłą staromiejskie mury płoną w świetle wschodzącego słońca.

Ocieram zaspane oczy i ziewam, zaskoczona widokiem.

Przejeżdżamy przez most, a ja z odrobiną niepokoju wyczekuję drugiego brzegu.

Bo tam urodzę się na nowo.

TERAZ

Śnię, ale sen zrywa się jak taśma filmowa w kinie. Mara miesza się z obrazami z niedalekiej przeszłości.

W lesie w Pasowcu spotykam Lenę Wolską, pochyloną nad zniszczonym szafasem. Matka patrzy przez okno, gdy ostatni raz odchodzę w noc. Z góry, jakby z drona, widzę samochód, w którym jadę na tylnym siedzeniu. Żółte światła reflektorów skody favorit głaszczą asfalt i rozświetlają ścianę lasu po obu stronach drogi, gdzieś dalej płonie pole żyta, a Wiola, oświetlana ogniem, ucieka w stronę lasu. Wóz pokonuje wzniesienie. Biała linia, namalowana oś szosy, znika w tyle. Wolska pokazuje mi zakrwawioną latarkę, gdy jedziemy windą do jej biura.

Ból głowy już nie jest obezwładniający, ćmi gdzieś za oczami. Jest lepiej, powtarzam to jak mantrę.

– Jest lepiej, jest lepiej.

Krople deszczu spływają wolno po oknie pościowym.

Smak kawy pobudza.

Jestem rozbita migreną, ale nie mogę wiecznie leżeć.

Chłód w domu sprawia, że mam zimne palce stóp. Nie ubieram się, tylko robię kokon z grubego koca i na kolana biorę laptop.

Raz jeszcze staram się zagłębić w fotokopie materiałów ze śledztwa krakowskiej prokuratury w sprawie zaginięcia Wioli. Obracam fotografie, powiększam interesujące mnie fragmenty akt, jeśli zachodzi taka potrzeba. Spędzam sporo czasu na czytaniu, ale nie znajduję niczego, czego bym nie wiedziała o tej sprawie. Trafiam

na moje zeznania podpisane przez matkę. Informuję w nich o gwałcie w szałasie, o planach ucieczki Wioli i o tym, że jej w tym pomagałam. Mówię o możliwym podpaleniu przez nią pola. Opowiadam też o naszym ostatnim spotkaniu i tamte chwile natychmiast stają mi przed oczami. Zawieszam wzrok na ścianie, ale tylko na chwilę. Twarz Wioli rozmywa się, rozplywa, znika.

Mrugam, by powstrzymać łzy.

Gładko przechodzę do zeznań innych świadków, do zapisków rozmów z rodzicami Wioli.

„Ostatnio Maria Kesser nie przychodziła do Wioli. Chyba się pokłóciły, bo wcześniej widywały się codziennie. We wsi wszyscy wołali na nie siostry blondyneczki”.

Przeskakuję do kolejnych zdań.

Matka Wioli: „Gwałt wymyśliła Maria i rozpuściła plotkę we wsi, żeby skompromitować naszą córkę. Być może chciała się zemścić, ale nie wiem za co, bo Wiola nigdy nam o tym nie opowiedziała. Być może pokłóciły się o coś, jak to dziewczynki w tym wieku. Może o chłopaka?”.

Ojciec Wioli: „Tej nocy, kiedy córka zaginęła, Maria Kesser wracała z górki, z lasu. Rozmawiałem wtedy z sąsiadem, z Leszkiem Morawcem, może to potwierdzić. Szła szybko, chowała twarz pod kapturem, ręce trzymała w kieszeniach, jakby się ukrywała. Rozpoznałem jednak jej długie, jasne włosy. Ona ma z tym coś wspólnego. Potem zastanawialiśmy się, czy to ona podpaliła pole Szczawińskich. Pożar wybuchł krótko później”.

Leszek Morawiec: „Maria Kesser szła od ścieżki między polami, ale na wysokości sklepu skręciła w prawo, chyba nas zobaczyła. Ewidentnie próbowała pozostać niezauważona. Dla niepoznaki, zamiast pójść do swojej furtki, skręciła w lewo. Raszyński, ojciec Wioli, poszedł do domu, a ja się zastanawiałem, co ta Kesserówna tak łązi nocą. I czekałem, aż wróci do domu. Wróciła po kwadransie. Zdjęła już kaptur i szła prosto do furtki. Przez ramię

miała przewieszony plecak. Chyba pusty, przynajmniej tak wyglądał. Zapadnięty był”.

Przeżywam tamte emocje na nowo, pęcznieją w brzuchu i wypuszczają kolce, jakbym nosiła pod sercem jeżowca zamiast płodu.

Kolejne materiały wyświetlają się na ekranie. Szukam dalej, czytam wnioski o braku dowodów przeciw mnie, a przede wszystkim o braku wystarczającego motywu. Policjanci nie wierzą w moją winę. O ile dają wiarę, że mogłabym zabić, o tyle zdają sobie sprawę, że nie miałabym dość siły, żeby usunąć ciało, dźwignąć je i przetransportować, zanieść kawał drogi, by wrzucić do rzeki albo zakopać.

Docieram do wyników badań śladów krwi z mojej latarki, w których znajduję potwierdzenie, że to ślady biologiczne mojej przyjaciółki. Odbitki linii papilarnych na latarce należą do mnie. Ale nie może być inaczej, przecież przyznałam się od razu, że latarka jest moja.

Nie odnaleziono natomiast mojej kociej broszki. Na wszelki wypadek też opowiedziałam o tym policjantom i pokazałam im przygotowany przeze mnie rysunek biżuterii z bursztynami.

Gwałt na Wioli, o którym mówiłam kilkakrotnie, w ogóle nie jest brany pod uwagę. Tego dnia, kiedy do niego doszło, nikt z mieszkańców Pasowca nie widział mężczyzny ani wchodzącego, ani wychodzącego z lasu. Szczegóły, które wówczas zapamiętałam, nie nadają się do żadnej weryfikacji. Pamiętam tylko, że niebieskie dżinsy i jasne majtki w jakieś wzory miał opuszczone do kostek. Widzę jego naprężone mięśnie ud, włosy porastające ciało i ruch bioder. Ale to za mało. To nic nie daje. Więc gwałt jest wykreślony, chociaż żaden z policjantów nie widzi sensu w tym, żebym kłamała i celowo wprowadzała ich w błąd. Z tą moją opowieścią mają tylko kłopot. Nikt nie nadaje się na podejrzanego. Próbują zatoczyć szerszy krąg, bo nie interesują ich jedynie mieszkańcy Pasowca. Szukają we wszystkich sąsiednich wsiach, w powiecie

i województwie, wśród gwałcicieli, którzy wcześniej, kwartał przed zdarzeniami w Budzie Reksia, wyszli na wolność. Typują dwóch: Jaromira Grodzkiego i Krzysztofa Wełczyńskiego, obaj pochodzą z Krakowa, ale jeden z nich pracował wcześniej w zakładzie wulkanizacyjnym w Pasowcu. Policja sprawdza ich alibi i szybko okazuje się, że obaj są poza jakimkolwiek podejrzeniem.

Funkcjonariusze jeszcze dwa razy wracają do wątku zgwałcenia Wioli. Przesłuchują kolegów z klasy i szkoły, nauczycieli, rozmawiają z matką Wioli pod nieobecność jej męża. Wypytyują o jego naturę, o kontakty z córką, biorą go pod lupę. A w tym powiększeniu widać kłamstwa. Wychodzi na jaw niewierność mężczyzny. Rana matki po stracie córki powiększa się i krwawi jeszcze mocniej.

Jedna z kobiet, pracownica urzędu i znajoma mojej matki, potwierdza policji to, że po kryjomu spotykała się z ojcem Wioli. Zdrada niszczy jej rodzinę. Nic już nie będzie takie samo. Co prawda Raszyńscy się nie rozwodzą, mieszkają nadal w jednym domu, ale w różnych pokojach.

Wisła płynie dalej, a z jej nurtem przez Pasowiec płyną grzechy jej mieszkańców, zatajone kłamstwa wypływają na powierzchnię i dryfują bezwstydnie. Nad doliną króluje krzyż zatknięty na drewnianej wieży kościoła.

Robi mi się niedobrze, gdy to wszystko czytam, gdy tylko wracam myślami do przeszłości.

Byłam przekonana, że Wiołę zgwałcił jej ojciec. Miałam swoje powody, by tak sądzić. I być może dlatego chciała uciec. Może dlatego zamknęli ją w domu. I może dlatego ktoś celowo zostawił przed szafasem moją latarkę. Może to wszystko miało wskazywać na mnie?

Policja sprowadza georadar z Krakowa, który ma pomóc odnaleźć zakopane zwłoki. Pierwszy raz takie urządzenie zostaje włączone w domu Wioli w Pasowcu. W garażu, w którym ojciec krótko przed końcem roku szkolnego zalał betonem kanał, bo twierdził, że

wybijały wody podskórne. Zrobił to w okresie suszy, żeby beton dobrze związał. Urządzenie jest czułe, ale nie wykazuje w strukturze betonu żadnych zmian. Policja zabiera sprzęt i zostawia matkę Wioli z jej mężem, z podejrzeniami i raną, której nie da się zaszyć i która nigdy się nie zagoi.

Muszę odetchnąć, więc zamykam laptopa, ale nie zatrzymuję myśli.

Czy gwałt może prowadzić do kolejnej zbrodni? Czy w ogóle do niego doszło? Czy jestem pewna tego, co wówczas widziałam?

Niczego nie jestem już pewna.

Nie wiem, dlaczego ta sprawa wraca.

Nie rozumiem niczego, co ma swój początek w chwili, gdy siostra mojego męża zatrudniła detektywa, który ma sprawdzić moją wierność jej bratu.

Byłam niewierna, ale ta sprawa nigdy nie wychodzi na jaw.

Dlatego zadaję to pytanie.

– O co tu chodzi? – szepczę i powtarzam je głośniej.

Czekam, aż wszystkie myśli, które krążą po głowie, osiadą na dnie, a na powierzchni zostanie tylko ta jedna, ta, na którą czekam.

Trwa to chwilę, ale zdaje się, że już ją dostrzegam.

I rozumiem swój błąd.

Szwagierka odbiera po kilku sygnałach.

Jest obrażona, a mimo to złość, tak jak sądziłam, topnieje w niej szybko.

Słyszę, jak nabiera powietrza.

– To dla wszystkich trudne chwile – odzywa się pojednawczo.

– Tak – przyznaję.

– Czyli co? Możemy przyjechać?

Odpowiadam, że spakuję rzeczy Piotra, bo naprawdę nie stać mnie na to, by wpuścić ją do naszej, mojej, poprawiam się

w myślach, sypialni.

– Okej. Chciałabym tylko zajrzeć do pokoju Roksany.

Umawiamy się na późne popołudnie i od razu dzwonię do Mili Sikory, detektywki. Proszę, żeby przyjechała wcześniej.

– Być może będę już coś wiedziała w sprawie teściów i ich majątku – informuje pogodnym tonem.

– Znakomicie. A co w sprawie detektywa? Śledzi mnie jeszcze?

– Ostatnio nie wykazywał żadnej aktywności. Na miejscu sprawdzę, czy zdemontował już nadajnik GPS. Proponuję, żeby dziś wsiadła pani w samochód, bo chciałabym, żeby zobaczył ruch wozu na mapie. Może wówczas skorzysta z okazji.

To ma sens.

Chwilę później wybieram jeszcze jeden numer, ale tym razem mój rozmówca nie podnosi słuchawki. Dzwonię raz jeszcze i uznaję, że to wystarczy. Jeśli Wiktor Rutecki będzie chciał się odezwać, to oddzwoni.

Zbieram się w sobie, odnajduję resztki sił, żeby zrobić sobie śniadanie, a potem zabrać się do działania.

Wyjeżdżam do galerii na zakupy. Pakuję do wózka jedzenie, nie zapominam o dużych niebieskich workach. Potem włączę się z reklamówką po sklepach, pytam o bluzki i sukienki, ale żadnej nie przymierzam, nie mam na to najmniejszej ochoty. Zabijam czas, przesuwając materiał między palcami, sprawdzając jego jakość. Później wącham podawane przez ekspedientkę paski papieru spryskane perfumami. Dyskutujemy, uśmiechamy się, ale to także nie jest dobry moment na taki zakup. Koniec końców zmuszam się, żeby zamówić herbatę i zjeść kawałek ciasta w kawiarni. Ale robię to tylko dlatego, że z dala od tłumu, wewnątrz lokalu, znajduję niewielki stolik, gdzie mogę pobyć niezauważona.

Jest tu cicho i być może dlatego rozpoznaję przytłumiony dźwięk telefonu, który trzymam w kieszeni płaszcza.

– Już po wszystkim – mówi Mila.

Pierwszy raz od dawna zaczynam się uśmiechać. Mięśnie mojej twarzy rozciągają się boleśnie, ale w tym bólu kryje się przyjemność. Czuję się jak więzień, przed którym otwierają bramę zakładu karnego – oto może iść w dowolną stronę. Jak pies spuszczonej ze smyczy.

Wracam do domu i zatrzymuję wóz na prawie pustym parkingu przed Lewiatanem. Oblepiają mnie spojrzenia klientów albo jestem przewrażliwiona. Unikam oczu obcych, spuszcza głowę i wracam do samochodu pod wiatr.

Świst wokół ucha zamiera, gdy zamykam się we wnętrzu pojazdu.

Dojeżdżam do osiedla, pokonuję nierówność przy bramie, parkuję w cichym garażu i tę ciszę zanoszę do domu.

Pracuję długo, wypełniam worki, znoszę je z poddasza, aż szafa Piotra świeci pustkami. Układam w kartonie część bibelotów, tych, na których i jemu nie zależało, ale liczę na to, że ten gest doceni jego siostra.

Worki stoją równo pod ścianą. Siedem pękatek pakunków, a przy nich dwa wyższe kartony, wypełnione po brzegi.

Kiedy odstawiam ostatni z nich, mijam drzwi pokoju Roksany, te same, których dotąd starałam się nie zauważać.

Ale teraz wracam i przystaję przed nimi.

Lęk ma płynną konsystencję, przedostaje się do żył, tętnice tłoczą go dalej. Ciało reaguje natychmiast. Przechodzi mnie dreszcz.

Klamka jest zimna.

Zamykam oczy i wypuszczam wstrzymane w płucach powietrze.

Słyszę zgrzyt otwieranych drzwi.

Więc jednak to robię.

Unoszę powieki i patrzę na stojący przede mną otworem pokój pasierbicy.

Nie włączam światła, półcienie mącą zmysły. Mam wrażenie, jakby siedziała przy biurku z głową zwieszoną nad rozświetlonym ekranem. Długie włosy, jak kurtyna, opadają do ud.

Dociera do mnie nienawistny szept.

„Suka”.

Po nim rozlega się diaboliczny śmiech. Jej ciało się trzęsie, drży w konwulsjach, ale wciąż trzyma telefon, z którego pada oślepiający snop światła. Mrużę oczy, zasłaniam się przedramieniem. Spękany beton jest szorstki, stoję na nim bosymi stopami. Już wiem, gdzie jestem.

Spod nóg uciekają wyślizgane grzbiety torów. Czuję, jak drżą, i podnoszę głowę, w której roznosi się przeciągły gwizd. Szlabany sterczą w górę, w oknach stróżówki jest ciemno. Za mną stoi czarne bmw, a w nim wykrzywione w grymasie przerażenia twarze Piotra i Roksany.

Odwracam się w stronę torów i zamieram na widok rosnącej w oczach lokomotywy.

Ale nim mnie rozerwie, nim wpadnie wprost na mnie, zalewa mnie nieprzenikniona ciemność.

I nie ma już huku zgniatanych blach.

Jest tylko ciemna noc, w której gaśnie miarowy stukot pociągu.

Albo mojego serca.

Dywan śmierdzi kurzem, jest szorstki i czuję, jak długie i grube włosie odciska się na mojej skórze, na policzku i na skroni.

Otwieram oczy.

Podnoszę się z lękiem nie tyle o siebie, ile o dziecko. Prostuję nogi i kręgosłup, a potem robię kilka kroków do wysokiego łóżka Roksany i przysiadam na skraju twardego materaca. Kładę dłonie na brzuchu, jakby to mogło pomóc. Ale rzeczywiście ten gest ma uspokajającą moc.

Nie czuję bólu podbrzusza, nie odbieram żadnych niepokojących sygnałów, nie licząc drobnych zawrotów głowy. Rozkołysany pokój, w którym konsekwentnie zanikają ślady życia Roksany, osiada na mieliźnie, a ja znajduję odwagę, by po niespodziewanym omdleniu wstać.

Na ścianach wiszą puste półki, pozbawione bibelotów i książek, w otwartej szafie znajdują kilka drewnianych wieszaków, a na dnie – sportową torbę z ciuchami na basen. W szufladach tkwią puste torebki. Przeglądam je wszystkie, ale na nic nie liczę. Gocha Miller na pewno niczego nie przeoczyła.

Po prostu oswajam się z tą przestrzenią, chociaż wiem, że zanim blade rozstępy wypełzną na biodra, uda i brzuch, będę miała na koncie pieniądze ze sprzedaży tego apartamentu.

Czuję się tu obco.

Myślę o nowym azylu, mieście, w którym mogłabym urodzić dziecko, odcinając się raz na zawsze od przeszłości. I ta nadzieja jest we mnie silna, chociaż zdaję sobie sprawę, że podszywa ją lęk.

Los znowu zmusza mnie do ucieczki, a ja zakreśliłam na wirtualnej mapie miasta, które mogłabym wziąć pod uwagę, i nadal przeglądam rzeczy Roksany.

Siadam przy biurku, wyciągam opróżnione szuflady. W jednej z nich z łoskotem, jak w pudle rezonansowym, turla się samotny ołówek.

Niczego tu nie znajdę, nie odkryję.

A może jednak?

Odtwarzam w myślach poranną rozmowę z Gochą i jedno, co zdołałam zapamiętać, to jej chęć jak najszybszego przyjazdu. Jeszcze wierzy, że nie wszystko stracone.

Zerkam do drugiej szuflady z pozostałościami przyborów biurowych, obmacuję spód blatu biurka.

I kiedy chcę ją zamknąć, przesuwają się w niej luźno leżące spinacze i kolorowe samoprzylepne kartki, odsłaniając jasnoszare kreski.

Włączam lampkę na biurku i przystawiam ją na skraj blatu, jednocześnie kierując głowicę z żarówką wprost na dno szuflady.

Odsuwam wszystko, co je zasłania, i trudno mi uwierzyć w to, co widzę.

„Catwomenthorn02”.

A pod nim hasło z naprzemiennie ułożonych wielkich i małych liter imienia pasierbicy i roku jej urodzenia oddzielonych podkreślnikiem.

Zapisuję to ołówkiem na sklerotce, którą składam na pół i chowam do kieszeni.

Ostrożnie wyjmuję szufladę i wysypuję z niej wszystko na biurko. Potem odgarniam, żeby zrobić dla niej miejsce. Odnajduję gumkę i ścieram napis, raz za razem, wkładając w to sporo energii. Brudne gumowe farfocle wytrząsam w kuchni wprost do kubła na śmieci. A kiedy wracam do pokoju Roksany, odzywa się domofon.

Wpuszczam detektywkę, a następnie spokojnie wsuwam szufladę. Znajdujące się na końcu plastikowe rolki trafiają we właściwie zagłębienia w bocznych szynach i szuflada z łoskotem wraca na miejsce. Otwieram i zamykam, otwieram i zamykam. Działa idealnie.

Zsuwam do niej wszystkie przedmioty.

Gaszę światło, wychodzę z pokoju i czekam na pierwszego gościa.

Mila ma na głowie elastyczny czarny komin, który spina jej niesforne loki. Wygląda jeszcze młodziej niż ostatnio. Wciąż jest źródłem niewyczerpanej energii.

Mówię, jaki mam plan, i pytam, czy go akceptuje. Nie waha się ani chwili.

– Ile mamy czasu? – docieka, spoglądając na sportowy zegarek na wąskim nadgarstku.

– Pół godziny? Może trochę krócej – odpowiadam, biorąc pod uwagę, że Millerowie rzeczywiście mogą przyjechać wcześniej. – Dowiedziała się pani czegoś o teściach?

– Tak. – Sięga do plecaka, który spoczywa przy butach, między nogami. Wyjmuje z niego notes. – Na razie znam jedynie skutki gorszej kondycji finansowej, ale poznam też źródła – obiecuje, a ja jej wierzę, musi mieć tylko więcej czasu. – Sprzedają dom na

Wrzosach. Na płocie do niedawna wisiał baner biura nieruchomości. Zadzwoiłam tam i cena okazała się na tyle okazyjna, że kupiec znalazł się szybko.

- Przeprowadzają się?
- Z moich informacji wynika, że mają czas do końca miesiąca.
- Dokąd?
- W tym samym biurze znaleźli mieszkanie w Chełmnie.
- W Chełmnie?
- Tak. Stamtąd podobno pochodzi ojciec pani męża, prawda?

Potwierdzam.

Być może ta przeprowadzka nie powinna mnie dziwić, chociaż nie ukrywam, że trudno mi zrozumieć postępowanie teściów. Wciąż mają tu córkę i zięcia, a jednak zostawiają wszystko i wracają na stare śmieci.

- Kupili w Chełmnie nowe mieszkanie? - Próbuję poskładać jakiś obrazek z różnych, niepasujących do siebie puzzli.

- Rynek wtórny, ale w dobrym miejscu. Na Raszei.

Nie znam Chełmna, nie wiem, gdzie to jest, i przestaje mnie to obchodzić.

- Wyprowadzka jeszcze nie potwierdza tego, czy mają kłopoty finansowe - zaznaczam.

Mila otwiera usta, ale żadne słowo nie pada, bo w tej samej chwili dzwoni domofon.

WCZEŚNIEJ

Tym razem, gdy tylko Irena Sowińska wyszła z mieszkania z psem, odjechałam na parking przy Plazie, a potem wróciłam pieszo pod jej blok.

Przez całą drogę klucze do jej mieszkania ścisiskałam w dłoni.

W ramach ostrożności zadzwoniłam domofonem pod jej numer, ale nikt nie odpowiedział. Rozejrzałam się i wsunęłam czerwony klucz do zamka zewnętrznych plastikowych drzwi.

Zaniedbana klatka schodowa stanęła przede mną otworem. Po cichu, w adidasach, przedostałam się na drugie piętro. Włożyłam skórzane rękawiczki.

Ze stresu z trudem udało mi się wsunąć klucz do górnego zamka. Nie pasował, więc przełożyłam go do drugiego zamka.

„Nie rób tego”, zganiłam się w myślach.

Dwa obroty, zmiana klucza, kolejne dwa obroty. Dłoń na klamce.

Uchyliłam drzwi. W wąskiej szparze dostrzegłam wyłożony boazerią przedpokój.

Nasłuchiwałam, ale w uszach pulsowała mi krew.

Rozejrzałam się po cichej klatce schodowej, a potem z niemałym przerażeniem wślizgnęłam się do mieszkania, nie bacząc na konsekwencje.

„Co chcesz osiągnąć?”, „Po co to robisz?”, myśli nie dawały mi spokoju, ale rozsądek dawno przegrał tę walkę.

Nie znałam odpowiedzi na te pytania, wiedziałam tylko, że muszę zobaczyć, jak żyła kobieta, która zapewne obwiniała się o śmierć

dwojga osób.

Wciągnęłam w nozdrza zapach tego miejsca. Dziwny, tak zupełnie obcy zapach życia nieznanymi mi ludzi.

Domknęłam bezszelestnie drzwi, a niedługo potem przekręciłam gałką górny zamek. Na wszelki wypadek.

Boazeria, wieszak na klucze, brudna słuchawka domofonu, na podłodze dwie ażurowe półki wypełnione butami, obok zestawione trzy pary kapci, a wyżej – kurtka i płaszcz.

Po prawej wejście do kuchni. Brązowe kafle, żółte fronty mebli, kilka kubków w zlewie, część naczyń na zawieszanej na ścianie drucianej suszarce.

Po lewej pokój z legowiskiem dla psa w pobliżu sofy, telewizor, drzwi na balkon. Puste linki, którymi kołysał wiatr.

„Co ja tu robię?”

Krótki korytarz na wprost kończył się drzwiami do łazienki i rozwidłał na lewo i prawo.

Poszłam tam. Drzwi do pokoju syna były uchylone. Wisiał na nich filmowy plakat Spider-Mana, a pod nim zdjęcia dwóch zespołów, ubranych na czarno mężczyzn z groźnymi minami.

Pokój był mały, ściany wypełnione różnymi plakatami. Trochę książek na regale, komputer i monitor z głośnikami na biurku, kilka zeszytów na niewielkim stosie. Gitara elektryczna i mały głośnik w rogu. Kable wiły się po podłodze. Pod fotelem biurowym parkiet był zdarty do żywego drewna i matowy. Podobnie przy nowoczesnej wersalce.

Z łazienki dobiegł mnie rytmiczny odgłos kapania wody. Otworzyłam drzwi, ale nie włączyłam światła. Uderzyły mnie wilgoć i zapach świeżego prania. Mokre ciuchy wisiały na suszarce nad wanną. Na mankietach czarnej bluzy z kapturem zbierała się woda i kropla za kroplą spadała na dno starej, żeliwnej wanny.

Na szklanej półce pod lustrem leżały dwie maszynki do golenia, plastikowe jednorazówki, pianka i trzy mocno zużyte szczoteczki do zębów z białymi zaciekami na rękojeściach.

Na pralce znajdowała się sterta ciuchów, a kilka ręczników i czerwony szlafrok zwieszały się smętnie z haczyków na drzwiach.

Poszłam do sypialni.

„Idź stąd, już wszystko zobaczyłaś. Co tu jeszcze robisz?”

Kolejny raz zadałam sobie to pytanie i nie znalazłam żadnej rozsądnej odpowiedzi. Nie widziałam jej w zmiętoszonej kołdrze, w byle jak ułożonych piżamach. Ani w otwartej książce ułożonej grzbietem do góry na stoliku nocnym, ani w okularach tuż przy lampce. W szafie zabudowanej z lustrem, w którym przyglądałam się sobie, też jej nie odnalazłam.

Patrzyłam na kobietę w czarnych rękawiczkach, w szarej pikowanej kurtce, obcisłych jasnoniebieskich džinsach i białych jak śnieg adidasach.

Poprawiłam grzywkę.

„Wynoś się stąd”.

Tym razem odezwała się do mnie dróżniczka. Widziałam ją w oknie strażnicy i słyszałam, jak krzyczała raz za razem w moją stronę, jak machała energicznie ręką.

„Wynoś się, wynoś!”

Patrzyła na mnie pogardliwie.

Spuściłam wzrok.

Zgwałciłam czyjąś przestrzeń dla zaspokojenia nieznanego mi i zupełnie obcej dotąd ciekawości, zainteresowania kobietą, która nie zamknęła na czas szlabanów.

Poczułam ogarniającą mnie złość. Byłam zła na samą siebie.

Dlatego zniknęłam sobie z oczu i wróciłam do przedpokoju.

Ostatni raz spojrzałam w stronę dużego pokoju i balkonu, gdzie za oknami rysowały się kolejne dwa bloki. Potem odwróciłam głowę, żeby ostatni raz spojrzeć na kuchnię. Na stół z pozostawionymi na nim talerzami po śniadaniu i kubkami po kawie, pustym blistrem po lekach.

Miałam już wyjść, ale zainteresowana przekroczyłam próg kuchni.

Strach spiął wszystkie mięśnie.

Podeszłam bliżej, sięgnęłam po zużyte opakowanie farmaceutyku.

A potem spojrzałam przez okno wprost na dróżniczkę, która wracała z psem.

Drzenie rozeszło się we mnie wysoką falą.

Kobieta uniosła głowę.

TERAZ

Krzysztof siorbie herbatę, popatruje to na mnie, to na Milę, która założyła nogę na nogę. Jej stopa się buja, czubek buta kreśli w powietrzu okręgi.

Mój szwagier odstawia kubek i splata dłonie. Siedzi na pufie lekko pochylony, z szeroko rozłożonymi udami, pomiędzy którymi mieści się jego wydatny brzuch.

Z pokoju Roksany dobiegają szmery. Tym razem wyraźniejsze, bo wpadają tu przez otwarte drzwi.

– To nie potrwa już długo. – Krzysztof przerywa niezręczną ciszę i uśmiecha się krótko, ale przepraszająco.

– Nie ma sprawy – odpowiadam i patrzę na niego, potem na Milę i znowu na niego. – Gdy Gośka skończy, chciałabym z wami porozmawiać.

Ze zrozumieniem kiwa głową, nie ma nic przeciwko, nie kręci nosem, nie zerka ukradkiem na zegarek. Ma czas, jest rozluźniony.

– Jak sobie radzisz? – pyta znienacka.

Mimowolnie kładę dłoń na brzuchu.

– W porządku. – Ponownie patrzę na Milę.

Jej twarz zdobi nieprzenikniony, delikatny uśmiech.

Gocha wynosi z pokoju dwa kartony i ociera przedramieniem czoło. Odstawia je przy drzwiach wyjściowych.

– Już idę – mówi, a kiedy odwraca się do nas, wskazuje na łazienkę. – Mogę umyć ręce?

Nie zdążę potwierdzić, kiedy już się w niej zamyka. Woda szumi przez jakiś czas, Krzysztof sięga do kieszeni marynarki po telefon. Kreśli palcem łamaną linię na wyświetlaczu, skupia wzrok na wyświetlanych informacjach. Szybko coś odpisuje i chowa aparat w chwili, kiedy Gocha wzdycha i siada obok niego w fotelu. Nie rozsiada się, zajmuje miejsce na skraju poduszki i sięga po herbatę.

– Posłodziłeś mi? – pyta Krzysztofa, ale ten zaprzecza, więc sama sięga po cukiernicę. – Dziękuję, że jednak się zgodziłaś, to dla nas ważne. Dla mnie i dla rodziców – dodaje, jakby tego nie wiedziała.

Nie wygląda jednak na zadowoloną. Misja nie zakończyła się sukcesem.

– Znalazłaś to, co chciałaś? – pytam wprost.

Upija łyk naparu i zanim pomyśli nad odpowiedzią, kręci głową.

– To znaczy niczego nie szukałam. – Maskuje nieszczerłość uśmiechem, skacze wzrokiem między mną a Milą. – Chciałam tylko zabrać resztę jej rzeczy.

– *À propos* rodziców, podobno sprzedali dom – mówię i kątem oka widzę, że Krzysztof pociera pulchne dłonie.

– No wiesz, tatę na stare lata ciągnie do Chełmna. Kupili więc mieszkanie i uznali, że w obecnej sytuacji duża chałupa stałaby się dla nich zbyt dużym obciążeniem. W przyszłości planowali dać dom Roksanie, ale teraz... No, sama rozumiesz...

– Borykają się z kłopotami finansowymi – nie odpuszczam.

Krzysztof spuszcza głowę, odsłania mankiet koszuli, żeby zerknąć na zegarek.

Gocha spogląda na Milę.

– Nie wiem, czy chcę o tym teraz mówić.

Mila nie reaguje.

– Myślę, że to dobry moment, żeby wreszcie oczyścić atmosferę – zaczynam i odczuwam łomot serca. Dudnienie, którego nie zagłusza mój głos. – Mila jest detektywką.

Gocha obrzuca obcą dziewczynę krótkim spojrzeniem.

– No i? – Wzrusza ramionami.

Mam wrażenie, że mięśnie mimiczne na jej końskiej twarzy zastygają.

– Pamiętasz nasze spotkanie, kiedy Piotr i Roksana poszli do kina? – pytam, a siostra męża kiwa głową.

Krzysztof wstaje i mówi, że musi iść do łazienki.

Zostajemy same, trzy kobiety przy stole.

– Wtedy był tam ktoś jeszcze – mówię.

– Nie rozumiem.

Mila sięga po telefon i zaczyna się nim bawić.

– Był tam detektyw, który śledził każdy mój krok – przypominam.

Gocha prycha.

– Co? – mówi głośniej, niż zamierzała. – Chyba żartujesz? Musiało ci się coś pomylić.

Chce sięgnąć po kubek, ale rezygnuje, być może boi się drżenia rąk i tego, że mogłaby rozlać herbatę.

Detektywka się pochyla i odwraca telefon w jej stronę. Zdjęcie mężczyzny z kawiarni zajmuje cały ekran. Przed nim tyłem siedzi rudowłosa. Mila podaje imię i nazwisko detektywa, numer licencji i adres biura.

– Po co to wszystko? – pytam. – Czego chciałaś dowieść?

Gocha wierci się niespokojnie i zaczyna żałować, że w ogóle tu przyszła. Coś w niej pęka.

– Chciałam udowodnić Piotrowi, że go zdradzałaś – wyznaje z udawaną skruchą.

Jest cholernie kiepską aktorką.

– I co ustaliłaś? – pytam, kiedy z łazienki dobiega odgłos spuszczenia wody.

Szwagierka wbija wzrok w podłogę.

– Niewiele, a raczej nic.

Kłamstwo brzmi śmiesznie.

– Dlaczego w takim razie ciągnęłaś to aż do teraz?

Krzysztof wychodzi z łazienki, robi krok w stronę salonu i wykorzystuje chwilową ciszę.

– Pogadajcie sobie, a ja, żeby nie marnować czasu, przerzucę worki do samochodu – mówi i odchodzi do drzwi.

Nie zwracam na niego uwagi.

– Nie chodziło o to, czy zdradzałam Piotra. – Kątem oka obserwuję poruszenie się Mili w fotelu.

Gochę paraliżuje strach, który każe jej ścisnąć uda i zaciskać dłonie w pięści.

– Interesowało cię moje życie prywatne, ale nie dlatego, żeby udowodnić twojemu bratu, że go zdradziłam. – Zaczynam wszystko rozumieć. – Chciałaś poznać moją przeszłość.

– Bzdura – idzie w zaparte.

Zainteresowanie na twarzy Mili sprawia, że zamierzam tę rozmowę kontynuować, ale już tylko we dwójkę. Bez Gochy i Krzysztofa.

– Dlaczego? – rzucam to pytanie, ale wiem, że nie padnie żadna odpowiedź.

Dobiegają mnie przytłumione odgłosy kroków.

– No, to jesteśmy gotowi – oznajmia Krzysztof. – Możemy już jechać.

Gocha wstaje.

– Dlaczego? – pytam dla większego efektu.

– Zdradzałaś Piotra, ale nie udało mi się tego dowieść. – Odchodzi, ale tuż obok fotela, w którym siedzę, zatrzymuje się i spogląda na mnie z góry. – Zadowolona?

Krzysztof macha z progu, podnosi ostatnie worki, Gocha idzie w jego stronę i sięga po stojący na podłodze karton.

Chłód tej wypowiedzi wywołuje u mnie gęsią skórę.

Wieczorem miasto jest kosmosem, wystarczy tylko zmrużyć oczy.

Światła lamp i światła w oknach migoczą, drogi wyścięła blask samochodowych reflektorów i czerwień hamulców. Żółte pasma, jak płynna stal, przeplatają się z czerwonymi. Wszystko w ciągłym ruchu, życie jak przyspieszone nagranie.

Opieram ciężką od myśli głowę na zagłówku w taksówce.

Dzwoniłam na centralę i dlatego zdziwiłam się, że i tym razem podjechał Jan Ogiński. Nie zjechał już do hali garażowej, tylko zaczekał przed bramą.

Przywitał się, zapytał o adres i ruszyliśmy na kosmiczną wyprawę, na trzecie Rubinkowo, do labiryntu bloków, wieżowców, szerokich jezdni, osiedlowych sklepów.

Mila jest biegła w białym wywiadzie. Z prostych, ogólnie dostępnych informacji wyczarowuje dane, które mnie przerażają. Dzięki niej wiem, dokąd jechać.

W drodze, kołysana szumem silnika i cicho nastawionym radiem, myślę o czekającym mnie spotkaniu.

Kiedy zostałam w domu sama, uruchomiłam Instagrama i zalogowałam się na konto catwomenthorn02. Skorzystałam z danych spisanych na kartce. I wtedy kilka lamp w mrocznym tunelu rozbłysło i rozświetliło moją drogę. Reszty dokonała Mila.

Wysłałam wiadomość, że chcę się spotkać, a jeśli do spotkania nie dojdzie, poinformuję policję.

Podziałało.

Koleżanka Roksany obiecała, że wyjdzie przed blok i będzie czekała na parking przy OBI.

Przejeżdżamy przy dużej łące, dawnym placu cyrkowym, rozściełającym się od lasów sięgających zakola Wisły aż do drogi wiodącej do Kaszczorka.

Jan Ogiński skręca w tę drogę, ale po chwili odbija w lewo, na parking przed marketem.

Szatynka z rastamańską czapką na głowie próbuje utrzymać równowagę, stąpając po parkingowych krawężnikach. Rozkłada szeroko ręce i balansuje przy kolejnych krokach.

Michalina Wisecka. Wiśka albo po prostu Michasia. Tak się do niej zwracała Roksana.

Proszę Ogińskiego, by zaparkował z dala od niej.

– Zaczekam – informuje, zanim zdążę mu podziękować i podać pieniądze.

Zaczynają mnie drażnić jego dyspozycyjność i to, jak się stara. Cały czas się obawiam, że chodzi mu o mnie, o moją urodę, że będzie próbował się gimnastykować, żeby zaciągnąć mnie do łóżka.

Z trudem się zgadzam i staję na wybrukowanym szarą kostką parkingu, wprost przed pomarańczową ścianą z trapezowej blachy.

Po prawej i lewej mam palety materiałów budowlanych owiniętych folią, którą szeleści lekki wiatr. A przed sobą szczupłą dziewczynę, balansującą jak na linie. Jest odwrócona do mnie plecami.

Jesteśmy z dala od wejścia.

Odwraca się i idzie w moją stronę, ale wciąż mnie nie widzi. Biały kabel słuchawek zwiesza się z jej uszu, ukrytych pod czapką, i znika w kieszeni kurtki.

Robię kilka kroków w jej kierunku i wtedy mnie zauważa, nieruchomieje z rozłożonymi rękoma.

Jest jak krzyż na wieży w Pasowcu.

Zeskakuje z krawężnika, wsuwa dłonie do kieszeni i garbiąc się, idzie wolno w moją stronę.

Kiedy obie się zatrzymujemy, obrzuca mnie spojrzeniem, a potem jej wzrok ucieka na bruk, na boki.

Jedyne, czego nie chcę, to żeby teraz się bała. Strach sprzyja kłamstwu, a ja przyjechałam tu po prawdę.

– Wiem, że jesteś przyjaciółką Roksany. – Celowo używam czasu teraźniejszego, nie chcę, by tragiczna przeszłość ciążyła nad tą rozmową. – Czytałam kiedyś waszą rozmowę na Messengerze i wiem, że nie byłam ukochaną macochą Roksany – mówię trudną dla mnie prawdę, bo oczekuję od niej tego samego.

Wciąż patrzy w bok, ale kiwa głową. Dobrze i to.

Dopiero teraz widzę, że żuje gumę, dolna szczęka drży intensywnie.

– Wiem, co robiłyście, tylko wciąż nie wiem po co. Jaki był cel tej... – Szukam odpowiedniego słowa, bo przecież nie chcę jej oskarżać, więc wybieram najłagodniejsze określenie, które przychodzi mi do głowy. – Tej nieodpowiedzialnej zabawy.

Wzrusza ramionami, ale spogląda mi w oczy.

– Nie wiem, naprawdę. To było głupie – przyznaje.

– To był pomysł Roksany, prawda?

– Mhm.

– Mówiła dlaczego?

– Bo pani nie lubi? Nie lubiła – poprawia się natychmiast. – Czy to wystarczający powód?

Unoszę brwi.

– No naprawdę nie wiem dlaczego – dodaje. – Opowiadała dużo o pani, wyśmiewała się z pani profilu na Instagramie, zamieszczanych tam treści. Miała z tego niezłą bekę.

– Obie miałyście.

Nie potwierdza, ale nie musi.

– Nie mam żalu, chodzi mi tylko o ustalenie pewnych faktów – zaznaczam. – I tego, dlaczego robiłaś sobie zdjęcia i wysyłałaś mi informacje już po wypadku.

Odwraca się przez ramię, ale nikogo tam nie ma. Jest pusta przestrzeń, tunel między paletami, który kończy się na pomarańczowej ścianie. Wpadają tu światła latarni, cienie materiałów budowlanych znaczą bruk czarnymi trapezami.

Ona nie chce uciekać, ale też wcale nie czuje się tu bezpieczna. Nigdzie jednak nie ma bezpiecznego miejsca, schronienia jak to w lesie w Pasowcu, mojej i Wioli Budy Reksia.

Pociąga nosem i ociera go wierzchem dłoni, na które zachodzi ściągacz swetra. Nie płacze, to tylko katar.

– Strasznie przeżyłam śmierć Roksany... – Urywa i nawija na palec kabel od słuchawek. – Była moją najlepszą kumpelą,

przyjaciółką, z którą zawsze o wszystkim mogłam pogadać.

Kiedy mówi te słowa, wyraz jej twarzy zmienia się i spoglądam w błyszczące, pełne radości oczy Wioli Raszyńskiej. Grzywka opada do linii brody, Wiola uśmiecha się szerzej, tak że dostrzegam jej dołeczki w policzkach. Jesteśmy same na łące na zalanym słońcem stoku Pasowca i znowu ściskamy swoje dłonie. Chichot wprawia nasze ciała w drżenie.

Ale obraz znika tak szybko, jak się pojawił.

– Więc robiłaś to dalej, bo chciałaś się na mnie mścić? – nie dowierzam i czuję, jak złość gęstnieje mi w żyłach.

– Tak.

Wypuszczam powietrze z sykiem. Muszę się opanować.

Chciałabym na nią nawrzeszczyć, szarpnąć za kurtkę, uderzyć w twarz, ale zanim wybuchnę, odwracam się i odchodzę. Tłumię w sobie gorejący gniew, odbieram żarowi tlen i czekam, aż zgaśnie.

Idę szybkim krokiem do taksówki. Jan Ogiński uruchamia silnik, szarpie klamkę i wsiadam na tylną kanapę.

Nie zdążę zapiąć pasa, kiedy wóz miękko rusza z miejsca.

– Stop – rozkazuję kilka metrów dalej, bo nagle coś do mnie dociera.

Stoimy. Oczy Ogińskiego wpatrują się we mnie z lusterka wstecznego.

– Niech pan wróci – dodaję łagodniejszym tonem.

Robi to, ale na pustej drodze między paletami nie ma już nikogo.

Zostały tylko cienie.

Dzwonię do niej i nie muszę długo czekać.

– Tak? – pyta z wyraźnym przestradchem.

Wysiadam z taksówki, bo nie chcę, żeby kierowca słyszał tę rozmowę. Odchodzę pod latarnię i staję w kręgu pomarańczowego światła.

– To Roksana wymyśliła ten login?

– Słucham?

– Catwomenthorn02 – wyjaśniam i powtarzam. – Kto wymyślił ten login?

– Nooo, Roksi. To był jej pomysł.

Spodziewam się tego.

– Czy komukolwiek jeszcze wysyłałyście informacje przez Instargama?

– Słucham?

– Słyszałaś wyraźnie – złoszczę się.

– No nie. Nikomu. Roksi na pewno też nie. Powiedziałyby mi o tym. Byłyśmy jak siostry. Wszystko sobie mówiłyśmy.

„Jak siostry”.

Te słowa odbijają się echem, jak nasze radosne krzyki z Wiolą w lesie w Pasowcu.

„Wszystko sobie mówiłyśmy”.

A może wcale tak nie było, powątpiewam.

– Nie poinformuje pani policji? – Pytanie Wiśki przywraca mnie do rzeczywistości, do wieczoru na opustoszałym parkingu przy markecie.

– Nie.

– A rodziców?

– Też nie, ale tylko jeśli skasujesz to konto. Teraz. Zaraz.

– Dobrze – odpowiada. – Zrobię to. Obiecuję.

Wracam do samochodu.

Odjeżdżamy, droga kołysze mnie na tylnej kanapie.

Światła lamp zagładają mi co jakiś czas do oczu, rwą nieskładne myśli.

Kiedy jedziemy przez szeroki most, dzwoni Mila.

– Sprawa długu nie dotyczy teściów – informuje. – Ratuja Krzysztofa Millera, swojego zięcia.

– Ratuja? – Nie bardzo wiem, co ma na myśli.

– Dziwnie się dziś zachowywał. Zwróciła pani uwagę?

Odtwarzam scenę z mieszkania i przyglądam się Krzysztofowi. Zapamiętałam spokój w jego ruchach. Ale to wszystko się zmienia,

kiedy zaczynamy rozmawiać o teściach. Nerwowość wypływa na powierzchnię, jest widoczna jak boje na morzu.

Oblizuje usta, pociera dłonie, wstaje i odchodzi. Znika pakować worki.

– Pomyślałam, że zamiast grzebać w śmieciach u teściów, pogrzebię u Millerów. I to się opłaciło. Ma spore problemy finansowe.

– On?

– Jego firma. Nie płaci kontrahentom, zwalnia pracowników. Wierzyciele pukają do drzwi. Sprzedaż domu teściów pomoże jedynie na początek. W grę wchodzi blisko czterysta tysięcy złotych zadłużenia.

– Dlatego chcą spadku po Piotrze.

– To jedyna szansa. A pani widocznie już nie jest ich rodziną.

Rozłączam się i zamieram.

Kalejdoskop myśli, twarze osób z rodziny Piotra migają mi przed oczami.

Śmierć męża tnie więzy, które mnie z nimi łączyły. Nigdy nie były mocne, prawdziwe i pełne. Dlatego zastanawiam się, co jest ze mną nie tak. Dlaczego nie umiem nawiązywać normalnych relacji.

Dlaczego jestem żałobnicą?

Dlaczego jestem suką?

– Niech pani nie płacze. – Taksówkarz wpatruje się we mnie, jego oczy błyszczą w lusterku wstecznym.

Ocieram wilgotne policzki.

– Mogę coś dla pani zrobić?

Zaprzeczam i szukam w torebce chusteczki. Ocieram nią nos.

– Ile jestem winna?

Zapala światło.

– Czterdzieści siedem złotych.

– Kartą?

Sięga po terminal i wystukuje na nim odpowiednią kwotę, podaje urządzenie między fotelami. Kasa fiskalna pomrukuje, drukując

paragon. Rozlega się krótkie przedarcie papieru.

Zbieram się do wyjścia.

– Pani potrzebuje pomocy. – Ogiński gasi światło i sięga po fajkę i tytoń w puszcze.

Patrzy przez przednią szybę na dwoje wieczornych spacerowiczów z psem, którzy – kilka metrów stąd – zbliżają się do furtki.

Nabiera palcami skrawki tytoniu, a wiśniowy zapach wypełnia wnętrze taksówki. Delikatnie ugniata tytoń i wkłada do cybucha. Uklepuje chromowanym ubijakiem i dokłada kolejną porcję. Resztki strzepuje z džinsów na gumowy dywanik.

Nie odzywam się, chociaż nie podoba mi się ta troska.

– Dlaczego pan po mnie przyjechał? – decyduję się zapytać, ale nie uzyskuję odpowiedzi. – Dzwoniłam na centralę, liczyłam, że tym razem zgłosi się inny kierowca.

– Prosiłem koleżanki, które dyżurują w dyspozytorni, by przekazywały mi wezwania spod pani numeru – wyjaśnia.

Spodziewałam się kłamstwa, a zyskuję prawdę.

– Dlaczego? – postanawiam drażnić, a jednocześnie nie chcę, by opowiadał mi o zakochaniu, o dawaniu sobie i jemu szansy.

Wsuwa fajkę do ust i zamyka paczkę tytoniu. Odkłada ją na miejsce.

– Bo zwyczajnie się o panią martwię.

– Nie rozumiem.

– Ma pani sporo problemów, a ja chciałbym...

– Skąd pan to wie? – przerywam mu.

Nie odpowiada, więc sięgam do klamki i otwieram drzwi.

Z daleka słychać szczekanie psów, które przechodzi w chóralne wycie, gdy spokój przerywa narastający sygnał radiowozu. Koguty rozsiewają niebieskie światło po oknach bloków, po ścianach, po asfalcie.

– Chciałbym pani pomóc.

– Niby jak? – Stawiam nogę na chodniku. – Co pan o mnie wie?

Odwraca się do mnie i oczekuje, aż policyjny wóz przemknie i ucichnie.

– Trochę wiem. – Głaszczę brodę w kolorze księżyca. – Jestem byłym gliniarzem.

WCZEŚNIEJ

Zdołałam wyjść z domu Sowińskiej i w panice pozamykać zamki. Uciekłam na wyższe piętro i pełna niepokoju nasłuchiwałam jej kroków i poszczekiwania psa. Szumiało mi w uszach.

Sowińska weszła po cichu na drugie piętro, pies przydreptał do drzwi mieszkania i zaczął je obwąchiwać.

Zazgrzytały zamki i po chwili kobieta i pies zniknęli za drzwiami.

Na palcach zesłam na parter i wymknęłam się z klatki schodowej wprost w chłodne smagnięcia wiatru. Nieco dalej minęłam kosz na śmieci. Gdy oprzytomniałam, wróciłam do niego i w stertę odpadków cisnęłam klucze do domu Sowińskiej. Nie zamierzałam tam nigdy więcej wracać.

Szybkim krokiem skierowałam się na parking przy galerii i schowałam w samochodzie. Oczekałam, aż zejdzie ze mnie stres, otarłam spocone czoło. Zdjęłam rękawiczki.

Dopiero wtedy mogłam spokojnie sięgnąć po coś, co zabrałam z mieszkania dróżniczki.

Pusty blister po lekach, który leżał na stole.

Zaszeleścił mi w dłoni, gdy na odwrocie próbowałam rozczytać nazwę.

Insulan.

Sięgnęłam po smartfon i wpisałam nazwę do wyszukiwarki.

„Suplement diety wspomagający prawidłowy metabolizm węglowodanów, pomaga utrzymać prawidłowy poziom cukru w organizmie”.

Z trudem doczytałam do końca, bo zdawałam sobie sprawę, do czego ta wiedza może prowadzić. Być może dróżniczka chorowała na cukrzycę. Ale równie dobrze chory mógł być jej mąż albo syn.

Mimo wszystko wiedziałam już, co powinnam zrobić.

Szybko wróciłam do domu. W gabinecie Piotra wydrukowałam dwa adresy na papierze samoprzylepnym. Wycięłam je i nakleiłam na zakupioną kopertę bąbelkową. Wypełniłam formularz do wysyłki listu poleconego. Zabrałam go na pocztę w pobliżu mieszkania Sowińskiej. Zrobiłam to celowo.

Pismo było adresowane na podkomisarz Lenę Wolską, a jako nadawczyni figurowała Irena Sowińska. Może i głupio, ale przecież nie mogłam podać swoich danych.

– To wszystko? – spytała znudzona pracownica poczty.

– Tak – odparłam i skierowałam się do wyjścia. Przed drzwiami placówki ujrzałam Sowińską z psem.

Przywiązywała smycz do kraty w oknach pobliskiego sklepu.

Pies siedział i oblizywał pysk, tęsknie patrząc w jej stronę, gdy mijała mnie z uprzejmym uśmiechem.

TERAZ

Promienie porannego słońca łamią się na ścianie i parkiecie jak cień ciężkiej zasłony, która niemal styka się z podłogą.

Wstaję i chodzę po poddaszu z myślami rozbitymi jak szkło.

Biorę prysznic, żeby wtłoczyć w zziębnięte ciało nieco energii. Paruje lustro, w którym znikam jak we mgle.

W wyciszonym telefonie, leżącym na blacie w kuchni, mam dwa nieodebrane połączenia.

Ogiński i Mila.

Oddzwaniam do detektywki, która od razu przechodzi do rzeczy.

– Wszystko się zgadza. Ogiński odszedł z policji w dwa tysiące szóstym roku z powodu kłopotów ze zdrowiem. Chyba z sercem – relacjonuje zdobyte dla mnie informacje.

– A jego kartoteka w policji? – pytam.

– Czysta. Nienaganny przebieg służby, dwie pochwały, żadnych spraw w wewnętrznym.

– Te informacje chyba nie są z białego wywiadu? – pytam serio, ale rozbawiam ją tym.

– Nie, to prawda. – Śmieje się. – Przyjmijmy, że to szary wywiad. Mam kolegę w kryminalnym – wyjaśnia.

Rozmawiamy jeszcze kilka chwil, potem dziękuję jej za współpracę i proszę, żeby wystawiła rachunek.

– Jeśli w czymkolwiek mogłabym jeszcze pomóc... – zaznacza.

– Będę pamiętała. – Z żalem kończę to połączenie.

Włączam ekspres i czekam, aż brązowy napar spłynie wąskimi strużkami do filiżanki, a urządzenie zaszemrze, przechodząc w stan oczekiwania. Dopiero wtedy wybieram numer do Ogińskiego.

Odbiera po drugim sygnale.

– Już się obawiałem, że nie chce pani ze mną rozmawiać.

– Czego pan oczekuje? – Wolę grać w otwarte karty.

– Rozmowy w cztery oczy. Wtedy o wszystkim opowiem.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek i kiedykolwiek. Choćby i zaraz.

– Nie marnuje pan czasu.

– Bo być może nie mamy go zbyt wiele – odpowiada tajemniczo.

Przenoszę wzrok za okno, na łamane linie dachów domów jednorodzinnych i na nierówną linię drzew za nimi, przypominającą przedarty papier.

– W takim razie niech pan przyjedzie.

Odkładam komórkę i zanurzam usta w gorącej i gorzkiej kawie.

Ma smak mojego życia.

Ogiński ma na sobie czarne sztruksy i takiego samego koloru golf opinający brzuch. Siwa broda zakrywa szyję i spada na tors. Po raz pierwszy zauważam, że w pobliżu ust zarost jest rdzawy od tytoniu, jakby ktoś pędzlem przeciągnął pionową kreskę.

W dłoni trzyma zwiniętą gazetę.

Siadamy w salonie, ja na sofie przed otwartym laptopem, Ogiński wybiera fotel. Nie chce kawy ani herbaty, zadowala go woda gazowana z cytryną. Pęcherzyki odrywają się od dna szklanki i pękają na powierzchni.

Czekam, aż zacznie mówić, a jednocześnie spoglądam ukradkiem na otwarte akta sprawy zaginięcia Wioli Raszyńskiej.

Przeciąga palcami po brodzie, jakby ją rozczesywał.

– Do czasu, kiedy mi zdrowie pozwoliło, pracowałem w policji, w wydziale kryminalnym.

– Wiem. Potem była renta. – Staram się skrócić tę opowieść do niezbędnego minimum.

– Tak. – Postukał palcem w klatkę piersiową – Nadciśnienie. Nieleczone – podkreśla ze wstydem. – A w konsekwencji kłopoty z przerostem komory serca. Trudności ze snem, koncentracją. Szef chciał mi pomóc, załatwić lżejszą robotę, ale nie uznaje półśrodków. Albo kryminalny, albo pożegnanie z mundurem.

– Jaki to wszystko ma związek ze mną? – Próbuję odpowiednio pokierować naszą rozmową.

– Właśnie chciałem o tym powiedzieć.

I płynnie opowieść o pierwszym spotkaniu, o przestraszonej kobiecie, którą odebrał z hali garażowej apartamentowca i zostawił w deszczu w centrum miasta. Wiedział, że ktoś ją śledzi. Nietrudno się domyślić, skoro w trakcie drogi odwracała się z przestachem i patrzyła przez tylną szybę. A potem zobaczył jej twarz w gazecie. Dodał dwa do dwóch i zasięgnął języka u kolegów z kryminalnego.

– Zna pan Lenę Wolską?

Zaprzecza.

– Rozpoczęła pracę w toruńskiej komendzie już po moim odejściu. Ale z pewnych źródeł wiem, że ma łeb na karku.

Milczymy jakiś czas, aż w końcu przerywam ciszę.

– Więc dużo pan o mnie wie.

– Mówmy sobie po imieniu – prosi, a ja się zgadzam.

– Dlaczego zainteresowała cię moja sprawa? – pytam.

– W zasadzie chyba w ogóle nie byłem nią zainteresowany. Przynajmniej nie tak, jak sobie wyobrażasz. Po prostu współczułem ci rodzinnej tragedii.

– Ale na tym się nie skończyło, prawda?

– Nie. Bo pojawił się tekst Ruteckiego o zaginięciu Sowińskiej i twoim związku z tym śledztwem. A potem dziennikarz odkrył więcej kart z twojej dawnej przeszłości.

– I co o niej sądzisz?

Otwiera usta i zamyka je szybko.

– Cały czas się nad tym zastanawiam.

– Wygląda na to, że Rutecki wydał już na mnie wyrok – informuję.

– Ale policja nie znalazła żadnych obciążających cię dowodów.

Węszy przy tobie, to pewne, szuka nici, powiązań, wszyscy jednak zdają sobie sprawę, że marnują czas.

– A rewelacje Ruteckiego?

– Dziennikarz gra pod publiczność. Złapał temat, więc draży. Ale jedno powinno dać ci do myślenia.

Żałuję, że byłam taka głupia i nie wpadłam na to wcześniej.

– Że działała na czyjeś polecenie? – pytam, mimo wszystko pełna wątpliwości.

– Właśnie.

Przełykam ślinę.

Robi mi się niedobrze, ale nie mam pojęcia, czy powodem jest wczesna ciąża, czy to, że ktoś grzebie w mojej przeszłości.

Taksówkarz sięga po gazetę i wyciąga rękę, żeby mi ją podać.

– Na czwartej stronie – podpowiada.

Szeleszczą kartki, a potem mój wzrok trafia na zdjęcie policyjnego parawanu rozpiętego nad brzegiem rzeki porośniętym wysoką brunatną trawą. Wokół widać funkcjonariuszy w białych kombinezonach i kilka osób w cywilnych ubraniach oraz radiowóz.

Uwagę przykuwa tytuł.

„Czy Wisła wyrzuciła na brzeg ciało dróżniczki?”

Czytam niezbyt długi artykuł, w którym pierwsze akapity przynoszą rewelacje o odłowieniu ciała topielczynie, bo policja nie ma wątpliwości co do płci ofiary. Trwa wyjaśnianie okoliczności zgonu. Przy zwłokach nie znaleziono żadnych dokumentów, ale zdaniem Ruteckiego Sowińska w ostatnim czasie była jedyną zaginioną kobietą w Toruniu.

Ostatnie akapity przypominają o tragicznym wypadku bmw na przejeździe kolejowym, do którego doszło przed dwoma miesiącami.

Dziennikarz podkreśla, że dróżniczka prawdopodobnie otrzymała odpowiednie sygnały ze stacji kolejowej w Toruniu, a potem zasłała, na skutek czego nie zdążyła opuścić szlabanów.

Czytam końcówkę tekstu.

Policja bada również wątek żony właściciela staranowanego bmw, który stracił życie na przejeździe. Zaginięcie Sowińskiej może mieć związek z aktem zemsty. W tej sytuacji, jak dowiadujemy się ze źródeł zbliżonych do toruńskiej komendy policji, trudno odrzucić takie rozwiązanie. Do sprawy wrócimy.

Sięgam po telefon i wybieram numer Wolskiej.

Nie odbiera ani za pierwszym, ani za drugim razem.

Ogiński przypatruje mi się w milczeniu. Jest cichy i skryty, ale dostrzegam w nim spokój, którego teraz potrzebuję.

Jego telefon dzwoni, ale odrzuca połączenie. Kontaktuje się z dyspozytornią i informuje, że przez kilka najbliższych dni zostanie w domu, że łamie go w kościach.

– Tak, wiem – mówi. – No trudno, nic nie poradzę... Jasne, dam znać z wyprzedzeniem. Trzymaj się. – Kończy połączenie i odkłada aparat na stół.

– I co teraz? – pytam.

– Wypadałoby zabrać się do pracy. – Uśmiecha się łagodnie, a kurze łapki robią się wyraźniejsze. – I najlepiej zacznijmy od początku.

Odwracam laptopa ekranem w jego stronę. Monitor wypełnia pierwsze zdjęcie z akt Wioli Raszyńskiej.

– W takim razie może czas wrócić do Pasowca – proponuję.

WCZEŚNIEJ

Są na tym świecie miejsca, które wiążą nas ze sobą tak, jak kotwica łączy statek z dnem morskim. Wbijają w skórę haczyki i szarpią boleśnie przy najmniejszym ruchu.

W różnych okresach mojego życia były to różne miejsca. Nie myślałam o domu ani o tych wszystkich przestrzeniach, w których cegła po cegle obudowujemy szczęście, a wiszące lustra poszerzają nasz uśmiech. Myślałam raczej o miejscach, które wyszarpują z nas mięso i żyły, tworzą krwawe wyrwy, niegojące się, owrzodziałe rany. Chociaż miejsca przecież nie są niczemu winne. Winni są ludzie, których właśnie tam spotykaliśmy.

Moje rany krwawiły w Budzie Reksia w Pasowcu, na nocnym przejeździe kolejowym ze sterczącymi w niebo szlabanami i w mieszkaniu Sowińskiej, którego zapach siedział mi w nozdrzach, a obrazy jego wnętrza nawiedzały mnie wielokrotnie.

Czekałam na moment, aż Sowińska wyjdzie z domu i kolejny raz pojedzie odhaczyć się na komisariacie.

Tym razem wyszła bez psa i stanęła na chodniku z rękoma wsuniętymi w kieszenie. Kasztanowymi lokami targał wiatr, ale ona wydawała się zupełnie niewzruszona, nieobecna. Trwało to kilka sekund, potem odwróciła się i spojrzała na okna swojego mieszkania. Nikt tam na nią nie czekał, a jednak uniosła dłoń na pożegnanie.

Odeszła wolno, a ja odprowadzałam ją wzrokiem.

Nie wiem, dlaczego to robiłam. Nie rozumiałam wewnętrznego pragnienia patrzenia na kobietę, z której winy nie żyli mój mąż i pasierbica.

Jestem suką.

Tak, jestem nią, bo doskonale zdawałam sobie sprawę, że gdyby nie ten wypadek, pewnie już nie byłibyśmy razem. Nasze małżeństwo płowiało jak surowe drewno na elewacji. Początkowo piękne, szybko posiniało, napęczniało od częstych opadów, rozwarstwiło się w gorącym słońcu, gniło.

Nienawidziłam Roksany. Oskarżałam ją o rozpad naszego małżeństwa, ale przecież nie ona była temu winna.

Jestem suką, bo ich śmierć na torach mnie wyzwoliła i sypnęła kasą. Przyzwyczaiałam się do niej, od kiedy związałam się z Piotrem, pieniędzy nigdy nam nie brakowało. Nie byłam łasa na bogactwo, wcześniej żyłam skromnie. Ale miałam też świadomość tego, że po ewentualnym rozwodzie moje życie na pewno by się zmieniło. I gdyby Piotr żył, niewykluczone, że Marcin, ojciec rozwijającego się w moim łonie dziecka, poświęciłby mnie dla męskiej przyjaźni. Być może zostałabym sama. Bez żadnych luksusów.

Ale ilekroć myślałam, że śmierć Piotra i Roksany nie zostawiła we mnie wyrwy, tylekroć, kiedy zamykałam oczy, słyszałam narastający stukot pociągu. Scena za sceną wracały do mnie obrazy, których mój mózg nigdy nie zarejestrował, a jednak widziałam je dokładnie, jakbym była świadkiem tragedii na torach.

Po wypadku jeździłam tam nocą, wystawałam przy przejeździe kolejowym. Patrzyłam na budkę dróżnika, widziałam go przez okno w rozświetlonym naburkowaną lampką klaustrofobicznym wnętrzu, spoglądającego w duży monitor, przykładającego do ucha starą słuchawkę telefoniczną. Dużą słuchawkę. Widziałam, kiedy wstaje i podchodzi do przełączników, słyszałam jęk opuszczanych szlabanów. W moich oczach odbijało się czerwone światło, raz z jednego reflektora, raz z drugiego. Dźwięczały dzwonki. A potem pociąg przejeżdżał z hukiem, pęd powietrza uderzał mnie w twarz,

tarmosił włosy, grzywka opadała mi na oczy. Stukot cichł, a dróżnik wpatrywał się we mnie, zanim wrócił do procedur.

Musiałam wiedzieć, że sytuacja już się nie powtórzy. Chciałam mieć pewność, że nocą przejazd będzie bezpieczny, że już nikt tam nigdy nie zginie.

A czego szukałam u Sowińskiej?

Współczułam jej. Wyobrażałam sobie, że podejść do niej, że powiem, kim jestem, że się przedstawię. Chciałam jej ulżyć, zdjęć z barków ciężar win, który co tydzień dźwigała na komisariat. A zamiast tego wszystkiego uległam głupiej pokusie i pogwałciłam jej prywatność.

Czy żałowałam?

Byłoby tak, gdybym nie znalazła leku wspierającego leczenie cukrzycy. Ale byłam też naiwna, że wysyłając go na policję, cokolwiek wskóram. Przecież na pewno prześwietlili jej dokumentację medyczną w przychodni, w której się leczyła, a nie tylko zajęli się samymi badaniami okresowymi.

Nie mogłam wykluczyć, że Sowińska, której współczułam, była winna tej tragedii. Tak samo jak nie mogłam wykluczyć tego, że nie ona chorowała na cukrzycę, ale ktoś z jej bliskich.

Wracałam więc pod jej dom, żeby wyczytać tę winę z jej twarzy.

Tymczasem ona szła dalej chodnikiem, ale nie w stronę, w którą zawsze udawała się z psem. Tym razem kierowała się w głąb osiedla.

I okazało się, że znikając mi z oczu, zniknęła na dobre z mojego życia i życia swoich bliskich.

Patrzyłam na blok, w którym mieszkała, czekałam na nią długo, aż w końcu przeszłam się do pobliskiego SPA.

W trakcie masażu pod powieki spływały mi obrazy.

Blok Sowińskiej, boazeria w przedpokoju, czerwony szlafrok w łazience, równo ustawione kapcie, miska dla psa w kuchni. Blister po leku.

Wszystko to jedna wielka wyrwa.

Ropiejąca rana.

TERAZ

Ogiński zgrywa fotokopie na pendrive'a, a potem wysłuchuje mojej długiej relacji z Pasowca. Prowadzi zapiski w kołonoatniku. Przerywa rzadko, czasami dopytuje o pewne kwestie, a ja na tyle, na ile potrafię, wracam do szczegółów z dawnych zdarzeń.

Niczego nie ryzykuję. Raczej widzę w tej rozmowie szansę.

Zanim Ogiński zniknie z mojego domu, wskazuję jeszcze na przyniesioną przez niego gazetę.

– A co z nim? – pytam.

– Z Ruteckim?

Potwierdzam.

– Na razie go zostawmy – proponuje były policjant.

– Zdarzało się, że do mnie wydzwaniał – dodaję.

– Szczerze mówiąc, nie sądzę, by teraz miał na to ochotę. Może się obawiać twojej reakcji po tych wszystkich insynuacjach. – Spogląda na prasę.

– Więc dać sobie spokój czy może jednak się bronić i zatrudnić prawnika?

– Wstrzymaj się z tym jeszcze przez chwilę. W razie czego będziemy mogli wrócić do tego pomysłu.

Ogiński wychodzi, a wraz z nim znika coś, co – pojmuję to dopiero później – jest moim głęboko utulonym wspomnieniem, które za jego sprawą wypłynęło na powierzchnię.

Jest w tym byłym gliniarzu rodzaj ostrożnej, ojcowskiej czułości do córki. Nie umiem inaczej tego opisać. W Ogińskim znajduję

wiele z mojego ojca, którego coraz bardziej zatarty obraz często do mnie powraca. Delikatny uśmiech, opanowanie i spokój w każdej sytuacji, ciepło, które odczuwam, gdy tylko przywołuję jego wspomnienie sprzed lat. Chociażby z chwili, gdy stoi z podwiniętymi rękawami koszuli, ubrudzonymi dłońmi, ze śrubokrętem w jednej z nich i uśmiecha się na widok córki, bujającej się pierwszy raz na świeżo zmontowanej przez ojca huśtawce.

Bujam się dalej we wspomnieniach, ale znikają wraz z głośną melodią telefonu.

– Dzwoniła pani. – W słuchawce brzmi matowy głos podkomisarz Leny Wolskiej.

Witam się z nią.

– Tak. Chciałam tylko zapytać, czy ta odnaleziona topielczyni to Sowińska.

– Przecież zdaje sobie pani sprawę z tego, że nie mogę udzielać takich informacji – usprawiedliwia się bez zbędnej złości.

– Rozumiem.

– To dlaczego pani dzwoni?

W zasadzie chciałabym się rozłączyć, ale nie robię tego.

– A czy pojawiło się coś nowego w sprawie dróżniczki? Nowe tropy, nowe ślady? – Zadaję to pytanie i niemal natychmiast przenika mnie strach. Boję się, że zbyt czytelnie naprowadzam ją na przesyłkę z opakowaniem po leku.

Słyszę, jak wzdycha.

– Naprawdę nie mogę... – zaczyna, ale szybko jej przerywam.

– Wiem. Dobrze, przepraszam.

Rozłączam się, zażenowana własną głupotą. Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. Nie zdążę jednak tego roztrząsać, bo komórka znowu dzwoni. Wciąż trzymam ją w ręce i czuję, jak drży.

Ponownie Wolska.

Nie odbieram, odkładam aparat i idę do kuchni. Melodia w końcu cichnie.

Staram się złapać kilka oddechów i się uspokoić. Dłonie bezwiednie trzymam na brzuchu.

Przyrządzam grecką sałatkę, kroję fetę, dodaję zioła, ścieram opuszką gęstą kroplę oliwy z butelki i przykładam do ust.

Zasiadam z miską przed telewizorem.

Jem, przegryzam ziarna słonecznika i skaczę po kanałach.

Jestem i mnie nie ma. Błądzą myślami.

I znowu odzywa się telefon.

Tym razem wyświetla się numer, który dobrze znam, dźwięk, chociaż taki sam jak zawsze, tym razem budzi we mnie lęk.

Matka.

Sięgam po aparat i natychmiast odbieram.

– Tak?

– To ja – mówi cicho, jakby nie przyłożyła komórki do ucha. Po chwili głos już jest wyraźniejszy. – Znowu we wsi mówią, że Wiola wróciła.

DAWNO TEMU

Pierwsze dni w Toruniu, w mieszkaniu wujka – klitce, w której słycać każdy odgłos z mieszkania sąsiadów, szum spuszczonej wody, radio – przepłakuję w ciszy.

Nie ma matki, nie ma Pasowca, szumu drzew na wzgórzu, krzyża na wieży kościoła. Są głośne tramwaje za oknem i krzyki dzieci z placu zabaw, które niosą się w betonowej pustyni i powracającą falą uderzają w otwarte okna.

Wujek jest małomówny, znika na długo w pracy, wraca wieczorami. Wyczuwam w nim niechęć do tej sytuacji, do mnie, dwóch szczoteczek do zębów, czasami zbyt długo zajętej łazienki.

Za często powtarza, że nie ma problemu, że sobie poradzimy.

Nie radzimy sobie.

Oboje to wiemy, ale zgadzamy się na kłamstwo i kiwamy ze zrozumieniem głowami.

Żyję na kilku metrach kwadratowych, w pokoju z biblioteczką, w której większość książek ma gładkie, brązowe introligatorskie grzbiety. Nie sposób znaleźć czegoś do czytania, za każdym razem trzeba zdejmować książkę z sosnowej półki i zerkać pod sztywną okładkę bez napisów, żeby odczytać tytuł.

A mimo to dużo czytam, niewiele mówię, często obserwuję.

Okna pokoju wychodzą wprost na okna innego bloku i trawnik między nimi, po którym wałęsają się psy.

Umówiliśmy się, że nie będę dzwoniła do matki, że to ona dzwoni do mnie. Zazwyczaj robi to z pracy, przed południem, wtedy, kiedy

wujka nie ma w domu, i zapewne także wtedy, kiedy jej koleżanka wychodzi na papierosa. Często szybko musi kończyć, zwraca się wówczas do mnie per „pani”, żegna się i odkłada słuchawkę.

To miał być krótki wyjazd, na tydzień lub dwa.

– Aż się uspokoi, córuś – mówiła matka. – Aż się wszystko uspokoi.

Być może liczyła na to, że Wiola szybko się odnajdzie i będę mogła wrócić. Ale nic nie układa się po naszej myśli.

Tygodnie przeciągają się w dwa długie letnie miesiące.

Trwamy z daleka od siebie, w zawieszeniu, w niepewności, w chłodzie jesieni i mrozie zimy.

Matka niewiele mi mówi o Pasowcu. Obawiam się, że nie jest jej lekko. Być może nadal zmazuje szubienice na drzwiach, drapie farbę z okien, aż łamią jej się paznokcie.

Kiedy pytam o to wujka, bo podejrzewam, że jest w kontakcie z matką, prosi, żebym się nie martwiła.

– U mamy wszystko dobrze – uspokaja mnie, jakbym była dzieckiem, a potem kolejny raz siada w fotelu i przygląda mi się znad gazety, kiedy zaśmiewam się z serialu komediowego o motorniczym i kanalarzu.

Podchwytuję jego spojrzenie i robi mi się nieswojo.

Pierwszy raz tak na mnie patrzy. Jakby patrzył na kobietę. A może tak mi się tylko wydaje. Może po prostu czyta.

Mimo to po kąpieli przystawiam krzesło pod drzwi i próbuję czuwać. Zapadam w sen i zrywam się z niego, klepię się po twarzy. Kolejny raz sprawdzam, czy nożyczki z długimi ostrzami wciąż leżą pod poduszką.

A wcześniej rano, kiedy dzwoni budzik, pod powiekami czuję ziarna piasku. Krzesło stoi nieruszone.

Wujek sprzątnął stół w kuchni, zostawił mi dwie kanapki oraz esencję herbaty w kubku i zniknął.

Obok talerza leży wczorajsza gazeta.

Zjadam kanapki z metką, popijam herbatą i przeglądam tutejsze wiadomości. Czytam po łebkach, słowa przenikają mnie jak dym, nic mnie nie zaciekawia.

Odkładam gazetę i wtedy na ostatniej stronie odnajduję różnej wielkości zdjęcia uśmiechniętych dziewczyn. Podsumowanie konkursu *Dziewczyna Lata*. Na największym z nich szatynka z długimi, prostymi włosami pozuje na tle Wisły. Młoda kobieta jest przystrojona w niebieską szarfę z nazwą gazety. Prezentuje się jak modelka, dłonie opiera na biodrach, łokcie rozstawia szeroko, unosi lekko brodę. Ma piwne oczy, pociągłą twarz i wystające kości policzkowe. Uśmiecha się, a w tym uśmiechu jest czysta, pierwotna radość i duma.

Czytam tekst, w którym wypowiadają się uczestniczki konkursu. Mówią o pięknej przygodzie, snują marzenia i plany na przyszłość, przebakują coś o miłości.

Autorem artykułu jest Wiktor Rutecki.

Odsuwam gazetę i myślę, że od dawna przestałam marzyć.

Marzyłam o odnalezieniu Wioli, chociaż szczerze ją znienawidziłam. I chyba tylko po to miałyby się odnaleźć, bym mogła jej powiedzieć, jak bardzo mnie zawiodła. Jak zmarnowała mi życie. Chciałabym napluć jej w twarz.

Wizualizowałam ten moment wielokrotnie, ale zatarł się jak dawne wspomnienie. I Wiolę przysłania mgła.

Czasami budzę się w nocy, spocona ze strachu, słyszę trzask gałęzi szałas, który rozpada się na moich oczach. Widzę zakrwawioną latarkę. Koszmar mnie goni i dopada co jakiś czas.

Może to on przegonił moje marzenia?

W drodze do szkoły odnajduję jedno z nich. Tak silne i mocne, że dziwię się sobie, że nie pomyślałam o nim wcześniej.

Po szkole, zamiast pójść do domu, wsiadam w autobus i jadę na dworzec.

Nie jestem sobą, jestem impulsem.

Wydaję niemal wszystkie pieniądze na bilet do Krakowa.

Bo moim prawdziwym marzeniem jest powrót do Pasowca.
Choćby na chwilę.

TERAZ

– Wiola wróciła? – Informacja tak mnie szokuje, że muszę wstać. Wolną ręką drapię się po czole, drepcząc nerwowo przed telewizorem.

– Tak ludzie gadają – mówi matka bez przekonania, jakby powtarzała zasłyszaną plotkę.

– Ktoś ją widział?

– Podobno.

– Kto?

– Nie wiem.

Przysiadam na podłokietniku fotela.

– Mamo, skup się – proszę i staram się brzmieć łagodnie, ale w moich słowach tkwią ciernie. – Skąd wiesz o Wioli? Kto ci o tym powiedział?

– Tolecka. Ta ze sklepu.

– I co mówiła? – Z trudem wyciągam z niej odpowiedzi, jak ciężkie wiadro z głębokiej studni.

– Nie wiem, czy można jej wierzyć, wiesz, jaka ona jest. I nic się nie zmieniła...

– Mamo.

Cisza pęcznieje w słuchawce.

– Mamo – ponawiam przez zaciśnięte zęby.

– Podobno widziała ją pod sklepem i na cmentarzu. Ja też tam chodzę, na grób twojego ojca, jak mnie biodro nie

boli, ale jeszcze jej nie widziałam. Chociaż zdaniem Toleckiej to Wioleta Raszyńska.

– I co zrobiła?

– Ta Tolecka? Nic – odpowiada matka.

– Nie Tolecka, tylko Wiola. Co ona tam robiła?

– Ach, o nią pytasz... Stała, popatrzyła. A potem odeszła.

– Dokąd?

– Podobno nic się nie zmieniła. Nadal ma tę samą fryzurę co wtedy.

– Mamo?

– Czy to możliwe, żeby po tylu latach wreszcie się odnalazła?

– A czy ktoś ją potem widział w Pasowcu? Była sama?

Żadnego odgłosu. Przez chwilę mam wrażenie, że zerwało połączenie.

– Nic więcej nie wiem, córuś. Ludzie różne bzdury gadają. Może nie warto we wszystko wierzyć.

– A o mnie jeszcze gadają? – Znowu wstaję i robię krok w stronę okna, za którym miasto buntuje się przed nocą, rozświetlając wszystkie lampy.

– Odpocznij, córuś. Czas spać. Teraz musisz dbać nie tylko o siebie – mówi matka i zostawia mnie samą ze słuchawką przy uchu.

Krzętałem się jeszcze po domu, zabijam czas.

Zaglądam do pustego pokoju Roksany, patrzę na meble, ogołoczone półki i myślę sobie, że czas zacząć się pakować. Nic mnie tu nie trzyma. Muszę wyzwolić się z tego kręgu i być gotowa na nowe.

Muszę odkryć miejsce, w którym będę mogła uwić gniazdo dla mojego dziecka.

Ta ochota uderza mnie z niezwykłą wręcz siłą. Gdybym tylko mogła, zjechałabym do garażu z torebką na ramieniu i wyruszyła w daleką drogę do nowego domu.

Ale nagle coś mną szarpie i nie mogę zrobić kroku naprzód.

Kotwica.

Nie mogę uciec, bo najpierw muszę pozamykać wszystkie sprawy. Muszę sprzedać firmę męża, mieszkanie.

Tylko dlatego muszę tu zostać. Przynajmniej na jakiś czas. Daję go sobie jak najlepszy prezent i jednocześnie snuję dalekosiężne plany, nawiedzają mnie piękne wizje.

Leżę, wpatrzona w sufit, który jest moim ekranem.

Mam otoczony lasem drewniany dom nad morzem. Pustka i spokój wypełniają się szumem fal i szelestem drzew. Rozmawiam z szybującymi mewami, gdy zataczają duże, równe koła. Fale ze szmerem kładą się na gładki złoty brzeg, na którym zostawiam odciski stóp. Raz za razem zmywa je woda, zaciera wszelkie ślady.

Moje dziecko stawia pierwsze kroki na ciepłym piasku. Wysoko unosi gołe nóżki i próbuje utrzymać równowagę. Ma nieco ponad roczek. Nosi białe body i zawiązaną pod szyją czapkę z daszkiem. Stoi do mnie tyłem. Kędziorki blond włosów wydostają się spod przykrycia głowy. Skóra lśni od kremu przeciwsłonecznego z filtrem.

Patrzę na moje dziecko, przyglądam mu się z ciekawością, bo chcę wiedzieć, czy mam córkę, czy syna. Ale kiedy tylko maluch zaczyna się odwracać w moją stronę, oko kamery odjeżdża w bok i moje dziecko pozostaje poza kadrem.

Napawa mnie to lękiem, odzywa się we mnie pierwotny strach matki, ale staram się nad nim panować. Dlatego podążam za obrazem.

Szare morze niesie na grzbietach fal poblask słońca.

Imponuje mi ich nieprzerwany rytm, nieprzerwany szum, kiedy rozlewają się na plaży, zwilżając piasek. Fala za falą, majestatycznie, bez pośpiechu płyną w moją stronę.

Na horyzoncie majaczą sylwetki statków. Wypatruję szczegółów i orientuję się, że zapada noc. Z daleka błyska światło latarni morskiej.

Szum morza i lasu robi się złowrogi.

Wiatr dmie ze zwiększoną siłą.

Stoję sama pośrodku pustej plaży.

Dziecko.

Nigdzie nie ma mojego dziecka.

Otwieram oczy i zdyszana podrywam się do siadu. Z trudem łapię powietrze i odciągam niewidzialne pęta zaciśnięte na szyi.

W domu panują cisza i spokój.

A w moim ciele toczy się wojna.

DAWNO TEMU

Zanim PKS wyruszy do Pasowca, wyskakuję z niego w ostatniej chwili i włączę się nocą po Krakowie.

Przypuszczam, że wujek odchodzi od zmysłów, że zadzwonił do matki. I teraz ona przeżywa męki, przeklina moją decyzję. Przysiadam na ławkach na Plantach, włączę się w pobliżu zakola Wisły i Wawelu, a kiedy słońce zaczyna wędrówkę po niebie, przechodzę w kierunku Rynku.

Odnajduję budkę telefoniczną i dzwonię do matki do pracy, ale odbiera jej koleżanka, więc natychmiast się rozłączam. A jeśli matka wzięła wolne? Jeżeli z mojego powodu jedzie już do Torunia?

Próbuję raz jeszcze, ale i tym razem trafiam na jej koleżankę.

Zna mój głos, więc ponownie rozłączam się bez słowa.

Odwieszam słuchawkę i czuję ssanie w żołądku.

Ochodzę od aparatu, ale szybko do niego wracam i wystukuję numer do wujka, do pracy.

– Halo? – odzywa się po kilku sygnałach.

– To ja – mówię.

– Boże! Gdzie jesteś, do cholery? – syczy w słuchawkę. – Martwimy się o ciebie.

My.

Czyli matka już wie.

– W Krakowie – złość się i łzy napływają mi do oczu. – Nie mam pieniędzy, jestem głodna...

Mam do siebie pretensje, bo nie zdałam egzaminu. Nie spełniłam swojego marzenia o powrocie do Pasowca. Ale usprawiedliwiam się, bo wysiadłam z PKS-u, żeby nie wpędzić matki moim pojawieniem się w Pasowcu w jeszcze większe kłopoty.

Dociera do mnie, że tylko przysparzam jej cierpień, jestem niewdzięczna, zła do szpiku kości.

– Zadzwoń do mnie za dziesięć minut, okej? – prosi stanowczo.

Zgadzam się i odwieszam słuchawkę.

Przypuszczam, że zatelefonuje do matki, że najpierw zgasi jeden pożar – jej lęk. Nie wiem, co zamierza dalej, ale liczę, że jakoś mi pomoże. Jest kilkaset kilometrów stąd. Jeśli będzie mógł zorganizować pomoc, to pewnie tylko z Pasowca. Od matki, to oczywiste. Przecież oboje nie będą nikogo wtajemniczali w tę sytuację. Oficjalnie jestem w Niemczech, tam chodzę do szkoły. I nie wrócę do czasu, kiedy Wiola się odnajdzie albo odnajdą jej ciało.

Muszę więc liczyć na matkę, ale za nic w świecie nie chcę zobaczyć w jej oczach tego, jak bardzo ją zawiodłam.

Jestem głupia i niewdzięczna.

Oskarżam się i uzalam nad sobą, bo nie umiem się wziąć w garść. Nie daję rady dźwigać takiego ciężaru, nie daję rady nieść na swoich barkach winy za zaginięcie i śmierć Wioli. Boję się samosądu w Pasowcu. Drzę w obawie o matkę, a jednocześnie sama wpędzam ją w jeszcze większe kłopoty.

Równo po dziesięciu minutach znowu staję przy budce telefonicznej. Wujek odbiera po pierwszym sygnale.

Musiał stać przy aparacie i trzymać dłoń na słuchawce.

– Halo? – pyta ostrożnie, a kiedy się odzywam, przechodzi szybko do konkretów. – Przelałem pieniądze koledze z Krakowa. Pracuje w centrum, więc pójdziesz do niego i je odbierzesz. Wsiądziesz w pociąg o dwunastej trzydzieści cztery, a ja będę czekał na dworcu.

– Dobrze – zgadzam się posłusznie i zastanawiam się, czy do tego czasu nie umrę z głodu. Ale potem przychodzi ważniejsze pytanie. – A co z matką?

– Wszystko dobrze – mówi wujek.

– Nie przyjedzie do Krakowa?

– Nie.

– Dzwoniłeś do niej?

– Tak. Nie może przyjechać.

– Rozumiem – mówię i odwieszam słuchawkę.

Idę przed siebie, mijam dorożki, wpadam w grupę Japończyków z aparatami fotograficznymi w rękach, tnę Rynek i zaczynam biec.

Płaczę, bo dociera do mnie, że coś jest nie tak.

Matka nie może przyjechać. Matki nie ma w pracy.

Matka, drzę na myśl o niej.

Moja matka być może już ma przeze mnie kłopoty.

Dlatego wracam na dworzec kolejowy. Wsiadam do pociągu do Zakopanego na gapę, ale potrzebuję tylko wyskoczyć za miasto.

I stoję w pobliżu przejścia między wagonami, skąd niosą się charakterystyczny mdławy smród i hałas.

Snujemy się wolno, stuk-stuk, stuk-stuk, stuk-stuk, ale udaje mi się opuścić Kraków.

A dalej łapię stopa, chwilę rozmawiam z kierowcą, a potem morzy mnie sen, usypia mnie szum silnika.

Kiedy zdezorientowana unoszę głowę, starszy kierowca śmieje się, odsłaniając braki w dolnej szczęce.

– To już – mówi.

Rozglądam się, czuję igły w odrętwiałej stopie i ciężko mi się ruszyć. Marszczę czoło.

Stoimy w pobliżu kościoła i proszę mężczyznę, by podrzucił mnie pod dom.

– Którędy? – pyta niechętnie.

Wskazuję mu drogę i prowadzę wysłużoną asfaltówką wprost na sklep, przy którym znajduje się mój dom.

Serce bije mi mocniej, gdy zbliżamy się do niego.

– Gdzie to? – Rozgląda się kierowca.

Kiedy mój dom wyłania się zza drzew, osuwam się w fotelu i proszę go, by zawrócił, wyjaśniam, że się pomyliłam. Staram się nie panikować, ale nie wiem, czy mi się to udaje.

Wzdycha poirytowany, ale przy sklepie zawraca na dwa.

I już odjeżdżamy stamtąd.

Odjeżdżamy spod mojego domu, pozbawionego części dachu i z poczerniałymi jęzorami nad wybitymi oknami, z których złowrogo sterczą resztki szkła.

Domu, który niedawno strawił ogień.

TERAZ

Jan Ogiński wyciąga z teczki zbindowane wydruki fotokopii akt Wioli Raszyńskiej. Każde zdjęcie wypełnia jedną stronę. Na stole w pokoju kładzie gruby tom z szerokim plastikowym grzbietem, a ja przyciszam telewizor.

– I co? – pytam, by nawiązać jakąkolwiek rozmowę, bo były policjant od progu jest milczący. – Przeczytałeś całość?

Kiwa głową.

– Świetnie. – Oczekuję na relację, która nie następuje.

Kroję więc sernik, który Jan przywiózł z pobliskiej cukierni, i rozkładam na talerzach.

Do stygnącej kawy dolewa sobie mleka i dosypuje półtorej łyżeczki cukru.

– Trudna sprawa – wzdycha.

Nie liczyłam na przełom, nie jestem naiwna, a jednak moja skwaszona mina mówi wiele.

– Po pierwsze, mamy tylko część akt, a jakość zdjęć pozostawia wiele do życzenia. Są źle skadrowane, więc na niektórych obcięło sygnaturę, co jest dodatkowym utrudnieniem – wyjaśnia, po czym kosztuje pulchnego sernika.

Robię to samo i ciszę wypełnia jedynie dźwięk rozmów w porannym programie telewizyjnym.

– Ale jakiś punkt zaczepienia mamy.

Zastanawiam się, czy Ogiński nie jest mitomanem. Nie wierzę w to, żeby rozwiązał zagadkę zaginięcia Wioli Raszyńskiej na

podstawie wybiórczych akt.

– Nie oznacza to jednak – wyjaśnia, jakby czytał mi w myślach – że wszystkie odpowiedzi znajdują się tutaj. – Kładzie palec wskazujący na wydruku. – Tak łatwo nie będzie.

– Co w takim razie proponujesz?

– Na początek szczerść. – Uśmiecha się.

Ocieram usta opuszkami palców.

– Czyli? – pytam niespokojnie.

– Znałem twojego wujka – mówi, a ja nieruchomieję.

– Nie rozumiem.

– Nie nosiłem wtedy brody. Gdyby nie to i gdybym się nie postarzał o naście lat, być może łatwiej odświeżyłabyś sobie pamięć.

– Spotkaliśmy się?

– O tak. Kilkukrotnie. Ale to były przelotne spotkania, bo gdy do niego przychodziłem, zamykaliśmy się w pokoju.

Nie pamiętam tych momentów, być może nie zwróciłam na niego uwagi.

– W jakim celu go odwiedzałeś? – To proste pytanie sprawia, że Ogiński wierci się w fotelu. – Powiedzmy – odzywa się po chwili zastanowienia – że chodziło o pewne sprawy, które z tobą i z wydarzeniami z Pasowca nie miały żadnego związku.

Przyjmuję to wyjaśnienie i jednocześnie rozumiem, że Ogiński nie będzie chciał odkryć prawdziwego powodu wizyt w mieszkaniu wujka. Zresztą nie interesuje mnie to i nie drażę tego dalej.

– Wiesz, kim był twój wujek?

To pytanie wydaje mi się absurdalne.

– Bibliotekarzem – odpowiadam.

Ogiński potwierdza skinieniem głowy.

– W zasadzie archiwistą. Ale wcześniej razem pracowaliśmy w policji. Nie mówił ci o tym?

Nie udaje mi się zamaskować zaskoczenia.

– Adam Stec przyszedł z komendy wojewódzkiej w Bydgoszczy. Na własną prośbę przeniósł się do Torunia. Miał tu mieszkanie po matce, to, w którym mieszkaliście.

– Kiedy odszedł z policji?

– Krótco przed twoim przyjazdem.

Zastanawiam się, po co mi to wszystko mówi, i jednocześnie przypominam sobie, że do wujka przychodzili koledzy. Ale rzadko. Zamykali się wtedy w pokoju, skąd dochodziły szepty rozmów, tłumione przez rockową muzykę odtwarzaną ze starych kaset, o których świat zdążył już wówczas zapomnieć.

Przywołuję takie wspomnienie, kiedy siedzi w fotelu, wysoki i zgarbiony, ze słuchawkami na uszach. Kiwa głową rytmicznie, a na kolanach trzyma zdjęcie ciotki. Roześmianej rudowłosej i piegowatej dziewczyny z zamkniętymi oczami, przysłoniętej przez wiosenne baze.

Zazwyczaj to zdjęcie stało przy telewizorze, ale w przypiływie melancholii wujek kładł je sobie na kolanach i włączał w uszy głośną muzykę, która przyciszonym szmerem dolatywała też do mnie.

Zostawiałam go wtedy i zamykałam się w swoim pokoju.

Kiedy odrywał się od wspomnień, robił sobie kawę i przesiadywał w kuchni, gotując obiad na następne dni. Wpadał w chandrę i zadumę, z której wybudzał się dopiero następnego ranka.

Spoglądam na Ogińskiego.

– To on poznał mnie z Ruteckim – przypominam sobie, kiedy pierwszy raz spotkałam się z dziennikarzem.

– Żona Adama, twoja ciotka, była sąsiadką ojca Wiktora – uzupełnia Ogiński.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Tylko takie, że świat jest mały. – Mężczyzna uśmiecha się i rozkłada ręce.

– To po co mi to mówisz?

– Bo wtedy właśnie poznałem ciebie i całą twoją historię.

DAWNO TEMU

Nie zostałam w Pasowcu.

Uciekam stamtąd, a kierowca wysadza mnie kilkanaście kilometrów dalej, na przystanku PKS-u. Płaczę przez całą drogę, a on próbuje mnie uspokoić. Domyśla się, że ten spalony dom był moim domem.

Zanim się rozstajemy, kupuje mi hot doga i herbatę, a w rękę wsuwa trochę gotówki na bilet do Krakowa. Obiecuję, że oddam mu te pieniądze, ale w stresie zapominam o spisaniu jego danych.

Zostaję sama w betonowej wiacie przystankowej przy skrzyżowaniu dróg, z dala od zabudowań. Rozkład jazdy jest zamazany. Nad kubłem na śmieci krążą osy. Raz po raz przejeżdża tędy samochód, ale nie staram się złapać stopa.

Nie chcę, by ktokolwiek z mieszkańców Pasowca mnie teraz zauważył. Wszyscy sądzą, że mieszkam w Niemczech, i tak musi pozostać. Nie mogę tego zepsuć, nie mogę zawieść matki, która padła ofiarą złych emocji. Wiem, że to podpalenie domu nie wydarzyło się przypadkiem. Nie mogło tak być. W głowie tłucze się tylko jedno słowo, które wywołuje we mnie paniczny lęk.

Samosąd.

Wciskam się w róg wiaty i trwam tak, tuląc do siebie plecak.

Wracam do Krakowa, odbieram pieniądze od kolegi wujka i stukot pociągu kołysze mnie do snu przerywanego płaczem, niepewnością o dom i los matki. Strach kurczowo trzyma mnie za serce.

W Toruniu wujek czeka na peronie, jego postać kładzie długi cień w zachodzącym pomarańczowym słońcu.

Obawiam się, że się wścieknie, że będzie krzyczał, ale zamiast tego milczy całą drogę do domu.

Jedziemy skodą favorit z opuszczonymi szybami, pęd powietrza uderza mnie w twarz.

– Przepraszam – mówię cicho, ale wujek nie reaguje.

Powtarzam głośniej i dopiero wtedy kiwa głową, nie odrywając oczu od drogi.

W domu rozpakowuję plecak i biorę długą kąpiel.

Ciepła woda wlewa mi się do uszu i wygłusza świat, gdy całkowicie zanurzam głowę. Pukanie do drzwi i głos wujka brzmią głucho i niezrozumiale.

Wynurzam się i ocieram oczy.

W kuchni czeka kolacja: samotny kubek parującej herbaty i talerz z dwiema kanapkami z szynką i serem, na których leżą posypane solą i pieprzem plastry pomidora.

Głód sprawia, że sięgam po jeszcze jedną kromkę chleba.

A potem, kiedy umyję naczynia, idę do salonu, w którym wujek ogląda telewizję. Siadam obok niego na kanapie.

– Nie wiem, co mi strzeliło do głowy – mówię.

Wolno sięga po pilota i gasi telewizor. Odkłada go, poprawia, by leżał równo z rantem stołu i gazetą, a potem nabiera powietrza. A ja czekam na słowa, które nie nadchodzą. Zbiera je w sobie, szuka właściwego, od którego powinien zacząć.

– Wiesz, co się stało, prawda? – Jego wzrok błądzi po wydeptanym z lakieru parkiecie.

– Czy z mamą wszystko dobrze?

– Tak. Na razie ma gdzie spać, a dom był, na szczęście, ubezpieczony. Wkrótce zacznie się remont, najpierw ułożenie nowego dachu, a potem prace wewnątrz. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, zamieszka w nim za dwa miesiące. Sama zaczęła już uprzątać pogorzeliśko.

– Kto to zrobił?

Kręci głową, a na ustach maluje mu się gorzki uśmiech.

– Nadal nic nie rozumiesz.

– Czego nie rozumiem?

– Tego, że to nieistotne, kto to zrobił.

– Jak to nieistotne? – protestuję. – Przecież...

– Twoja matka to silna kobieta. Poradzi sobie doskonale, ale tylko wtedy, kiedy będziesz trzymała się od niej z daleka. W przeciwnym razie wpędzisz ją w jeszcze większe kłopoty. Być może nie dostanie już następnej szansy od losu.

– Ale...

– Zrozum wreszcie, że tu chodzi wyłącznie o ciebie. Im dalej jesteś od domu, tym jesteś bezpieczniejsza. A dzięki temu bezpieczna jest też twoja matka.

Niewiele z tego rozumiem.

– A co mówiła? – zastanawiam się na głos.

– Kiedy?

– No, jak z nią rozmawiałeś?

– Dziś? – pyta.

Potwierdzam.

– Powtórzyła to samo, co tego dnia, gdy przyjechałem po ciebie.

– Czyli?

Wujek wstaje i zabiera kubek po herbacie oraz talerz po swojej kolacji.

– „Nie zawieź mnie” – mówi.

– Tylko tyle?

– A powinno być coś więcej? – Spogląda na mnie zdziwiony.

– Nie wiem. – Wzruszam ramionami. – A co chciała ci przez to powiedzieć?

– Żebym już nigdy nie pozwolił ci wrócić do Pasowca – mówi, znikając w przedpokoju.

Jego słowa tchną chłodem.

Wujek umiera, gdy mam dwadzieścia dwa lata.

Odchodzi nagle, na zawał, gdy mroźną zimą parkuje pod blokiem, ale już nie zdąża wysiąść z samochodu. Trzy godziny później znajduje go sąsiad, przypiętego pasem bezpieczeństwa i z brodą opartą na obojczyku. Szarpie za drzwi samochodu, ale śmierci jest to obojętne. Ciało szybko stygnie na mrozie i chociaż pojawia się karetka, to odjeżdża, nim minie kwadrans. Wkrótce zastępuje ją karawan.

Po kilku dniach odbywa się pogrzeb, a w trakcie pożegnania na cmentarzu i wcześniej, w kościele, rozglądam się po żałobnikach i szukam pośród obcych twarzy tej jednej, którą znam. Szukam twarzy mojej matki.

Bezskutecznie.

Dzwoni na komórkę dopiero wieczorem. Numer jest mi zupełnie nieznany, być może kupiła nowy aparat na kartę.

Chcę ją zapytać o tyle rzeczy i spraw, ale nie będzie mi dane.

– To był dobry człowiek, córuś – stwierdza tylko i pierwszy raz słyszę, jak płacze.

A kiedy wiem już, że tego potoku nie powstrzyma żadna tama, matka przeprasza i postanawia się rozłączyć.

Płacz jednak nie ustaje, jest głośny i wyraźny.

Łzy parzą mnie w policzki.

TERAZ

– Jest jakiś punkt zaczepienia? – pytam Ogińskiego, kiedy przesuвам wydruk w swoją stronę i go kartkuję.

– Jest ich nawet zbyt dużo. Trudno powiedzieć, dlaczego nie okrojono wersji śledczych do tych najbardziej prawdopodobnych. W ten sposób mnóstwo pary poszło w gwizdek. – Wzdycha. – Szkoda tej twojej Wioli.

Nie mówię mu o tym, że nienawidziłam Raszyńskiej, że życzyłam jej śmierci i pragnęłam szybkiego odnalezienia jej zwłok. Zasłużyła sobie na taki los. Ale mówię zgoła inną rzecz, w którą mnie samej trudno uwierzyć.

– Rozmawiałam z matką, twierdzi, że ktoś widział Wiolę w Pasowcu. – Obserwuję jego minę, ale nie mogę z niej niczego wyczytać.

– Kiedy?

– No właśnie niedawno. Właściwie to ostatnio.

– Kto ją widział? Twoja matka?

– Nie, sąsiadka, która prowadzi sklep. Podobno Wiola stała przed witryną. Tak przynajmniej zrozumiałam.

Ogiński rozsiada się wygodnie, marszczy czoło i gładzi się po brodzie.

– I co o tym sądzisz? – pyta.

– Że to bzdury. Jedyne rozsądne wyjaśnienie jest takie, że to ktoś podobny do Wioli.

– A był ktoś taki w Pasowcu?

Ocieramy się o absurd.

– Nie.

– Może teraz się pojawił? Ludzie osiedlają się na wsiach.

– A gdyby tak było, to co? Przychodzi kobieta pod sklep, staje przed witryną i co potem?

– Weszła do sklepu czy może odjechała?

– Nie mam pojęcia. Nic nie wskazuje na to, by weszła. Wtedy pewnie od razu by się okazało, że to ktoś jedynie do niej podobny.

– Czyli nie wierzysz, że Wiola Raszyńska żyje?

Prycham.

– To raczej mało prawdopodobne.

– Tak jak twoje życie w Niemczech.

Zaprzeczam.

– To jednak inna sprawa. Jeśli ktoś szuka mojego nowego imienia i nazwiska, to je tam znajdzie.

– Niby jak?

Wyjaśniam Ogińskiemu to, co kiedyś mówił mi mój wujek. Że brat mojej matki ma córkę, że jesteśmy podobne i dlatego moja matka, wykorzystując znajomości w USC, zmieniła mi imię i nazwisko na takie samo, jakie nosi moja kuzynka, której nie widziałam na oczy chyba od komunii.

– A twój profil na Instagramie?

– A niby co z nim?

– Publikujesz tam zdjęcia.

– Ale na żadnym nie widać całej mojej twarzy. Dbam o to.

– Wiem – mówi z uśmiechem. – Ale nie o to mi chodzi.

– A o co?

– O to, że w łatwy sposób można ustalić, gdzie te fotki powstają. Wystarczy przepuścić je przez darmowy program i odczytać metadane, czyli informacje o samym zdjęciu, aparacie, z którego go wykonano, można poznać datę wykonania fotki, godzinę, a nawet bardzo dokładne dane lokalizacyjne.

Zastanawiam się, do czego Ogiński zmierza, ale nie pytam go o to.

- Chodzi po prostu o to, że gdyby Wiola żyła, a do tego była sprytna, być może łatwo udałoby jej się dotrzeć do ciebie.
- No i? – Wzruszam ramionami.
- Może miałyby powód, żeby się zemścić.
- Zemścić? Za co?
- Chociażby za to. – Przesuwa wydruk w swoją stronę, odnajduje odpowiednią kartkę i stuka w nią palem.
- Co to jest? – Unoszę brodę w kierunku fotokopii formularza.
- Zeznanie matki Wioli.
- Ściągam brwi.
- Podobno podrywałaś jej męża.

DAWNO TEMU

Ocieranie.

Pamiętam, że od tego wszystko się zaczęło.

Niby niewinny dotyk, przypadkowe tarcie skóry o skórę, które z czasem zdarzało się coraz częściej.

Stoję w sieni domu Raszyńskich i zdejmuję kurtkę, Wiola czeka na mnie w pokoju na górze, słyszę jej wołanie, które dobiega ze schodów.

Zimny wiosenny wiatr tarłosi krzewy w ogrodzie, ale przez większość dnia świeci słońce. Zdradliwa pogoda.

– No, halo? Idziesz? – woła przyjaciółka z góry.

Ściągam kurtkę, a jej ojciec nagle jest już za mną i przylega do moich pleców, pomagając mi odwiesić ją na wieszak. Śmieje się i przeprosza, więc i ja odwracam się przez ramię i uśmiecham do mężczyzny z okrągłą twarzą, którą wyróżniają bujny rudawy wąs i pulchne czerwone policzki.

Kucam, żeby zdjąć buty, i wtedy coś lekko szturcha mnie w plecy.

Ojciec Wioli przechodzi do kuchni.

– Zrobić wam coś do picia? – krzyczy do Wioli, ale odpowiedź nie pada.

Odstawiam buty i uciekam na górę.

Potem zaczynam uciekać coraz częściej, unikać spotkań z nim, trzymać się z dala. Ale nie zawsze mi się to udaje.

Wszystko, co początkowo było niewinnym dotykiem, przeradza się w szukanie każdej okazji do cielesnego kontaktu. A może wpadam

w obłąd?

Zamiast złości na niego odczuwam zażenowanie i winę. Noszę je w sobie i pielęgnuję. Oskarżam moje piersi o to, że rosną, oskarżam długie nogi, zaokrąglone biodra. Oskarżam usta o to, że rozciągają się w uśmiechu w odpowiedzi na uśmiech spod rudego wąsa.

Ociera się o mnie w kościele, gdy tłum ludzi zmierza wolno do wyjścia, a my z Wiolą wolno stawiamy obok siebie drobne kroki. On jest z tyłu, a za nim matka Wioli.

Zastanawiam się, czy ona to widzi, czy zauważa jego gesty, czy dostrzeże w nich cokolwiek innego niż przypadkowość, niewinność, a może nawet pewien rodzaj niezdarności.

Ale ona tego nie widzi. A przynajmniej nie od razu.

Nienawidzę jej za to.

Niczego niestosownego nie zauważa też Wiola, a ja milczę. Nie umiem się zebrać do tego wyznania, chociaż bym chciała, ale słowa grzęzną mi w gardle.

Kiedy przychodzę do niej do domu, sytuacja często się powtarza. Unikam jej ojca, staram się zrzucić szybko buty i w kurtce iść na górę, ale bywa, że wtedy on staje w drzwiach z szerokim uśmiechem.

– Zapocisz się – rzuca i wyciąga ręce po kurtkę. – A potem wyjdiesz na to zimno i przeziębienie gotowe.

Chce mi pomóc, a ja wpadam w stupor. Podchodzi i ściąga ją ze mnie. Dotyka, znowu niby przypadkiem, ale każde zetknięcie jego rąk z moją skórą parzy. A potem długo boli.

Rzucam okiem w kierunku mamy przyjaciółki, a kiedy nasz wzrok się przecina, spuszcza głowę. Dostrzegam w niej zmianę.

Kieruję się do schodów i wspinam na górę, ostatnie stopnie połykam po dwa.

A potem gadamy, a właściwie gada Wiola. Długo milczę, naciągam rękawy swetra na dłonie, garbię się, chowając piersi w wystających ramionach. Nienawidzę swojego ciała.

Kiedy kończymy, proszę, żeby Wiola odprowadziła mnie do domu. W rzeczywistości po prostu chcę, żeby zeszła ze mną na dół, żebym nie musiała spotykać jej ojca, bo wiem, że siedzi na dole sam, matka Wioli wyszła na zakupy.

– Trafisz, nie pękaj – rzuca i rozkłada się na łóżku, z którego właśnie wstałam. – Widzimy się jutro?

– Chodź, proszę – marudzę, siląc się na uśmiech. Staram się zachowywać normalnie, nie chcę wzbudzać żadnych podejrzeń.

Z niechęcią wstaje, mruczy pod nosem, niby dla żartu, i schodzimy na dół.

Tym razem mi się udaje.

Obiecuję sobie, że już do niej nie przyjdę, i rzeczywiście robię to coraz rzadziej. Ale w majówkę Wiola zaprasza mnie na urodzinowego grilla. Nie umiem jej odmówić. To moja przyjaciółka.

Soczysta trawa jest miękka jak najlepszy dywan. Szary dym z paleniska unosi się kłęбами, mięso skwierczy na ruszcie. Powietrze wisi ciężko w bezruchu.

Ojciec Wioli ma czerwoną od słońca twarz, stoi przy grillu i chromowanymi długimi szczypcami przekłada mięso. Bucha ogień, syk narasta. Kiwa mi głową na powitanie, ale nie opuszcza posterunku. Nic mnie tak nie cieszy.

Wiola z mamą siedzą przy stole, pozostałe miejsca zajmują ich bliscy, w sumie dwanaście osób. Niektórych widzę pierwszy raz. Jest gwarno, więc uspokajam się i idę, przywołana gestem Wioli, w stronę dwóch pustych krzeseł, znajdujących się naprzeciwko niej. Ściskamy się, składam jej życzenia, przekazuję drobny prezent i dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że miejsce obok mnie jest zarezerwowane dla jej ojca, który właśnie przekazuje szczypce wyrośniętemu kuzynowi Wioli, a sam zaciera ręce i zbliża się do stołu.

Sztywnieję.

Wiola nachyla się nad stołem.

– Co ci jest? Źle się czujesz? – pyta.

– Boli mnie brzuch. – Krzywię się lekko.

– Jesteś chora?

– Nie.

– Aaaa, wszystko jasne... – Kiwa głową i się uśmiecha. I niby już wie, że to miesiączka. Ale nie mam miesiączki.

Przysiada się jej ojciec z talerzem pełnym zdjętych z rusztu kiełbas, szaszłyków i mięs. Niesie zapach dymu.

– Co ci nałożyć, moje dziecko? – pyta, kładąc mi rękę na ramieniu.

Odmawiam ze względu na brzuch. Nie nalega, nie jest natrętny. Zajmuje rozmową innych, sypie żartami jak z rękawa, kawałki mięsa znikają w ustach pod rudawym wąsem, przeżuwa je, a ja spinam mięśnie i odsuwam się, jak mogę, na skraj krzesła. Rozlewa wódkę z oszronionej butelki, na bogato, do pełna, i wznosi toast za zdrowie córki. Wychyla całość, wstrząsa głową. I znowu napełnia szklą gości.

Próbuję przetrwać, robiąc dobrą minę do złej gry, popatruję to na Wiołę, to na jej matkę, ale nie patrzę w bok, nie chcę widzieć ojca przyjaciółki, który właśnie ociera chłodną od butelki dłoń o moje udo.

Zrywam się z krzesła i rozlewam colę. Szklanka turla się i rozbija na tarasie.

– Głupstwo, nic się nie stało – mówi ojciec Wioli i spogląda na mnie, na moje gołe nogi w krótkiej sukience. – Grunt, że się nie oblałaś, moje dziecko.

Zostawiam rozbawione towarzystwo i kieruję się do domu, do łazienki, w której wymiotuję resztkami śniadania.

Spuszczam wodę i długo płuczę usta. A kiedy z niej wychodzę, trafiam na matkę Wioli.

Przez drzwi tarasowe dobiegają odgłosy chóralnego śpiewu wypełnionego fałszywymi nutami. „Sto lat, sto lat”. Zasłona kołysze się nad rozświetlonymi słońcem panelami.

– Ty mała kurwo, ty! – Matka Wioli mnie policzkuje.

Ciemnieje mi przed oczami, skóra pali do żywego.

– Wynoś się i nie wracaj nigdy więcej – syczy.

I ten syk odprowadza mnie do domu, a potem świszczy w uszach, gdy w obawie przed własną matką tłumię szloch.

TERAZ

– To absurd – bronię się, ale nagle jakaś myśl rozbłyska krótkim światłem w mojej głowie.

– Absurd, masz rację – przyznaje Ogiński, ale gestem każe mu się zamknąć.

Wstaję i przechadzam się po domu, w końcu zatrzymuję się i opieram dłonie na kuchennej wyspie.

– Chcesz kawy? – pytam.

– Chętnie.

Podstawiam kubek przy ekspresie i włączam go. Kiedy ziarna się mielą, myśl wraca do mnie jak koszmarne refren.

Przynoszę kawę do salonu.

– Kiedy zeznawałam na policji o gwałcie na Wioli... – Zawieszam głos.

Ogiński korzysta z tego i wchodzi mi w słowo.

– Właśnie chciałem do tego nawiązać. Czy dziś, gdy przypominasz sobie tamtą chwilę, tę traumatyczną scenę, możesz z pełnym przekonaniem powiedzieć, że to był gwałt?

Prycham.

– Chryste, miałyśmy wtedy po piętnaście lat.

– Wiek inicjacji seksualnej znacząco się obniżył. Dziś w grupie dwunastolatek można wskazać te, które przestały być dziewczycami. Ale mniejsza o to. – Macha dłonią. – Więc jak? Twoim zdaniem to na pewno był gwałt, a nie seks uprawiany za obopólną zgodą?

Ruchome obrazy wracają do mnie wyraźnie, jakby nadawała je nowoczesna telewizja na najlepszym sprzęcie.

Dłoń Wioli zaciśnięta na kępce trawy, rozłożone nagie uda, bosa pięta wbijająca się w podłoże i podciągnięte, lekko rozcapierzone palce stóp. Rytmiczne uderzenia męskich bioder. Blade pośladki, napięte i owłosione uda i łydki. Zsunięte do kostek dzinsy, jasne bawełniane majtki we wzory.

I suma płytkich oddechów, pojękiwania, które równie dobrze mogły być zrodzone z bólu, jak z rozkoszy. Wiem to, ale dopiero po latach. Wtedy miałam wrażenie, że patrzę na piekło Wioli, piekło, z którego natychmiast uciekłam.

A jeśli ona rzeczywiście była wtedy w niebie?

– Czy to na pewno była ona? – dorzuca Ogiński.

Pytanie jest jak powiew arktycznego powietrza na rozgrzanej skórze.

Nie mam złudzeń. Znałam te stopy, widziałam je nieraz, na wuefie, na stoku w Pasowcu, kiedy brałyśmy trampki pod pachę i szalałyśmy boso po łące, gdy siadałyśmy blisko siebie nad Wisłą.

Przynajmniej tego jestem pewna.

– To była ona – odpowiadam. – A co do samego zdarzenia, to nic już nie wiem.

Przysiadam i przeciągam palcami po czole.

Gwałt czy akt rozkoszy? Nurtują mnie to pytanie i konsekwencje udzielonej odpowiedzi. Zdaję sobie sprawę, że gwałtciciel miałby motyw pozbycia się Wioli i ukrycia ciała. A co, jeśli w naszej Budzie Reksia Wiola przeżyła swój pierwszy raz?

Czy to zmienia obraz rzeczy?

Ogiński zdaje się mieć dar przyglądania się cudzym myślom.

– Z twoich zeznań wynika, że Wiola nie miała wtedy chłopaka, prawda?

– Tak.

– I jesteś tego pewna.

– Tak. – W tym stwierdzeniu jest nuta znużenia i agresji.

– A wasza przyjaźń?

– Co z nią?

Ogiński przekłada kolejne kartki wydruku.

– Sprawa z jej ojcem, a potem to, że jej matka cię policzkuje – zaczyna i przewraca kartkę. – Czy to wpłynęło na waszą przyjaźń?

Wiem, że tak, ale mówię co innego.

– Absolutnie nie.

– Czy kiedykolwiek rozmawiałaś z nią o tym, jak w stosunku do ciebie zachowywał się jej ojciec?

– Oczywiście, że nie.

– Więc nie byłaś z nią szczera.

– Co ty pieprzysz? – denerwuję się.

– Fundamentem przyjaźni są prawda i szczerłość – mówi jak grecki mędrzec, czym wkurza mnie jeszcze bardziej.

– Chryste! Bzdury gadasz, jakbyś miał w tym jakiś ukryty cel. Tamto to była zupełnie inna sytuacja.

– Okej, wiem, ale prawda jest taka, że złościsz się, bo w głębi duszy przyznajesz mi rację.

Mam ochotę wyrzucić go z domu.

Zamykam oczy, by dać sobie chwilę na ukojenie. Wdycham powietrze przez nos, głęboko, aż wypełni płuca. Robię tak drugi raz i trzeci, a złość topnieje pod naporem rozsądku i wreszcie kapituluję.

– Dobra – odzywam się po długim milczeniu. – Teoretycznie masz rację.

– Wiem, chociaż wcale mnie to nie cieszy – zauważa.

– Nie?

– Obawiam się, że Wiola też nie była z tobą szczera.

Nawet po tylu latach sama świadomość tego boli jak ukłucie szpilki.

– W jakiej sprawie? – pytam, żeby nie roztrząsać przeszłości.

– Pewnie w wielu. Ale teraz interesuje mnie ta konkretna.

Zanim znowu otworzy usta, już wiem, o co chodzi, już się domyślałam.

– Sądzę, że twoja przyjaciółka po prostu kogoś miała. – Ogiński kładzie ręce na podłokietnikach. – I nie zdradziła się przed tobą ani słowem.

Wiola, której nie widziałam od tylu lat, chociaż wciąż jest obecna w moim życiu, ta sama Wiola, którą kocham jak przyjaciółkę i której nienawidzę za to, że wystawiła mnie do wiatru, zadaje mi ból.

– Ale policja nie poszła tym śladem – próbuję obronić naszą przyjaźń, walczę do końca, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że jestem pokonana.

– Być może właśnie dlatego, że oględziny miejsca zdarzenia nie wskazywały, żeby doszło do gwałtu. – Ogiński rzuca okiem na zbindowane materiały. – I dlatego śledczy darowali sobie ten wątek. Wiola wcale nie powiedziała rodzicom o gwałcie, nie powiedziała też nic tobie. To, co widziałas, policjanci mogli wziąć za próbę mylenia tropów.

– Słucham?

– To tylko moja teoria, więc się nią nie przejmuj.

– Że niby to zmyśliłam? Przecież była wtedy mowa o dwóch gwałcicielach z Krakowa – protestuję.

– Prześwietlono ich na wylot. Mieli niepodważalne alibi. I właśnie to sprawiło, że ostatecznie ta wersja upadła.

Prześcieradło jest zimne i wykrochmalone.

Staram się nie ruszać w naprędce zrobionym kokonie z kołdry i koca. Przez jakiś czas drzę w pozycji embrionalnej, przykryta po uszy, zanim temperatura ciała wygrzeje pościel.

Kaloryfery, chociaż odkręcone, wciąż są zimne. Każdego dnia liczę, że centralne ogrzewanie wkrótce ruszy, ale próżne to nadzieje.

Zanim Ogiński wyszedł, rozmawialiśmy jeszcze długo.

– Z kim mogła się związać? – pyta taksówkarz.

Z obrzydzeniem wpatruję się w tę scenę, która przez lata budziła we mnie wyrzuty sumienia. Scena, w której przyjaciółka potrzebuje pomocy, a ja uciekam. A jeśli Ogiński ma rację i to wcale nie był gwałt? A co, jeśli jest odwrotnie. Może to ona wykorzystuje tę sytuację, by wzbudzić we mnie poczucie winy. Bym zrobiła dla niej wszystko, żeby tylko zrealizowała swój plan, o którym niewiele wiem. Na samą myśl o tym burzy się we mnie krew.

Minęły lata od zdarzeń w Pasowcu, a mnie dręczy fakt, że mogłam zostać perfidnie wykorzystana. Chciałabym, żeby Wiola żyła, żeby się odnalazła i żebym mogła wszystko jej wygarnąć, zmieszać ją z błotem.

Zemsta nie znajduje ujścia, nie licząc ćmiącego bólu głowy, który usadowił się tuż za okiem.

- Nie mam bladego pojęcia – przyznaję zgodnie z prawdą.
- Masz jakieś zdjęcia klasowe z tamtego okresu?
- Naprawdę myślisz, że to takie proste? Że policja nie przesłuchiwała naszych kolegów? Że nie wytypowała kilku z nich?
- Niepotrzebnie go atakuję, bo przecież nie jest niczemu winien.

Kręcę podenerwowana głową, bo martwi mnie to zachowanie.

Podnoszę ręce w geście poddania.

- Dobra! – Wypuszczam powietrze. – Dobra – dodaję łagodniej i przeproszam. – Po prostu nie wierzę w to, że sięgniemy po album i wytypujemy któregoś kolegę z mojej klasy.

– Nie chodziło mi o kolegę.

Ogiński zarzuca wędkę.

- Nie? – dziwię się.
- Na podstawie twoich zeznań pomyślałbym raczej o kimś dorosłym. Mówiłaś o widocznym owłosieniu nóg.

Tak to pamiętam.

Kolejny zatrzymany kadr z popołudnia w lesie w Pasowcu wyświetla się w mojej głowie.

- Myśląc o zdjęciach, pomyślałbym raczej o kimś z kadry nauczycielskiej.

Te słowa wciąż brzmią mi w głowie, kiedy wreszcie przewracam się na bok.

Mój sen jest jak sito. Postaci pojawiają się w nim i znikają bezpowrotnie, jak mijani przechodnie, których już nigdy w życiu nie zobaczę.

Ostatecznie nad ranem niczego już nie pamiętam. Nie wiem nawet, czy w ogóle śniłam o czymkolwiek poza owłosionymi męskimi nogami, pod których skórą przemieszczały się szybko larwy. Gdy jedna z nich przebiła się przez skórę uda i pokazała ostre zęby, otworzyłam oczy.

Pokój wypełnia brzask.

DAWNO TEMU

– Oni są do dupy – mówi Wiola i przysłania dłonią słońce na niebie. Cień ręki, wąski jak pasek, dzieli jej twarz na pół. – Niektórym mogłabym wyciąć jaja.

Chichocze, a ja razem z nią.

– I fiuta też – dodaje.

Ten śmiech nakręca nas do zwariowania, aż brakuje nam tchu. Potem dyszymy i ponownie wpadamy w głupawkę.

Stoję obok, patrzę to na nią, to na Pasowiec, na krzyż na wieży kościoła.

– Podoba ci się któryś? – pyta konspiracyjnie, gdy tylko zdążymy ochłonać.

Zbyt szybko zaprzeczam, ale uśmiech wciąż nie schodzi mi z twarzy.

– No ej, weź! – Szturcha mnie w łydkę, dlatego natychmiast nieruchomieję, jakby dotknął mnie jej ojciec. Jakbym dostała w twarz od jej matki.

Nic o tym nie wie, bo nie stać mnie na szczerłość wobec przyjaciółki, którą bałabym się stracić. Rano powiedziała mi tylko, że ma szlaban na spotkania ze znajomymi. Powinnam ją wtedy zapytać dlaczego, ale nie robię tego, tylko brnę w kłamstwo i mówię, że ja też. Widocznie rodzice chcą, żebyśmy przyłożyły się do nauki i podciągnęły stopnie, żeby potem mogli się pochwalić świadectwem z paskiem ukochanej córki. Mówię o tym szlabanie

bez przekonania, a Wiola szybko to podłapuje i prosi, byśmy wytrzymały do wakacji, potem będzie już jak dawniej.

A teraz gasnę od jej dotyku. Zamykam się w sobie, uciekam w milczenie.

Wciskam dłonie w kieszenie szortów, chowam piersi w osłonie ramion.

– Co jest? – zagaduje.

– Nic.

– Żaden ci się nie podoba? – dziwi się, a ja w tym pytaniu widzę szansę na ucieczkę. – No bez jaj!

– Żaden – kłamię, bo w klasie jest Rafał, który od dziecka chce zostać lekarzem. Nie jest typem kujona, a jednak zawsze zdobywa bardzo dobre oceny. Ale Rafał, którego wspomnienie, gdy uśmiecha się do mnie z sąsiedniej ławki, noszę w sobie od kilku miesięcy, kocha się w Julce z młodszych klas. Wiem to od koleżanek.

– A ten Rafał? – Wiola trafia w czuły punkt, ale ponieważ stoję do niej tyłem i patrzę na wypełnioną prostokątami pół dolinę, w której Pasowiec leży jak leniwe zwierzę, nie może zobaczyć mojej reakcji.

– Zajęty – odburkuję.

– Bo się nie starasz. – Chichocze. – Przecież ta Julka nawet cycków nie ma. Chyba nawet ciotki jeszcze nie dostała, niewyrośnięta taka.

– Może takie właśnie lubi.

Słońce chowa się za puchową chmurą, a jej otok rozbłyska prawdziwym złotem. Cień spada na nas i daje chwilę wytchnienia. Całe zalesione wzgórze ciemnieje.

Wiola podpira się na łokciach, z jej ust wystaje źdźbło trawy. Wodzi wzrokiem po dolinie.

– A ty? – mówię.

– Co ja? – Nie odrywa wzroku od Pasowca.

– Który tobie się podoba? – pytam, bo naprawdę nie wiem.

Nigdy mi o tym nie mówiła.

Wypluwa trawę i sięga po kolejne źdźbło. Potem przekręca się na bok i podpierając dłonią głowę, rzuca:

– Zobaczysz.

– Zobaczysz? Czyli co?

– Jajco. – Śmieje się i rzuca we mnie krótkim patyczkiem, który dociera do łydki i spada w trawę obok trampek.

Przyglądam się jej zbyt długo, tak długo, aż uśmiech Wioli przygasa.

– Olek? – pytam, mając na myśli wysokiego, wysportowanego kolegę, laureata biegów sprinterskich w województwie. Ładną twarz z dużymi oczami szpecą jedynie czerwone krosty trądziku.

Wiola prycha.

– Grzesiek?

– Weź już przestań. – Śmieje się.

– Bo co?

– Bo gówno! – Parska i wstaje.

Otrzepuje pośladki i idzie w kierunku ścieżki prowadzącej w dół, do serca wioski.

Wracamy w milczeniu, najpierw ja za nią, potem obok. Zatrzymujemy się przed ogrodzeniem kościoła, w drzwiach świątyni pojawia się Sędzikowa z mopem. Stara wdowa w niebieskim fartuchu wyciera granitową podłogę w przedsionku. Na głowie ma zawiązaną chustę, spod której wystaje krótka kitka siwych włosów. Szerokie, bose stopy z opuchniętymi kostkami wsunęła w gumowe klapki. Nie widzi nas, gdy się z nią witamy, ale kiedy słyszy nasze głosy, odwraca się i ma dla nas ciepły uśmiech.

– Chcecie wejść do kościoła? – pyta.

Zaprzeczamy i idziemy dalej, na róg przykościelnego terenu ze zbrązowiałą, spaloną przez słońce trawą, i tam się rozstajemy.

– To na razie – mówię, ale Wiola nawet się nie odwraca.

Odchodzi i tylko nieznacznie podnosi rękę na pożegnanie, czyli wie, że na nią patrzę, czuje mój wzrok na plecach.

Wracam i ponownie zatrzymuję się przed furtką kościoła. Rzucam okiem na strzelistą drewnianą wieżę, krzyż na jej czubku oświetla słońce.

– Co jest, blondyneczki? Pokłóciłyście się? – Sędzikowa opiera się ramieniem na trzonku mopa.

Wygląda na wyraźnie zaskoczoną.

– Nie, dlaczego?

– O chłopca poszło? – pyta skrzekliwym głosem.

– O chłopca? – dziwię się.

– No, przecież widziałam wyraźnie, że nie rozmawiałyście ze sobą jak dawniej.

– To nic takiego. – Robię kilka kroków przed siebie.

– Bo Wiolka była wczoraj wieczorem pod kościołem – dodaje Sędzikowa.

Zatrzymuję się i odwracam do niej.

– Przyjechał do niej taki jeden na motorze.

Zastanawiam się, który z naszych kolegów ma motocykl, ale tylko kilku z nich ma skutery.

– I co?

– I nic, pojechali gdzieś razem – dodaje.

Wczoraj rozstałyśmy się przed kolacją. Wiola mówiła, że musi wracać do domu, ale widocznie mnie oszukała.

Jej kłamstwa są precyzyjne jak ostrze skalpela. Gładko nacina skórę, rozwiera ranę i zasypuje ją szczyptą soli.

– Znała go pani?

– A niby skąd, jak w kasku siedział? A gdybym odwróciła się później, to już bym nawet nie wiedziała, że to Wiola z nim gada, bo szybko włożyła kask, usadowiła się w takim wózku, bo to taki motocykl z wózkiem z boku był, i fruuu... – Przeciąga ręką i się śmieje. – Tylko chmura kurzu po nich została.

– To nie był skuter? – dziwię się.

– A skąd! Zielony, duży motocykl, taki jak dawniej wojsko miało. I do tego głośny.

Sędzikowa mówi coś do mnie, ale jej nie słyszę.

Już odwracam się plecami i biegnę jak najdalej, żeby nie widziała moich łez, przez które złorzeczę Wioli.

Wyzywam ją szeptem przez zaciśnięte zęby.

TERAZ

Wracam myślami do zeznań na policji i staram się przypomnieć sobie wątek z motocyklistą. Mówiłam o tym zdarzeniu na pewno, bo pamiętam, że zrelacjonowałam rozmowę ze starą Sędzikową.

Zasiadam więc do komputera i wertuję materiały. Zdjęcie po zdjęciu próbuję doszukać się informacji o motocykliście. Znajduję je we własnych zeznaniach, ale później ślad się urywa, jak droga donikąd.

Ogiński odbiera telefon po kilku sygnałach, słyszę, jak coś przegryza.

– Śniadanie kończę – usprawiedliwia się. – Ale mów śmiało, przechodzę na odsłuch.

Opowiadam mu o motocykliście, a on nie przerywa. Odzywa się dopiero wtedy, kiedy pytam go, co o tym sądzi.

– To mogłoby się zgadzać.

– Co konkretnie?

– Założenie, że chodziło o mężczyznę, a nie o ucznia gimnazjum. Jeśli rzeczywiście był to ciężki motocykl, to w tamtych latach obowiązywał jeden rodzaj prawa jazdy, które mógł zdać jedynie dorosły. Nie to co dziś.

– A jeśli był to chłopak, który motocykl podebrał ojcu?

– Trudno i taką wersję wykluczyć, ale masz kogoś konkretnego na myśli?

– Nie.

– Gdyby ktoś w Pasowcu miał motocykl z wózkiem bocznym, Sędzikowa na pewno by o tym wiedziała, prawda?

– Pół wsi by wiedziało. To raczej charakterystyczny pojazd.

– Właśnie, więc to musiał być ktoś z innej miejscowości, może nawet z Krakowa – zauważa. – A twoja koleżanka gustowała w dojrzałych facetach i pewnie dlatego to przed tobą ukrywała.

– I akurat umówiłaby się pod kościołem? Tam, gdzie każdy mógł ją zobaczyć?

– A czy ktoś ją widział?

– A Sędzikowa to, twoim zdaniem, duch? – denerwuję się.

– Ale ktoś poza nią – odbija piłeczkę. – Obawiam się, że nie. Sędzikowa była jedyną, która rzeczywiście widziała Wiołę, ale sądzę, że ostatecznie zataiła to przed policją.

Ma rację.

– Wszystkiemu zaprzeczyła – wyjaśnia ze spokojem. – Sama mówiłaś, że to starsza kobieta. Po co miałyby napytać sobie biedy, żeby ktoś ją potem po komisariatach ganiał i pytał stale o jakiegoś motocyklistę? Niewiele widziała, więc uznała, że lepiej wyrzucić tamto zdarzenie z pamięci.

„Tak to zapewne wyglądało”, myślę.

– Być może dlatego policja nigdy nie poszła tym tropem – dodaje.

– Albo inaczej. Być może zweryfikowali, kto w powiecie może mieć zarejestrowany motocykl z wózkiem bocznym, ale gdy się okazało, że w promieniu kilku lub kilkunastu kilometrów od Pasowca nikt takiego nie miał, to odpuścili. A tak swoją drogą, to ile ta kobieta, ta cała Sędzikowa, miała wtedy lat?

– Nie wiem, może siedemdziesiąt? – Przechodzę do kuchni i sięgam po umyte jabłko. Przykładam do ust i wącham. Pachnie słodko.

– Więc istnieje obawa, że już nie żyje.

– To bardzo prawdopodobne.

Zabieram owoc do salonu i poleruję skórkę o rękaw swetra.

– Ale jest jeszcze coś – rzuca. – Motocykl, szczególnie z koszem, mógł posłużyć do przewiezienia ciała.

Milczymy przez chwilę, w której wbijam zęby w owoc i odgryzam kęs.

Muszę przegryźć i przełknąć.

– I to byłoby takie proste?

– Przewiezienie ciała?

– Nie. Sprawa Wioli. To, że zabił ją ten motocyklista? Że wystarczy go odnaleźć i poznamy prawdę o jej losie, o tamtej feralnej nocy?

Ogiński chrząka.

– Przez całe moje życie zawodowe nigdy nie miałem do czynienia z seryjnym mordercą. Raczej z ludźmi, którzy stanęli na krawędzi tylko dlatego, że zmusiły ich do tego okoliczności. To w zasadzie nigdy nie były osoby złe do szpiku kości, dewianci i psychopaci. Myślę o nich jak o ludziach uwikłanych w tragiczny splot zdarzeń, jakby wpadli w gigantyczną pajęczynę i w porę nie udało im się uwolnić. Gdyby nie to, być może nigdy nie znaleźliby się w więzieniu.

Rozumiem, co ma na myśli, ale trudno mi w to uwierzyć.

– Dlatego myślę o kimś, kto mógł wiele stracić, gdyby wydało się, że uprawiał seks z nastolatką. Myślę o nauczycielu, księdzu, urzędniku albo lekarzu – wymienia. – Myślę o kimś, kto był znany w Pasowcu, cieszył się nieposzlakowaną opinią, miał szczęśliwą rodzinę i chodził z psem na spacer. Ale szantażowany przez Wiolę, mógł nie wytrzymać presji.

Szantaż.

To słowo przynosi olśnienie.

Obawiam się, że już wiem, co za chwilę powie Ogiński, i to się rzeczywiście dzieje:

– Bo moim zdaniem Wiola była w ciąży.

„I dlatego potrzebowała pieniędzy”, dodaję w myślach.

Na aborcję.

Dwie godziny później obchodzę wysprzątaną apartament ze sprzedawcą nieruchomości.

Fotografuje każdy kąt, a ja schodzę mu z kadru, potem siadamy przy kawie, on wypełnia formularz, notuje wszystkie dane mieszkania, robi zdjęcia planom architektonicznym. Wreszcie pyta, co z umeblowaniem.

– Wszystko zostawiam nowemu nabywcy – mówię.

Część worków, zawierających moje letnie ubrania, spakowałam i odstawiłam do pokoju Roksany. Trafiło tam też kilka kartonów wypełnionych częściowo książkami, a częściowo bibelotami owiniętymi w gazetę. Pudła pozaklejałam brązową taśmą i opisałam czarnym markerem.

– Kiedy mieszkanie będzie gotowe do przekazania nowemu właścicielowi? – pyta chudy mężczyzna z patykowatymi nogami. Nosi granatową marynarkę w kratę w rozmiarze S i czerwone okulary. Brązowe półbuty lśnią od świeżej warstwy pasty.

– Na początku miesiąca.

Nie patrzy mi w oczy. Jest tym typem mężczyzny, który czuje się onieśmielony moją urodą. Gdyby nie okoliczności, mógłoby to mieć swój urok.

– Sprzęty i urządzenia też zostają? – Zerka w stronę kuchni, a potem na telewizor wiszący na ścianie.

– Tak.

– Doskonale, to spory atut przy opcji najmu długoterminowego. Rozważała go pani? Bo sądzę, że z tym uwinęlibyśmy się szybciej, być może nawet w poniedziałek mógłbym mieć pierwszego klienta.

Drugi raz robi podchody w tym kierunku.

Kręcę głową.

– Nie. Jestem zainteresowana wyłącznie sprzedażą.

– Oczywiście. Tylko sprzedaż. – Stawia ptaszka w formularzu. – Sprawy spadkowe są uregulowane?

– Tak, to tylko formalności.

Kolejny ptaszek.

– Doskonale. – Ma w sobie zbyt dużo sztucznego entuzjazmu. –
Zatem ostatnia sprawa. Pani podpis.

Podaje mi podkładkę i firmowy długopis.

Nie czytam, podpisuję we wskazanym miejscu, jakby to miało przyspieszyć znalezienie nabywcy.

Sięga do kieszeni marynarki po wizytówkę, po czym kładzie ją na rogu stolika. Wstaje i podaje mi drobną, niemal chłopięcą dłoń.

– Będziemy w kontakcie. – Uśmiecha się sucho, profesjonalnie i znika za drzwiami.

A ja wracam do pakowania, jakbym widziała w tym jedyny ratunek, kapsułę, którą dotrę do lepszych dni. Lecz zamiast nią lecieć, zagłębiam się w szafach, a moje myśli rozgrzebują przeszłość.

Szukam w niej tego, co przegapiłam wcześniej.

Głos Wiktora Ruteckiego ucieka i zanika w głośniku komórki, jakby dziennikarz mieszkał na wsi daleko od nadajnika.

– Halo – powtarzam kolejny raz.

– Jestem, jestem.

W końcu brzmi czysto i wyraźnie.

– Dlaczego dzwonisz? – przechodzę do konkretów.

– Zastanawiałem się, czy nie będziesz chciała się odnieść do moich wcześniejszych publikacji.

– Teraz?

– No, w sensie... do poniedziałkowego numeru.

– Myślę, że tak.

– To dobrze – cieszy się. – Załatwimy to przez telefon?

– Nie – dodaję.

– Chcesz się spotkać? – Słyszę, że jest zaintrygowany.

– Tak. To konieczne.

– Okeeej. – Przeciąga środkową samogłoskę. – Gdzie i o której?

– Sądzę, że... – celowo zawieszam głos – najlepiej będzie w sądzie.
Moi prawnicy o to zadbają.

Milczy, a ja się cieszę, że udało mi się go zaskoczyć. Bo rzeczywiście zamierzam przekazać sprawę prawnikowi.

– Do zobaczenia. – Naciskam czerwoną słuchawkę.

Odczekuję, aż oddzwoni, jednak żadnego z trzech kolejnych połączeń nie odbieram. Dlatego szybko wystukuje esemesa.

„Sądzę, że zawsze możemy się dogadać”.

„Za późno” – odpisuję, ale nie mija chwila, gdy sygnał oznajmia nadejście kolejnej wiadomości.

„Proszę, przemyśl to jeszcze”.

Odpowiadam niemal po godzinie, którą poświęcam na ostateczne opróżnienie szafy w sypialni, a potem na przejrzenie ofert apartamentów w Gdańsku i Poznaniu.

„Jutro u mnie po 10.00”.

Odzywa się bardzo szybko.

„Będę”.

A ja informuję o tej wizycie Ogińskiego.

DAWNO TEMU

Wracam ze szkoły do domu i na drodze w pobliżu sklepu wyrasta Wiola.

Nie zatrzymuje się, nie spogląda w moją stronę, aż w końcu znika za ścianą pawilonu.

Podbiegam w kierunku sklepu, przystaję przy wejściu, gdzie dwóch mężczyzn, sąsiadów z końca wioski, pije piwo. Lustrują mnie zdyszana, przyglądają się mi przez chwilę i mówią, że Wiolka już sobie poszła. Rozglądam się, ale zdaje się, że rozplynęła się bez śladu. W końcu jednak, kiedy przykładam dłoń jak daszek do czoła i chronię się przed słońcem, zauważam ją daleko stąd, między działkami, jak idzie tą samą drogą, którą zawsze wracam z lasu.

Męskie spojrzenia oblepiają mnie, więc pora się wycofać.

Czyżby szła do naszej budy?

Mam ochotę iść za nią, ale coś mnie powstrzymuje. Obiecałam, że zrobię dziś porządki w domu.

Odwracam się.

W ogródku, kilkadziesiąt metrów stąd, stoi moja matka. Prostuje plecy i opiera grę o ścianę.

– Widziałaś Wiołę? – pytam, kiedy zamykam za sobą skrzypiącą furtkę.

Matka wzrusza ramionami.

– No, widziałam.

– Szukała mnie? – Muszę mieć głupią minę.

– A bo ja wiem? Co to ja jestem? Sekretarka Wioli? – Matka się denerwuje i wyciera wnętrze dłoni w materiał napiętej na biodrze sukienki.

Znika w korytarzu.

– Wyglądała, jakby była zła, nie? – próbuję dopytać.

– Chyba sama widziałaś? – Matka staje przy zlewozmywaku i odkręca wodę. Napuszcza trochę do drugiej komory, zatkanej korkiem, i wlewa płyn do mycia naczyń.

– No tak mi się właśnie wydawało, ale nie wiem dlaczego.

– A ja sądziłam, że ty mi to wyjaśnisz. – Sięga po gąbkę, a potem bierze pierwszy zabrudzony talerz i myje go w zlewie. Woda cicho chlupocze.

– Ja?

– Nie pokłóciłyście się ostatnio?

Wzruszam ramionami.

Tym razem sięga po szklankę, która ląduje na podłodze. Brzdęk rozlega się w całym mieszkaniu. Matka przeklina pod nosem, ale mówię jej, żeby się nie ruszała, że ogarnę i posprzątam, a ona kiwa głową i zmywa dalej.

– Na szczęście. – Uśmiecham się do niej, chociaż nie patrzy na mnie. – Mamo?

Odwraca się na chwilę przez ramię.

Fragmenty szkła, małe i duże, trzymam na szufelce.

– Czy ktoś w Pasowcu ma taki stary motocykl, chyba wojskowy, z koszem do zabrania pasażera?

– A tobie co chodzi po głowie?

– Nic, jejku, przecież tylko pytam – obruszam się. – Zapytać już nie można?

– Można, można. – Jej ton łagodnieje. – Kiedyś twój tata miał taki motocykl. Jego ojciec, dziadek Feluś spod Poznania, zagarnął go po wycofujących się Niemcach. Zresztą różne chodziły legendy na ten temat. Ta gorsza mówiła, że Niemiec padł od dziadka strzału, ze sztucera, bo oficer przyjeżdżał nim do jednej dziewczyny w wiosce.

– Do babci?

– Tak. – Zaśmiała się. – Ale ona go pogoniła, tego Niemca, nie chciała mieć z nim nic do czynienia. A ten jej złote góry obiecywał. Bo to podobno dobry człowiek był.

– Jezu, i dziadek go zabił? Tak po prostu?

– Trwała wtedy wojna, to było w czterdziestym piątym, końcówka, bo końcówka, ale jednak. Niemcy szykowali się do szybkiego odwrotu i być może ten Heinrich Hertz, bo tak się nazywał, chciał się pożegnać.

– No i?

– Jedni mówią, że dziadek pociągnął za spust, ale sam dziadek się denerwował, kiedy ktoś go o to podejrzewał. Twierdził, że znalazł go rannego i udzielił mu pomocy, ale mimo wszystko Niemiec wykrwawił się na jego rękach.

– I co było dalej?

– Nic. Hitlerowca zakopali gdzieś w lesie, a dziadek Feluś został z motocyklem. To był właśnie taki motor z wózkiem z boku. Podobno świetny. I dziadek przechowywał go przez lata, rozłożony na części, w stodole. Złożył go wiele lat po wojnie, a po ślubie przekazał go nam. I trochę nim jeździliśmy z twoim ojcem, ale potem tata go sprzedał i kupił syrenę.

Nie znam tej historii, nie znałam mojego dziadka, który zmarł krótko przed moimi narodzinami.

Matka wyciera ręce w ścierkę i rozwiesza ją na rączce piekarnika.

– No ale wracając do twojego pytania, kiedyś podobny motocykl miał Maciej Lęborski, sprzedał chyba jeszcze przed śmiercią twojego ojca.

Milczymy.

Matka zgarnia na dłoń okruszki z ceraty, otwiera okno i wysypuje je, jak zawsze, na parapet.

– Stare czasy – dodaje, po czym otrzepuje ręce i mija mnie w drzwiach.

Kamyk za kamykiem.

Każdy z nich jest jasny z ciemnymi połyskującymi cętkami i ma ostre krawędzie.

Kreślą niewielki łuk w powietrzu i lądują ze zgrzytem na szybie.

Stuk. Stuk. Stuk.

Uzbierałam pół garści i stoję na tyłach domu Wioli, za wysokim żywopłotem. Muszę unosić się na palcach, żeby coś widzieć. Drzwi tarasowe na parterze są uchylone. Delikatny przeciąg nadyma firankę, która przez chwilę wylatuje na zewnątrz, tańczy w zwolnionym tempie i powraca do domu. Pokaz się powtarza.

Stuk.

Rzut za rzutem trafiam w szybę albo ramę zamkniętego okna na piętrze.

Stuk. Stuk.

Dzień ustępuje pola parnemu wieczorowi. Daleko na wschodzie zbierają się ciężkie chmury. W wysyczonej pulsującym cykaniem świerszczy ciszy wybrzmiewa pomrukiwanie burzy.

Wiola pojawia się w oknie, widzę zarys jej sylwetki. Ale nie odsłania firanki. Stoi i patrzy. Pokazuję jej, żeby uchyliła okno, ale nie reaguje.

Na tarasie pojawia się jej ojciec. Ma na sobie tylko krótkie spodenki. Przeciąga się, a potem drapie po okrągłym jak piłka brzuchu.

Chowam się za żywopłot i spoglądam w górę.

Wioli nie ma już w oknie.

Odchodzę po cichu, a szlaka chrzęści pod moimi trampkami.

Ze strachu zaczynam biec i nie odwracam się za siebie.

Pierwsze krople deszczu smagają mi plecy.

Do domu wbiegam razem z pierwszym głośnym grzmotem z nieba.

– Znowu u niej byłaś? – pyta matka z pokoju.

– Nie, spacerowałam po wsi.

Siedzi przed telewizorem. Widzę jej gołe stopy uniesione na pufie, pożółkłe paznokcie.

– Akurat. Przestań do niej latać – radzi. – Z nią jest chyba coś nie tak.

Ludzie mówią, że to ona to pole podpaliła.

Wzruszam ramionami, ale któregoś dnia przy ścieżce na wzgórzu znalazłam tę samą zapalniczkę, którą w szałasie bawiła się Wiola. Może mama ma rację. Może oni wszyscy mają rację, chociaż nie wiem, dlaczego Wiola miałaby podkładać ogień. Co chciała osiągnąć? Nie rozumiem jej zachowania i jestem na nią zła. Nie za pożar. Za to milczenie i za to, jak mnie traktuje. Ale złoszczę się też na matkę, bo podejrzewa Wiołę, bo dla niej wina jest już przesądzona. W takich chwilach staję po stronie przyjaźni. Wolę, żeby przyjaźń wygrała. A raczej – moje pragnienie przyjaźni. Ślepe i głuche.

– A niby co z nią jest nie tak? – pytam jednak.

– Dziwnie się zachowuje – odpowiada. – Unika cię. Sama niedawno widziałaś.

– A może ma powód?

– Powód? Jaki znowu powód? No, jaki?

„Sraki”, myślę sobie, ale nie mówię tego głośno.

Chowam się w swoim pokoju i sięgam po zeszyt z polskiego.

Robię zadanie, ale wciąż widzę Wiołę w oknie.

Może jest zła, bo wie, że mam swoją tajemnicę?

Następnego dnia Wioli nie ma w szkole.

Nie dziwi mnie to, ale specjalnie pytam o to wychowawczynię, która twierdzi, że Wiola jest chora, jej ojciec napisze usprawiedliwienie. Na myśl o nim cierpienie mi skóra.

Kolejne lekcje się dłużą, a ja podpieram brodę i gapię się przez okno.

Wracam do domu, zjadam ogórkową ze śmietaną, odsuwam na bok kawałki ziemniaków. Przeczekuję do powrotu matki z pracy. Pod wieczór znowu idę do Wioli, chociaż matka prosi, żebym zostawiła ją w spokoju.

Nie zostawia się przyjaciół, więc mimo wszystko idę.

– Tylko nie wracaj zbyt późno. – Matka rozsiada się w fotelu, kładzie opuchnięte gołe nogi na pufie. Sieć żyłaków wygląda jak malowana atramentem.

– Dobrze. – Zamykam za sobą drzwi.

Furtka pojękuje, Pasowiec oddycha spokojnie, krzyż na kościelnej wieży wystawia się do ostatnich promieni słońca.

Chciałabym naprawić tę przyjaźń, bo nie mam nikogo innego. Bez Wioli czuję się samotna.

Mijam opustoszałe ulice. Z oddali dobiega odgłos silnika kosiarki, pachnie dymem z grilla.

Boję się, ale wciąż idę w tę stronę i wierzę, że się nie ulęknę. Mijam kościół, do którego chodzę co niedzielę razem z matką. Mam kryzys wiary albo jak dotąd nie dostałam jej łaski, więc nudzę się tam strasznie i tylko wyczekuję ogłoszeń parafialnych. Ksiądz jest stary i łysy, przynudza na kazaniach, ma usypiający głos. Grzeszę, ale się nie spowiadam. Głównie ze wstydu. Noszę te grzechy w sobie i wciąż pamiętam z lekcji religii, że krzyż jest naszym odkupieniem, jest zwycięstwem cnoty nad grzechem.

Potrzebuję zwycięstwa.

Sędzikowa zamyka drzwi kościoła, a ja proszę ją, żeby wpuściła mnie na chwilę.

– To chodź, moje dziecko, chodź. – Zachęca dłonią. – Pomodlimy się razem.

Radosna, przepuszcza mnie w progu.

Moczę opuszki palców w zimnej wodzie święconej, a potem robię znak krzyża.

Przyjemny chłód w świątyni jest dodatkowym zaproszeniem.

Nasze spokojne kroki niosą się stłumionym echem w ciemnym kościele. Przez witraże wpadają kolorowe warkocze światła, które malują niewyraźne obrazki na kamiennej posadzce. Spoglądam na ołtarz, na drzewo życia z ukrzyżowanym na nim Chrystusem. Wygląda posępniej niż zazwyczaj. Głębokie cienie na wyrzeźbionej w drewnie twarzy nadają mu złowrogie rysy.

Zostawiam Sędzikową w ostatniej ławce, a sama odchodzę w bok, w stronę niewielkiej kaplicy z obrazem Piety. Cierpiąca Maryja ze wzrokiem uniesionym ku zachmurzonemu niebu i dwie postaci obok podtrzymują martwego Jezusa.

Klękam i odmawiam modlitwę. Przepraszam za grzechy, ale modlę się też o niezbędną siłę, żebym zdołała powiedzieć Wioli prawdę. Modlę się, by opuściły mnie wątpliwości, diabelski podszept, który syczy do ucha, że moja szczerłość może tę przyjaźń zabić.

Słyszę odgłosy kroków, coraz głośniejsze.

– Wszystko w porządku? – Sędzikowa ma zatroskaną minę.

– Tak. – Podnoszę się z kolan.

Rozpromienia się natychmiast.

– Bóg jest najlepszym pocieszycielem, moje dziecko. – Składa ręce jak do modlitwy.

Dziękuję wdowie uśmiechem i kieruję się do wyjścia.

Gdy staję pod domem Wioli i naciskam przycisk dzwonka przy pordzewiałej furtce, mam w sobie więcej wiary. Unoszę wyżej brodę, chociaż moje kolana i nogi drżą. Na wszelki wypadek przytrzymuję się słupka.

Drzwi uchylają się dopiero po kolejnym dzwonku, który rozchodzi się głucho we wnętrzu.

– Miałaś tu więcej nie przychodzić, zdziro – syczy ufarbowana na rudo matka Wioli. – Wynoś się!

Zamyka szybko drzwi.

Mam wrażenie, że to się nie dzieje naprawdę, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, więc stoję tam dalej i dzwonię raz jeszcze. I jeszcze.

Nic się nie wydarza, dlatego w końcu odchodzę stamtąd jak pies z podkulonym ogonem.

Nie wracam do siebie, nie myślę, dokąd idę. Nogi niosą mnie ścieżką przez pola, przez łąkę, wspinam się po stromym zboczu do rozświetlonego zachodzącym słońcem lasu. Pnie sosen płoną, mój cień idzie przede mną.

W szalasie jest ciemno i cicho, las żyje swoim rytmem.

Zaciskam powieki, żeby wstrzymać płacz, a mimo to ronię kilka łez. Zagryzam wargi i walczę z napływającą falą niemocy.

Obwiniam się o wszystko.

O zachowanie ojca Wioli, o policzek od jej matki, o to, że wszystko kryję w sobie i nie opowiadam matce o tym, co się wydarzyło. Nie umiem z nią rozmawiać, wymieniamy jedynie informacje. Po śmierci ojca coś między nami się zmieniło, stała się surowsza, bardziej wymagająca, powściągliwa w matczynej miłości, chłodna. Nie przytula mnie jak kiedyś, brakuje jej czasu na rozmowę. Nie mam matki przyjaciółki, takiej, o jakiej czytam czasami w gazetach dla nastolatek lub słyszę od koleżanek ze szkoły. I sama też nie jestem przyjaciółką ani dla niej, ani dla Wioli.

Szczególnie dla tej drugiej.

Każda z nas wchodzi w dorosłość z sekretami, niewygodnymi prawdami, ułożonymi równo w najdalszym kącie szafy. Żadna z nas nie ma prawa tam grzebać. Złoszczę się na siebie, ale po chwili tę złość kieruję na nią.

Czy nie ona pierwsza się ode mnie odwróciła i zamknęła mi wgląd w swoje sekrety? A ja do tej pory mówiłam jej o wszystkim.

Mam tylko jedną tajemnicę, którą przed nią chronię. Boję się, że jeśli opowiem o jej ojcu i o tym, czego od niego doświadczyłam, znienawidzi mnie.

Więc wściekam się na siebie i na nią i wcale nie dbam o to, że głośno płaczę. Z trudem wyławiam z otoczenia nagły szmer. Natychmiast nieruchomieję i wstrzymuję oddech.

Pociągam nosem i nasłuchuję dalej. Szmer robi się wyraźniejszy.
Ktoś przedziera się przez chaszczę.

Wyraźne kroki, odgłos dyszenia.

Serce podchodzi mi do gardła i tłucze jak kościelny dzwon.

Przy wejściu do szałasów kuca Wiola. Ściąga złowrogo brwi
i zaciska usta.

Sądzę, że to właśnie zapowiedź końca naszej przyjaźni.

Przyjaźni, której być może nigdy nie było.

TERAZ

Nie chcę widzieć Ruteckiego w swoim domu, więc przenoszę nasze umówione spotkanie do centrum.

Dojeżdżamy tam z Ogińskim jego taksówką.

Kiedy milcząco przekraczamy most, a ja, jak zawsze, wpatruję się w miasto ukryte za grubym średniowiecznym murem, kątem oka zauważam, że kierowca kręci głową.

– Powinniśmy tam pojechać – odzywa się, gdy oczekujemy na światłach.

– A co robimy?

– Myślę o Pasowcu.

– O Pasowcu? – Odwracam się do niego.

– Tak.

– Dlaczego?

– Zadzwoiłem do starych znajomych z Krakowa, a oni zadzwonili do swoich znajomych i tak się składa, że dostałem dostęp do akt Raszyńskiej.

– Po co? Po tylu latach?

Patrzy to na mnie, to na sygnalizację świetlną. Wrzuca jedynekę i ruszamy.

– Żeby przejrzeć całość. Może jest w nich coś, co otworzy nam oczy na tę sytuację.

– Nie.

– Nie?

– Nie zamierzam tam wracać. Dałam ogłoszenie o sprzedaży mieszkania i myślę o wyprowadzce.

– Dokąd?

Wlecziemy się za hałaśliwym dźwigiem.

Poranek jest słoneczny i mroźny. Szron ukrywa się jeszcze na trawie w cieniu rozłożystych krzewów placu Rapackiego.

– Nie wiem. Wciąż się zastanawiam. – Obserwuję twarze przechodniów. Skupione, a czasami roześmiane. Patrzą na ludzi, którzy idą obok siebie zaprzątnięci rozmową, i na tych zatopionych we własnych myślach.

– W takim razie sam pojedę do Krakowa.

Wzruszam ramionami, ale intryguje mnie jego postawa.

– Dlaczego tak ci na tym zależy?

Ogiński unosi brwi.

– Sam nie wiem. To wszystko wydaje mi się jakieś nieracjonalne.

– Co konkretnie?

– To, że spotykam cię po latach, tuż po tragicznym wypadku, w którym ginie twoja rodzina, a w mediach trwa na ciebie nagonka.

– To chyba przesada – odzywam się, mając na myśli tę nagonkę.

– Ale zobacz, że nagle wszystko kręci się wokół ciebie – dodaje Ogiński. – Kobieta, która obsługiwała przejazd kolejowy znika, a potem twoja matka mówi, że Wiola pojawiła się we wsi.

Na krótkim odcinku od alei Jana Pawła do placu Teatralnego Ogiński wyprzedza rzeźący dźwig i już na żółtym skręcamy w prawo, w stronę Starego Miasta.

– Nawet ty w to nie wierzysz – zauważam.

Mijamy postój taksówek, koledzy, schowani w swoich samochodach, podnoszą rękę na powitanie, a on odwzajemnia ten gest z uprzejmym uśmiechem.

– Życie nauczyło mnie nie wierzyć w duchy – odpowiada. – A wracając do twojego pytania, to skoro nadarza się taka

możliwość, chciałbym przejrzeć zebraną dokumentację. Chociaż tyle mogę zrobić.

– Nic nie musisz zrobić. Już i tak inwestujesz dużo swojego czasu.

– Mam go aż nadto.

– Ale kiedy zanurzasz się w mojej sprawie, nie jeździsz, nie pracujesz i nie zarabiasz.

– Nie dorabiam. A to drobna różnica. – Śmieje się. – Rzeczywiście drobna.

Śmieje się głośno i tą niespodziewaną radością zaraża też mnie.

Śmiejemy się oboje, a ja już nie pamiętam takiej chwili, w której towarzyszyłaby mi beztroska.

Parkujemy wzdłuż Kopernika.

Przechodzimy przy nieczynnej fontannie, po chodniku pełnym gołębiczych odchodów. Kierujemy się do Bread House w narożnej kamienicy w pobliżu Łuku Cezara.

Zamawiamy herbatę i prele z twarożkiem. Zjadamy je, a w międzyczasie opowiadam Ogińskiemu, jak ta rozmowa z Ruteckim powinna wyglądać. Kiedy ocieram usta serwetką, przez dużą witrynę dostrzegam dziennikarza. Idzie szybkim i pewnym krokiem, kieruje się do wejścia.

Ściąga czapkę i rozgląda się po sali. Czekam, aż mnie dostrzeże. A kiedy to następuje, kiwa głową i zmierza wprost do nas, na koniec sali. Nieruchomieje, gdy dostrzega siedzącego obok mnie Ogińskiego.

Wyciąga do mnie dłoń, ale obrzucam go spojrzeniem, więc zrezygnowany kieruje ją w stronę taksówkarza. Wymieniają uścisk, a potem Rutecki przyciąga stojące przy sąsiednim, pustym stoliku krzesło i siada na nim.

Rozpina kurtkę i się rozgląda.

– To co? – Wreszcie skupia na mnie wzrok. – Jak to rozegramy?

– Po prostu musisz wyznać prawdę – odpowiadam.

– Czyli? – Zdradzają go nerwowe ruchy, nadmierne napięcie mięśni.

Wydaje mi się, że taki cwany lis nie martwiłby się ewentualnym pozwem sądowym. Z tego, co wiem, miał już kilka spraw na koncie. Redakcja opłaca dobrą kancelarię, więc nie dotkną go żadne koszty. Sądzę, że jest odpowiednio zabezpieczony. Zawsze spada na cztery łapy.

A jednak siedzi przede mną i próbuje się dogadać.

To coś znaczy.

– Czyli masz tylko jedną szansę. – Nachylam się nad stołem. – Więc jej nie spieprz.

– Jasne – odpowiada z niepewnym uśmiechem, a warkoczyk zapleciony na brodzie kiwa się sztywno. – Pytaj.

Sięga po chusteczkę i przeciera grube szkła okularów. Mruży małe oczy.

– Kto ci zapłacił, żebyś grzebał w mojej przeszłości?

Wpatruje się we mnie, potem przenosi wzrok na Ogińskiego, który głaszcze brodę, i znowu spogląda na mnie, tym razem przez okulary.

– To żart? – Śmieje się nerwowo.

– A wyglądamy na żartownisiów? – wściekam się.

– No nie, ale to trochę idiotyczne.

– Bo?

– Bo zlecenie dał mi twój mąż.

DAWNO TEMU

Rzucam się na nią i upadamy na ściółkę przed szaląsem.

Okładam ją w szale otwartymi dłońmi, a kiedy twarz znika za gardą przedramion, szarpię za włosy. Wydaje mi się, że trwa to wieczność, ale już brakuje mi sił.

Krzyczy, więc szarpię mocniej, ale wtedy jej paznokcie wbijają się w moją szyję i drapią, raniąc mnie boleśnie.

W końcu okręcam się na plecy i leżę wyczerpana, z trudem łapiąc oddech. Przykładam dłonie do szyi, a potem patrzę na nie, czy nie ma na nich krwi. Obmacuję szyję raz jeszcze. Nieduży rozmaz wykwita między palcami.

Wiola jęczy.

Wstaję na raty, najpierw przekręcam się na bok i dźwigam na kolana. Potem się podnoszę. Otrzepuję się z igliwia, a kiedy to robię, zerkam na nią.

Ma zakrytą dłońmi twarz.

– Wstawaj! – rozkazuję, bo jeszcze nie wyparowała ze mnie złość.

– Daj mi spokój – mówi płaczącym tonem. – Co cię napadło?

Nie znam odpowiedzi na to pytanie i nagle lękam się tego, co zrobiłam, do czego jestem zdolna. Nigdy się nie biję, nie napadam na nikogo w taki sposób. Nigdy też nie spadła mi na oczy czarna kurtyna. Przecież nie jestem taka.

Ta inicjacja sprawia mi fizyczny ból. Poznaję nową siebie, swoją mroczną stronę, która mnie przeraża.

A może wcale nie uderzałam Wioli. Moje ciosy sięgały okrągłej twarzy jej ojca. Usprawiedliwiam swoje zachowanie, skutek obłądu, bo przecież nie jestem taka.

Wpatruję się w swoje drżące dłonie, w jasnoczerwone pasmo krwi roztarte na skórze i już wiem, że nienawidzę siebie, nienawidzę Wioli, jej ojca, mojej matki, kościoła w Pasowcu i lasu, w którym robi się coraz ciemniej, i nienawidzę sekretów, którymi nie chcemy się dzielić.

I ja też nie chcę Wioli już nic więcej powiedzieć.

Upycham mój sekret na samym dnie duszy, ale nawet wtedy nie mogę się pozbyć wrażenia, że ma wizerunek roześmianej twarzy mężczyzny z gęstym rudawym wąsem.

Powinnam stąd iść.

Ale nie jestem taka.

– Wstań – proszę już łagodniej i widzę, że Wiola próbuje usiąść, ale robi to z trudem, odpuszcza i znowu prostuje się na trawie, targa nią szloch. – No, wstawaj, musimy iść.

Wyciągam do niej dłoń, a kiedy ją chwyta, ciągnę i pomagam wstać. Wtedy natychmiast puszczam jej rękę, jakby na skórze czyhały na mnie wirusy najgroźniejszych chorób.

Przyglądam się jej twarzy, jest lekko zaczerwieniona, ale być może to od płaczu.

– Wszystko okej? – pytam, bo tak wypada, ale nie interesuje mnie jej odpowiedź.

Wiolę stać tylko na kiwnięcie głową, ociera łzy wierzchem dłoni.

– To na razie. – Zaczynam się przedzierać przez krzaki.

– Poczekaj – złości się.

Ale nie czekam, tylko odchodzę.

Zmierzam wydeptaną ścieżką w stronę wsi, gdy dobiega mnie dudnienie jej kroków.

Zbiega w moją stronę.

– Poczekaj, proszę – jęczy.

Tym razem się zatrzymuję. Emocje płoną już we mnie małym ogniem.

Gdy Wiola staje obok, nie patrzy mi w oczy.

– Ty nic nie rozumiesz – mówi, a ja czekam. – Mam pod górkę z ojcem.

Widzę, że z trudem to mówi. Bawi się zapalniczką, ogień pojawia się i znika. Ma go pod kontrolą.

Boję się prawdy. Chciałam jej, a teraz wolałabym się przed nią bronić, schować jak najdalej. Ale otaczają nas pusta łąka i niżej jedno ze spalonych niedawno pól, czarne jak wielka plama oleju.

Nie pomyślałam o tym, że Wiola też może być ofiarą własnego ojca.

I wszystko we mnie gaśnie.

Obie mamy łzy w oczach.

Odruchowo ją przytulam, pragnąc jej bliskości, jakbym w ten sposób mogła przekazać jej siłę i moc, których we mnie brakuje. Początkowo jest spięta, ale wystarczy chwila, by mięśnie poddały się przyjemnemu dotykowi.

– Przepraszam. – Obejmuję ją i wciągam zapach wiatru w jej włosach, ale także, a może to tylko złudzenie, męskiej wody kolońskiej.

Tulimy się na stoku.

– Co on ci zrobił? – szepczę do jej ucha.

– Kto? – pyta, a ja czuję, że znowu napina mięśnie.

Odkleja się ode mnie z niepokojem.

Stoję ze spuszczonej rękoma i pogardą wypisaną na twarzy.

– No, twój ojciec...Możesz mi powiedzieć, bo ja... – zaczynam, ale nie kończę tego, co chciałam z siebie wyrzucić. I wiem, że jeśli nie zrobię tego teraz, będę tego żałowała.

– Nic. – Zaprzecza ruchem głowy, a w jej oczach dostrzegam zażenowanie. – Nic mi nie zrobił.

– Jak to?

– To znaczy tak, zrobił. Zabronił mi spotykać się z moim chłopakiem, ciągle tylko pieprzy o tym, że mam się uczyć – marudzi.

Jestem oszołomiona.

– Nic ci nie zrobił? – pytam i raz jeszcze czekam, by to powtórzyła, bym ponownie zaznała tej krótkotrwałej ulgi.

– Nie. Dał mi szlaban na wyjścia i zabronił się spotykać z chłopakiem – powtarza.

Uciekam od pierwotnego zamysłu, już wiem, że nie ujawnię tajemnicy.

– Masz chłopaka? – Zadaję to pytanie tylko po to, by zapomniała o tym, co już powiedziałam. By nie ciągnęła wątku o własnym ojcu.

– Tak.

– Nie powiedziałaś mi – mówię z wyrzutem. – Kto to?

– To miała być niespodzianka – wyjaśnia Wiola.

– Niespodzianka?

– Tak, chciałam ci go przedstawić.

– Kiedy?

– Teraz. – Uśmiech rozjaśnia jej twarz. – O ile jeszcze nie odjechał – martwi się i spogląda w kierunku lasu.

– Nie odjechał?

– Jeździ na motorze.

– Gdzie jest?

– Czeka w przecince na górze, po drugiej stronie jezdnii.

– No to idź do niego.

– Ale przyjechał tu, żeby poznać ciebie.

– Mnie? Teraz?

– Tak, bo dopiero od niedawna jesteśmy razem. – Promienieje. – I chciałam, żeby poznał ciebie. Sporo mu o tobie mówiłam.

Ma w oczach radość, która kłóci mi się z tym, co widziałam w jej twarzy, kiedy chciała wejść do szałas. Ale jej entuzjazm studzi moje wątpliwości.

Wyciąga rękę, a kiedy podaję swoją, prowadzi mnie z powrotem przez łąkę. Odgłosy świerszczy tężeją i wypełniają wiejską ciszę.

Wiola śmieje się, tryska radością, a ja idę za nią, chociaż zupełnie nie wiem, po co to robię.

Przecinamy fragment lasu i przechodzimy przez opustoszałą jezdnię.

– Tutaj. – Ciągnie mnie dalej i nachyla się, żeby dostrzec coś w mroku gęstwiny po drugiej stronie drogi.

Wchodzimy w przecinkę, mijamy coraz więcej drzew, ale nigdzie żywego ducha.

– Ojej – jęczy. – Jednak już pojechał.

Nie wiem, co powiedzieć.

– Tak mi przykro, przepraszam – dodaje.

Wciąż milczę. W końcu odwracam się i odchodzę.

Gdy docieram do jezdni, Wiola dotrzymuje mi kroku.

– Mam nadzieję, że w takim razie poznasz go jutro. – Wsuwa dłoń w kieszenie rozpiętej ramoneski.

– Kto to jest?

– Zobaczysz.

– Nic nie zdradzisz?

– Niespodzianka to niespodzianka.

– Może chociaż imię?

Uśmiecha się tajemniczo i udaje, że zamyka usta na błyskawiczny zamek.

Do Pasowca schodzimy poboczem pustej drogi.

Słyszymy tylko plask naszych trampek na asfalcie.

TERAZ

- Powtórz to – zwracam się do Ruteckiego.
- Piotr Kowalski zadzwonił do mnie na początku sierpnia i poprosił, bym pogrzebał w twoim życiorysie.
Chcę mu wykrzyczeć w twarz, że kłamie.
Ogiński porusza się niespokojnie w fotelu i marszczy czoło.
- Co to ma znaczyć? – pytam.
Rutecki nadyma policzki i wypuszcza powietrze ze świstem.
Przeciera twarz dłońmi.
- Posłuchaj – zaczyna. – Nie wiem, w co wy tam ze sobą graliście, i mało mnie to obchodzi. Ale któregoś dnia twój mąż chciał pogadać i zaprosił mnie na piwo. Od tego się wszystko zaczęło.
Ogiński milczy, popatruje to na mnie, to na dziennikarza.
- I tak po prostu kazał ci grzebać w mojej przeszłości?
- Zaoferował sporo kasy.
- Dziesięć tysięcy złotych, tak? – Przypominam sobie sumę, którą, wydawało mi się, przekazał swoim rodzicom.
Potwierdza.
- Jaki podał powód?
- Szczerze mówiąc, nie interesowało mnie to. Potrzebowałem kasy, a jego propozycja przyszła w samą porę. Jak prezent.
Ogiński odchrząka.
- Rutecki przygryza policzek, patrzy mi prosto w oczy, a ja pierwsza odwracam twarz i wydaje się, że mam na niej wypisane to, że kiedyś się z nim przespałam.

To było tuż przed finałem konkursu na *Dziewczynę Lata*.

Poznałam Ruteckiego przez wujka, który sądził, że konkurs może mi pomóc, że mogłabym wykorzystać urodę w reklamie. Bałam się tego. Nie po to matka organizowała mój wyjazd, nie po to zmieniałam nazwisko, żebym miała wypłynąć na szerokie wody. Ale wujek uspokoił mnie, że chodzi tylko o lokalny zasięg. Skusiłam się, bo rozumiałam, że muszę wykorzystać szansę, by szybko stanąć na nogi, zarobić pierwsze pieniądze. Nie chciałam ciągle żyć z oszczędności matki, która wciąż wysyłała wujkowi pieniądze. Tylko dlatego chciałam wygrać ten konkurs. I kiedy nad ranem, dzień po wywiadzie dla gazety, wychodziłam z łóżka Ruteckiego, ten obiecał mi zwycięstwo i kontakt z agencjami reklamowymi. Spełniło się. A dwa lata później reklamowałam na billboardach w Toruniu nowe osiedla budowane przez firmę mojego męża i pracowałam u niego jako sprzedawczyni mieszkań i powierzchni handlowych.

– Powiedziałaś ci wtedy o Pasowcu? – nie dowierzam.

– Nie – odpowiada z chytrym uśmiechem.

– W takim razie wujek?

– No. Spotkałem go w pubie w centrum. Rozmawialiśmy po kilku głębszych i wtedy odkrył co nieco z twojej przeszłości, ale przestrzegął mnie przed tobą.

– Przestrzegął?

– Mówił, że jesteś pełna tajemnic, że nic dobrego mnie z tobą nie spotka.

Widzę wujka i słyszę słowa, które wypowiada. Mówi mi je prosto w oczy, ale przecież wiem, że w moim wyobrażeniu siedzi naprzeciwko Ruteckiego. Składa bełkotliwe zdania, zamglonym wzrokiem wodzi po lokalu. A ja nie mogę uwierzyć w sens tych słów. Ale nagle wujek trzeźwieje i odwraca twarz. Tym razem patrzy na mnie i mruga do mnie. Więc nic nie jest tym, czym się z pozoru wydaje, i wujek w ten sposób chroni mnie przed Ruteckim. Zawsze mnie chronił, być może zna go na tyle, by starał się wybić mu

z głowy związek ze mną. Dlatego wątpię, aby nawet po kilku piwach zdradził dziennikarzowi, skąd pochodzę.

Zostawiam te rozważania, bo czas powrócić z dalekiej przeszłości i zrozumieć intencje męża. Nic więcej się nie liczy.

Raz jeszcze pytam o nie Ruteckiego.

– Naprawdę nie wiem, z jakiego powodu szukał tych informacji – zastrzega dziennikarz.

– A dlaczego zwrócił się akurat do ciebie? Wiedział o nas? – pytam.

– Ode mnie na pewno nie.

Ogiński przysłuchuje się naszej rozmowie, a ja próbuję odgadnąć impuls, który zmotywował męża do grzebania w przeszłości nastolatki z Pasowca, dziewczyny pełnej tajemnic.

Impas.

Przez minutę albo dłużej siedzimy bez słowa. W końcu próbuję popchnąć tę zawieszoną rozmowę na właściwe tory i nadać jej tempo.

– Współpracowałeś w tej sprawie z detektywem?

– Nie.

– Mój mąż nie poznał cię z kimś, kto równolegle mógł szukać informacji o mnie?

– Nie. A w ogóle był ktoś taki? – pyta zaskoczony, ale nie zamierzam odpowiadać.

– W takim razie jak trafiłeś do Pasowca? – kontynuuję to przesłuchanie.

– Przypadkowo. Parę lat wcześniej wykupił nas niemiecki potentat w branży, który miał już w portfolio różne tutejsze regionalne dzienniki. Połączyły się też nasze bazy danych. Zacząłem w nich szperać. Skoro nie miałaś przeszłości, uznałem, że poszukam informacji o zaginionych nastolatkach. Ograniczyłem zakres dat do roku, w którym pojawiłaś się w Toruniu, u Steca. W ten sposób trafiłem na kilka spraw, ale jedną niewyjaśnioną. Dotyczyła Wiolety Raszyńskiej. A od niej był już krok do ciebie.

– Czyli?

– Pojechałem do Pasowca i pierwsze, co odwiedziłem, to szkołę. Dyrektor wciąż pamiętał o zaginionej nastolatce. Pokazał mi nawet szkolną kronikę, a potem zaprowadził do holu, do dużej tablicy, gdzie za szybą były zdjęcia wszystkich klas kończących ówczesne gimnazjum – mówi to zupełnie bez emocji i dodaje: – Jesteś wszędzie tam, gdzie Wiola Raszyńska. Nie sposób cię pomylić z kimś innym. W ten sposób poznałem twoje prawdziwe nazwisko i odnalazłem twój dom.

Wykonał swoją robotę.

– Rozmawiałeś z moją matką? – Aby uspokoić drżące ręce, splatam je ze sobą.

– Nie. Zapisałem tylko adres i przekazałem twojemu mężowi.

– Kiedy to było?

– We wrześniu.

– I co zrobił z tą wiedzą?

– Nie wiem, nie mam zielonego pojęcia. Rozliczyliśmy się i uznaliśmy temat za zamknięty.

Zastanawiam się, czy próbował skontaktować się z moją matką, ale szybko odrzucam ten pomysł. Przecież opowiedziałyby mi o tym, matka dbała o moje bezpieczeństwo jak nikt. Nie udawałybyśmy dłużej, że jej nie ma, że moi rodzice nie żyją, a wychowywał mnie samotny wujek.

– W takim razie dlaczego opisałeś to wszystko w gazecie? Po jaką cholere pisalesz o Pasowcu, o mnie i Wioli? – Kipi we mnie złość, mój głos przechodzi w syk.

– Miałem embargo od twojego męża, ale skoro zginął, uznałem, że w końcu przestaje obowiązywać. Poza tym zaginęła dróżniczka, więc sądziłem, że opinia publiczna powinna poznać te dwie sprawy i wyrobić sobie zdanie.

– Bzdury – wtrąca się Ogiński.

Oboje spoglądamy na niego.

– Moim zdaniem to klasyczne odwracanie uwagi – dodaje były policjant. – Zasłona dymna.

Wiktor Rutecki śmieje się nerwowo.

– Niby po co? – pyta.

W moich oczach wypisane są te same słowa. Ogiński patrzy w nie i odpowiada:

– Moim zdaniem po wypadku Piotra zwróciłeś się do jego siostry i zaoferowałeś garść interesujących informacji o Ani. Oczywiście za kolejną górkę pieniędzy. Ale tym razem poszło ci gorzej, bo Małgorzata Miller nie miała kasy i musiała czekać na ewentualną sprzedaż domu jej rodziców. W tym czasie redakcja naciskała na kolejny tekst, a ty się ugiąłeś i straciłeś klientkę.

Trafiony Rutecki próbuje w końcu się odezwać, ale Ogiński jest szybszy.

– Nie zaprzeczaj, nie pogarszaj swojej sytuacji. Po prostu koncertowo się wyłożyłeś. – Macha ręką i spogląda w kierunku witryny i przechodniów.

Odprowadza ich wzrokiem.

Pierwszy raz widzę go wzburzonego. Krótki sztorm, jedna fala, jak tsunami, które gwałtownie uderza z niszczącą siłą o brzeg, a zaraz potem morze ponownie koi szumem drobnych fal.

Rutecki ociera nerwowo usta, warkoczyk na brodzie drży.

– Okej – przyznaje, podnosząc otwarte dłonie. – Masz rację, spierdoliłem to.

Ogiński potwierdza, energicznie kiwając głową.

– Ale w tym wszystkim musi być coś jeszcze – zauważam i mam na myśli to, że czekał, aż pozwolę mu przyjść i o tym opowiedzieć.

Rutecki zrezygnowany opada na oparcie krzesła. Walczy ze sobą, ale ten pojedynek jest już przegrany.

– Chodzi o to, że... – zaczyna i przetyka z trudem ślinę. – Twój mąż zaszedł w tych poszukiwaniach dalej niż ja.

– Jak to dalej?

– Krótko przed tragedią wpadł do redakcji i zostawił mi kopertę na biurku.

W Bread House podłoga zaczyna się wolno kręcić, jak startująca karuzela.

Rutecki sięga do kieszeni i wyciąga z niego złożoną na pół kartkę.

Kładzie ją na stole i przytrzymuje palcem, a potem przesuwając papier w moją stronę.

Powoli go rozkładam.

Szelest zamienia się w cichy klik włączonego zapalnika.

Chwilę później mój świat eksploduje.

DAWNO TEMU

Nasłuchujemy.

Czasami wychodzimy na jezdnię, która wspina się na szczyt wzniesienia, a potem opada do Pasowca, żeby wypatrzeć najeżdżający motocykl, usłyszeć warkot silnika. Częściej słyszymy jednak świst pędzących samochodów, czujemy na twarzach uderzenie gorącego podmuchu i wachamy smród spalin.

– A może coś mu się stało? – Wiola zerka na zegarek, robi się nerwowa i ponownie wybiega na jezdnię, gdy minie nas tir.

Zmierzch dawno już zapadł, komary tną, chociaż opędzam się od nich gałązką. Dłubię czubkiem trampka w przesuszanej ziemi na skraju lasu. Kreślę krótkie linie, które przecinają się pod różnymi kątami.

– Muszę już iść – mówię.

Wiola patrzy to na mnie, to na zegarek.

Przygryza wargę.

– A jeśli coś mu się stało? – Przykłada dłoń do czoła i wyraźnie jest przejęta.

Wzruszam ramionami, odrzucam gałązkę i odchodzę.

Sędzikowa mówiła o motocykliście, ale coś mi się tu nie zgadza. Dwa przypadki jednocześnie. Najpierw to, że jej chłopak odjeżdża, bo rzekomo długo nie przychodziłyśmy, a dziś nie zjawia się z niewiadomych powodów.

A może po prostu nie istnieje?

Nie zadam tego pytania wprost, ale co, jeśli Wiola ma w tym interes, by kłamać? Zastanawiam się, czy nie było tak, że ona zawsze dominowała w tej naszej przyjaźni, a ja chętnie oddawałam jej pola. Byłam zbyt bierna, zdana na jej łaskę. Wiola przyzwyczała się do takiego stanu rzeczy. Chce, żeby nadal tak było. Ma mnie i moją lojalność, moje poczucie winy, które łączą nas mocniej, niż łączyłyby więzy krwi.

Jest zaborcza.

Jest chorobliwie zaborcza.

Dogania mnie, idziemy ramię w ramię, milczące, zatopione we własnych myślach i z nimi zjednoczone.

– Nic nie jest takie jak dawniej – marudzi, kiedy wreszcie skręcamy w utwardzoną drogę prowadzącą do kościoła.

Patrzemy na siebie, ale nie zwalniamy kroku. Dom Raszyńskich jest blisko, zamierzam go obejść, żeby przez przypadek nie spotkać jej ojca.

Skręcam w prawo, przy figurce Matki Boskiej, a ona idzie w moje ślady.

– Nie wracasz do domu? – pytam zaskoczona i przystaję.

– Jeszcze nie. – Przekrzywia głowę i się uśmiecha.

Próbuję utrzymać powagę, ale w końcu kruszy mój opór. Moja twierdza upada.

– Potrzebowałam tego – mówi. – Chciałam, żebyś wróciła. Żeby było jak dawniej.

Nic już nie jest jak dawniej. Nie mówię tego, ale wiem. To przekonanie przekreśla wszystko, co było. Zresztą gdyby nie ja, być może przekreśliłoby je nasze życie, nowe życie wyznaczone przez rytm roku szkolnego. Być może Wiola już to wie i dlatego desperacko trzyma mnie w uścisku. Nowe szkoły w nowych miejscach, nowi ludzie. Wszystko nowe, wszystko inne. Obie, w tej samej chwili, zdajemy sobie sprawę, że przyjaźnie na wieki, nawet te pielęgnowane, trwają zaledwie kilka lat.

Jestem przekonana, że przyjaźń między nami wyparowała.

Zerkam w skupioną twarz.

Odchodzimy kawałek dalej w stronę kościoła i siadamy na ławkach przed kutym ogrodzeniem z posrebrzanymi różami w centralnym miejscu każdego panelu.

Komarów jest tu jakby mniej.

Wpatruję się w żywopłoty działek znajdujących się po przeciwnej stronie drogi prowadzącej do kościoła i szerokiego placu z parkingiem, w pobliżu wejścia do drewnianej świątyni. Zaglądam w rozświetlone okna parterów. Gdzieś ktoś kręci się po kuchni, z niektórych okien, ze zmienną intensywnością, bije niebieskawa poświata.

Odwracam się do Wioli i przyciągam jej wzrok. Rozkłada ramiona na szczycie oparcia i wyciąga przed siebie skrzyżowane nogi. Jest jak Chrystus na krzyżu.

Cierpi.

A ja w niezaplanowany sposób dźgam ją włócznią w bok. Dokładam jej cierpienia.

– Twój ojciec próbował mnie molestować. – Słyszę słowa, które wypowiadam sama, ale brzmią tak, jakby mówił je ktoś obcy. Ktoś, kogo tu nie ma.

Chciałabym natychmiast zatkać sobie usta, ale jest za późno.

Nie widzę żadnej reakcji w jej oczach. Nie od razu.

Odchyła głowę ku granatowemu niebu z rozsianymi wszędzie gwiazdami. Zastyga w tej pozycji na krótko, ale dla mnie trwa to całą wieczność. A kiedy się do mnie odwraca, te wszystkie gwiazdy błyszczą w jej mokrych od łez oczach.

– Wiem – mówi, walcząc z płaczem. – Przepraszam za niego.

– Bałam się, że ciebie też krzywdzi.

– Nie. Mój ojciec... on nigdy nie zrobił mi nic złego – zapewnia, a jej dłoń dotyka mojego ramienia. – Uważał, że to była tylko taka... No wiesz, niegroźna zabawa.

– Zabawa? – Nie mogę uwierzyć w to, co mówi, i strząsam jej dłoń.

Spinam mięśnie i wstrząsa mną dreszcz na każde wspomnienie ocierania się jej ojca o moje ciało.

Wiola splata obie ręce i wsuwa między zaciśnięte uda.

– On nie jest zły. Nikomu nie zrobił krzywdy.

Broni go, a mnie toczy złość. Rozrasta się we mnie gwałtownie.

– Przepraszam za niego – mówi. – Ale mam do ciebie prośbę. Jak przyjaciółka do przyjaciółki.

Widzę w jej oczach ból.

„To nie jej wina”, przekonuję samą siebie. Wciąż zbyt mocno przygryzam policzki, ale wiem, że nie jest niczemu winna.

– Nie mów o tym nikomu, dobrze? – rzuca i odchodzi, tłumiąc szloch.

Dziwię się tej prośbie, bo Wiola jest jedyną osobą na świecie, której o tym powiedziałam.

Przyglądam się jej plecom tak długo, aż znika między zabudowaniami.

Podnoszę się dopiero po kilku minutach, odrętwiała od siedzenia w jednej pozycji. Wracam szybkim krokiem do domu. Matka siedzi w dużym pokoju, z nogami na pufie, i ogląda serial.

– Gdzie byłaś? – pyta, gdy ledwie zamknę za sobą drzwi.

– Spacerowałam z Wiolą – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Wzdycha teatralnie i wiem, co to oznacza.

Ale to, co wydarzyło się dziś na ławce, sprawia, że czuję się lepiej.

Czuję się lekko, bo pozbyłam się dręczącej mnie tajemnicy. Mam nadzieję, że ten krok może być nowym otwarciem dla naszej przyjaźni.

Wchodzę do pokoju, siadam po drugiej stronie ławy, gdzie czekają na mnie kolacja i kubek przestudzonej już herbaty. Matka sięga po talerz z kanapkami, przystawia go sobie pod brodę i zaczyna przeżuwać pierwszy kęs. Plaster pomidora zsuwa się z szynkowej, ale matka wsysa go do ust.

– Wiesz, mam – zaczynam, bo chcę z nią porozmawiać jak z przyjaciółką. – Nie układało nam się z Wiolą, ale teraz chyba

wszystko będzie dobrze. Tak mi się wydaje.

Jestem podekscytowana, bo nagle odradza się we mnie wiara w tę przyjaźń, w sens jej pielęgnowania, w dzielenie się prawdą, która ma wyzwalającą moc.

– Oglądam teraz – ucina stanowczo matka i sięga po herbatę.

Dwóch przyjaźni mieć nie można, ale z tej z Wiolą cieszę się bardziej.

Zjadam kanapki i gapię się w telewizor.

– Uważaj na nią – stwierdza matka, kiedy pojawiają się napisy końcowe. – Mam wrażenie, że z nią mogą być same kłopoty. We wsi już o niej gadają. To zła dziewczucha jest. Wstrętna.

Zestawia stopy na dywan. Zabiera talerz razem z kubkiem i wychodzi do kuchni.

Słyszę, jak kapcie szurają po linoleum.

– Kiedy tu przychodziła, znikwały nam drobne z szuflady, pamiętasz? Brakuje mi też dwóch pierścionków! – krzyczy.

TERAZ

Ogiński bez słowa odwozi mnie do domu.

Zatrzymuje wóz przed ogrodzeniem i gasi silnik. Spogląda w bok, a ja przed siebie, na duże drzewo, którym szarpie wiatr i obrywa mu liście. Unoszą się na wietrze, wirują i opadają na ziemię. Kule jemioly stają się coraz bardziej wyraźne. Wszczepione w sieć czarnych gałęzi, przetrwają tak do kolejnej wiosny i dłużej.

– Chcesz wiedzieć, co napisał? – pytam.

Ogiński sięga po fajkę i nabija ją. Wiśniowy zapach wypełnia wnętrze. Skrawki tytoniu szeleszczą pod palcami, kiedy wkłada je do cybucha. Wsuwa do niego mały palec, a potem powtarza procedurę, aż drewniany komin jest pełny. Przykłada fajkę do ust i słyszę syk powietrza, które przeciska się przez warstwy delikatnie ubitego tytoniu.

– „Wiem, kto to zrobił” – odczytuję z pamięci, ale taksówkarz nie reaguje.

Odstawia puszkę tytoniu, pozostałe na spodniach brązowe skrawki strząsa na podłogę. Wyjmuje fajkę z ust i trzyma w dłoni. Druga ręka bawi się zapalniczką. Palec okręca ze zgrzytem ząbkowane metalowe kółko.

Nie mam siły wysiąść z samochodu.

Opieram głowę na zagłówku i zamykam oczy. W zeszywniałych mięśniach karku rodzi się tępy ból.

Wracam myślami do tego, czego dowiedziałam się w Bread House.

Rutecki, kiedy przeczytałam wiadomość, zabrał mi kartkę i schował ją do kieszeni.

– Twój mąż to hojny człowiek. Zapłacił mi też za to, żebym napisał reportaż o zaginięciu Wioli. Kazał podsyłać sobie napisane rozdziały. A gotową książkę chciał ci dać w prezencie – dodaje. – Miał to rozplanowane w drobnych szczegółach. Chciał cię zabrać na wieczór autorski.

– Napisałeś ją? – pytam zalekniona i wiem, że ten strach objawia się drżeniem mojego głosu.

– Mam tak ze trzy czwarte.

– Jak dużo jej przeczytał?

– Dwa obszerne rozdziały.

– Co w nich jest?

Ogiński przypatruje się nam, jak przerzucamy się pytaniami i odpowiedziami.

– W pierwszym opisuję dzień zaginięcia twojej przyjaciółki, w drugim cofam się dalej i przedstawiam jej rodzinę.

– Zaakceptował je?

– Tak, i kazał pisać dalej – zaznacza.

– I co teraz zamierzasz?

Rutecki drapie się po głowie.

– Prawdę mówiąc, zastanawiałem się, czy nie chciałabyś wykupić tego tekstu. – Drapie się po wnętrzu dłoni.

Gnój ma tupet.

– Za ile?

– Do rozliczenia całości z twoim mężem zostało osiem tysięcy.

– Ale tekst nie jest gotowy, mój mąż nie żyje, a jego pieniądze mam ja – rozpoczynam negocjacje. – Dam trzy i ani złotówki więcej.

– Dobra, może być.

Widzę, że odetchnął.

– Zapłacę, ale tylko wtedy, kiedy tekst będzie ukończony.

– Że co? – dziwi się. – Mam to pisać dalej?

– Tak. I przesyłać do akceptacji. Za te trzy tysiące kupuję wszystko, łącznie z waszą umową.

Zastyga na chwilę, ale w końcu potakuje.

– No dobra. Skoro tak... – mruczy pod nosem.

Czekam, aż ściagnę jego wzrok, a kiedy do tego dochodzi, pytam:

– Powiedział ci, kogo miał na myśli?

– Nie.

– Nawet wtedy, gdy zostawił ci tę kartkę?

– Dzwoniłem, ale nie odbierał. A potem doszło do wypadku. Po prostu nie zdążyliśmy o tym pogadać.

– Niedobrze – zaznaczam i wychodzę z lokalu.

Razi mnie słońce, więc przymykam oczy i szczerzej otulam się kurtką, bo nie wiem, czy to chłód na zewnątrz, czy stres sprawia, że się trzęsę.

Ogiński dołącza do mnie, kiedy już niemal jestem przy samochodzie.

A teraz siedzimy w nim oboje, zawieszeni w myślach, z których moje krążą jak dron nad Pasowcem. Oko kamery mija krzyż na kościelnej wieży i nadlatuje nad dom Wioli, nad mój dom, nad las z ukrytym w krzakach szałasem.

„Wiem, kto to zrobił”.

Już nie tylko widzę pismo Piotra, lecz słyszę także, jak wypowiada te słowa. Jak je intonuje, kiedy zwraca się do mnie z tym swoim triumfalnym uśmiechem.

Taksówkarz nadal milczy, a ja w końcu zbieram się w sobie i sięgam do klamki.

Kiedy staję na zewnątrz i chcę zamknąć drzwi, Ogiński nachyla się w moją stronę.

– Pojadę tam – mówi.

Trwa w tej pozycji, jakby wyczekiwał jakiegokolwiek mojej reakcji, najlepiej błogosławieństwa, ale stać mnie jedynie na wzruszenie ramion.

– To chyba jednak zły pomysł – zastanawiam się na głos.

Ogiński pochyła się w moją stronę i odpowiada:

– Boisz się, że obudzę demony przeszłości?

Mieszkanie ogołoczone z książek i bibelotów wygląda surowo, jak na zdjęciach w katalogu producenta mebli. Jest zupełnie bezosobowe i źle się w nim czuję.

Dwie godziny temu zleciłam wywiezienie wszystkich popakowanych worków i kartonów do wynajętego kontenera.

Siedzę przed telewizorem, żyjąc życiem niepełnosprawnej matki, której z powodu biedy zabrano dzieci, oraz Australijczyków po wielkich pożarach lasów. Jestem bezradna wobec nienawiści, która sprawia, że z byle powodu można pchnąć kogoś nożem w centrach polskich miast. Słucham kłótni gadających głów, z których każda ma swoją rację.

Zagłuszam siebie i swoje myśli. Zagłuszam krzyk z przeszłości, który niesie się echem i dogania mnie nawet po tylu latach.

Żyję życiem innych, bo moje własne, chociaż noszę w sobie nowe, wytraca impet. Dlatego chciałabym już stąd

wyjechać, wyrwać korzenie i zapuścić je w nowym miejscu. Świeża, żyzna gleba daje lepsze plony. Tymczasem moje korzenie są krótkie i kruche, na darmo szukają życiodajnej wilgoci w tej jałowej ziemi. Prawda nie wyrasta z kłamstwa, ale z gracją się w nim maskuje.

Boję się prawdy, bo w nagrodę za nią spotykało mnie samo zło. Dlatego tak dobrze nauczyłam się kłamać. Dzięki kłamstwu, i nie tylko, bo również dzięki zatajonej prawdzie, zawsze utrzymuję się na powierzchni. Jestem niezniszczalna.

Muszę dalej kłamać, tylko w ten sposób ocalę chociaż część przeszłości.

A razem z nią ocalę siebie.

Wieczór przegania słońce za grubą warstwę chmur.

Wciąż tkwię przed włączonym, przyciszonym telewizorem i przypatruję się wyświetlanym na pulpicie ikonom zdjęć z akt zaginięcia Wioli Raszyńskiej.

Znam je już niemal na pamięć, ale tym razem nie interesuje mnie ich treść. Sprawdzam, kiedy fotokopie zostały zrobione. Klikam w pierwszą lepszą fotografię prawym przyciskiem touchpada i wybieram z rozwijanego menu opcję „Właściwości”. Zastanawiam się, co wiem o tej dacie, o czwartku z połowy września.

Szukam w pamięci, która jest pełna czarnych dziur. Zerkam więc na kalendarz w telefonie i już wiem, że Piotra nie było wtedy w domu. Wyjechał na targi budowlane do Niemiec i zabrał ze sobą Roksanę.

Tak przynajmniej twierdził.

Wtedy nie miałam ochoty tego weryfikować. Mieliśmy dla siebie czas z Marcinem Królem. Upojne wieczory, pełne namiętności poranki w jego apartamencie z widokiem na nowy most i zakole Wisły.

Teraz jednak wołałabym się upewnić.

Dominika Biskup, asystentka Piotra, odbiera po kilku sygnałach. Doceniam jej dyspozycyjność i mówię wprost, w jakiej sprawie dzwonię.

– Tak, były takie targi – odpowiada łagodnym głosem, który współgra z jej nieszablonową urodą. – Rezerwowałam noclegi dla prezesa i jego córki.

„Jego córki”, powtarzam w myślach i już wiem, jak to brzmi, ale się nie złoścę. To nigdy nie byłaby moja córka.

Kładę rękę na brzuchu i wyczuwam napiętą skórę.

– Hotel wystawił fakturę?

– Z tego, co pamiętam, to tak.

– Dziękuję, w takim razie to wszystko.

– Jedną chwileczkę. – Dominika nie odkłada słuchawki. – Wydaje mi się, że nie za pełen pobyt. Mam wrażenie, że zamiast trzech

noclegów skorzystali tylko z dwóch. Kontaktowałam się z kimś w tej sprawie.

– I co? Wszystko się wyjaśniło?

– Tak. Okazało się, że po prostu opóźnili swój pobyt o jeden dzień – wyjaśnia. – Przyjechali nie w czwartek, lecz w piątek.

– Ale w czwartek rano wyjechali z domu – przypominam i zdaje się, że już wiem, jak wyglądała ich podróż.

– W takim razie musieli nocować gdzieś po drodze.

– Też o tym pomyślałam.

– Ale nie otrzymałam od szefa żadnej innej faktury – usprawiedliwia się Dominika.

– Pewnie zrobili sobie najpierw wycieczkę do Krakowa. Roksana od dawna chciała zobaczyć to miasto.

Żegnamy się i natychmiast wybieram numer Ruteckiego.

– Fotokopie z akt Raszyńskiej to twoje dzieło? – Natychmiast przechodzę do konkretów.

– Nie, no skąd! Nie byłem w stanie ich zrobić. Trafiłem na straszną służbistkę w prokuraturze – wyjaśnia.

– A czy mój mąż próbował je przeglądać na własną rękę? Opowiadał ci o tym?

– Nie. Nie sądzę, zresztą po co miałby to robić? Od zbierania materiałów miał mnie.

– Jestem przekonana, że we wrześniu pojechał do Krakowa – dodaję.

– Skąd to podejrzenie?

– Bo patrzę na datę fotokopii akt zgranych na płytę.

– Nie miał ich ode mnie – zastrzega. – Ja bazuję wyłącznie na notatkach. Przesiedziałem wtedy bity tydzień w Krakowie i pracowałem dzień w dzień po kilkanaście godzin.

Nie mam powodu, żeby mu nie ufać, więc się żegnam.

I już wiem, jak to wszystko mogło wyglądać.

Już wiem, że ścieżkami, którymi chadzałam jako nastolatka, szedł niedawno mój mąż.

W wyobraźni widzę go, jak wraz z Roksaną wspina się ścieżką w kierunku lasu na wzgórzu, jak krąży po nim, by zobaczyć szafas, którego już dawno tam nie ma.

By spojrzeć na to wszystko z góry i wydać wyrok.

„Wiem, kto to zrobił”, przypominam sobie spisane przez niego słowa.

Noc nie daje mi odetchnąć.

Powieki są lekkie jak skrzydła motyla. Mimo wcześniejszego zmęczenia czuję się tak, jakbym zbudziła się z długiego, dobrego snu, w pełni wypoczęta. Tyle że wokół jest ciemno.

Frustracja bierze górę, wiercę się w łóżku, przewracam z boku na bok.

Sen nie nadchodzi, czas sypie się wolno jak ziarna piasku w klepsydrze, ziarenko po ziarenku.

A kiedy w końcu już zasnę, widzę Piotra na torach, między rdzawymi liniami, które znikają za nim w ciemności. Nie na długo. W mroku, z drugiej strony, rozbłyskuje troje oczu. Błyszczą jak gwiazdy. Stale się powiększają i zanim zdam sobie sprawę z tego, na co patrzę, trzy snopy światła zlewają się w jedno oślepiające źródło.

Mąż mówi coś do mnie, ale huk nadjeżdżającego pociągu sprawia, że mogę odczytać słowa jedyne z ruchu jego warg.

„Wiem, kto to zrobił”.

– Kto? – pytam, ale tym razem on nic nie słyszy, bo stukot staje się wyraźniejszy.

Każę mu zejść z torów, macham do niego energicznie, ale mnie nie słucha. Zastanawiam się, dlaczego stoję w miejscu, dlaczego nie robię kroku naprzód, dlaczego siłą nie ściągnę go z torowiska, ale w tych snach nigdy się nie ruszam. Powtarzam więc głośniej, w końcu krzyczę z całych sił.

Śmieje się.

Śmieje się, a ja obserwuję ruch ręki, unosi ją, mam wrażenie, że zamierza wyciągnąć palec w moją stronę, ale już nie zdąży. Rozlega się przeraźliwy gwizd pociągu, który uderzy w niego z niesamowitą prędkością, więc jedyne, co mogę zrobić, to zacisnąć powieki i trześć zębami o zęby.

I trwam w oczekiwaniu.

Ale nic nie następuje.

Sekundę później otwieram oczy. Stoję sama na pustym przejeździe kolejowym i ocieram wilgoć z twarzy.

W świetle ulicznej lampy przyglądam się wnętrzu dłoni. Jest jasnoczerwone.

Moją twarz muszą oblepiać drobinki słodkiej krwi.

Rozbryzg.

Ale to nie jest krew Piotra.

Bo jego tam nie ma.

DAWNO TEMU

Wiola zaginęła dwa dni temu i wciąż nie wiemy, gdzie jest.

Dwa radiowozy krążą po Pasowcu.

Nie mówimy o niczym innym, nie ma dnia, by grupy mieszkańców nie wybierały się na poszukiwania. Długie spodnie, wysokie buty, czapki na głowach. Widać ich z daleka, pojawiają się stale w tych samych miejscach, na wałach przeciwpowodziowych, na wzgórzu pod lasem, jakby lęk przed tym, że mogli cokolwiek przeoczyć, nie dawał im spać.

Wieczorami spotykamy się w kościele na cichej modlitwie, a potem na placu przed nim wymieniamy informacje. Dorośli z dorosłymi, a my, nastolatki, tuż obok, szept w szept.

– Mówię prawdę! – wściekam się, gdy żadna koleżanka ani żaden kolega nie chce uwierzyć w to, że Wiola miała chłopaka, że odwiedzał ją na motorze i zabierał na przejażdżki.

– Chuja tam – mówi cicho rudy Wojtek.

Grubas wcisnął dłonie w kieszenie i turla butem kamień. Osiem par oczu przypatruje się temu z uwagą.

– Prawda jest taka, że nikt go nigdy nie widział, więc chyba coś ci się popierdoliło – dodaje.

Wiem to aż za dobrze, ale już nie mogę się z tego wycofać.

– Sędzikowa go widziała. – Kciukiem wskazuję na świątynię, którą mam za plecami.

– Ta, jasne. Przecież mój ojciec z nią rozmawiał i pytał o tego motocyklistę. I wiesz co? Sędzikowa mu mówiła, że coś sobie

ubzduriałaś. I taka jest, kurwa, prawda. – Kopie kamień, który podskakuje daleko od nas.

Nikt nie widzi moich wilgotnych oczu.

– Mam was w dupie. – Macham ręką i wychodzę z kręgu, nie zważając na szepty, które rozlegają się za moimi plecami. Wbijają we mnie noże.

Mijam grupkę dorosłych, moją matkę wspartą pod boki, zerka w moją stronę, ale nie zatrzymuje mnie.

Idę i przyspieszam, a potem już biegnę w stronę domu.

Kiedy byliśmy w kościele, popołudnie sypnęło krótkim, letnim deszczem i kałuże wciąż parują na gorącym asfalcie przed sklepem.

Jest duszno, pot spływa po twarzy, miesza się ze słonymi kroplami, które lądują w ustach.

Rozglądam się po nieboskłonie, daleko stąd, na północy, wciąż zbierają się zwarte chmury. Wiatr, który dmie mi lekko w twarz, pcha je w naszą stronę.

Nienawidzę siebie.

Nienawidzę prawdy, bo prawda jest pokarmem dla słabych, a ja jestem słaba. Wybieram ją tylko ze strachu. Tymczasem kłamstwo wymaga siły, trzeba je nieść na swoich barkach i wmawiać wszystkim dokoła. Zrobić z kłamstwa niepodważalną prawdę, skoro niepodważalną prawdę tak łatwo uznać za łgarstwo.

Jestem słaba, bo przecież gdybym była silna, nauczyłabym się łąć bez mrugnięcia okiem.

Prawda mnie frustruje, od zawsze wpędza w kłopoty.

Im głębiej w nich tonę, tym bardziej nienawidzę siebie i świata, który mnie otacza. Irytuje mnie cisza w domu, kapiący kran, spokój milczącej matki, która zasepiona siada w pokoju przed telewizorem. W trosce przykładła dłonie do policzków i poddaje się powodzi zmartwień.

Nie tylko w sprawie Wioli.

Przede wszystkim martwi się o mnie.

W każdym słowie, w każdym zdaniu, które wypowiadam, szuka skaz, drobnych odprysków kłamstwa. Weryfikuje wszystko, co robię, przygląda mi się bacznie na każdym kroku, patrzy na ręce. Chce wierzyć w to, co mówię, bo jest matką. Ale rozum każe jej filtrować każde słowo i każdy gest. To w nich szuka prawdy i chociaż nieraz sądzi, że ją okłamuję, nigdy nie wypowie tego wprost i się do tego nie przyzna. Wciąż zapewnia, że mi ufa. Powtarza to jak mantrę i wiem, że to moszczenie gniazda. Wyciąga pomocną dłoń, głaszcze po plecach i włosach, przytula. Matczyzna bliskość, której mi brakowało, sprawia, że kłamstwa kruszeją.

Zna i pamięta wszystkie moje niewinne nieprawdy. Narodziły się przy niej i zdarzało się, że były wymierzone przeciwko niej, przeciwko mojej matce. Dlatego ma wprawę w ich rozpoznawaniu.

Brak reszty po wizycie w sklepie, którą zachowałam dla siebie w kieszeni, pierwsze wagary i termometr zanurzony w ciepłej herbacie, wskazujący na wysoką gorączkę, podczas gdy czoło pozostawało chłodne.

Ma je wszystkie jak na dłoni, bo nikt nie zna mnie lepiej niż ona.

Dlatego kiedy kładę się spać, uchyla drzwi.

– Śpisz już? – szepcze.

– Nie. – Odwracam się w jej stronę.

Nie włącza światła, kapcie szurają.

Czarna postać się zbliża, odgarnia pościel i siada na skraju łóżka, które odpowiada głuchym jękiem. Wyprostowane ręce opierają się na kolanach.

Trwa tak jakiś czas, wpatrując się w mrok pokoju. Chwila na zebranie sił.

– Musimy być odpowiedzialni za swoje czyny. – Mam wrażenie, że głos jej się łamie i dlatego przez dłuższy czas znowu milczy.

– Mamo... – zaczynam, ale widzę, że unosi dłoń.

– Nic nie mów, tylko słuchaj. – Nabiera powietrza i walczy ze sobą. Mości gniazdo. – W naszym życiu zdarzają się czyny, których żałujemy.

Wzdycham.

Kładzie dłoń na moim ramieniu i głaszcze je, krótko.

– Bywa, że rzutują na całą naszą przyszłość. Mogą ją naznaczyć albo zniszczyć. Z każdej sytuacji jest wyjście i z każdej, czasami nawet beznadziejnej drogi można zboczyć. Potrzeba tylko odwagi. – Tym razem odwraca do mnie twarz.

Nie widzę jej oczu, giną w mroku pod wydatnym czołem.

– Potrzeba tylko odwagi, córuś.

– Mamo...

– Nie chodzi mi tylko o tę sytuację z Wiolą, lecz w ogóle. To rada na całe życie – szepcze.

– Nie mam z tym nic wspólnego. Wiola była moją przyjaciółką – odpowiadam, ale nie umiem sięgnąć po prawdę, więc wolę skłamać. A przecież moja matka jest wykrywaczem kłamstw.

– Wiem, wiem – mówi matka, ale nie wydaje się przekonana. – Pójdę już.

A zatem moszczenie gniazda zacznie się wkrótce na nowo.

Wstaje.

– Przepraszam – dodaje, zamykając za sobą drzwi.

Kilka nocy później nie wierzy mi już nikt poza nią, chociaż na pewno dopadają ją wątpliwości.

Chce mnie ochronić, instynkt każe jej wziąć mnie pod skrzydła, więc uciekam z Pasowca.

Odjeżdżam na tylnym siedzeniu skody favorit.

TERAZ

Młode Białorusinki w jednakowych zielonych fartuchach, z kieszeniami wypchanymi paczkami papierosów, uśmiechają się do mnie krótko i spuszczaają szybko wzrok, zanim miną mnie na korytarzu. Nie oszczędzają się w pracy, wiem to nie od dziś, bo do niedawna jedna z nich sprzątała także w naszym mieszkaniu.

Dochodzę do biurka Dominiki Biskup, która, gdy tylko przestąpię próg oszklonego sekretariatu, wstaje i się uśmiecha. Ani zbyt szeroko, ani zbyt zdawkowo.

– Dzień dobry – odzywa się pierwsza.

Podziwiam ją, idealnie spięte w koński ogon włosy podkreślają kształtną głowę. Łagodne oczy, pozbawione kaskad włosów, wydają się dwa razy większe, a delikatny makijaż rozświetla jej skórę. Jest piękniejsza ode mnie.

A do tego młodsza.

– Wszystko przygotowane – mówi i wskazuje na drzwi gabinetu mojego męża. – Kawy?

– Tak, poproszę – odpowiadam uprzejmie i odwzajemniam uśmiech.

Zamykam za sobą drzwi.

W pomieszczeniu, na końcu którego stoją duże puste biurko i masywny czarny fotel obrotowy, rozchodzi się świeży cytrusowy zapach.

Żaluzje są podciągnięte, a szyby błyszczą w gasnącym słońcu.

Dominika już wie, że wolę znajdujący się w rogu w pobliżu drzwi komplet wypoczynkowy niż ogromne biurko.

Ściągam płaszcz, składam na pół i zawieszam na oparciu jednego z foteli, a potem zabieram się do przeglądania dokumentów. Dwie wypełnione nimi teczki leżą na niewielkim stoliku wraz z firmowymi długopisami. Sięgam po pierwszą z nich.

Asystentka bezszelestnie wślizguje się do pokoju. Zostawia mi kawę, której już sam aromat pobudza mnie do działania.

– Dominiko? – odzywam się, gdy zbliża się do drzwi.

Odwraca się i łączy elegancko dłonie na wysokości idealnie płaskiego brzucha.

– Tak?

– Wiem, że zaraz kończysz pracę, ale mam do ciebie jedną prośbę.

– Oczywiście, w czym mogę pomóc?

– Chodzi o terminarz mojego męża. Chciałabym zobaczyć, gdzie był i co robił miesiąc przed wypadkiem.

– Nie ma problemu. Kalendarz prowadzę w systemie komputerowym. Wystarczy wydruk czy plik wysłać mailem?

– Poproszę o wydruk i o maila.

– Dobrze, zaraz przygotuję.

Odchodzi, a ja oddaję się pracy. Spędzam tak godzinę, w trakcie której firma pustoszeje, ale Dominika nie idzie do domu. Zapominam o tym, że czeka na mnie, a kiedy tylko to sobie uświadamiam, przyspieszam z podpisywaniem faktur.

Odnoszę jej teczki i wymieniam na trzecią, z wydrukiem kalendarza męża.

– Dziękuję i do zobaczenia – dodaję, odwracając się od niej.

Zdążę zrobić kilka kroków, zanim zatrzyma mnie jej głos.

– Pani Anno.

– Tak? – pytam z progu sekretariatu.

– Słyszałam, że zamierza się pani wyprowadzić z miasta – zaczyna. – Wszyscy w firmie zastanawiają się, co dalej będzie z tym przedsiębiorstwem.

Zadanie tego pytania sporo ją kosztuje.

– Wyprowadzam się – odpowiadam zgodnie z prawdą i zastanawiam się nad drugą częścią odpowiedzi. – Proszę przekazać wszystkim, że firmy jednak nie zamierzam sprzedać.

Moja impulsywna decyzja sprawia, że ulga uwalnia jej piękny uśmiech, najlepszą dla mnie nagrodę.

– Oczywiście, przekażę tę informację rano – cieszy się.

– I dodaj, że wkrótce ogłosimy nabór na prezesa zarządu.

– Tak zrobię – obiecuje.

Żegnamy się ponownie, a ja mogę wrócić do domu.

Teczkę z kalendarzem aktywności mojego męża kładę na przednim fotelu mini i przyciskam torebką.

W domu zjadam lekką kolację i długo wyglądam przez okno, aż nastanie ciemność. Myślę o tym, jak wkrótce zmieni się moje życie.

Robię herbatę z miodem i cytryną, a potem przykrywam się kocem na sofie w salonie. Teczka już tam leży.

Kiedy dłonie odzyskują ciepło, data po dacie sprawdzam wszystkie spotkania i wyjazdy mojego męża. Przy targach budowlanych w Niemczech jeden dzień stanowi niewiadomą. Przypuszczam, że tego dnia Piotr z Roksaną odwiedzili Pasowiec. Nie wiem, jak to sprawdzić, obawiam się, że pewnie już mi się to nie uda.

W przerwie moje spojrzenie pada na telefon komórkowy. Jest wyciszony, nikt nie dzwoni, a jednak wpatruję się w niego. Myśl rodzi się po chwili.

Sięgam po aparat i uruchamiam Instagrama. Odszukuję profil Roksany, którego nigdy nie byłam obserwatorką, bo ona sobie tego nie życzyła, a ja nie miałam na to ochoty.

Skrolluję zamieszczane zdjęcia, jest ich pełno, nie mają w sobie nic, co mogłoby mnie zainteresować, żadnej kompozycji, dobrego światła, ot, byle jakie fotki, na których nastolatka stroi głupawe miny, dokleja rysunkowe wąsy i okulary, czapki urodzinowe. Nie zrażam się i sprawdzam dalej.

Robię to zbyt szybko, zbyt nerwowo, boję się, że mogę coś pominąć, ale w końcu trafiam na zdjęcie, które sprawia, że niemal upuszczam aparat.

„rudera przedpotopowa pod Krakowem koloryzowane buhaha polska wieś w XXI wieku!”

Mój dom.

Pamiętam go doskonale, chociaż na fotografii jest niezbyt widoczny zza rozrośniętych i nieprzycinanych krzewów. Ognistoczerwone liście dzikiego winobluszczu wiszą na płocie, za którym widać tylko okno i drzwi. Te same drzwi, na których kiedyś namalowano czerwoną szubienicę z wiszącymi w kółku moimi inicjałami.

Znajduję jeszcze dwa inne zdjęcia. Drewniany kościół z wysoką wieżą i fragment asfaltowej wstęgi, która dzieli las na dwoje. Tę drugą fotografię zrobiono z samochodu.

Robię zrzuty ekranu, jakby te zdjęcia mogły nagle zniknąć z przestrzeni. Chcę je zachować z zupełnie nieznanymi mi powodów.

Potrząsam głową. Sprawdzam, kiedy Roksana umieściła je w sieci, i weryfikuję z kalendarzem męża. I już wiem, że zostały zrobione przed ich wyjazdem do Niemiec.

Dalej przeszukuję terminarz Piotra. Krok po kroku, chcę sprawdzić, co jeszcze robił i z kim się spotykał w tym okresie. Odnajduję krótkie notatki na temat trzech spotkań z Ruteckim. Pierwsze dwa następują szybko po sobie, a trzecie – dopiero po trzech tygodniach.

Ale naprawdę zaskakuje mnie to, co jest zapisane kolejnego dnia.

„Godz. 12.00 – WL na miejscu”.

Jedyny wpis, w którym zamiast nazwiska pojawiają się inicjały.

Datę zaznaczam kółkiem na czerwono. I robię tak jeszcze raz po przejrzeniu zapisków z kilku następnych dni. Tym razem notatka brzmi: „16.15 spotkanie z WL – wyjazd”.

Te dwie niewiadome nie pozwalają mi swobodnie myśleć. Dzwonię więc do Dominiki Biskup i jestem przekonana, że odbierze. Tym razem jednak otrzymuję esemesa.

„Oddzwonię po 22.00, dobrze? Jestem w kinie”.

– Tak, jasne – mówię do siebie pod nosem i czuję, jak schodzi ze mnie powietrze.

Odpuszczam, bo jest bardziej niż pewne, że popadam w paranoję.

„Przepraszam. To może zaczekać. Dobrego wieczoru”, odpisuję.

Potrzebuję ciepłej, oczyszczającej kąpieli. Przygotowuję ją sobie, a potem schodzę na dół i kręcę się chwilę po opustoszałym mieszkaniu.

Kilka minut później ciepła woda zalewa mi uszy, fugi między płytkami rozmywają się i falują, gdy otwieram oczy pod wodą i wpatruję się w ścianę.

Przeciągam tę kąpiel, aż skóra marszczy mi się na dłoniach. Kiedy robi mi się chłodno, jedną stopą otwieram kran i dolewam gorącej wody.

I znowu daję się ponieść kojącemu szmerowi, ciepłu, które otula całe moje ciało. Nastraja mnie do pieszczot, których dawno nie zaznałam. Z mokrych dłoni krople spadają wprost na sutki. Masuję je delikatnie, wreszcie uciskam i wykręcam delikatnie, aż powiększą się i stwardnieją. Dopiero wtedy wsuwam dłoń między uda, które opieram o ścianki wanny, i okrężnymi ruchami masuję łechtaczkę.

Ciepło.

Tym razem to ciepło ma swoje źródło we mnie.

Odchylam głowę na rant wanny i przymykam powieki.

Świat wolno gaśnie, jak światła w kinie.

Teraz ja jestem całym światem, a świat jest we mnie.

Rozkosz mości się w brzuchu pod warstwą mięśni, jest ziarnem, które szybko wypuszcza pęd. Przez rozchylone usta nabieram tlenu, mój oddech lekko przyspiesza. Daję sobie czas, żeby rozrastające się nowe pędy muskały neurony, rozbiegły się po moim

ciele tylko po to, by w odpowiedniej chwili napiąć mięśnie, a następnie wprowadzić je w pulsujący rytm, niosący spełnienie. Przygryzam dolną wargę i ściągam brwi.

Jednak z głośnym dźwiękiem telefonu orgazm, który płynął w moją stronę, zmienia kurs i znika na horyzoncie.

Zawiedziona otwieram oczy.

Podnosząc się do siadu, rozkołysuję wodę, która z chlupotem uderza mnie najpierw w brzuch, a następnie w plecy. Wychodzę z wanny, woda spływa po ciele na kafelki.

Telefon wciąż dzwoni. Jest na półce obok lustra.

Zostawiam za sobą mokre ślady stóp.

Wycieram pospiesznie dłoń i zerkam na wyświetlacz.

Dominika Biskup.

– Dobry wieczór, nie przeszkadzam? – pyta.

– Nie.

– Chciała pani zapytać o coś w związku z terminarzem.

– Tak, to prawda, ale to może poczekać.

– Co panią interesuje?

Podaję dwie daty spotkań z pamięci i zapisane inicjały.

– Sekundkę – odpowiada i, jak rozumiem, chce zajrzeć do pliku lub wydruku. – Może mi dać pani chwilkę?

– Jasne. – Odkładam na chwilę aparat, żeby wytrzeć się szybko i włożyć szlafrok.

– A tak, teraz widzę. – Dociera do mnie głos Dominiki.

Ponownie przykładam słuchawkę do ucha.

– Pamięta pani, o kogo chodziło? – pytam.

– Chyba tak. Wydaje mi się, że to był ktoś z policji.

– Z policji? W jakiej sprawie?

– Tego nie wiem.

– Nie rozumiem.

– Pamiętam, że pani mąż uprzedził mnie, że ona przyjdzie.

– Ona?

– Tak, to była policjantka.

I wtedy wszystko staje się jasne.

– Lena Wolska? Podkomisarz Lena Wolska?

– Możliwe, że tak się właśnie nazywała.

– Krótkie włosy, zniszczona cera, mogła śmierdzieć papierosami – podpowiadam.

– A tak, to na pewno ona – potwierdza Dominika. – Ale czy coś się stało?

Obawiam się, że tak, ale tę myśl zachowuję dla siebie.

– Nie sądzę – kłamię. – A czy pamiętasz tamto spotkanie?

– Nie było mnie przy nim.

– Ale odbyło się w gabinecie męża?

– Tak mi się wydaje. Minęło już trochę czasu.

– Czy policjantka wyniosła coś od niego?

– Nie rozumiem.

– Pytam o dokumenty, Dominiko. Wydruk, a może dużą kopertę?

– Nie. Ale następnego dnia pani mąż poprosił mnie o zawieszenie jakichś materiałów do Komendy Miejskiej Policji i zaadresował tę przesyłkę na Wolską.

– Wiesz, co to było?

– Nie. Ale to mogły być dokumenty.

– Dziękuję ci, bardzo mi pomogłaś. – Rozłączam się szybko.

Zalewa mnie fala strachu. Odchodzę od zmysłów, bo już wiem, dlaczego Wolska zjawiała się u mnie po wypadku. Łączę fakty ze sobą i to potęguje mój lęk.

W tamtych dniach Rutecki dostarczył mojemu mężowi skrót reportażu o zaginięciu Wioli Raszyńskiej. A następnego dnia otrzymała go Lena Wolska.

I już tamtego dnia sidła wokół mnie zaczęły się zaciskać.

Mówi się, że cisza jest zwiastunem burzy.

U mnie trwa już od kilku dni, więc spodziewam się tornada z piekła rodem.

Na razie jednak słabe promienie słońca, niemal zupełnie pozbawione ciepła, wpadają przez kuchenne okno wprost na kosz z owocami, w którym pleśnieje mandarynka.

Wyrzucam ją i dokładnie myję resztę owoców.

Popakowałam część rzeczy w kuchni, zastawę, większe garnki, kieliszki, a także kilkanaście butelek wina z różnych stron świata i lekarstwa.

Dom przestaje być domem. Staje się jedynie miejscem pobytu, schronieniem na nocleg. Zainteresowani zakupem nieruchomości ludzie, małżeństwo w średnim wieku z nastoletnią, wycofaną córką, byli tu już dwukrotnie. On chciałby kupić to mieszkanie na pniu, ona chce negocjować, córka wychodzi na taras.

Nie zwracają na nią uwagi, więc nastolatka robi kilka kroków po płytkach i przystaje na miękkiej trawie.

Przysłuchuję się głupawej rozmowie dwojga dorosłych, ale nie odwracam wzroku od ładnej, milczącej dziewczyny. Dochodzi do balustrady, opiera się o nią, a następnie odwraca twarz w stronę wiatru, który targa jej włosy. Unosi je lekko, falują dostojnie jak flaga w kolorze mokrego piasku.

– To jak? – Męski głos przerywa mi kontemplację tego pięknego obrazu.

Oboje wpatrują się we mnie, a ja już po chwili znowu patrzę na nastolatkę. Widzę ją tak, jakby przedstawił ją Vermeer.

– Jak ma na imię państwa córka? – Nie mogę się powstrzymać od tego pytania.

– Violetta. – Kobieta zaspokaja moją ciekawość. – Przez v i dwa t.

– Wiola – powtarzam cicho i odwracam się do nich. – Ładnie.

Mężczyzna robi krok w stronę żony i obejmuje ją w pasie. Szatynka z dużymi okularami na nosie jest od niego niższa, więc kiedy na niego patrzy, unosi brodę.

– Zapytałem panią o cenę, bo nie ukrywam, że chcielibyśmy coś z niej urwać.

– Ile?

Dziewczyna na tarasie też unosi lekko brodę, wciąż patrzy w bok, a potem w naszą stronę i nagle włosy przysłaniają jej twarz. Odgarnia je ręką, ale to niewiele daje.

Odchodzi od balustrady.

Mąż patrzy na żonę, a ona prawie niezauważalnie kiwa głową. Dopiero wtedy decyduje się wypowiedzieć wcześniej ustaloną kwotę.

– Dwadzieścia pięć tysięcy złotych – mówi on.

– Zgoda – odpowiadam. – Ale pod jednym warunkiem.

Oboje zastanawiają się, co powiem, ale czekam na to, aż z tarasu wróci ich córka.

Kiedy przestępuje próg i zamyka przeszklone drzwi, wnosi ze sobą chłód powietrza, ale też ciepły uśmiech.

– Podoba ci się? – pyta jej matka.

Nastolatka nieśmiało kiwa głową.

– Wybrałaś sobie pokój na górze? – pytam.

– Nie.

– To wejdź tam i wybierz ten, który ci się najbardziej spodoba. – Wskazuję brodą na kręcone schody.

Czekamy, aż przejdzie przez pokój i zniknie nam z oczu na wyższej kondygnacji.

– Co to za warunek? – Mężczyzna poważnie, wsuwa drugą dłoń do kieszeni spodni i ściąga łopatki.

– W tym pokoju – wskazuję na pokój po Roksanie – nie będzie spało wasze dziecko.

– Dlaczego? – niepokoje się kobieta.

– Jest w nim za mało światła – odpowiadam, a oni nie wiedzą, czy to żart, więc uśmiech zastyga na ich twarzach powoli.

Wiola schodzi z góry. Jej kroki wybrzmiewają na schodach.

– I jak? – zwracam się do dziewczyny.

– Może ta jasna sypialnia – odpowiada cicho.

– To dobry wybór – chwalebę ją i przenoszę wzrok na uśmiechniętych rodziców. – Sprawa załatwiona.

I jeden ciężar spada mi z serca.

Wychodzą szczęśliwi.

Mamy jeszcze czas na formalności, ale liczę, że drobny zadatek, który zostawiają mi w gotówce, jest potwierdzeniem dokonania najlepszego wyboru.

Odcinam po kolei każdy balast, by uwolnić się i raz na zawsze uciec od przeszłości. Jedyłą kotwicą będzie firma Piotra, ale z niej planuję tylko czerpać zyski i rozliczać nowego prezesa z zadań.

Ogłoszenie w tej sprawie dziś pojawiło się w prasie, a kilku znajomych Piotra już zdążyło zadzwonić do mnie z prośbą o spotkanie. Odmówiłam, bo żaden z nich nie dostanie tej posady. Szukam zupełnie obcej osoby. Najchętniej kobiety. Silnej, władczej, wykształconej kobiety, która rozwinie ten biznes jeszcze lepiej niż mój mąż.

Wieczorem, spodziewam się tego, dzwoni Marcin Król, przyjaciel nieżyjącego męża, mój kochanek i ojciec dziecka rozwijającego się w moim łonie.

– Hej. – Nie ma w sobie radości, która do niedawna dodawała mi otuchy.

– Hej – odpowiadam i czekam na to, co ma do powiedzenia.

I trwa to jakiś czas. Wymieniamy oddechy, które szumią w słuchawkach.

– Źle to wszystko wyszło. – Zawiesza głos, jakby chciał, żebym mu pomogła, zaprzeczyła i dała sygnał do powrotu.

Nie robię tego.

Rozpoczęłam ucieczkę i nie zamierzam teraz wracać po mężczyznę, który zostawił mnie w szalupie w trakcie sztormu.

– Już za późno – ubiegam jego prośby.

Pewnie krąży po salonie z widokiem na Wisłę, a może stoi przy oknie i patrzy na lewobrzeżną część miasta okrytą czarnym lasem.

– Jesteś pewna?

To pytanie nie brzmi jak groźba. Jest w nim wyczuwalny żal, podszyty świadomością straty.

– A co z dzieckiem? – dopytuje.

– Fałszywy alarm. Dwa dni temu dostałam okres – kłamię.

Słyszę, jak wzdycha. Być może tak brzmi ulga.

– Wyprowadzam się z Torunia – dodaję, żeby dać mu jasny sygnał, że jest wolny.

– Dokąd?

– Jeszcze nie wiem. Załatwiam ostatnie sprawy i zamierzam zacząć wszystko od nowa.

– A z tym okresem to prawda? – woli się upewnić. – Nie jesteś w ciąży?

– Być może tak będzie dla wszystkich lepiej.

Nie odpowiada od razu.

– Powinniśmy się spotkać – proponuje, ale kto wie, czy to rozwiązanie nie jest dla niego najlepsze.

Nie wiem, jakim mógłby być ojcem, ale wydaje mi się, że ta rola nie jest mu pisana.

– Tak, ale na razie potrzebuję czasu – proszę.

– Zadzwonisz? – upewnia się.

– Tak. Zadzwonię – kłamię i się rozłączam, żeby nie dać mu szansy rozmowy o wykupieniu firmy mojego męża. Nie mam

złudzeń, że tylko dlatego wybrał mój numer. Właśnie dziś, tego dnia, kiedy ogłaszam nabór na stanowisko prezesa.

Ogiński milczy.

Ostatni raz odezwał się do mnie w dniu, w którym dojechał do Pasowca. Przesłał mi zdjęcie, na którym pali fajkę przy zielonej tablicy z nazwą wsi. Nie ukrywam, że przeszedł mnie dreszcz.

Od razu zadzwoniłam do matki.

– Co z tą Wiolą? – pytam, kiedy już wyczerpałyśmy bieżące tematy.

– W jakim sensie?

– Czy znowu ktoś ją widział?

– Widział? Gdzie?

– Ostatnio mówiłaś, że stała przy sklepie.

– Aaaa, tak – przypomina sobie. – Ale już ucichło. Wszystko ucichło.

W wyobraźni widzę, jak zrezygnowana macha ręką.

– Jak często ktoś z obcych pojawia się tam i szuka informacji o Wioli albo o mnie? – zadaję kolejne pytanie.

– O tobie? – niepokoi się.

Mimo wieku wciąż jest czujna. Jak to matka.

– To się zdarza?

– Rzadko. Raczej pytają o Wiołę.

– A kiedy był ktoś w tej sprawie u ciebie?

– Hmm... – Zbiera myśli. – Latem jakoś. Albo raczej pod koniec lata, może już we wrześniu.

– Pamiętasz, kto to był?

– Ten dziennikarz. Z tego programu, co leciał w telewizji.

– Z warkoczykiem na brodzie?

– Tak, właśnie on. A ty go znasz? Kontaktował się z tobą?

A więc Rutecki mnie okłamał. Nie dziwi mnie to.

– Nie – odpowiadam. – Widziałam jego zdjęcie w internecie, było przy artykule, który napisał.

– No tak, w internecie. Teraz wszystko w internecie.

– A czego chciał? – Swędzi mnie skóra na przedramieniu, więc muszę się podrapać.

– Właściwie to nie pytał o ciebie, tylko o Wiołę.

– O co konkretnie?

– Czy wierzę w to, że ona żyje.

– A wierzysz?

Cisza.

– Mamo, wierzysz w to?

– Sama już nie wiem. – W jej głosie brzmi rezygnacja.

Milczymy przez jakiś czas, ale w końcu zbieram się na odwagę.

– A ktoś jeszcze był?

– Nie. Ale co tak wypytujesz? Stało się coś?

– Podobno we wrześniu pojawił się tam Piotr z Roksaną.

Matka milczy.

– Przyjechał do Pasowca? – nie dowierza.

– Nie przyszli do ciebie? – Chcę się upewnić.

– A niby jak? Skąd mieliby wiedzieć, gdzie mieszkam?

Wciąż mam przed oczami zdjęcie domu w Pasowcu zamieszczone na profilu Roksanę na Instagramie.

– Nie wiem – kłamię.

– Skąd się dowiedzieli?

– Też się nad tym zastanawiam.

– A ty? – pyta matka.

– Co ja?

– Skąd wiesz o ich wizycie?

– Z internetu – odpowiadam enigmatycznie i od razu przechodzę do innej kwestii. – Podobno policjanci z Archiwum X mają się wkrótce zabrać za tę sprawę.

– Archiwum X? Co to takiego?

– Eksperci policyjni, którzy wracają do starych, nierozwiązanych spraw.

– Aha.

– I jestem przekonana, że jeden z nich już tam jest – kłamię, bo mam na myśli Ogińskiego. – I dlatego, tak sobie myślę, byłoby lepiej, żebyś z nikim nie rozmawiała.

– Skąd o tym wiesz? Też z internetu? – próbuje się dowiedzieć.

– Tak.

„Wszystko w tym internecie”, głos matki rezonuje w mojej głowie, chociaż ona nie wypowiada tych słów.

– Dlaczego do tego wracają? Mają jakieś nowe tropy? – interesuje się.

– Nie wiem, ale nie można wykluczyć. Lepiej, żebyś z nimi nie rozmawiała – powtarzam.

– Dobrze. Może i racja. – Odkłada słuchawkę.

Przypominam sobie tę rozmowę i wysyłam esemesa do Ogińskiego.

„Co w Pasowcu?”

Ale moje pytanie wciąż wisi, a odpowiedź nie nadchodzi.

Były policjant nie odbiera też telefonów.

Zastanawiam się, czy wrócił już do Torunia, a żeby to sprawdzić, próbuję zamówić taksówkę, podając jego namiary.

– Tak, wciąż jeszcze jest na mieście. – Dyspozytorka odpowiada wyraźnie zmęczona. – Wysłać go do pani pod ten sam adres co zawsze?

– Tak, będę wdzięczna.

Po kilkunastu minutach przychodzi esemes. Samochód czeka na mnie, ale już wiem, że to nie jest wóz Ogińskiego. A mimo to wsiadam do tej taksówki i jedziemy do centrum. Dzień szybko gaśnie w szarościach.

– Dokąd konkretnie? – pyta młody mężczyzna w puchowej kamizelce i grubym swetrze.

– Na postój taksówek.

– Ale który? – Uśmiecha się.
– Nie wiem.
– Obojętnie na który? – dopytuje.
– Nie, ten, gdzie znajdę Jana Ogińskiego. Tylko niech pan go nie wywołuje przez CB-radio. Proszę to zrobić dyskretnie.
– Ginia? – upewnia się. – Tak go nazywamy. Dla nas to „Giniu”.
– Zna go pan?
– No pewnie. Staliśmy dziś razem na Żółkiewskiego przy galerii.
– Gdzie może być teraz? – zastanawiam się.
– Nie mam tu szklanej kuli, ale się dowiem – żartuje mężczyzna, po czym łączy się z dyspozytornią i szybko uzyskuje niezbędne informacje. – Giniu jest w pobliżu – rzuca, kiedy skręcamy w stronę dworca.

Wspinamy się pod niewielkie wzniesienie w kierunku frontowej ściany budynku z żółtej cegły, zwieńczonej niebieskim neonem „Toruń Główny”.

Ogiński w niezapiętej kurtce opiera się o bok samochodu i pali fajkę.

Taksówkarz, z którym jadę, dojeżdża na sam koniec drogi i tuż przed wejściem do dworca nawraca. Zatrzymuje się dopiero przy byłym policjancie.

Mam już przygotowany banknot. Podaję go kierowcy i nie chcę reszty.

Ogiński nachyla się do wnętrza taksówki i przygląda mi się uważnie.

Wysiadam i zapinam płaszcz, a samochód niemal od razu odjeżdża.

Wieczór jest mroźny, pomarańczowe światła oświetlają peron pierwszy i drugi, za którymi rozciąga się długi i wysoki ceglany mur starego fortu i zabudowań zakładu produkującego sery.

Gdy spoglądam Ogińskiemu w oczy, spikerka zapowiada przyjazd pociągu.

– Dlaczego się do mnie nie odzywasz? – Boję się tego, co usłyszę.

Pyka fajkę, kłąb dymu ucieka z jego ust, a do mnie dolatuje woń wiśniowego tytoniu.

– Bo zawiodłem.

– Zawiodłeś?

– Niczego się nie dowiedziałem – mówi. – Sprawa jest dla mnie zamknięta.

Unoszę ze zdziwienia brwi, a moje wnętrze, w którym dudni serce, powoli przestaje się trząść.

– Nic a nic? – wolę się upewnić.

– Steku bzdur i teorii spiskowych nie liczę.

– A materiały ze śledztwa?

– Przejrzałem. – Znowu pyka fajką. – Poza tymi, które masz na komputerze, reszta nie wnosi niczego nowego. Rutecki wykonał dobrą robotę.

Gapię się na wybrukowany plac przed frontową elewacją, na kobietę, która drepcze wokół dużej torby.

– Szkoda. A moją matkę widziałeś?

– Nie. Twoją matkę i matkę Wioli zostawiłem w spokoju. Nie sądzę, by miały ochotę zwierzać się obcemu człowiekowi.

– Pewnie masz rację.

– Dlatego dla mnie to koniec tej historii.

– Koniec? – pytam w chwili, gdy rozlega się pisk hamulców.

Nowoczesny pociąg zatrzymuje się niedaleko nas. Wysypują się z niego ludzie.

– W takim razie może odwieziesz mnie do domu, ten ostatni raz?

Unosi fajkę.

– Nie będzie ci przeszkadzała?

– Nie.

Sięga do kieszeni po kluczyki, a następnie otwiera mi tylne drzwi.

Ostatnia podróż z Ogińskim trwa niespełna dziesięć minut. Chcę mu zapłacić, ale nie przyjmuje pieniędzy.

– Dziękuję ci za pomoc. – Stawiam szpilki na asfalcie przed ogrodzeniem apartamentowca.

– W niczym tak naprawdę ci nie pomogłem. Być może tylko niepotrzebnie rozbudziłem nadzieję na rozwiązanie tej sprawy. –
Odwraca się przez ramię.

Czekam na dalszy ciąg.

– Widocznie wypadłem już z obiegu, zawiódł mnie instynkt. –
Spuszcza wzrok.

Wydaje się smutny, nie znajduję jednak odpowiednich słów pocieszenia.

– Wystarczyło mi twoje zaangażowanie – dodaję na koniec. – Do
zobaczenia.

– Zostaw to – radzi. – Niczego więcej już się nie dowiesz, więc
lepiej żyj swoim życiem, wyprowadź się i zacznij wszystko od nowa.
Bo przecież tego chcesz, prawda?

Potakuję.

– Do zobaczenia – mówi i wsuwa fajkę do ust.

A kiedy zatraskuję drzwi, odjeżdża spokojnie, zostawiając słodki
smród spalin.

Stoję i patrzę, jak włącza się do ruchu.

– Pani Anno... – Kobięcy głos zza pleców budzi nagły lęk.

Odwracam się gwałtownie.

Lena Wolska wchodzi w krąg światła ulicznej lampy.

– Niech się pani nie boi. – Wydmuchuje chmurę siwego dymu,
która znika z powiewem wiatru. – Chciałam tylko porozmawiać.

Rzuca peta pod nogi i rozgniata obcasem trzewika.

DAWNO TEMU

Zanim matka wyprawi mnie nocą w daleką podróż do nieznanego świata, śni mi się Wiola.

Wiola, która płacze i przeprasza mnie za nieszczerą przyjaźń, za gościa na motocyklu, który okazuje się jej kuzynem, i wreszcie za to, że mnie wykorzystała. Że uśpiła moją czujność i wrobiła mnie w swoje zaginięcie, a nawet w śmierć. Policja odnajduje przecież moją zakrwawioną latarkę, na której zostawiłam ślad linii papilarnych. Jestem ostatnią osobą, którą spotkała, zanim zniknęła bez śladu.

Mówi mi to w trakcie odwiedzin, bo siedzę w żeńskim więzieniu o zaostrowym rygorze. Przychodzi tu często i chociaż zupełnie nie wygląda jak Wiola, bo wciąż się ukrywa, to niewątpliwie nią jest, ja to po prostu wiem. To ona.

Więc siedzę za kratkami za niezawinione krzywdy, za zabójstwo dziewczyny, która zagrała wszystkim na nosie, a teraz ma czelność przyłazić tutaj i mnie przepraszać.

Rzucam się na nią, jak wtedy w szałasie, ale szybko zostaję obezwładniona przez silne ramiona dwóch klawiszy. Drę się wniebogłose, krzyczę, że to Wiola, że przez nią to wszystko, ale kneblują mi usta, a dawna przyjaciółka zabiera torebkę i przestraszona znika z sali widzeń.

Kiedy matka budzi mnie do ucieczki, sen spływa z powiek i już go nie pamiętam.

Wiem tylko, że jest odzwierciedleniem buntu.

Złość kipi we mnie nie mniejszą mocą niż strach.

Uciekam, bo w prawdę, którą mam do powiedzenia o Wioli, nikt nie wierzy, bo oblepiają mnie oskarżycielskie spojrzenia. Widzę opuszki palców wyciągniętych w moją stronę. Oni wszyscy już dawno wydali na mnie wyrok.

Uciekam więc, w trosce nie tylko o siebie, lecz także o matkę.

Może dzięki temu dadzą nam spokój.

TERAZ

Nie zdejmuję ani butów, ani płaszcza, wchodzę prosto do kuchni i siadam na hokerze. Przyniosłam ze sobą zimno, które gnieździ się we mnie.

Wolska podpira ścianę ramieniem tam, gdzie zaczynają się kuchenne kafle.

– Nie chce pani usiąść?

Odmawia, a ja nie proponuję ani kawy, ani herbaty. Nie dlatego, że nie chcę, po prostu zapominam o dobrych manierach.

Stres sprawia, że czuję się pokonana, i pewnie ta klęska jest wypisana na mojej twarzy, w ciężących ku dołowi kącikach ust, w zgarbionej postawie i zwieszonych ramionach.

Czekam, aż zacznie. Zmuszam się, żeby na nią spojrzeć.

– Coś się stało? – pyta.

Kręcę przecząco głową.

– Od dawna znacie się z Ogińskim?

– A jakie to ma znaczenie?

– Żadne. Przepraszam – mówi. – Był policjantem.

– Był – potwierdzam, chociaż to nie ma sensu.

– Bardzo dobrym policjantem. Wiele o nim słyszałam.

Nie rozumiem, po co mi to mówi.

– Co tym razem panią sprowadza? – odzywam się, bo chciałabym mieć tę rozmowę z głowy.

Wolska się rozgląda.

– Wyprowadza się pani?

- Tak.
- Można wiedzieć dokąd?
- Sama nie wiem. Czuję, że muszę stąd wyjechać.
- Boję się, że dostrzeże łzy wzbierające w oczach.
- Przeszłości czasami trzeba stawić czoło – mówi jak moja matka.
- Inaczej nie pozwoli nam uciec. Przeszłość jest jak kotwica.
- Wzdrygam się na dźwięk tego słowa. Odnoszę wrażenie, jakby Wolska знаła mnie na wylot. Jakby słyszała moje myśli.
- A czy pani pozwoli mi uciec od siebie? – Moje pytanie wybrzmiewa, ale natychmiast zaczynam żałować, że w ogóle padło.
- Bo brzmi jak żalosna prośba, podszyta przyznaniem się do wszystkich win. Ale już mi nie zależy.
- Uważnie mi się przygląda. Nawet nie wiem, kiedy sięga po papierosa, żeby przesunąć go między pacami.
- Znaleźliśmy dziś ciało Ireny Sowińskiej – mówi.

TERAZ

Szum opon i silnika, świst porywów wiatru.

Silne podmuchy szarpia samochodem, gdy wyjeżdżam z za wysokich ekranów autostradowych. Mocno zaciskam dłonie na kierownicy.

Brzask kładzie miękkie światło na rozległą równinę, nieliczne domy, rozrzucone między kwartałami brunatnych pól, przedzielone gdzieniegdzie kępami drzew. Daleko przede mną blade niebo łączy się z ziemią.

Kiedy zbliżam się do zjazdu na Kutno, szeroka droga, rozdzielona niską barierą, jest zupełnie pusta. Przede mną jeszcze kilka godzin jazdy na południe.

Jestem zmęczona i czasami ziewam.

Bezsenna noc odbija się we mnie jak w lustrze.

Powracam myślami do wczorajszego wieczoru, chłonę na nowo każde słowo Leny Wolskiej.

Pamiętam, jak usiadła naprzeciwko mnie, na drugim hokerze, i byłam pewna, że musiała widzieć strach w moich oczach.

– Odebrała sobie życie – mówi.

– Jak to?

Nic nie czuję. Powinnam jakoś zareagować, poczuć smutek lub satysfakcję, ale nie czuję zupełnie nic.

Wolska nabiera powietrza.

– Tak bywa – odpowiada.

– Ale jak to się stało?

– Powiesiła się.
– Gdzie?
– W altanie na działkach przy średnicówce.
– Nikt tej altany wcześniej nie sprawdził? – Trudno mi w to wszystko uwierzyć.

– Mąż sprawdził, a ponieważ niczego nie znalazł, już tam nie zaglądali. Sowińska musiała zdawać sobie sprawę z tego, że będą jej tam szukali. Prawdopodobnie ukryła się gdzieś i zaczekała. A dziś rano odnalazł ją syn – dodaje z wyraźnym smutkiem.

– Zostawiła list pożegnalny?
– Tak, ale nie mogę zdradzić jego treści. Jest osobisty, skierowany głównie do tego chłopca.

Żal mi go.

Oboje w podobnym wieku straciliśmy matki. On na zawsze, ja tylko w pewnym sensie, ale rana nie zasklepiła się do dziś. Wiem, co teraz czuje, jak rodzi się w nim niezgoda na tak niesprawiedliwe rozdanie losu. Jak bezsilnie wścieka się na brak odpowiedzi na najważniejsze z pytań: „Dlaczego?”. List i to, co w nim napisane, być może każą mu to pytanie zadawać jeszcze głośniej. Wykrzykiwać je do utraty tchu.

Wolska nadal bawi się papierosem.

Mam wrażenie, że postarzała się jeszcze bardziej. Krótkie włosy odsłaniają czoło z bruzdami zmarszczek.

– Ale jest coś jeszcze – dodaje po chwili milczenia.

Spinam się.

– Okazuje się, że Sowińska od trzech lat ukrywała cukrzycę.

Informacja dociera do mnie na raty.

– Ukrywała? W jakim sensie?

– W dwóch dokumentacjach medycznych, u lekarza pierwszego kontaktu i w przychodni medycyny pracy, znaleźliśmy znacząco różne wyniki krwi. To każe nam przypuszczać, że podczas badań okresowych ze skierowaniem do laboratorium wchodziła osoba z kręgu jej rodziny lub znajoma.

– Jak to możliwe?

– Och... – Uśmiecha się ze smutkiem. – To banalnie proste. Spędziłam dwa dni w takiej przychodni i wiem, że bez trudu można wykręcić taki numer. Dowód i skierowanie z zakładu pracy pokazuje się jedynie w rejestracji. I tak zapewne zrobiła Sowińska. Zarejestrowała się na badanie, a potem kwity przekazała znajomej, która stanęła w kolejce do laboratorium. Tam nikt już nie weryfikuje tożsamości, tylko pobiera krew z żyły. Koniec, kropka.

– Dlaczego to zrobiła? – Staram się podtrzymać tę rozmowę.

– Cukrzyca wykluczyłaby ją z zawodu. Straciłaby pracę, a wraz z mężem spłacali kredyt na działkę budowlaną kupioną dla młodszego syna.

– Ale gdyby tak było, wtedy, w nocy, kiedy nie spuściła szlabanów, nie ocknęłaby się sama, prawda? Śpiączka cukrzycowa to nie drzemka.

– Być może to było krótkie omdlenie z niewyjaśnionych przyczyn. Trudno to teraz stwierdzić, ale więcej odpowiedzi uzyskamy po sekcji zwłok.

Ma rację.

– Jak na to wpadliście? – Staram się, żeby to pytanie było naturalną konsekwencją dyskusji.

– Na tę podmianę w laboratorium? – Wolska ma na twarzy grymas, który tylko przypomina uśmiech. – Przed odebraniem sobie życia Sowińska wysłała mi blister leku.

Nic nie mówię, trudno mi przełknąć ślinę.

Wolska odkleja wzrok od papierosa i patrzy mi w oczy.

– Ale to się nie trzyma kupy – mówi.

– Dlaczego?

– Bo Sowińska nie wiedziała, kto będzie zajmował się jej zaginięciem. Przecież w ogóle mnie nie знаła. Poza tym zdjęliśmy z koperty odbitki linii papilarnych. Żadne z nich nie zgadzają się z odbitkami należącymi do Sowińskiej.

Kiwam głową i rozumiem, do czego zmierza.

– To ja – przyznaję się natychmiast, zanim padnie oskarżenie.

– Wiem – mówi. – Ale dlaczego pani to zrobiła?

Wyjaśniam jej zawiłe to, czego sama nie umiem sobie wytłumaczyć. Mówię o przypadku, o dorobieniu kluczy, o niewytłumaczalnym pragnieniu poznania miejsca, w którym żyła Sowińska, o wystawaniu pod jej domem, budką strażniczą, o przyglądaniu się jej życiu i odprowadzaniu wzrokiem, gdy wychodziła z bloku z psem.

To jakiś obłąd, myślę sobie i po chwili powtarzam to głośno.

– To jakiś obłąd! – Brzmi to jak krzyk samotności.

I nie jest niczym więcej.

Jestem sama.

Jestem osamotniona.

Dlatego mój krzyk długo rezonuje w ciszy mieszkania.

A potem opowiadam o mojej przeszłości, sięgam do Pasowca, z którego wyciągam brudy jak z kosza do prania. Jest w nim wszystko, co tkwi we mnie podskórnym, co rani i wciąż boli. Jest Piotr, który płaci Ruteckiemu za odkrywanie warstwa po warstwie mojej przeszłości, ukrytej jak szałas na wzgórzu w lesie.

Potok słów zamienia się w powódź, która kończy się otarciem łez.

W oczach Wolskiej nie widzę zrozumienia, ale też mnie nie potępia. O ile milczenie nie jest potępieniem.

– Co teraz? – zastanawiam się, gdy zbyt długo trwamy bez słów.

– W sprawie Sowińskiej? – Wolska przekrzywia głowę. – Nic.

– Nic?

Kręci głową i oblizuje matowe, spierzchnięte wargi. Poprawia włosy z siwymi odrostami.

– Dziękuję – mówi i od razu dodaje: – Nie zdejmowaliśmy żadnych odbitek linii papilarnych z koperty. A blister sprawił, że sięgnęliśmy do dokumentacji medycznej dróżniczki. Przydała nam się pani pomoc.

– A co w sprawie Pasowca?

Wolska wstaje z hokera i sięga po zapalniczkę.

– Tym zajmuje się już zespół do spraw niewykrytych z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie.

– Nie rozumiem.

– Sprawa wróciła do kolegów z Archiwum X. Mnie ona zupełnie nie interesuje – dodaje i kieruje się do drzwi.

Cicho znika z mojego życia, a ja czuję, że w przedziwny sposób będzie mi jej brakowało.

W nocy niezliczoną ilość razy przekręcam się w łóżku.

Przed północą dzwoni matka.

Zrywam się do głośno wyjącego telefonu.

– Córkuś – mówi drżącym głosem. – Wiola...

– Tak? – pytam zaniepokojona i już wiem, że tej nocy sen nie wróci.

– Wiola tu jest – szepcze. – Przyszła do mnie.

Droga ucieka spod kół znacznie wolniej niż kilkadziesiąt minut temu.

Od Piotrkowa do samej Częstochowy ciągnie się jeden wielki plac budowy. Snuję się za ciężarówką. Jeden pas, coraz więcej samochodów.

Zatrzymuję się na stacji, korzystam z toalety i biorę drugą tego ranka kawę. Zgłodniałam, więc wybieram bajgla z kozim serem, burakiem, orzechami włoskimi i rukolą oraz odrobiną miodu. Zjadam go w pobliżu zaparkowanego mini, przyglądając się samochodom jadącym wolno w jedną i drugą stronę. Miarowy szum narasta z każdym pojazdem, po czym na chwilę cichnie. I tak w kółko.

Dalsza trasa usłana jest kłębowiskiem myśli, nawracających sytuacji, zdarzeń i obrazów.

Sama nie wiem, kiedy mój samochód wspina się na zalesione wzgórze. Przystaję na samym szczycie, zatrzymuję wóz na poboczu, włączam awaryjne.

Wysiadam z samochodu na trzęsących się nogach.

W pięknej, oświetlonej słońcem dolinie Pasowiec się rozrasta, anektuje dawne pola, rozsiewa domy, nad którymi wciąż góruje krzyż ze szczytu drewnianej wieży.

Widzę dach odnowionego sklepu, który przesłania mój dom. Spoglądam na prawo, na oddalony budynek szkoły z nowoczesnym boiskiem, na stary cmentarz, skąpany w cieniu wysokich topól.

Staję na skraju jezdni i się rozglądam.

Nic nie jedzie, więc przecinam ją na skos i wchodzę w las.

Krok za krokiem idę śladami przeszłości w wiadomą stronę, tam gdzie nie ma już naszego szałas. A jednak muszę tam pójść.

Trwa to chwilę, ale odnajduję zagłębienie terenu, obrośnięte wysokimi krzewami. Już nie widzę tego, co znajduje się za ich kolczastym kręgiem, i nie zamierzam się tam dostać. Obchodzę to miejsce dookoła i nagle przy dawnym przejściu do naszej Budy trafiam na coś, co sprawia, że natychmiast przystaję.

Znicz.

Pojedynczy szklany lampion, ustawiony bezpiecznie w ceramicznej doniczce. Pełga w nim ogień, a jego cień tańczy na ścianie naczynia. Stearyna jest wypalona niemal w całości.

Zaskoczona rozglądam się po pustym lesie.

Robię zdjęcie i wracam do samochodu.

Gnałam tu z myślą, że szybko zobaczę się z matką, ale teraz czuję, że chcę odwlec ten moment.

Skręcam na cmentarz i odwiedzam grób ojca.

I mój ojciec wraca do mnie we wspomnieniach. Silne przedramiona, dłuższe włosy opadające na czoło. Uśmiech i ten zapach jego skóry, który wciąż pamiętam. Ten sam, który na długo został po nim na jego poduszce, zabranej przez mnie do pokoju i tulonej, kiedy mi go brakowało.

Po cmentarzu kręci się kilka osób, ktoś nabiera wody do konewki, ktoś inny grabi teren wokół grobu. Starsza kobieta myje pomnik, przyklękając na granitowej płycie.

Przechadzam się między alejkami i próbuję odnaleźć grób babki Wioli. Rutecki pisał w którymś z tekstów, że kilka lat temu rodzice Wioli wystąpili o uznanie córki za zmarłą i przygotowali pamiątkową płytę na rodzinnym grobie.

Błądzą więc po cmentarzu, gubię się w kwaterach, ale w końcu trafiam na odpowiednią ścieżkę. Poznają ją po narożnym pomniku z rzeźbą orła, zapadniętym nieco i zaniedbanym, porośniętym mchem.

Kilka grobów dalej, tuż przy wysokim drzewie, którego korzenie wyrzuszają kostkę brukową, natrafiam na ten właściwy i moją uwagę od razu przykuwa owalne zdjęcie Wioli. Jest wykonane w sepii, przyklejone do czarnej płyty granitowej. Zapamiętałam ją w kolorze, z blond włosami i błyskiem w oczach, z uśmiechem, który kiedyś wydawał mi się szczery.

A przecież to tylko maska.

Nie modlę się, bo nie umiem.

Chcę z nią porozmawiać, ale za każdym razem, kiedy przywołuję ją w myślach, odchodzi obrażona.

Zamiast poczucia ulgi ponownie przygniatają mnie własne grzechy. I wynoszę z cmentarza wszystkie winy, zdając sobie sprawę, że w tym grobie od kilku lat spoczywa jej ojciec.

Być może dlatego bezwiednie wsiadam w samochód i zatrzymuję się pod domem Wioli.

Słońce chowa się za chmurami. Szarość zstępuje na Pasowiec, a mój dawny świat wygląda w niej znacznie gorzej. Ładny dom Raszyńskich postarzał się znacznie. Szary brud znaczy elewację zaciekami, wypłowiwały dach nie błyszczy jak dawniej, ogród żyje własnym życiem. Nikt nie kosi trawy, która sterczy kępkami między wysuszonymi plackami ziemi. Gdzieniegdzie widzę krecie kopce. Ogrodzenie pordzewiało i brązowa farba łuszczy się, odsłaniając starą zieloną emalię, którą pamiętam z dzieciństwa.

Sięgam po telefon i spoglądam na zdjęcie z lasu. Na znicz, który płonie żółtym ogniem. A potem wracam do niedawnej wizyty na

cmentarzu i spoglądam na podobnie wypalone lampiony, z tą samą, niewielką już ilością białej stearyny.

I to tylko potwierdza moje najgorsze przypuszczenia.

Zamiast wysiąść z samochodu, dzwonię do Ogińskiego.

– Tak?

Słyszę, że w tle towarzyszy mu szum miasta.

– Wiem już wszystko – stwierdzam.

Jestem pewna, że przystaje nagle, zatrzymuje się zaskoczony. Widzę go tak, jakbym stała przy nim.

– Skąd wiesz? – zadaje mi pytanie, którego się spodziewam i które dowodzi, że on tę wiedzę ma od dawna, ale nie chciał się nią dzielić.

– Zrozumiałam to już wcześniej, ale dziś wszystko się potwierdza – mówię. – Jestem w Pasowcu.

Milczymy oboje. Spoglądam daleko przed siebie. Gonię wzrokiem wrony, które krążą nad wsią.

– Powinnaś wrócić – dodaje. – Odpuść sobie.

A ja tylko kiwam głową, bo żadne słowa nie przecisną się przez gardło.

Rozłączam się i wyciszam telefon, odkładam go na drugi fotel.

Spoglądam w bok, na odrapane z lakieru drzwi domu matki Wioli, i wiem, że czeka mnie najtrudniejsza w życiu konfrontacja.

Łapię oddech, wyciszam się, przymykając oczy.

W końcu wysiadam z samochodu na ziab, okrywam się połami płaszcza i naciskam domofon.

Ruch firranki w oknie, trzask w głośniku.

– Halo?

– Dzień dobry – odzywam się i podaję moje dawne imię i nazwisko, które sprawia, że między nami zapada cisza.

– Boże, to naprawdę ty?

– Tak.

– Minęło tyle lat.

– Wiem. – Patrzę na niewielką metalową skrzynkę domofonu, a czuję się tak, jakbym patrzyła matce Wioli w oczy.

– Dlaczego przyjechałaś?

Milczę.

– Dlaczego to robisz? Po tylu latach? – pada kolejne pytanie.

– Chciałam porozmawiać. – Nie wiem, czy to wystarczający powód, nie wiem też, o czym mamy rozmawiać.

Nie wiem, po co w ogóle się tu zatrzymałam, powinnam wrócić do Torunia. Ale to silniejsze ode mnie.

– Teraz? Dzisiaj? – W tych słowach zamiast zaskoczenia wyczuwam głęboki żal. – Przez tyle lat uciekałaś i siedziałaś cicho, a dziś chcesz ze mną porozmawiać? Boże jedyny, o czym?

– Chciałabym powiedzieć prawdę. – Po tych słowach zimne dłonie zaciskają się na moich płucach.

Brakuje mi tchu, nie mogę przełknąć śliny.

Boję się tego, co będzie, bo prawda w takich sytuacjach nigdy nie jest łaskawa. Ma w sobie starotestamentowy gniew Boga.

Ale czas stawić jej czoła.

Cała drzę.

– Prawdę? – pyta matka zaginionej przed laty nastolatki, a w tym pytaniu zawiera się cały ból kogoś, kto stracił wszystko.

Nie chcę by i ona, jak jej mąż, umarła bez wiedzy o tym, co się stało z jej dzieckiem tamtej nocy w lesie.

Tylko czy z tą wiedzą da się żyć?

Rozlega się elektryczne bzyczenie.

Pcham furtkę, która jęczy żałośnie.

I już płynę w otwarte, ale wciąż jeszcze spokojne morze, nad którym zbierają się czarne chmury.

Ale nie jestem statkiem ratunkowym.

Jestem wiatrem, który niesie sztorm.

TERAZ

Matkę Wioli zostawiam płaczącą w fotelu, zgarbioną i zrezygnowaną. Prawda nie zawsze wyzwala, częściej ma niszczącą moc.

Być może nie wie nawet, kiedy wychodzę z jej domu, od lat okrytego żałobą.

Ale zyskuję od niej przynajmniej jedną informację. Wiola zakochała się w wuefiście, to z nim uprawiała seks w szałasie. Opowiedziała o tym matce, a ta mężowi, który wpadł w furję. W gniewie uderzył ją i zamknął w pokoju, z którego wychodziła przez balkon i wracała tą sama drogą, wspinając się po balustradzie przy tarasie. W końcu uznała, że musi uciec z domu.

Nie wiem, w jaki sposób podjeżdżam samochodem pod mój dom rodzinny. Nie pamiętam niczego z tej krótkiej drogi. Niewiele pamiętam z kolejnej rozmowy z Ogińskim, w trakcie której przekazałam mu tę rewelację.

– Odkryłem to w papierach, ale nie było sensu ci o tym mówić. Wuefista był poza podejrzeniem. Jego alibi zostało dwukrotnie zweryfikowane, było nie do podważenia. Tamtej nocy, gdy zabito Wiołę, spał po operacji rzepki kolanowej w szpitalu. Przyznał się do zdrady małżeńskiej i do seksu z piętnastolatką za jej zgodą.

– A wiesz, kto nie miał alibi na tę noc? – pytam.

– Być może – odpowiada i rozłącza się po chwili.

Pochylam się nad kierownicą, na którą skapują z mojej brody słone krople.

Kątem oka dostrzegam ruch, a potem już wiem, że matka stoi w progu.

Otwiera usta i kręci z niedowierzaniem głową.

Palce obu dłoni przykłada do twarzy.

Jestem przekonana, że ją zawiodłam, i dlatego chciałabym paść na kolana i ją przeprosić.

Patrzymy na siebie, po raz pierwszy od dawna. Postarzała się, zgarbiła, zmarszczki żłobią jej twarz.

I wiemy już obie, że prawda o letniej nocy sprzed wielu lat nas zabije.

Dlatego wciąż boimy się nią podzielić.

EPILOG

Idę.

Mroźna noc tuli miasto do snu.

Wspomnienia wracają powoli, wyłaniają się jak zza mgły.

Urwane słowa, zamazane obrazy.

Nie zarejestrowałam w pamięci tej chwili, gdy weszłam do domu. Nie wiem, co działo się potem. Niewykluczone, że towarzyszyła nam głęboka cisza, zwiastun wszystkich nieszczęść.

Pamięć powraca dopiero pod wieczór, gdy robi się ciemno.

Siedzę razem z matką w moim pokoju na łóżku.

Obejmuję ją, a ona opiera głowę na moim ramieniu.

Zaczyna nieskładnie mówić, nic z tej lawiny sylab nie rozumiem. Wyrzuca z siebie półsłowa, bo szarpie nią szloch. A potem już tylko płacze. Jęk, który uwalnia się z jej gardła, rani mnie głęboko.

I krwawimy już obie.

Czuję wilgoć na policzkach. Chciałabym zamknąć oczy, ale wiem, że to niemożliwe.

Bo między mnie, matkę i noc wciska się nastoletnia Wiola. Świetlista postać szczupłej nastolatki. Ta sama, która nawiedza moją matkę.

Ma dla mnie uśmiech, który gaśnie bardzo powoli, a kiedy zniknie zupełnie, zjawia zada pytanie:

– Dlaczego?

Patrzy na nas obie.

Znamy odpowiedź, ale milczymy solidarnie.

Wiola opuszcza nasz krąg objęć i w tej samej chwili dopada mnie dotkliwy chłód, lodowaty powiew na skórze.

Moja przyjaciółka odsuwa się, plecami do nas, ale nie przestaje zadawać tego samego pytania. Kieruje się do okna, tego, którym kiedyś sama uciekałam. Przenika przez ścianę i złotawa poświata gaśnie.

Szloch matki rozrywa serce.

Zapadam się w ramiona obłądu.

Tak to zapamiętałam.

A teraz idę.

Puste ulice, czarne okna w blokach, nieliczne światła, za to liczne gwiazdy.

Samochód stoi daleko stąd, w pobliżu skrzyżowania, na drodze prowadzącej do wysypiska śmieci. Kałuże zamieniły się w tafle lodu. Szron skrzy się na chodniku.

Z daleka, jak jeszcze niedawno, wpatruję się w budkę dróżnika. Przez ulotną chwilę mam wrażenie, że mężczyzna mnie dostrzega, ale nie wiem, czy to nie jest wina mojego obłądu, mojej paranoi.

Ruszam dalej.

Nie przekraczam przejazdu kolejowego, tylko odwracam się i już idę wzdłuż torów, przed siebie.

Jęk szlabanów, jak jęk duszy.

Jej duszy, bo niby czyjej, to oczywiste, że tak może jęczeć tylko dusza Wioli.

Odwracam się za siebie w chwili, gdy rozbrzmiewa sygnał dźwiękowy, a czerwona plama światel sygnalizacji na zmianę pojawia się i znika na asfalcie.

List w kopercie, zaadresowany do podkomisarz Leny Wolskiej, zostawiam na siedzeniu pasażera. Jest w nim prawda o tym, gdzie policja znajdzie ciało Wioli. Spisałam wszystko, co wiem,

i zawarłam jedno kłamstwo. To, że ja zabiłam Wiołę, chociaż w rzeczywistości udusiła ją matka.

Moja matka.

Ta sama kobieta, która w trosce o życie córki wysłała ją do wujka na wygnanie. Zrobiła to, by ochronić, ocalić mnie za wszelką cenę.

„Twoja matka to silna kobieta. Poradzi sobie doskonale, ale tylko wtedy, kiedy będziesz trzymała się od niej z daleka” – przypominam sobie jego słowa, które po latach odczytuję zupełnie inaczej.

Matka obawiała się, że policja szybko odnajdzie ciało Wioli, a wtedy już na zawsze trafiłaby do więzienia. Zabezpieczyła mnie, dała inne nazwisko, opłaciła wujka i zerwała wszelkie kontakty. Zawsze pod pozorem tego, że gdybym wróciła, spotkałby mnie wiejski samosąd.

Nie umiem napisać prawdy policjantce, nie umiem wydać starej matki w ręce sprawiedliwości. Nie wiem, jak to się robi. Jak mam napisać, że matka zabiła Wiołę, bo ta szantażowała ją kolejny raz. Mówiła, że rozpowie po wsi, że rozbijam małżeństwo jej rodziców, że puszczam się z jej ojcem. Więc tamtego dnia, kiedy zostawiłam w szałasie rzeczy dla Wioli, matka umówiła się z nią na przekazanie pieniędzy przy kamieniu, na łące przed lasem. Moja przyjaciółka potrzebowała ich na skrobankę. I kiedy zasnęłam, matka poszła tam, a Wiola dawała jej znaki światłem latarki. A gdy się

spotkały, wszystko wymknęło się spod kontroli i gniew przesłonił matce oczy. Ocknęła się dopiero wtedy, kiedy Wiola leżała martwa na stoku. Matka chwyciła przez rękaw przenośną lampkę i odszukała nasz szałas. Dla niepoznaki zabrała stamtąd jej torbę, ale być może w nerwach i z powodu panujących ciemności zgubiła zepsutą na skutek uderzeń latarkę.

Biorę całą winę na siebie i zawieram w tym liście kłamstwo zmieszane z prawdą:

„Zabiłam Wiołę. Nienawidziłam i zazdrościłam jej wszystkiego. Wyniosłam ją z lasu i sturlałam zwłoki ze stoku wprost na zaorane

po pożarze pole. Ziemia była spulchniona głęboko, więc kopanie szybko mi poszło”.

Rysuję mapę i oznaczam „iksem” orientacyjne miejsce pochówku.

Przyznaję się do zabójstwa, którego nie popełniłam, ale tylko tak mogę pomóc matce, która przez lata izolacji, samotności i nieutulonego żalu coraz głębiej popada w paranoję. Coraz częściej widzi Wiołę w swoim domu, twierdzi, że nastolatka, umorusana ziemią, brudzi jej w pokoju. Pali więc znicz na grobie dziewczyny i tam, gdzie kiedyś stał szałas. Próbuje ją udobruchać ogniem i modlitwą.

Chcę zdjąć z matki to odium i tym, co zaraz zrobię, potwierdzić moją wersję zdarzeń.

Bo znowu uciekam.

Ale dopiero teraz zrozumiałam, na czym ma polegać moja ucieczka. Już wiem, że nigdy nie oderwę się od przeszłości. Jestem nią naznaczona.

Kto wie, czy sama zaraz nie popadnę w paranoję.

Obłąd mąci mi zmysły.

Gubię się w tym świecie, w którym nie ma już dla mnie ratunku.

Idę więc przed siebie, w stronę przeznaczenia.

Stawiam krok za krokiem, rytmicznie, tak by stopa za każdym razem lądowała na podkładzie kolejowym. Przestrzeń między nimi wypełnia tłuczeń.

Idę prosto przed siebie, jak po leżącej drabinie.

Dłonie trzymam w kieszeniach, dotykają brzucha.

Moje dziecko idzie ze mną.

Idziemy więc razem, krok za krokiem, gotowi na to, by przestać uciekać.

W ciszy, w moim krótkim posapywaniu, rozlega się daleki szmer. Dopiero wtedy unoszę głowę i widzę trzy żółte kropki na wierzchołkach trójkąta.

Zatrzymuję się.

Tak to ma wyglądać.

Tak to sobie wyobrażałam.

Wciągam nosem lodowate powietrze i wypełniam nim płuca po brzegi. Robię tak kilkakrotnie, a mimo to moje serce nie chce się uspokoić.

Cała drzę.

Stukot jest już wyczuwalny. Rytm serca zbiega się z nim i już nie wiem, który dźwięk jest donioślejszy.

Wznoszę się i widzę siebie na torach. Widzę dystans między mną a pociągiem i to, jak szybko się skraca.

Droga do przeznaczenia, droga, która zastępuje ucieczkę.

Jest jej kresem.

Widzę też przeszłość. Patrzą na stojące na torach bmw, na zastygłe w grymasie przerażenia twarze Piotra i Roksany, kiedy dostrzegają lokomotywę i kiedy wiedzą już, że to się stanie.

I wtedy, na sekundę przed tragedią, znowu wszystko gaśnie.

Czarna dziura.

Huk uderzenia rozsadza bębrenki. Zgrzyt blach, trzask pękającego szkła, grzechot odłamków na asfalcie. Pisk hamulców, który tnie noc jak brzytwa.

I nagła cisza, najokrutniejszy zwiastun tragedii.

A zaraz potem obraz do mnie wraca.

Stoję z rękoma w kieszeniach i patrzę przed siebie, mrużąc oczy.

W rozświetlającym noc światło, w tym żółtym strumieniu, który mnie oślepia, zauważam nieznaczny ruch. Nie rozumiem tego, co widzę, do czasu gdy ten ruch nie zgęstnieje, nie zmaterializuje się i nie przybliży się do mnie.

I wtedy już wiem, na co patrzę.

Widzę Wiołę.

Uśmiecha się i biegnie w moją stronę. Biegnie do mnie po latach. Za sobą ma nasze zalesione wzgórze. Biegnie przez łąkę Pasowca.

A ja wciąż trzymam dłonie na brzuchu.

Jestem oślepią.

Ostatni haust powietrza.

Dudni serce, dudni pociąg.

Tak, tak.

Stuk, stuk.

I nagle zapada cisza.

Spodziewam się tego.

Ułamek sekundy rozciągnięty do wieczności.

I ta cisza trwa.

Być może już po wszystkim.

Tak, tak.

Stuk, stuk.

Być może nie ma tu nikogo?

Ni-ko-go, ni-ko-go, ni-ko-go...

PODZIĘKOWANIA

Mam wrażenie, że szczęście sprzyja mi od dawna.

To moja pierwsza powieść napisana tuż po tym, jak odszedłem z firmowego etatu i rozpocząłem przygodę z zawodowym powieściopisarstwem. Na szczęście, tak jak przy poprzednich tytułach, tak i tym razem miałem niezwykle komfort pracy. Kiedy tylko nurtowały mnie kwestie związane z działaniem policji lub prokuratury, w każdej chwili mogłem się skontaktować z moimi znakomitymi ekspertami: komisarzem doktorem Pawłem Leśniewskim oraz Tadeuszem Zymanem, prokuratorem w stanie spoczynku. Obu Wam dziękuję serdecznie za nieocenioną pomoc, ale przede wszystkim – za niezwykle serdeczność i długie rozmowy. Jesteście wspaniali!

Dziękuję również Darkowi Łubkowskiemu, który zapoznał mnie z dwiema osobami strzegącymi bezpieczeństwa na przejazdach kolejowych. Siedziałem w strażnicy PKP, poznałem ich specyfikę pracy oraz narzędzia, z których korzystają na co dzień. Niestety nie mogę zdradzić nazwisk tych wspaniałych konsultantów, ale kłaniam się im nisko.

Ogromnie ważną rolę w kształtowaniu finalnej wersji tej powieści odegrał nadzwyczajny redaktor Adrian Tomczyk. Adrianie, praca z Tobą to czysta przyjemność! Dziękuję bardzo!

Podziękowania niech przyjmą również beta-czytelnicy, którzy mieli okazję zapoznać się z *Żałobnicą* tuż po tym, gdy postawiłem w tekście ostatnią kropkę. Dziękuję więc z serducha Ani

Rozenberg, Katji Tomczyk, Ani Sawickiej-Banaszkiewicz oraz Joannie i Marcinowi Żyndom. Wasze uwagi były mi niezwykle pomocne.

Oczywiście wpływ na ostateczny kształt powieści miała niezawodna redaktorka Lena Marciniak-Cąkała ze Słownych Babek, z którą świetna współpraca układa się od kilku lat. Leno, dziękuję za wszystkie Twoje uwagi i pielęgnowanie języka tej powieści.

Dziękuję Robertowi Falewiczowi, redaktorowi naczelnemu Wydawnictwa Poznańskiego, oraz Ani Wasik, członkini zarządu, za otwartość i serdeczność. Bardzo się cieszę, że mogę także współpracować z Gretą Kaczmarek, niezwykle kompetentną i kreatywną menedżerką. Jesteś absolutnie najlepsza! Dzięki za wszystko! Ściskam cały zespół Czwartej Strony Kryminału!

Tradycyjnie przekazuje garść pozdrowień dla moich serdecznych znajomych: Marty i Damiana Matyszczaków, Kasi Dardzińskiej i Marcina Wrońskiego, Mariusza Czubaja, Beaty Mes i Ryszarda Ćwirleja, Gosi Gogut i Bartka Szczygielskiego (wspaniałego kompana pisarskiej niedoli!), Przemka Semczuka, Agnieszki i Marcela Woźniaków, Kasi i Macieja Siembiedów, Grzegorza Brudnika, Marka Stelara, Michała Kadleca, Adama Szai (smakksiazki.pl), Magdy Kostrzewskiej z Maszyny do Pisania oraz niezawodnej ekipy #shameteam z Instagrama: Ani, Marty, Moniki, Magdy, Eweliny i Piotra. Ściskam mocno toruńskie dziennikarki: Iwonę Muszytowską-Rzeszotek (radio PiK), Magdę Witt-Ratowską (radio Wawa), Paulinę Błaszczewicz z dziennika „Nowości”, Hannę Wittstock z „Gazety Pomorskiej”, Magdę Kujawę z „Ikara” oraz Agatę Koss-Dybałę (Polskie Radio Lublin) i Marię Olechę-Lisiecką („Dziennik Zachodni”), a także Mariusza Składanowskiego i Michała Mrozka (obaj z toruńskiego radia GRA).

Nie sposób wszystkich wymienić, więc wybaczcie. W każdym razie dziękuję tym osobom, które bezinteresownie mi pomagają, w tym

również Blogerkom i Blogerom, wszystkim recenzentom moich tekstów.

Dziękuję moim wspaniałym Rodzicom i Teściom, a także całej Rodzinie.

Dziękuję również Kasi, mojej kochanej żonie, za lekturę *Żałobnicy* i zgłoszenie uwag, ale przede wszystkim za niezwykłą wygodę pracy w domu, która często odbywa się kosztem Jej komfortu. Jestem szczęściarzem. Dziękuję także mojemu kochanemu synowi Maksowi za cierpliwe oczekiwanie na ten moment, kiedy w końcu skończyłem szychcę i wychodziłem z „*pisarskiej* pracowni”. Dziękuję Wam i bardzo Was kocham.

Robert Małecki
www.robertmalecki.pl
facebook.com/robertmalecki.autor
instagram.com/robertmalecki.autor

TERAZ

DAWNO TEMU

TERAZ

DAWNO TEMU

TERAZ

DAWNO TEMU

TERAZ

TYDZIEŃ PÓŹNIEJ. TERAZ

DAWNO TEMU

TERAZ

TERAZ

TERAZ

EPILOG

PODZIĘKOWANIA